

# CZARNA SERIA

Styl – szybki i efektowny. Riposty – cięte.  
Akcja – zapierająca dech piersiach.  
Czego chcieć więcej?

**Smålandposten**

Serią powieści o Eriku Winterze  
Edwardson odmienił oblicze szwedzkiej  
literatury kryminalnej.

**Helsingborgs Dagblad**

# Åke Edwardson

Niech to się nigdy nie kończy

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!  
Czwarty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

# Åke Edwardson

Niech to się nigdy nie kończy

Tytuł oryginalny: Låt det aldrig ta slut

Tłumacz: Kłos Małgorzata

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2012

*Dla Kristiny*

## 1

COŚ JĄ UKŁUŁO W PRAWĄ STOPE, pod palcami. Stąpała ostrożnie, ale dno pokrywała gruba warstwa wodorostów. Przypominały poruszaną przez fale wysoką trawę. Brązową i obrzydliwą jak zgniłe kwiaty.

Przystanąła na skrawku piachu. Balansując na jednej nodze, podniosła prawą stopę i zobaczyła, że leci z niej krew. Tylko trochę. Kolejne skaleczenie tego lata. Zawsze tak jest.

Nagle przypomniała sobie zatłoczoną klasę, w której czuć było nieświeże ubrania, ale też... nieświeże myśli. Krople deszczu uderzające o szybę. Kartki z pytaniami i odgłos długopisów przesuwanych po papierze, odpowiedzi, o których najlepiej zapomnieć w chwili oddawania testu. Teraz miała to już za sobą. Była stuuu-dentką, a niech to, ależ była świetna! I to niekończące się lato. Oby trwało wiecznie. W jej głowie rozbrzmiewała melodia.

Do wieczora po ranie zostanie tylko mała szrama. Nie będzie jej czuć, ale skóra wciąż będzie rozgrzana po kąpieli w słońcu i w słonej wodzie. Nawet po prysznicu, który weźmie, zanim zapadnie wieczór.

Zaczęła płynąć, rozchlapująca wodę nogami. Czula się jak

pod wodospadem. Jakaś łódź z silnikiem pracującym na niskich obrotach wpłynęła do zatoki. Widziała też łodzie pasażerskie. Z miejsca, w którym była, widziała trzy. Wszystkie płynęły w kierunku południowych szkieł. Leżała na plecach. Nie czuła już wody, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Potrafię latać, pomyślała. Mogę wszystko. Mogę być, kim chcę. Mogę być sławna. Chcę żyć wiecznie.

Mogę zapomnieć.

Na razie trwa lato. Potem zaczniesz studia medyczne, ale od tej chwili dzieli ją milion lat i milion kropli, których piaskowosłony smak czuła, nurkując.

W zielonej, trochę mętnej wodzie zobaczyła jakiś cień. Może to ryba albo żaba.

Będzie studiować rok, potem weźmie dziekanę. Tata może sobie mówić, co chce. Pewnie powie, że najlepiej wychodzi jej planowanie rozrywek, a co z resztą?

Nie chciała siedzieć w domu.

Nurkowała tak długo, jak dała radę, a potem wybiła się, spróbowała wyskoczyć wysoko ponad powierzchnię.

Dopłynęła z powrotem do skał, ostrożnie przeszła przez pas żwiru i podciągnęła się na wystającym z klifu głazie.

Rana pod dużym palcem krwawiła, ale tylko trochę. Wspięła się wyżej, do miejsca, gdzie leżał koc. Wyciągnęła z torby ręcznik, osuszyła włosy i napiła się. Usiadła na kocu i zamrugnęła, próbując się pozbyć z oczu kilku kropel słonej wody. Wzięła wdech, a potem jeszcze jeden, głęboki, pełen słońca. Niemal parzyło jej płuca. Powierzchnia morza połyskiwała niczym łuska, jakby poruszały się w nim tysiące ryb. Słyszała cichy odgłos łodzi płynących w różnych kierunkach. Niektóre zniknęły, rozmywały się na linii horyzontu, przy której niebo było niemal białe. Nigdzie nie było widać chmur. Położyła się na plecach. Kropla wody stoczyła się jej z czoła i spłynęła po policzku do ust. Poczowała

jej smak. Nic już nie widziała. Jej głowę wypełniały żółc i czerwien. Dolatywały ją niewyraźne głosy ludzi siedzących wokół, fragmenty słów, urwany śmiech, który zdawał się połyskiwać jak woda w słońcu.

Nie mogła czytać. Nie miała ochoty nic robić, chciała tylko tak leżeć, jak długo się da. Nie robić nic, tylko żyć bez końca.

Kiedy wreszcie zebrała rzeczy i wspięła się na drugą stronę góry, a potem niewielkim parowem zeszła do stojaka na rowery, słońce stało już nisko. Miała wrażenie, że niemal kręci jej się w głowie. Ramiona ją paliły, chociaż nasmarowała się balsamem. Policzki też, ale niezbyt mocno. Do wieczora przestaną. Opalenizna się wchłonie i będzie ślicznie wyglądać w świetle lamp rozstawionych w barowych ogródkach. Ulala!

Już zaczynała zapominać.

Jechała rowerem wzdłuż przystani. Przedzierała się przez tłum ludzi: wylewali się z łodzi i toczyli w stronę autobusów i tramwajów. Wśród pieszych kluczyły setki rowerzystów. Wszyscy wracali do domu jednocześnie, jakby robili to samo o tej samej porze. Może tak jest, pomyślała. Latem tak właśnie jest. Wszystko staje się takie proste. Opalanie, kąpiel, prysznic, impreza. Kąpiel, opalanie, prysznic, impreza. Prysznic, opalanie, kąpiel, prysznic. Zaparkowała rower, ustawiła się w kolejce po lody i kupiła dwie kulki w kubeczku: toffi z sosem czekoladowym i klasyczne waniliowe. Natychmiast się roztopiły, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby wzięła w wafelku. Kobieta stojąca obok powiedziała, że są trzydzieści trzy stopnie. Trzydzieści trzy stopnie o szóstej wieczorem. Nie ma co narzekać, powiedział mężczyzna stojący obok. Może i nie, ale ziemia jest już wysuszona, odparła kobieta. Mogła mieć pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat. Mam gdzieś ziemię, pomyślała, odjeżdżając spod budki. Niech to lato nigdy się nie kończy. Ziemia dostanie, czego chce, jesienią.

Znad pola, które po drugiej stronie drogi opadało w stronę zatoki, dochodził zapach siana. Jechała dalej przez niewielkie osiedle domów jednorodzinnych. Na ścieżce rowerowej biegnącej wzdłuż torów tramwajowych przyspieszyła i po dziesięciu minutach była w domu. Ojciec siedział na werandzie ze szklanką czegoś, co wyglądało na whisky.

- A oto i nasz burak.

Nie odpowiedziała.

- Choć lepsze to niż por.

- Por?

- Niż ta biała głowa pora.

- Idę na górę - powiedziała, wchodząc po schodach. Tak, to była whisky. Czuła jej ciężki zapach.

- Dokładnie za dziesięć minut rozpalam grilla.

- Co będzie?

- Opiekany łosoś i żabnica. Między innymi.

- O której jemy?

- Dokładnie za pięćdziesiąt pięć minut.

Ojciec wypił łyk i spojrzał w dal. Kostki lodu zastukały w szklance. Lubiła wino, czasem piwo, ale whisky nie cierpiała. Kiedy już doprowadziła się do porządku, opalenizna wchłonęła się w skórę, nabrała głębszego odcienia. W pokoju panował półmrok. Zaciągnęła zasłony, więc światło było przyćmione, ale czuć było upał, suszę i ładny zapach jej skóry. Stała przed lustrem, w samych majtkach. Piersi bielily się niczym zęby.

Zapachniało balsamem po opalaniu, którym właśnie się nasmarowała. Po wodzie z prysznicą - już nie słonej, ale słodkiej - skóra zrobiła się miękka. Ładne określenie - słodka woda.

Ojciec zawołał z ogródka i w tym momencie, poczuwszy zapach grillowanej ryby, stwierdziła, że jest okropnie głodna. Okropnie. A do tego spragniona.

Zęby Elin błysnęły po drugiej stronie stolika.

- Co robisz jutro?
  - Kąpię się i opalam.
  - Wypijemy jeszcze po jednym?
  - Raczej nie. Już mi się zakręciło w głowie - powiedziała, wskazując na stojącą przed nią szklankę piwa.
  - Jesteś już całkiem brązowa - zauważyła Elin.
  - Dzięki.
  - A włosy masz zupełnie białe.
  - Nie wiem, czy to komplement.
  - Wyglądają świetnie.
  - W takim razie dziękuję.
  - Ja chyba wypiję jeszcze jedno - powiedziała Elin. - Wciąż chce mi się pić. - Podniosła się. - Najlepiej samemu iść do baru. Tutaj, na koniec, nigdy nie dochodzą.
- Siedziały przy lewym krańcu ogródka, za nimi zaczynała się ślepa uliczka.

- Więc nic nie chcesz?

Pokręciła głową. Elin ruszyła w kierunku baru. Widziała, jak kluczy między stolikami tak, jak ona wcześniej kluczyła między meduzami w wodach Saltholmen.

- Albo weź dla mnie jedno małe! - krzyknęła za Elin.

Długo siedziały w ogródku. Ciepłe powietrze wisiało nisko między domami, powoli zbliżając się do ulicy.

- Chyba wciąż jest tak samo gorąco - powiedziała Elin. - Nie ma już słońca, ale wciąż jest gorąco.

Przytaknęła w milczeniu.

- Najfajniejsze w upalnym lecie w mieście są wieczory - dodała Elin. - Summer in the city.

Znowu przytaknęła.

- Ależ się zrobiłaś gadatliwa.
- Po prostu jestem strasznie zmęczona.
- Przecież dopiero chwila po północy.
- Wiem. To pewnie przez słońce.
- Cóż, ja cały dzień harowałam za kasą.

- Ale jutro masz wolne.
- Dlatego musimy się trochę zaaa-bawić! - powiedziała Elin i powtórzyła jeszcze: - zaaa-bawić!
- No nie wiem.
- O Boże. Kiedy mówiłam, że masz białe włosy, nie chodziło mi dosłownie o to. Białe włosy nie muszą oznaczać, że się przekroczyło siedemdziesiątkę. Jezu! Znowu ziewasz.
- Wiem, przepraszam.
- To co robimy?
- Dziś czy jutro wieczorem?
- Mówię oczywiście o listopadowym wieczorze za trzy lata.
- No nie wiem...
- Mam iść do klubu sama?
- Nie - odpowiedziała. - Spójrz, idzie reszta ekipy. Faktycznie. Trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Stwierdziła, że przyszli w samą porę. Dziś nie miała zamiaru imprezować całą noc. To pewnie przez słońce. Pewnie przesadziła z opalaniem. A dzięki nim nie będzie musiała nigdzie iść tylko po to, żeby dotrzymać towarzystwa Elin.
- W takim razie nie musisz mi już dotrzymywać towarzystwa - powiedziała Elin.
- A o co chodzi? - zapytał jeden z chłopaków.
- Ktoś tu chodzi spać z kurami - odparła Elin, wskazując na nią z uśmiechem.
- Po prostu jestem okropnie zmęczona, i tyle.
- To jedź do domu i się połóż - powiedział chłopak. - Mam zadzwonić po taksówkę?
- Pokazała mu język, a on się roześmiał.
- Pójdę na piechotę.
- Pójdziesz?
- Tak, podejść kawalek.
- To przecież daleko. A ostatni tramwaj już odjechał.
- Pójdę na nocny. A pod koniec wezmę może taksówkę.
- Weź od razu - powiedziała Elin.



- Niby czemu? Chodzi ci o to, że... O co ci właściwie chodzi?
- O to, że lepiej samemu nie chodzić po mieście.

Rozejrzała się.

- Samemu? Wszędzie aż roi się od ludzi. - Rozejrzała się jeszcze raz. - I to od ludzi w naszym wieku.

- Rób, jak chcesz - odpowiedziała Elin.
- To idziemy - rzucił ktoś.

Ruszyli.

- To jutro rano o jedenastej?

- A dasz radę wstać?

- Jeśli stawką jest opalenizna, to dam.

- Wiesz, gdzie zawsze się rozkładałam z kocem - powiedziała, pożegnała się i ruszyła na południe.

- Spoczywaj w pokoju - rzucił jeden z chłopaków.

- Co za kretyński żart - powiedziała Elin.

Przy postoju taksówek dopadły ją wątpliwości. Nagle poczuła się bardziej rześka, jakby dzięki spacerowi włączył się w niej zapasowy silnik. Zawahała się i spojrzała w stronę parku. Tyle samo ludzi co przy ogródkach, może nawet więcej. Wszystko było oświetlone, drzewa i krzewy połyskiwały jaskrawymi kolorami, jakby ktoś pomalował liście. Poczowała orzeźwiający chłód dochodzący od strony parku. Ładnie pachniało. I ten chłód. Mogła przecież przeciąć park i wyjść na ulicę po drugiej stronie. Wszędzie było mnóstwo ludzi. Słysząc było muzykę dobiegającą z ogródków położonych na prawo, za wodą. Droga była tylko sto metrów dalej.

Coś ją ciągnęło do tego parku. Stała na trawie. Zapach wydał jej się jeszcze ładniejszy. Zewsząd słyszała głosy, tak jak wcześniej na plaży. Gdy zamknęła oczy, dobiegły ją urywki rozmów. Jej głowę wypełniła nie czerwień, ale zieleń, i może odrobina żółci. Otworzyła oczy i przecięła trawnik. Wszędzie wokół ludzie. Wszędzie głosy. Weszła pod drzewa rosnące na skraju, mogła stamtąd zobaczyć drogę po drugiej stronie. Dzieliło ją od niej może ze dwadzieścia metrów.

Nagle poczuła się rześka, całkiem rześka, jak po długim śnie i śniadaniu.

Coś zaszeleściło w liściach, gdzieś nad nią. Miała wrażenie, że idzie nie parkową alejką, ale zagajnikiem. Widziała latarnie. Jaśniało już - niebo było bardziej niebieskie niż przed godziną. Było trochę po pierwszej. Słyszała trzaski i szelesty. Dobiegł ją odgłos samochodu i czyjś śmiech. Zaczęła się zastanawiać, za ile minut pierwszy taksjarsz pojawi się z uśmiechem na drodze.

Z prawej rozległ się trzask, wydawało jej się, że kątem oka widzi jakiś cień. Coś usłyszała, chyba ptaka. Potem znowu śmiech od strony ulicy. Nagły powiew poruszył krzakami.

Jeszcze tylko ostatni kawałek i dojdzie do drogi. Tam znowu będzie mnóstwo ludzi. I wcale się nie boi, nie ma powodu. Prawie mogłaby się z tego śmiać. Jeszcze tylko parę kroków.

## 2

STRACIŁA ŚWIADOMOŚĆ, ale w końcu się ocknęła. Doszła do domu. Słońce już grzało mocno, mogło być wczesne przedpołudnie. Szła skarżą, ze spuszczoną głową, żeby nikt nie widział, co się jej przytrafiło, co ZROBIŁA. Co ktoś zrobił jej. Pokój wciąż wyglądał tak samo, ale nic już nie było takie jak kiedyś. Zdarła z siebie ubrania, ZDARŁA, wrzuciła wszystko do pralki i włączyła ją na oślep. Szum wody przynosił jej ukojenie.

Stała pod prysznicem i wymyła skórę od ŚRODKA, takie przynajmniej miała wrażenie. Długo tarła całe ciało, usuwając wszystkie ślady. Pralka przerzucała bieliznę w tę i z powrotem, usuwając dowody, w tę i z powrotem. Gdy godzinę później zjawili się inspektorzy okręgowego wydziału śledczego Fredrik Halders i Aneta Djanali, nie zostało z nich nic. Niczego nie doszukali się również technicy z komendy przy placu Erika Fontella, kiedy próbowali znaleźć cokolwiek

między włóknami i niemi.

Przysłał ich szef wydziału Erik Winter. Przy każdym gwałcie podejrzewał, że mają do czynienia z seryjnym sprawcą. Już dwa razy miał rację.

Jechali do ofiary. Aneta widziała park. Na razie wiedzieli tyle: dziewczyna powiedziała rodzicom, że to się stało w parku. Winter już wysłał tam ludzi. Aneta zobaczyła psa. To nie żarty. Na parkingu stało trzech umundurowanych policjantów. I około dziesięciu samochodów.

- Myślisz, że sprawdzają auta? - zapytał Halders. Siedział za kółkiem.

- Nie, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Zawsze to samo wariactwo.

- Wariactwo?

- To bez sensu. Dwudziestu pięciu facetów stoi z rękami w kieszeniach, a ten drań pewnie zwiął stąd od razu. Zapomniał o samochodzie. Dajmy na to... o tym, tam, na środku. Ta zielona mantra. Albo czarne volvo.

- Jest ich tam trzech, nie dwudziestu pięciu.

Aneta zobaczyła, jak jeden z policjantów wyciąga notatnik i zaczyna spisywać numery rejestracyjne.

- Właśnie zaczynają.

Dom stał trochę w głębi, za murem. Po drugiej stronie, zaledwie paręset metrów dalej, połyskiwało morze. Halders poczuł zapach bryzy, usłyszał mewy, zobaczył wodę, żagiel, kilka promów, katamaran, kilka tankowców i trzy żurawie w zamkniętym porcie za rzeką. Widział też linię horyzontu.

Dom wyglądał na własność milionera, ale na Haldersie nie zrobiło to wrażenia. Ludzie mają prawo zarabiać więcej niż on. Dom chyba był nowy, widać było inspiracje architekturą grecką. Wyglądał jak cała cholerna grecka osada.

Otarł pot z czoła. Czuł, że plecy pod koszulą też ma mokre. Aneta wyglądała świeżo. To pewnie kwestia genów czy czegoś w tym stylu. Czarna z zewnątrz, chłodna w środku.

- Dobra - powiedział, wciskając mały dzwonek. Ledwo go było widać na tle złotawego tynku.

Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby mężczyzna, którego zobaczyli, czekał za nimi na sygnał. Miał może z pięćdziesiąt lat. Był ubrany w szorty i koszulkę, opalony, w okularach w cienkich oprawkach i z cienkimi włosami, dłuższymi z tyłu. W ogóle jakiś taki cienki, pomyślał Halders. Czerwone oczy. Wystraszone oczy. Do jego domu przyszło coś nieznanego.

Rzeczywistość przeszkodziła mu po raz drugi: najpierw zgwałcona córka, a teraz dwoje gliniarzy w cywilu. To drugie zawsze następuje po tym pierwszym. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, pomyślał Halders. To my zawsze następujemy po czymś - dobrym czy złym. Nie miało to teraz dla niego znaczenia.

Przedstawili się. Mężczyzna, Kurt Bielke, zaprosił ich do środka.

- Jeanette jest w swoim pokoju.

- Aha. - Halders spojrział w górę schodów. - To nie potrwa długo. Potem musi pojechać do kliniki.

- Do kliniki?

- Do kliniki dla kobiet. W szpitalu Östra.

- Wiem przecież - powiedział Kurt Bielke, przeciągając ręką po wysokim czole. - Ale czy musi tam jechać? - Odwrócił się do Anety. - Nie będzie chciała.

- To ważne - odpowiedziała Aneta. I to z kilku powodów, dodała w myślach.

- Czy możemy z nią teraz chwilę porozmawiać? - zapytał Halders.

- Tak, oczywiście. - Kurt Bielke ruszył w stronę schodów. Potem na moment zamarł, stał jak sparaliżowany. Po chwili zrobił ruch głową. Nie patrzył na nich. - Tam, na górze.

Weszli i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Aneta słyszała dźwięki lata dobiegające zza okna. Jakiś ptak zaskrzeczał głośno, inne poszły w jego ślady. Po chwili wszystkie zniknęły

nad zatoką. Gdzieś zaszczekał pies. Zatrąbił samochód. Jakieś dziecko krzyknęło piskliwym głosem.

Kurt Bielke zapukał do drzwi. Nie usłyszeli odpowiedzi, więc spróbował ponownie.

- Jeanette?

Ze środka dobiegł jakiś głos, ale nie były to słowa.

- Jeanette? Przyszła pol... policja.

Tym razem padło jakieś słowo.

- Wchodzimy - powiedział Halders.

- Czy powinienem przy tym być? - zapytał Kurt Bielke.

- Nie - odparł Halders i sam zapukał, naciskając jednocześnie kłamkę.

Drzwi się otworzyły. Weszli.

Dziewczyna siedziała na łóżku, w szlafroku. W pokoju było tak ciemno, jak tylko pozwalały zaciągnięte żaluzje. Na dworze świeciło słońce i ostre światło próbowało się wedrzeć do środka. Wygląda, jakby się chciała przed nim schować w rogu łóżka, pomyślała Aneta. Przyciska się do ściany. To nie żadna dziewczyna, to Jeanette. Ma imię. Ale nagle to imię straciło znaczenie. Czasem myślą tak nawet same ofiary.

Teraz moja kolej. Przedstawiła siebie i Haldersa. Halders pochylił tylko w milczeniu głowę i, przysiadłszy na krześle przy biurku, przyjaźnie skinął głową.

Twarz Jeanette częściowo zasłaniał ręcznik. Owinęła nim głowę po długim prysznicu. Szczupłą dłonią trzymała szlafrok pod szyją. Aneta przyzwyczaiła się już do panującego w pokoju półmroku. Dostrzegła zaczerwienioną, jakby pomarszczoną od wilgoci skórę na palcach dziewczyny.

Całe godziny stała pod prysznicem. Też bym tak zrobiła, pomyślała. Zadała kilka krótkich pytań, najkrótszych, jakie przychodziły jej do głowy. To tylko wstępne przesłuchanie. Odpowiedzi były jeszcze krótsze, ledwie je słyszeli. Musieli usiąść bliżej, ale nie za blisko. Jeanette opowiedziała im o parku. Tak, było późno. Nie, wcześniej. Późno, a zarazem

wcześniej. Była sama. Chadzała już tamtędy wcześniej. Wiele razy, także nocą. Czy sama? Tak, sama też.

Właśnie tym razem była sama. Może gdyby wybrała inny moment... Wcześniej była w dwóch różnych miejscach, powiedziała gdzie, Halders zanotował. Mówiła też, kto był tam z nią, choćby przez moment.

Byli na szkolnej imprezie, nie za dużej. Przyszła może jedna czwarta klasy.

Już miesiąc minął od zakończenia szkoły i rozdania świadectw uprawniających do podjęcia studiów.

Na biurku pod oknem Aneta zauważyła białą studencką czapkę. Połyskiwała w cieniu. Rozmawiali o tym z Haldersem, kiedy tu jechali. Nie wiadomo czemu te świadectwa dające wstęp na uniwersytet nazywają się świadectwa kompetencji [W Szwecji liceum nie kończy się egzaminem; uczniowie otrzymują jedynie świadectwo uprawniające ich do podjęcia nauki na uniwersytecie] Głupia nazwa.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo o jakie kompetencje chodzi? Niby w czym oni są kompetentni?

- A ty chodziłeś normalnie do liceum?

- Skończyłem liceum policyjne, bo co?

- Nic. Przez chwilę myślałam, że może skończyłeś szkołę eksternistycznie. Tak na własną rękę.

- Policjant wykształcony na własną rękę?

- No tak.

- Cóż, czasem może i tak się czuję. Jak policjant działający na własną rękę.

Niewielka szkolna impreza. Aneta przeniosła wzrok ze studenckiej czapki na twarz Jeanette. Dziewiętnaście lat. Chciała zapytać o chłopaka, obecnego i byłych, ale wiedziała, że z tym lepiej zaczekać. Teraz najważniejsze są konkrety: tych kilka pytań o to, co się stało, kiedy i jak. Kiedy i jak, kiedy i jak. Trzeba pytać, słuchać, patrzeć. Robiła to już

wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć, że ona, jako prowadząca śledztwo, musi przede wszystkim uchwycić zdarzenia kryjące się pod opisem innych zdarzeń. Nie można odczytywać zeznań ofiary wprost, dosłownie. Już teraz, od razu, trzeba się zastanowić, czy naprawdę tak właśnie było. Czy właśnie tak to wszystko przebiegło?

Poprosiła Jeanette Bielke, żeby opisała mężczyznę, który ją zgwałcił.

Nagle dziewczyna stwierdziła, że chce jechać do szpitala. Natychmiast. Aneta wiedziała, że ta chwila musi nadejść. Może powinna była nadejść już wcześniej.

- Zaraz. Jeszcze tylko jedno pytanie. To tylko kilka sekund.

- Ale ja chcę jechać TERAZ.

- Czy możesz nam coś powiedzieć o tym mężczyźnie?

- Nic nie pamiętam.

- Był wysoki?

- Był duży. I silny. a może to ja nie miałam odwagi. odwagi, żeby się uwolnić. Najpierw próbowałam, ale potem już nie dawałam rady.

Zaczęła płakać. Złapała za krawędź ręcznika i przetarła nim oczy. Zawiązany na głowie turban się poluzował i opadł, odsłaniając mokre włosy. Wyglądały jak przyklejone do głowy.

- On mnie związał.

- Związał?

- Jak?

- To znaczy. nie związał, tylko założył mi pętlę na szyję. Potem na ramiona. - Dziewczyna złapała się za gardło. Aneta dopiero teraz zauważyła cienką czerwoną linię wokół szyi Jeanette.

Chcieli dowiedzieć się jak najwięcej, wykorzystując to, że wciąż była w szoku.

- To coś przypominało smycz - powiedziała dziewczyna. - Nie pachniało psem, ale przypominało smycz. - Spojrzała

wprost na Anetę. - Widziałam, jak połyskuje. Tak mi się wydawało.

- Połyskuje?

- Coś na tej smyczy odbijało światło. Takie miałam wrażenie. Jakby były na niej jakieś ćwieki albo coś takiego.

Kolejny raz potrząsnęła głową i odchrząknęła. Aneta spojrzała na Haldersa. Halders skinął głową.

- To już ostatnie pytanie. Czy ten mężczyzna coś mówił?

- Powiedział. coś.

- Co?

- Nie usłyszałam.

- Ale słyszałaś słowa?

- No tak.

- Nie słyszałaś, w jakim były języku?

- To nie przypominało języka.

- Jak to nie przypominało języka?

- To brzmiało jak bełkot. Bez sensu. Mamrotał coś, czego nie mogłam zrozumieć.

Aneta pokiwała głową. Czekwała na ciąg dalszy. Jeanette na nią spojrzała.

- Robił tak trzy razy. To znaczy bełkotał. Chociaż może raz, dokładnie wtedy, kiedy.

Za oknem zaskrzeczały mewy, wracały znad morza. Gdzieś rozległ się odgłos odpalanego silnika samochodu. Jakieś dziecko znowu kogoś zawołało. Jeanette przyciskała ręcznik do włosów. W pokoju było gorąco i duszno.

Aneta wiedziała, że dziewczyna powiedziała im wszystko, co mogła teraz powiedzieć. Najwyższy czas jechać na badanie.

Zobaczyła, że Fredrik się podnosi. Wszystko szło ustalonym rytmem: gwałt, zgłoszenie, pierwsze przesłuchanie, wniosek o obdukcję, klinika dla kobiet.

Cholera.

Tu naprawdę chodzi o gwałt. To nie są żadne fantazje.

Jeanette Bielke została przewieziona do kliniki. Aneta i



Halders pojechali do parku, w którym została zgwałcona.

- I co powiesz o opisie sprawcy?

Halders wzruszył ramionami.

- Duży, silny, w ciemnym płaszczu, nie pachniał w żaden szczególny sposób, uzbrojony w smycz. Coś bełkotał. Albo po prostu powiedział coś niewyraźnie.

- To mógł być dosłownie każdy - stwierdził Halders.

- Myślisz, że można jej wierzyć?

- Tak.

- Chciałabym móc zadać więcej pytań.

- Wyciągnęłaś z niej wszystko, co można było wyciągnąć.

Aneta spojrzała przez szybę. Lato. Ludzie w przewiewnych strojach.

Twarze rywalizujące ze słońcem o to, kto błyszczy bardziej. Ani jednej chmurki na błękitnym niebie. Lody, letnie ciuchy i lekkie życie - nic poza tym. Do tego żadnego wiatru.

- To okropne.

- Oby się tylko nie okazało, że to dopiero początek. - Halders spojrzał na nią. - Wiesz, co mam na myśli.

- Nawet tak nie mów.

Halders myślał o tym, co Jeanette powiedziała o wyglądzie sprawcy, o tych szczegółach, które udało jej się zobaczyć. O wyglądzie gwałciiciela. Muszą poczekać na wyniki, ale Halders był pewien, że została zgwałcona.

Nigdy nie można być pewnym wyglądu sprawcy. Portret pamięciowy to najtrudniejszy element śledztwa. Nigdy nie ufaj portretom pamięciowym - zwykł powtarzać każdemu, kto zechciał słuchać. Żaden szczegół nie musi się zgadzać z rzeczywistym wyglądem sprawcy. W zależności od tego, co widział i zapamiętał każdy ze świadków, ten sam podejrzany mógł mieć od stu sześćdziesięciu dwóch do stu dziewięćdziesięciu siedmiu centymetrów wzrostu. Wszystko mógł mieć inne.

W zeszłym roku szukali wariata, który chodził po mieście i

atakował ludzi: przewracał ich od tyłu. W jego sposobie działania nie było nic szczególnego poza tym, że po prostu popychał ofiary i zabierał im pieniądze. Choć miał charakterystyczną zagrywkę - przedstawiał się ofiarom, kiedy do nich podchodził. Chyba można to podciągnąć pod sposób działania. Rzucił jakieś powitanie, żeby zwrócić na siebie uwagę, a potem uderzał.

Ofiary zgadzały się co do jednego: facet przypominał Dzwonnika z Notre Dame. Krępy, zgarbiony, łysy, jedną stopę ciągnął za sobą, jakby sadił ziemniaki.

Kiedy go w końcu złapali, zresztą na gorącym uczynku, okazało się, że ma metr dziewięćdziesiąt pięć, gęste kręcone włosy i mógłby z powodzeniem dostać rolę amanta w pierwszej lepszej operze mydlanej.

Tyle rzeczy ma na to wpływ. To, co świadek widział. Zmrok. Kąt padania światła. Strach. Strach przede wszystkim.

Halders skręcił i zaparkował. Nie było już umundurowanych policjantów. Teren był oddzielony taśmą, dwóch techników chodziło na czworakach. W oddali, za taśmą, stała gromadka dzieci. Obserwowały ich i szeptały coś do siebie. Dorośli przechodnie przystawali na chwilę, a potem szli dalej.

- Macie coś?! - krzyknął Halders do techników.

Tylko podnieśli na chwilę głowy, nie odpowiedzieli. Halders usłyszał szczerzenie i zobaczył psa. Szedł z Sörenem.

- Macie coś? - powtórzył, tym razem do Sörena.

- Zack wyczuł coś kawałek stąd, ale potem trop zniknął na wietrze.

- Albo na drzewie - powiedział Halders, spoglądając w górę.

- Byłeś przy tym, jak rok temu zgarnęliśmy tego kolesia, co próbował się schować na drzewie?

- Słyszałem o tym.

- Te drzewa są czyste.

- To jak on się stąd wydostał?

- Pewnie biegiem. Albo samochodem. Lepiej zapytaj

techników.

- No tak.

- Tak czy inaczej, nie ma tu żadnych śladów. Jest przecież sucho jak cholera.

Halders się rozejrzył. Aneta patrzyła na techników. Sören z psem wciąż stał obok. Jego owczarek niemiecki najpierw przyglądał się Haldersowi, potem przeniósł wzrok na techników. Halders rozejrzył się jeszcze raz, po czym zrobił kilka kroków do przodu.

- Byłeś tu kiedyś? - zapytał Sörena.

- To znaczy z wezwania?

- Przecież cię nie pytam o życie prywatne. Wezwali cię tu kiedyś z powodu gwałtu?

- Do tego parku?

- Tak, właśnie tu.

Halders spojrział na niewielki teren odgradzony taśmą. Wyglądało to niepoważnie, jakby było sprawką wciąż gapiących się z boku dzieci. Po prawej widać było sadzawkę, w której odbijały się różowe ciała flamingów stojących na jednej nodze.

Technicy nadal na kolanach przeczesywali zarośla.

Obok rosły dwa drzewa. Jakieś trzy metry dalej. Chyba klony. Między nimi tworzyło się coś na kształt przejścia, szerokiego na tyle, żeby mógł się w nim zmieścić człowiek. Za nimi rozciągał się cień. Tonął w nim skalny blok - rozcięty przypominającą grotę szczeliną. Właśnie tam kręcili się technicy. Zmierzali w stronę groty.

Idealne miejsce na gwałt.

Dobry Boże, pomyślał Halders. Wtedy zrozumiał. Przecież to było TUTAJ.

Asfaltowa droga biegła dziesięć metrów dalej, ale równie dobrze mogło to być sto metrów. Tysiąc. Druga, węższa uliczka znajdowała się za parkingiem. Park oddzielał od samochodów żywopłot. Oświetlenie było zupełnie do niczego.

Sam wiele razy chadzał tędy nocą i wiedział, że latarnie bardziej przeszkadzają, niż pomagają. Nikt nic z tym nie zrobił, mimo tego, co się tu stało.

Idealne miejsce. Cięń między drzewami jakby wręcz na to czekał.

Nie od razu się zorientował.

- W to miejsce? - spytał Sören. Rozejrzył się. - Nieee... nie wydaje mi się.

- Spojrzył na Haldersa. - Bo co?

- To już się raz stało.

- Nie łapię.

- To było tu. - Halders spojrzał na kolegę. - Kurwa, Sören, to było w tym samym miejscu. To było TU.

- Mów jaśniej.

- Nie pracowałeś w mieście pięć lat temu?

- Nie, zacząłem cztery lata temu.

- Ale znasz chyba sprawę Beatrice?

Sören spojrzał na Haldersa.

- Beatrice? Tej dziewczyny, którą zamordowano?

- Pięć lat temu. Najpierw ją zgwałcono. Zgwałcono i zamordowano.

- Jasne, że kojarzę tę sprawę. Czytałem o tym.

- To było tutaj - powiedział Halders.

- Tutaj?

- Tutaj to się stało. - Halders zwrócił się do Sörena i Anety, która do nich podeszła. - Tu znaleziono Beatrice. Dokładnie tutaj. Leżała w tej szczelinie. - Wskazał na miejsce, po którym w tę i z powrotem kręcili się technicy. - Leżała między drzewami. Jest tam coś w rodzaju grotu.

Zgwałcona i uduszona smyczą, pomyślał. Smyczy nie znaleźliśmy, ale tak musiało być.

Zauważył, że pies śledzi jego spojrzenie - wodzi wzrokiem w kierunku grotu i z powrotem. Przez chwilę ciągnął za smycz, a potem się uspokoił.

WINTER POCZUŁ DŁOŃ zaciskającą się na jego palcu. Elsa zagaworzyła coś na powitanie. Pocałował ją za uszami, zaśmiała się. Potem podmuchał jej w szyję. To też ją ubawiło. Jeszcze się nie przyzwyczał do tego śmiechu i gaworzenia. Czasem rozbrzmiewały w mieszkaniu godzinami. Niedługo jego córeczka miała skończyć piętnaście miesięcy. Jej głos zdarł ciszę ze ścian, niczym stare tapety. Że też takie małe ciało może wydawać tak donośne dźwięki.

Angela wróciła z kuchni i usiadła w fotelu. Zaczęła rozpinąć kraciastą koszulę, spoglądając przy tym na Wintera i Elbę leżących na kocu na podłodze.

- Śniadanie - powiedziała.

Winter podmuchał w szyję Elsy, za uchem.

- Pora na śniadanie - powtórzyła Angela. Elsa się zaśmiała.

- Nie wygląda na głodną - zauważył Winter, patrząc na Angelę.

- Podejdz tu z nią, to zobaczysz. - Mała znów się zaśmiała. - Ale to już ostatni raz. Boże. Nie mogę już karmić piersią.

Winter zaniósł Elbę na fotel, do Angeli. Wciąż była lekka jak piórko.

Wchodząc do swojego pokoju, spojrzął na teczki rozłożone na biurku. Słońce zdążyło już nagrzać ściany, pachniały latem. Jeszcze dwa miesiące, a potem minie sporo czasu, zanim znowu to zobaczy. Rok. Pójdzie na urlop rodzicielski i kto wie, jakim człowiekiem będzie, gdy znowu wkroczy do tego ponurego pokoju, w którym niemal wszystkie myśli sprawiały mu ból.

Czy w ogóle wróci?

Kim wtedy będzie?

Podszedł do umywalki i wypił szklanek wody. Czuł się wypoczęty. Elsa dość wcześnie zdecydowała, że będzie sypiać

od ósmej wieczorem do ósmej rano. On i Angela mieli niebywałe szczęście.

Czasami Angela płakała w nocy. Wracwały wspomnienia, choć już nie tak często jak kiedyś. Nie pytał jej, co się stało w tamtym pokoju, w tamtym domu, na dobę przed tym, zanim tam przyszedł. Nie mógł pytać, nie wprost. Mówiła mu o tym noc po nocy, urywanymi zdaniami.

To się już w zasadzie skończyło. Sypiała lepiej.

To się stało niecałe piętnaście miesięcy temu.

Usiadł przy biurku i otworzył leżącą na wierzchu teczkę. Wyciągnął z niej dokumenty i zdjęcia. Podniósł jedno z nich. Przedstawiało blok skalny, drzewa, trawnik i ścieżkę. Wszystko wyglądało znajomo, wręcz obezwładniająco znajomo, jak choroba, która wraca po latach. Jak nowotwór, który wycięto, a mimo to odrósł.

Jeanette Bielke przynajmniej przeżyła. Nadal czekali na wyniki badań.

Wstał, nie wypuszczając zdjęcia z dłoni, i otworzył okno. Słońce wisiało nad miastem po drugiej stronie rzeki. W powietrzu unosiły się niemal nieważkie zapachy lata. Pomyślał o Elsie. Ktoś zapukał.

- Wejść! - odpowiedział.

W drzwiach stanął Halders. Winter wskazał mu krzesło, ale sam nie ruszył się od okna.

- Na pewno doszło do pełnego stosunku - powiedział Halders. - Właśnie dostałem raport. To znaczy z czysto technicznego punktu widzenia. Ale to gwałt.

- Co jeszcze piszą?

- Że zeznanie dziewczyny jest jednak wiarygodne.

- Jednak?

Halders wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak to jest.

Winter nie odpowiedział. Halders spojrział na rozłożone na stoleteczki i skinął głową w ich stronę.

- Widzę, że poprosiłeś, żeby ci je przynieśli.
- Tak.
- Zdążyłeś już na nie spojrzeć?
- Tylko na to zdjęcie - odparł Winter, pokazując, co trzyma w ręku.

W tym samym momencie Halders zauważył zdjęcie Bea trice na jednym z wycinków prasowych.

- Czy to zbieg okoliczności? - zapytał Halders.
- Miejsce? Cóż, nie pierwszy raz napadają na kogoś w parku.
- Ale nie dokładnie tam.
- Ale w pobliżu.
- Nigdy w tym właśnie miejscu - odparł Halders. - Znasz to miejsce, ja też je znam.

To prawda, pomyślał Winter. Znał tę część parku. Od czasu zamordowania Beatrice wracał tam regularnie. Stawał i przyglądał się ludziom mijającym to miejsce. Stał i patrzył na przechodzących ludzi. Halders robił kiedyś to samo. Kilka razy na siebie wpadli. Nie jesteś podejrzanym, szepnął mu kiedyś Halders.

Szukali twarzy, ruchu. Zachowania. Głosu. Jakiegoś przedmiotu. Paska. Smyczy.

Sprawca wraca na miejsce zbrodni. Każdy policjant to wie. Każdy. W jakiś sposób, przy jakiejś okazji, ale zawsze wraca. Po pięciu czy po dziesięciu latach. Żeby skończyć, co zaczął, albo żeby po prostu tam być, wdychać to powietrze i wspominać.

Wystarczyło tam być. Jeśli on, Winter, tam będzie, a sprawca pojawi się na ścieżce, to będzie wiedział. Naprawdę będzie wiedział, to nie będzie przypadek. Tu nie chodzi o szczęście. Żadnego ryzykowania. I właśnie w tej chwili, spoglądając na zdjęcie i na Haldersa, który miał plamę potu pod lewą pachą, właśnie w tej chwili pomyślał, że to się stanie. Że go spotka i że to będzie spotkanie jak z koszmaru, który wkracza w rzeczywistość.

- Ten skurwiel wrócił - powiedział Halders.  
Winter nie odpowiedział.
- Ten sam sposób działania. - Halders przejechał dłonią po swoich ściętych na jeża włosach. - To samo miejsce.
- Musimy jeszcze raz przesłuchać dziewczynę.
- Wróci do domu po południu.
- Pojedź tam.
- Dobra.
- A co z rodzicami?
- Załamani.
- Nie zachowują się dziwnie?
- Aneta przyglądała się im szczególnie uważnie, kiedy ja gadałem z dziewczyną. - Halders lekko mrugał lewym okiem, jakby miał tik. - Nie. Ojciec to nerwowy alkoholik, a takie coś raczej nie pomaga dojść do siebie. - Halders spojrzał na Wintera.
- On wrócił, Erik.
- Przejrzę akta.
- Z iloma gwałtami wtedy zdążył? Z trzema? Jedna ofiara zmarła?
- Mhm...
- Może przydałoby się teraz pogadać z dziewczynami.  
Winter nie odpowiedział. Halders wstał.
- Fredrik?
- Tak?
- Moje odczucia w związku z tą sprawą są identyczne jak twoje.
- Aha.
- Ja też nie mogę zapomnieć o Beatrice.
- Wiem.
- I to nie tylko dlatego, że nie wyjaśniliśmy tej sprawy.
- Rozumiem. - Halders usiadł z powrotem. - To tak jak ja. - Podrapał się po głowie. Winter zauważył, że pod drugą pachą też ma mokrą plamę. - Wszyscy się zorientowali. Gadają o



tym.

- Sprawdzę, jak to było przy tamtej sprawie - odparł Winter, wskazując na leżące na stole materiały.

- Będzie następna zbrodnia - powiedział Halders. - Podobna.

- Wyluzuj.

- Dobra, dobra. Kolejny gwałt.

Gdzieś ze wschodu dobiegł odgłos syren. Ktoś krzyknął pod oknem Wintera. Rozległ się warkot samochodu. Halders tarł głowę.

Ni z tego, ni z owego Winter podjął decyzję.

- Jedziemy tam. Teraz.

Wszyscy mieli na sobie szorty albo przewiewne spódnice. Było ponad trzydzieści stopni. Wydawało mu się, że w mieście jest wyjątkowo dużo ludzi. Przecież powinni leżeć nad morzem.

- Są wyprzedaże - powiedział Halders, wskazując na centrum handlowe. - Letnia wyprzedaż. Ceny jak marzenie. Sama przyjemność z zakupów.

Winter skinął głową.

- Sam bym tam wpadł.

- Ta.

- Ciebie takie sprawy nie obchodzą, ale dla mnie, rozwiedzonego ojca dwójki dzieci, wszystko jest drogie. -

Halders znowu spojrział na Wintera. - Ciężko się utrzymać.

Winter kolejny raz kiwnął głową.

- Nie żebym narzekał.

- Ile lat mają twoje dzieci? - zapytał Winter.

- Siedem i jedenaście - odparł Halders po chwili.

- Masz chłopaka i dziewczynkę, tak? - Winter jechał wzdłuż bulwaru. Byli sami na środkowym pasie. Nagle wszystkie samochody zniknęły. Zamrugał i znowu je zobaczył.

- Tak. Chłopak jest starszy.

- Dzielicie się opieką nad nimi?

Halders spojrział na niego.

- Mieszkają z Margaretą w tygodniu, u mnie co drugi weekend. - Popatrzył w dal, w stronę rzeki, a potem znowu na Wintera. - Czasami są u mnie częściej. Albo jeździmy gdzieś razem. To zależy. - Winter widział jego ściągnięty profil. - Zawsze się staram coś wymyślić.

Winter rzucił okiem we wsteczne lusterko i zatrzymał się na żółtym świetle. Przez ulicę przechodziła rodzina turystów: mapa, szeroko otwarte oczy, wygodne buty. Chłopiec, około dziesięcioletni, i siedmioletnia dziewczynka zmierzyli ich wzrokiem i poszli dalej, za rodzicami pchającymi wózek z dwójką maluchów.

- A jak u ciebie? - zapytał Halders. - Jak mała? Dużo krzyczy po nocach?

- W ogóle.

- Hannes miał kolkę.

- Aha.

- To było straszne. Czteromiesięczny horror.

- Słyszałem o tym - powiedział Winter.

Zabrzmiało to trochę jak usprawiedliwienie, pomyślał Halders. Jakby mu się upiekło.

- To był początek końca - dodał Halders. Chwilę potem dojechali.

To miejsce sprawiało tak samo przykre wrażenie jak zawsze. Wtedy, pięć lat temu, technicy przeczesali liście, trawę, ściółkę. Tak jak teraz. Wtedy Winter był niecierpliwym inspektorem. Halders też był inspektorem, ale nie aż tak niecierpliwym. Nie był jeszcze rozwiedziony. Codziennie wracał do pełnego życia domu.

Mimo wszystko tym razem nie doszło do morderstwa, pomyślał Winter. Minęły ich dwie kobiety z wózkami. Słońce chowało się za zielenią. Od strony sadzawki słychać było głosy bawiących się dzieci. Pięćdziesiąt metrów od miejsca zbrodni jakiś mężczyzna leżał wyciągnięty na trawie. Dokładnie w miejscu znalezienia zwłok. Choć właściwie nie

wiadomo jak to nazwać w przypadku ofiary gwałtu, pomyślał Winter. Mężczyzna wstał, zachwiał się, po czym usiadł z powrotem. Chwył papierową torebkę i napił się jak rasowy pijak: nie wyciągając z niej butelki.

- I żadnych świadków - powiedział Halders.

Winter spojrział na pijaka.

- Pomyśleliśmy o bezdomnych? - powiedział, raczej do siebie.

- Wtedy? Nie było tu żadnego.

- Teraz.

- To nie wiem - odparł Halders.

- Na pewno jacyś tu mieszkają. - Winter patrzył, jak mężczyzna kolejny raz próbuje się podnieść. Tym razem udało mu się przejść kilka kroków. - Zwłaszcza teraz, latem.

Halders podążył za jego wzrokiem, a potem wyciągnął komórkę.

Pięć minut później radiowóz wjechał między spacerujących. Halders wskazał pijaka. Szedł zwirowaną ścieżką, wciąż balansował jak na linie.

Potem zobaczyli, jak jacyś policjanci zgarniają go i pakują do radiowozu.

- Przesłuchamy go od razu? - zapytał Halders.

- Po południu - odparł Winter. Ruszył w stronę bloku skalnego, minął przejście między drzewami. To samo miejsce, ta sama grotka.

Gdy wrócił do domu, wieczór trwał w najlepsze. Na bulwarze było pełno ludzi. Spotkali się z Angelą na skrzyżowaniu. Elsa spała. Było po ósmej.

Wpadł do domu wcześniej, w ciągu dnia, po pierwszej, po wizycie w parku. Pobawił się trochę z Elsą na kocu, podmuchał jej w szyję za uchem.

Weszli w jedną z bocznych uliczek. Musieli chwilę poczekać, aż się zwolni stolik w ogródku. Winter od razu zamówił piwo dla siebie i wodę mineralną dla Angeli.

- Wyglądasz na zmęczonego, Erik.
- Dzięki.
- Do twarzy ci z tym.
- Wiem.

Napił się piwa i przetarł dłonią oczy, potem spojrzął na Elbę. Spała z przechyloną na bok głową. Strużka śliny ściekała na kocyk. Pochylił się i wytarł ślinę, tylko po to, żeby mieć pretekst, żeby ją pogłodzić jeszcze raz.

Spojrzał w górę i po drugiej stronie ulicy zobaczył Haldersa. Halders też spojrzął w jego stronę. Winter dał mu znak, żeby się do nich przyłączył, ale Halders pokręcił głową i rzucił okiem na zegarek. A potem zmienił zdanie i podszedł do nich. Przywitał się z Angellą, ściskając jej rękę, i spojrzął na śpiącą Elbę.

- Erik mi mówił o cudzie - powiedział.
  - Tak. Ja też mam nadzieję, że to będzie cud - odparła Angella.
  - Miałem na myśli to, że śpi tak smacznie. Od ósmej do ósmej.
  - Na razie - tak. Siadaj z nami, Fredrik.
- Halders kolejny raz spojrzął na zegarek.
- Obsługa zbiera zamówienia.
  - No dobra - powiedział. Usiadł i zawołał kelnerkę w czarnym fartuchu.

Trzy dziewczyny w wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat przeszły obok, uśmiechając się do Elsy. Posłały też uśmiech Winterowi i Angeli. Może i ja się załapałem przez przypadek, pomyślał Halders.

Ktoś włączył muzykę.

Chcę cię wziąć w ciemności, dziś wieczorem. Tęsknię. Lecę do przodu. Niech to się nigdy nie kończy.

- Stary kawałek - powiedział Halders. - Freestyle. Znowu modny, jak zresztą wiele innych rzeczy. - Napił się łąpczywie.
- To lato zapamiętamy na długo. Upał będzie trzymał jeszcze

we wrzeźniu.

- Jesteś prorokiem? - zapytała Angela z uśmiechem.
- Niestety - odpowiedział Halders, spoglądając na Wintera.
- Zasłużyliśmy na ciepło - stwierdziła Angela.

Halders znów spojrział na Wintera.

Wiedział, o co chodzi, jeszcze zanim się obudził i sięgnął po stojący na nocnym stoliku telefon. Tak jakby część snu rozgrywała się dalej w nocnej rzeczywistości, którą można dotknąć, poczuć. Jakby wiedział z wyprzedzeniem, co powie głos w słuchawce.

Jakby był prorokiem.

Słuchał, patrząc na Angelę. Widział też czubek głowy śpiącej w łóżeczku Elsy.

- Tak, tak - rzucił do słuchawki. - Tak.

Zadzwoił do Haldersa.

- Chcę, żebyś pojechał ze mną - powiedział.
- No myślę, kurwa - odparł Halders.

Winter jechał w świetle poranka, zabarwionego kolorami mleka i szpinaku. Tak właśnie wyglądał świt.

Spotkali się na parkingu. Halders sprawiał wrażenie bardzo spiętego, był jak lustrzane odbicie Wintera.

Na miejsce znalezienia zwłok trafiliby z zamkniętymi oczami. To musiało być tam, nigdzie indziej.

Teraz teren był oświetlony bladym światłem elektrycznym. Już niedługo miało je zastąpić światło poranka. Wszędzie kręcili się technicy. Było ich więcej niż zazwyczaj. Więcej było też umundurowanych policjantów i gapiów. Cóż, miejsce znalezienia zwłok w listopadzie o czwartej nad ranem to nie to samo co takie miejsce w lipcowy poranek, gdy na dworze jest ponad dwadzieścia stopni. Niektórzy jeszcze nie zdążyli wrócić do domów. Stali na obrzeżach parku. Winter podszedł do drzew i skały. W przejściu między nimi zobaczył nogi dziewczyny. Wyglądały jak dwa białe patyki. Potem dostrzegł resztę ciała, wszystko z wyjątkiem

głowy, którą nadal krył cień.

Mógł się zatrzymać, wrócić do swego ponurego biura na komisariacie i dopiero tam otworzyć teczkę, żeby przeczytać, co się stało. I tak wiedział. Gdy przeprowadzono sekcję i dostał dane, jakie się dało zebrać na tym etapie, wszystko się potwierdziło.

Ale teraz poranek jeszcze się nie skończył. Zobaczył lekarza, nowego patologa. Nie znał jeszcze jego imienia. Wyglądał młodo. Podszedł do Wintera, przywitał się i przekazał mu kilka wstępnych obserwacji.

Dziewczyna się udusiła. Ktoś ścisnął jej szyję tak mocno, że nie mogła oddychać. Z jej ciałem zrobiono też inne rzeczy, choć jeszcze nie wiadomo jakie.

Jej portfel znaleźli w torebce. Winter widział ją na ziemi, przy dłoni ofiary.

Wyciągnij rękę i złap torebkę, pomyślał. Dasz radę. Nadal możesz to zrobić.

Miała może osiemnaście, dziewiętnaście lat. Gdyby chciał, mógłby to sprawdzić, ale w tym momencie wołał niczego nie ruszać. Ona-miała- osiemnaście-lat. Na tyle wyglądała. Na tym trzeba poprzestać. Na tym się skończyło, na osiemnastu, maksymalnie dziewiętnastu latach. Nie będzie już miała dorosłego życia, rodziny, nie będzie karmić piersią i pchać dziecięcego wózka, nie dowie się, co to kolka i rozwód.

Halders stał obok niego. Powiedział coś cicho do jednego z techników. Gdzieś w pobliżu nietoperz wydał odgłos, który coś Winterowi przypominał. I nie chodziło o sytuację - ta nawet bez efektów dźwiękowych wyglądała wystarczająco znajomo. Szczelinę w skale rozświetliły latarki. Zobaczył twarz na ziemi. Wyglądała, jakby jakimś dziwnym sposobem nadal kryła się w cieniu.

Usłyszał w głowie melodię. *Chcę cię wziąć w ciemności, dziś wieczorem.* Słyszał ją w ogródku barowym tej nocy. Czy przechodziła tamtędy? Czy akurat tamtędy przechodziła ze

znajomymi? *Unoszę się, lecę do przodu. Niech to się nigdy nie kończy. Jeśli ja cię nie wezmę, zrobi to ktoś inny. Gdzieś daleko.*

#### 4

MIAŁA NA IMIĘ ANGELIKA. Dokumenty znaleźli w torebce. Ubranie było w nieładzie. Włosy miała ciemne, były w nich liście i kilka źdźbeł, jakby leżała z głową na poduszce z trawy. Jakby ktoś zrobił dla niej taką poduszkę. Ten obraz wciąż miał przed oczami, gdy przyszedł na obdukcję. Pia E:son Fröberg, lekarka sądowa, zajmowała się ciałem Angeliki. Część z tego, co robiła, znał już tak dobrze. Oświetlone ciało. Biały fartuch lekarski - także oświetlony przez jaskrawe lampy zwisające z sufitu. Gołe ciało. Żadnych oznak życia.

Wiedział, że ją uduszono. Zaciśnięto jej na szyi pętlę, której nie mogła rozluźnić ani zdjąć. Pia potwierdziła, że mogła to być smycz połączona z regulowaną obrozą, nie sznurowadło. Stało się to zaledwie parę godzin przed tym, jak dostali zgłoszenie. Co wtedy robił? Co robił w tym właśnie momencie?

Co ona robiła godzinę wcześniej? Co robiła Angelika Hansson?

Piła, może za dużo. Może trzymała kogoś za rękę.

Miała dziewiętnaście lat. Pomyślał o tym, co Halders mówił o Jeanette Bielke i jej zeznaniu. Ona też jest dziewiętnastolatką, miesiąc temu dostała się na studia. Dostała świadectwo kompetencji, tak się wyraził Halders. Jeanette Bielke miała przynajmniej w swoim pokoju studencką czapkę, odśpiewała studencki hymn [2]. [\[Podczas uroczystości zakończenia liceum absolwenci są symbolicznie przyjmowani w poczet studentów. Nie tylko otrzymują specjalne czapki, lecz także odśpiewują studencki hymn\]](#)

Czy Angelika też dostała czapkę? Czy знаła Jeanette? Czy miały wspólnych znajomych?

- Była w ciąży - powiedziała Pia E:son Fröberg, podchodząc do niego.

Winter w milczeniu pokiwał głową.

- Słyszysz, co mówię?

Znowu tylko skinął głową.

- Z roku na rok mówisz coraz mniej. Zdecydowanie.

Z każdą porą roku mówię mniej, pomyślał. Z każdą porą roku.

- Który miesiąc? - zapytał.

- Nie mogę tego określić dokładnie. Ale niewiele tygodni. - Znów spojrzała na ciało dziewczyny. - Zastanawiam się, czy ona wiedziała.

- Jesteś pewna tej ciąży?

- Nie mam co do tego wątpliwości.

Winter podszedł dwa kroki bliżej. Jeszcze nic o niej nie wiedzieli, mieli tylko to, co znaleźli w torebce, a ta była już u komisarza Beiera z wydziału technicznego.

Niedługo pojedzie do jej domu. Ma już adres.

Jej rodzice czekali w innym, oświetlonym równie jaskrawym światłem pokoju, zaledwie parę metrów dalej. Dwie twarze, blade i zszokowane.

Nie było z nimi jej chłopaka, nikogo, kto by na kogoś takiego wyglądał. Tylko rodzice. Byli może parę lat starsi od samego Wintera. Niektórym dzieci rodziły się, gdy mieli po dwadzieścia parę lat. Tak było z Angeliką. Ich córka była w ciąży. Wiedzieli?

- Co, do cholery? - Lars Olof Hansson, ojciec dziewczyny, zbladł. Obok stała jego żona, Anna, matka Angeliki. Oczy mieli zapadnięte, pełne żalu i zwątpienia. - O czym pan mówi, do cholery?

Winter powtórzył.

- Nie miała chłopaka od dwóch lat - powiedział ojciec.



Spojrzał na żonę. - Anna, słyszałaś o jakimś chłopaku?

Kobieta potrząsnęła głową.

- To nie może być prawda - powiedział, zwracając się do Wintera. - To niemożliwe.

- Nigdy nic mi o tym nie wspominała - dodała matka. Popatrzyła na Wintera, szerzej otwierając oczy. - Na pewno by mi powiedziała. - Zwróciła się do męża: - Rozmawialiśmy o wszystkim. Tak było, Lasse, przecież wiesz.

- Tak.

- O wszystkim - powtórzyła.

Nie wiedziała, pomyślał Winter. Wydaje mi się, że nie wiedziała. Pia nie przekazała mu jeszcze wszystkich szczegółów. Był jeszcze ktoś, kto nie wiedział. Nie musiał być jej chłopakiem, nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Może przypadkowy partner. Ilu takich miała? Spojrzał na rodziców. Pomyślał o tych wszystkich pytaniach, które musi zadać, teraz, w tej chwili, chyba najgorszej ze wszystkich. Najgorszej, a jednocześnie najlepszej - teraz, gdy wszystko jest jeszcze takie świeże. Wrócił myślami do ciała leżącego na metalowym stole w pokoju obok.

- Musimy wiedzieć wszystko o jej znajomych - powiedział. - Wszystko, co

sobie państwo przypomną. O wszystkich.

- Czy ta sprawa z ciążą łączy się jakoś z morderstwem? - zapytał ojciec dziewczyny, spoglądając ostro na Wintera.

- Nie wiem - odparł Winter.

- Inaczej tak by się pan o to nie dopytywał.

- Lasse! - krzyknęła jego żona.

- Co? - Hansson odwrócił się w jej stronę.

- On tylko robi, co do niego należy - powiedziała i nagle Winter stwierdził, że wstąpiły w nią nowe siły. - Przecież chcemy się dowiedzieć.

Robię, co do mnie należy, pomyślał Winter.

Siedzieli w pokoju Haldersa. Rzadko tu bywam, ciekawe

czemu, zastanawiał się Winter.

Ściany były puste, w pokoju nie było umywalki. Przy drzwiach zamocowano haczyk, ale nic na nim nie wisiało, żadna kurtka ani płaszcz. Okna wychodziły na stadion Ullevi. Arena kryła się w cieniu. Na ulicy nie było samochodów, nic nie jechało. Halders otworzył okno, ale nie było słyhać nic poza wentylatorami przenoszącymi powietrze z pokoju do pokoju.

- Liceum Gustava Schillera - powiedział Halders.

- Aha.

- W klasie było ich trzydzieścioro troje.

- No tak.

- Was też było tyle, kiedy chodziłeś do szkoły? - zapytał Halders, spoglądając na Wintera zza dwóch zasypanych papierami koszyków stojących na biurku.

- Kiedy chodziłem do liceum? Nie pamiętam. Pewnie ze dwadzieścia osób.

- Chodziłeś do szkoły prywatnej, co?

- Niestety.

- Za późno, żeby prosić o wybaczenie.

Winter się uśmiechnął.

- Szkoła Schillera - powtórzył Halders. - Klasa z rozszerzoną wiedzą o społeczeństwie. - Spojrzał na Wintera, a potem na papiery, które trzymał przed sobą. - Cóż, niewiele dostała w zamian od społeczeństwa. - Znów popatrzył na Wintera. - Bez pewnej wiedzy można się obejść.

- Musimy przesłuchać wszystkich z jej klasy - stwierdził Winter.

- Wielu jest za granicą.

- Zaczniemy od tych, którzy są w domu.

- Reszta też zacznie powoli wracać. Kiedy się skończy ta lab.

Winter czuł zapach wpadający do środka przez okno. Widział flagi powiewające na masztach stojących przed areną

stadionu. Słaby wiatr, który wiał już wcześniej, musiał zmienić kierunek.

- A gdzie chodziła ta dziewczyna z Långedrag? - zapytał Halders. - Jeanette Bielke.

- Do liceum Sigrid Rudebeck.

- To prywatna szkoła?

- Tak.

- To nie tam chodziłeś?

Winter skinął głową.

- W takim razie możesz się tym zająć.

- Ile osób miała w klasie?

- Dwadzieścia - odpowiedział Winter, wstając. Wrócił do siebie. Postanowił, że napije się wody, a potem zadzwoni do swojej szkoły. Może odbierze jego dawny wychowawca. Wtedy był całkiem młody. Czytał, że ostatnio został dyrektorem.

Chwycił za słuchawkę, ale się rozmyślił. Odłożył ją i wyciągnął rękę po jedną z teczek. Zaczął czytać. Analizował jeden z raportów, czegoś w nim szukał. Sam nie wiedział czego. Ale był pewien, że gdy na to trafi, będzie wiedział, że właśnie o to mu chodziło.

Halders kolejny raz pojechał do domu Jeanette Bielke. Uprzedził rodziców telefonicznie. Pojechał sam. Zaparkował i przeszedł przez żwirową ścieżkę. Jeanette siedziała na werandzie. Przez chwilę się zastanawiał, o czym może myśleć. Podniosła wzrok i zauważyła go. Wyglądała, jakby nagle zrobiło jej się niedobrze. Wszedł na werandę.

- Chodźmy gdzieś - zaproponował.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Chcesz pojechać na spacer? Na Saltholmen?

Wzruszyła ramionami. Irma Bielke wyszła na werandę i spojrzała na córkę.

- Jedziemy na spacer - powiedział Halders, ale kobieta zdawała się go nie słyszeć. Wszyscy są w szoku, pomyślał.

Mydlana bańka prysła. Rzeczywistość wdarła się nawet tutaj. Jeanette wsiadła do samochodu. Już zdążył się nagrzać na słońcu. Halders włączył silnik. Gdy zmieniał bieg, zbliżył rękę do jej lewego kolana. Dziewczyna gwałtownie się cofnęła, ale Halders udał, że nic się nie stało. Ruszył wzdłuż zjazdu i wyjechał na drogę.

- Masz tam swoje ulubione miejsce? - zapytał, gdy zbliżali się do połączonych mostami przybrzeżnych skał.

- Tak...

- Zatrzymamy się tam?

Wzruszyła ramionami.

Wszędzie było pełno samochodów. Halders zaparkował w niedozwolonym miejscu, przy kiosku z lodami. Za przednią szybę wetknął identyfikator. Mijało ich mnóstwo ludzi. Jedni szli w stronę przystani, inni wracali. Wrzeszczało jakieś dziecko ciągnięte przez rodziców.

Dwie dziewczyny w wieku Jeanette śmiały się z niej albo do niej.

- Musisz pokazać drogę. A może masz ochotę na loda?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Rozumiem, że za każdym razem, gdy wzruszasz ramionami, mówisz tak

- stwierdził Halders.

Uśmiechnęła się.

- Wanilia - powiedziała. - I toffi.

Kiedy wspinali się po skałach, lody zaczęły ściekać Haldersowi po palcach. Lizał tak szybko, jak mógł. Jeanette wzięła kubeczek zamiast wafelka.

Wspięli się na wierzchołek i zeszli drugą stroną. Przed nimi rozciągało się morze. Wszędzie widać było żagle. Wiatr niósł intensywny zapach rozgrzanej soli. Na brzegu było mniej ludzi, niż się spodziewał. Nikt nie zajął jej miejsca.

- To tutaj - powiedziała.

Usiedli.

Przez wąski przesmyk przypatrywała się wodzie. Po drugiej stronie nurkował jakiś chłopak.

- Byłam tu wtedy.

Halders skinął głową.

- To takie nierzeczywiste. - Spojrzała na niego. - Jakby to było w innym... czasie. W innym kraju, sama nie wiem. - Znowu popatrzyła na morze. - Jakby to się nigdy nie stało. Jakby to był sen, rozumie pan? - Spojrzała na Haldersa.

Co właściwie jest snem, a co jawą? - pomyślał.

- Nie potrafię już powiedzieć, co jest snem, a co jawą - powiedziała. - Chciałabym wiedzieć, co było czym. Czym było to, co się stało... ale nie potrafię. - Halders widział jej ściągniętą twarz, jej ból. Coś w niej zamknęło się na zawsze. Zgasła, pomyślał. Coś w niej zgasło. Mógłbym zabić tego skurwiela. Tak. Nie. To niczego nie zmieni. Społeczeństwo nie stanie się na powrót dobre.

- Więc nie znałaś Angeliki Hansson?

- Nie, mówiłam już.

- Może gdzieś ją spotkałaś?

- Przecież bym pamiętała.

Widziała już zdjęcia Angeliki. Halders miał jedno w kieszeni koszuli, ale nie wyciągnął go.

- Ona też świętowała ukończenie liceum - powiedział.

- I dlatego miałybyśmy się znać?

- A nie urządza się jakiejś wspólnej imprezy?

- Żartuje pan? Wie pan, ile osób kończy co roku liceum w Göteborgu?

- Nie.

- Ja też nie wiem. Ale na pewno za dużo, żeby dało się urządzić jedną wspólną imprezę. - Popatrzyła na niego. - Tak na marginesie: to się nazywa bal, bal maturalny.

A kolejny etap to audiencja u króla, pomyślał Halders.

Znowu ktoś zanurkował po drugiej stronie. Kilka osób przeszło po wznoszącej się nad nimi skale.

- Co zaszło między tobą i twoim chłopakiem?
- To nie ma nic wspólnego z tą sprawą.
- Mimo wszystko powiedz.
- A jeśli nie chcę?

Halders wzruszył ramionami. Teraz jego kolej.

Odprowadziła wzrokiem łódź przeciskającą się przez przesmyk w stronę morza. Mężczyzna stojący na pokładzie pomachał do niej, ale nie odpowiedziała.

- Po prostu zerwaliśmy.

Halders zauważył, że facet z łodzi cały czas macha, więc pomachał do niego, żeby zakończyć tę scenę.

- On oczywiście nie był z tego zadowolony?
- Nie rozumiem.
- Nie chciał się z tym pogodzić.
- Kto panu to powiedział?

Halders milczał.

- Proszę im nie wierzyć.

- Komu?

- Mamie i tacie, a komu? To oni to panu powiedzieli, tak? Pewnie powiedzieli, że była jakaś kłótnia albo coś w tym stylu, tak?

Halders zwlekał z odpowiedzią.

- Nigdy go nie lubili - dodała.

- Ale zerwaliście?

- Tak.

- Tak?

- Zerwaliśmy, do cholery. ZERWALIŚMY! - Spojrzała mu prosto w oczy. - Panu się to nigdy nie zdarzyło?

- Zdarzyło.

- I musiał pan tłumaczyć, jak to się stało? Dlaczego i gdzie? I to policjantowi?

- Nie.

- No właśnie.

- Wiesz, dlaczego pytam - odpowiedział. Czuł, jak słońce pali

go w łysinę na czubku głowy. Musi sobie skombinować czapczkę, zwykłą cienką czapczkę. Nie żadną kretyńską bejsbolówkę. - Parę razy przyszedł do was do domu i chciał wejść, tak?

- Może raz. Któregoś wieczoru.
- Trochę się awanturował i chciał z tobą rozmawiać.
- Był pijany.
- Dlaczego?
- O Boże.
- Dlaczego? - powtórzył Halders.

Westchnęła głośno.

- Było mu przykro - powiedziała.
- Bo zerwaliście?

Wzruszyła ramionami. To znaczy tak.

- Ale ty chciałaś zerwać?

Przytaknęła.

Jest coś, czego nie chce powiedzieć. Coś ważnego. Ale co?

- A on nie rozumiał, że ty tego chciałaś.
- Czy możemy już przestać mówić o Mattiasie? Czemu cały czas rozmawiamy o nim?
- Spotkałaś go... po tym?
- Po tym, jak zostałam zgwałcona?
- Tak.

- No to niech pan to powie. Zgwałcona. ZGWAŁCONA.

Halders zobaczył kobietę. Chwiejnym krokiem schodziła z wierzchołka skały nad nimi.

- Po tym, jak zostałam zgwałcona - powiedział.
- Nie. Nie spotkałam go. A pan?
- Nie.
- Może pan powinien. Przecież wciąż mnie pan o niego wypytuje.
- Spotkam się z nim. Jutro.
- Pudło. To nie był on, jeśli tak pan sądzi.

Winter czytał. Czy znowu się zaczęło? Od gwałtu na Jeanette Bielke? Czy Angelika Hansson była ciągiem dalszym? Czy będzie następna ofiara?

Wróciło dawne poczucie bezsilności. Spekulacje na temat już dokonanych przestępstw. Na temat tych, które dopiero czekały na swoją kolej. Czekały na swoją kolej.

Coś się jednak zmieniło. Był przekonany, że ten sam człowiek zgwałcił Jeanette Bielke i zamordował Angelikę Hansson. Czasami takie przekonanie jest ważniejsze od wiedzy, jest pomocą i wsparciem.

Kolejna zbrodnia czekała na swoją kolej. Przed sobą, na biurku, widział efekty tego, co się wydarzyło dotychczas. Zgromadził wszystkie stare materiały na temat Beatrice Wägner. Czuł się okropnie, kolejny raz stając twarzą w twarz z tą straszną sprawą. To było jak spotkanie w ciemności.

Doskonale pamiętał głos jej ojca, słyszał go najwyżej parę miesięcy temu. Przez lata utrzymywali kontakt. Winter sam nie wiedział, komu to miało pomóc.

Dopóki rozmawiam z kimś zaangażowanym w tę sprawę, śledztwo nie trafi do archiwum.

Teraz stoimy przed nową szansą.

Rozdzwonił się stojący na biurku telefon. Winter spojrzał na wyświetlacz. Matka. Dzwoniła prosto z Nueva Andalucia, leżącej w górach niedaleko Marbelli. Z białego domku z ogródkiem, w którym rosną trzy palmy. Z altaną, słońcem i cieniem. Był tam dwa lata temu, w poprzednim tysiącleciu, kiedy ojca chowano pod Sierra Blanca.

- Jak tam znosicie upały? - zapytała.

- A wy?

- W telewizji mówili, że w Skandynawii jest cieplej niż w południowej Hiszpanii.

- W takim razie ruch turystyczny skieruje się teraz w drugą stronę. Hiszpanie będą przyjeżdżać do nas, żeby zażyć



słońca.

- Mnie by to pasowało.

Winter usłyszał w słuchawce delikatny szcęk. Spojrzał na zegarek. Było po piątej. Pora na koktajl. Pora na małą przyjemność. Pora na porządnie schłodzone martini dry. Sam bym się napił, pomyślał.

- A co w ogóle porabiasz? - zapytał.

- Niewiele.

- Lotta mówiła, że chcesz, żebyśmy przyjechali we wrześniu.

Siostra powiedziała mu o tym wczoraj - rodzinny zjazd na Costa del Sol.

- Musicie wpaść. Muszę uściskać Elbę. I was wszystkich też oczywiście.

- Wystarczy nas odwiedzić.

- Ale dzieci tak lubią tu przyjeżdżać.

- Jakie dzieci? Ktoś poza Elbą?

- Jak to jakie? Dzieci Lotty.

- To już nastolatki.

- Ależ, Erik, nie bądź taki. - Znow usłyszał kostki lodu obijające się o szklanekę i pomyślał o wodzie, kąpeli i drinku.

- A jak się miewa Elba?

- Już mówi i potrafi stać.

- Dużo mówi?

- Gada całymi dniami.

- To wspaniale.

- Prawda?

- Daleko zajdzie.

- Na razie nigdzie się nie wybiera. Zrobiła sobie krótką przerwę w rozwoju.

Znow szcęk kostek lodu. Miły chłód rozchodzący się po ciele. Potrzebował drinka.

- Niedługo zacznie biegać po całym mieszkaniu.

Nie odpowiedział.

- Ale teraz już na poważnie musicie zacząć myśleć o kupieniu

domu.

- Tak.

- Choćby ze względu na Angelę. Chyba rozumiesz? Nie może ciągle tachać po schodach dziecka i wózka, i Bóg wie czego jeszcze.

- Mamy winę.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Oboje tachamy.

- Erik.

- Ale w mieście jest nam dobrze.

- Jesteś pewien, że Angeli też?

Milczał. To akurat nie stanowiło problemu. Przypomniał sobie o innych kłopotach. Bo były przecież inne.

Otworzyły się drzwi. Halders wszedł bez pukania.

- Mam gościa - powiedział Winter. Pożegnał się i odłożył słuchawkę.

## 5

CZOŁO HALDERSA BYŁO ZACZERWIENIONE w miejscu, w którym kiedyś zaczynały się włosy. Zamknął za sobą drzwi i przejechał dłonią po głowie.

- Rekord ciepła został pobity - powiedział, siadając naprzeciwko Wintera. Miał czerwone plamy nad uszami, które, odstając od głowy, nadawały jego zaciętej twarzy łagodniejszy charakter.

- Opalałeś się?

- Tak - odparł Halders, pocierając czoło. - Z Jeanette Bielke. W jej ulubionym miejscu na skałach. - Popatrzył na Wintera i podrapał się w lewe ucho. - Choć teraz to już chyba nie jest jej ulubione miejsce.

- Powiedziała coś?

- Rozmawialiśmy o jej chłopaku.

- I?

- Czy raczej o byłym chłopaku. Choć zdaje się, że do niego nie dociera, że jest byłym. Mattias Berg. Tak się nazywa.

- Wiem.

- On wcale nie chce z nią zrywać, chociaż ona postanowiła zerwać z nim.

- Typowe - stwierdził Winter.

Mnie też się to przytrafiło. Dawno temu. Ja też tak kiedyś stałem i waliłem w drzwi, których nikt nie chciał otworzyć. Wtedy myślałem, że to kwestia życia i śmierci.

- No tak, typowe - odparł Halders. - Ale chcę pogadać z chłopakiem.

- Jasne. - Winter wstał i podszedł do umywalki. Wziął z półki szklanke i napełnił ją wodą. - Chcesz?

- Tak, proszę.

Halders wyciągnął się nad biurkiem po szklanke. Zauważył leżący na blacie raport patologa dotyczący Angeliki Hansson.

- Właśnie go dostałem.

Halders pokiwał głową i napił się.

- Właściwie nie doszło do gwałtu - powiedział Winter.

- Tylko do zabójstwa.

- Próbował. Przynajmniej na to wygląda.

- Ale mu się nie udało.

Winter wzruszył ramionami.

- W takim razie czekamy jeszcze tylko na wyniki z Krajowego Laboratorium Kryminalistycznego - stwierdził Halders.

Krajowe Laboratorium Kryminalistyczne w Linköping, pomyślał Winter. Zdarzyło mu się już czekać na dowody od nich. Na analizy DNA, które nic nie dawały, i na takie, które okazywały się pomocne. Zawsze opłacało się czekać. Ta praca polega na czekaniu, a czekając, najtrudniej szukać nowych tropów. Chodzi o to, żeby nie uwierzyć, że tylko techniczne i chemiczne analizy rozwiązują wszystkie zagadki. Zdarzało mu się mieć w ręku wyniki badań technicznych, które

wyjaśniały, kto, jak i gdzie, ale nie dlaczego. A punktem wyjścia powinno być to ważne pytanie: dlaczego? Powinno być jak wspomnienie, którego nie da się wymazać.

- Ci z laboratorium mogą nam powiedzieć, czy to ten sam skurwiel. - Halders napił się jeszcze wody, po czym z westchnieniem przeniósł ciężar ciała z powrotem na krzesło.

- Myślisz, że to ten sam bydlak?

Skurwiel i bydlak, pomyślał Winter.

- Co masz na myśli?

- Czy ten sam zgwałcił obie dziewczyny.

- Tak.

Nie chciał w ogóle odpowiadać na to pytanie. To tak mu się wyrwało, jakby podświadomie pragnął, żeby już teraz, na początku śledztwa, mogli pójść jakimś tropem.

- I kolejne pytanie: czy ten sam bydlak zamordował Bea trice

- dodał Halders.

- Nie wiem.

- Pytałem, jak myślisz.

- Nie mogę ci odpowiedzieć już teraz - odparł Winter, sięgając po raport Pii E:son Fröberg. - Nie ma już wątpliwości co do tego, że Angelika Hansson była w ciąży. Prawdopodobnie w siódmym tygodniu.

- To chyba wcześniej. Siódmy tydzień.

- Wcześniej. Sama powinna się zorientować. W piątym.

- Jeśli w ogóle coś podejrzewała. - Halders wstał, poszedł do umywalki i napełnił szklanekę. Winter zauważył zaczerwienienie na jego karku.

- Rozmawiałem z Pią. Dziewczyna nie miała okresu po piątym tygodniu i jeśli była normalna, powinna była się domyślić.

- Niektóre wypierają takie sygnały.

- Chodzi ci o to, że skoro rodzice nie wiedzieli, to ona też nie wiedziała?

- Nie wiem, ale faktem jest, że nic nie powiedziała. Jeśli

wiedziała, to zachowała to dla siebie.

- Może niezupełnie.

- Chodzi ci o ojca dziecka?

Winter przytaknął.

Ojciec, pomyślał Halders. Pewnie jakiś błąd dziewiętnastoletni wyrostek, który nie ma pojęcia, co chce robić w życiu. Chyba że to o wiele gorszy typ i że to właśnie jego szukamy.

Winter też pomyślał o ojcu dziecka. Tyle osób mogliby wezwać na przesłuchanie: przyjaciół, znajomych, kolegów z klasy. Rodzinę. Krewnych. Świadców wszelkiego rodzaju. Taksjary, którzy kiedyś byli dobrymi świadkami, a teraz stali się do niczego: nic nie widzieli i nic nie słyszeli, a to dlatego, że tego akurat wieczoru nie powinni byli jechać tą drogą, tą ani żadną inną, ponieważ nie byli legalnie zatrudnieni. I tak dalej, i tak dalej.

- Może on nie wie - powiedział Winter. - Jeśli ona nie wiedziała, to on też nie. A może ona dopiero co się dowiedziała, ale mu nie powiedziała. I może tak miało być, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Aborcja.

Winter skinął głową.

- Ale on już na pewno wie, że ona nie żyje. Tego się nie da przed nikim ukryć. Musi wiedzieć.

- Jeśli jest w kraju.

- W takim razie zgłosi się, jak przyjedzie. O ile wcześniej nie poznamy jego nazwiska. - Halders spojrzał na Wintera. - Powinniśmy poznać nazwisko. I poznamy je.

- Tak.

- Jeśli sam się nie zgłosi, znajdzie się w kiepskim położeniu. Może w gorszym, niż nam się teraz wydaje.

W kieszeni Haldersa zadzwonił telefon. Winter spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta. Nagle poczuł, że ma dość tego miejsca, wszystkich tych hipotez na temat śmierci i

nienarodzonego życia. Zatęsknił za Angelą i Elsą, wieczorną kąpielą, życiem i nadzieją. Życie Angeliki Hansson było niczym pierwszy rozdział książki, a jej dziecko, które nie przyszło na świat, było...

- Coś przerywa - powiedział głośno Halders do telefonu. Wstał. Jego zmarszczone czoło przecięły białe linie. - Proszę powtórzyć.

Winter widział, jak wyraz jego twarzy się zmienia, w miarę jak dociera do niego to, co mówi głos w słuchawce.

- Co, do chole... - powiedział. - Co, do chole...

Zmarszczył się, jakby przestał kontrolować mięśnie twarzy. Wyglądało to bardzo dziwnie. Winter rozumiał, że to coś poważnego, coś, co nie dotyczy śledztwa.

- Tak, oczywiście - powiedział Halders. - Już tam jadę. - Rozłączył się i spojrzał na Wintera. Jego czerwona wcześniej twarz zrobiła się biała, niemal szara, jej wyraz znów się zmienił.

- Chodzi o moją byłą żonę - powiedział głosem, jakiego Winter nigdy wcześniej nie słyszał. Halders wciąż na niego patrzył. - Moja była żona. Mar... Margareta. Ktoś potrafił ją śmiertelnie na chodniku.

Przejechał dłonią po głowie i znowu podrapał się po zaczerwienionym czole. Wydawało się, że ostatnim razem zrobił to w innym czasie. Nic nie było już takie samo.

- Na pieprzonym chodniku, rozumiesz? Na chodniku przed sklepem w Lunden. To przecież niedaleko stąd. - Mięśnie jego twarzy znów drgnęły, jakby nie miał nad nimi kontroli.

- Co się stało? - zapytał Winter. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Przejechał ją - wyjaśnił Halders zmienionym głosem. - Jakiś pijany kierowca. - Halders przeniósł wzrok z Wintera za okno, na piękne popołudniowe słońce. - No bo kto?

- Czy to... pewne? Że ona... nie żyje? - zapytał Winter. - Kto dzwonił?

- Co? Co mówiłeś?
- Dokąd jedziemy? - Winter wstał.

Halders stał bez ruchu, z wykrzywioną twarzą. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić ani słowa. Potem spojrzął na Wintera przytomniejszym wzrokiem i wstał.

- Do szpitala Östra. Wychodzę.

- Ja prowadzę - powiedział Winter.

- Dam radę - rzucił Halders, ale Winter i tak wyszedł, wsiadł do windy i zjechał na parking. Halders bez słowa usiadł na siedzeniu pasażera. Winter ruszył.

Wiadomość przekazana w okrutny sposób, pomyślał Winter. Delikatnie mówiąc. Nie mogli powiedzieć, że jest ciężko ranna... kto właściwie z nim rozmawiał?

Raz słyszał zabawną historię na ten temat. Przypomniał ją sobie nagle, kiedy w samochodzie zrobiło się ciemno od cienia rzucanego przez wysokie domy stojące wzdłuż ulicy.

Historia o facecie, który wyjechał za granicę. Kiedy zadzwonił do domu, brat od razu mu powiedział, że jego kot zdechł. Facet zwrócił mu uwagę, że nie powinien przekazywać tak złych wiadomości wprost. Mogłeś powiedzieć, pouczył go, że kot wszedł na dach, przyjechała straż pożarna i policja. Robili, co w ich mocy, żeby go ściągnąć, i w końcu im się udało, ale kot się potknął, zeskoczył i upadł tak niefortunnie, że zabrano go do szpitala. Grupa lekarzy operowała go całą noc, ale w końcu musieli stwierdzić, że nie da się uratować mu życia. Tak się opowiada o tak tragicznych wydarzeniach. Trzeba je trochę złagodzić, powiedział. Brat odparł, że rozumie. Parę dni później facet zadzwonił znowu. Brat oznajmił, że stało się coś przykrego, i to dosłownie przed chwilą. Co? zapytał facet. Mama weszła na dach, odparł brat.

Winter się nie roześmiał. Halders siedział bez słowa. Jechali autostradą, na rondzie skręcili w stronę szpitala. Winter czuł, jak pot spływa mu po krzyżu. Ruch był znaczny, na drogach

było mnóstwo urlopowiczów. Wracali po dniu spędzonym na dużych wyspach na północy lub nad jeziorami na wschodzie.

- Dzieci jeszcze o niczym nie wiedzą - powiedział Halders.

Czekając na ciąg dalszy, Winter wjechał na przyszpitalny parking, pokryty długimi ostrymi cieniami.

Nie wiedział prawie nic o rodzinie Haldersa. Tylko tyle że jego kolega jest od kilku lat rozwiedziony i ma dwoje dzieci.

- Mam dwoje dzieci - powiedział Halders.

- Wiem.

Rozmawiali już o tym, ale Halders zapomniał.

- Są teraz w szkole, DO CHOLERY! - krzyknął nagle.

Winter zaparkował. Halders wysiadł, zanim samochód się zatrzymał. Ruszył truchtem w stronę jednego z budynków.

Dla Wintera był obcym człowiekiem, a jednocześnie członkiem rodziny.

Właśnie tak, pomyślał, patrząc za Haldersem, który szybko przemierzył skąpany w słońcu asfaltowy plac i w końcu zniknął w zacienionym wejściu do izby przyjęć. W jednej chwili stał mu się bardziej obcy, ale i bliższy. Kolejny raz poczuł, że wszystko to jest tak nierzeczywiste, jakby to był sen. Halders zniknął mu z oczu i nie wiedział, co zrobić.

Był tu całkiem niedawno, przyjechał za samochodem, który przywiózł z Halders stał przy łóżku. Twarz Margarety wyglądała tak, jak ją zapamiętał, jak wtedy, kiedy się ostatnio spotkali.

Zaledwie trzy dni wcześniej. W niedzielę. Wrócił z Hannesem i Magdą z Burger Kinga, a Margareta z uśmiechem otworzyła im drzwi. Powiedziała coś, on odpowiedział, ale nie wszedł do środka. Tym razem nie. Nie dlatego, że byli wrogami. Chodziło o to, co było kiedyś. A kiedyś był idiotą. To znaczy nadal nim był, ale już inaczej.

Nie widział reszty ciała, przykrywała ją biała pościel. Zresztą nie chciał jej widzieć. Myśląc o Margarecie, pomyślał jednocześnie o Hannesie i Magdzie. Przypomniały mu się też



zamordowane dziewczyny. To wystarczyło - zaczął lecieć w dół. Stracił równowagę, odzyskał ją, złapał się poręczy łóżka i zbliżył twarz do twarzy Margaretę. Wiedział, że ta chwila będzie ostatnią, więc chciał ją zatrzymać.

Teraz to mnie się to przytrafiło. Naprawdę. Teraz nie wnikam w cudze nieszczęścia. To moja własna tragedia.

Pogładził Margaretę po policzku.

W pamięci miał ich pierwszy raz.

Co za przekłeta myśl.

Ona miała dziewiętnaście, nie... tak, dziewiętnaście lat. Była w wieku dziewczyn, o których pół godziny wcześniej rozmawiał z Winterem.

On miał dwadzieścia dwa, wkrótce miał zostać pełnoprawnym gliną.

Znowu ją pogłaskał.

Rozwód nic nie znaczył. Nie w tej kwestii. W tej kwestii między ich pierwszym razem a obecną chwilą nic się nie wydarzyło.

Ktoś coś powiedział. Nie słuchał, wciąż klęczał przy poręczy, miał zamiar długo tak klęczeć.

Poczuł czyjś dotyk na ramieniu, podniósł wzrok i zobaczył Wintera.

Gdy Winter wrócił wieczorem do domu, wciąż było jasno jak w dzień. Światło wpadało przez okna. W holu pachniało jedzeniem, ale już nie chciało mu się jeść. Kilka godzin wcześniej zadzwonił do Angeli.

Podszedł do Elsy. Przez chwilę się zastanawiał, czyby jej nie obudzić, ale zadowolił się słuchaniem jej i wdychaniem jej zapachu.

Angela czekała w kuchni z odrobiną wina.

- Napiję się whisky - powiedział, podchodząc do barku. Wyciągnął jedną z butelek i nalał kilka centymetrów płynu do grubo rznętej szklanki. Żadnych delikatnych szklaneczek do malt whisky, nie teraz.

- Oj...
- Jeśli nie dam rady, możesz wypić resztę.
- To, że przestałam karmić, nie znaczy, że od razu muszę wpaść w alkoholizm.

- Na zdrowie - powiedział i napił się.

Angela też podniosła kieliszek.

- Jesteś głodny?

Winter pokręcił głową. Czuł, jak alkohol rozchodzi mu się po ciele. Usiadł przy stole i spojrzał na Angelę. Miała lekko zaczerwienione policzki. W kuchni było ciepło.

- Jak się czuje Fredrik? - zapytała.

Winter machnął ręką. Halders wciąż jest z nami. Nie załamała się całkowicie.

- A co z dziećmi?

- Co masz na myśli?

- To, o co zapytałam. Co z dziećmi?

- Zapytałaś: co z dziećmi. To chyba jasne. Są z Haldersem.

Angela się nie odezwała.

- Myślisz, że sobie nie poradzi?

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Trochę tak to zabrzmiało.

Angela milczała. Winter napił się jeszcze.

- Są w domu, w Lunden. Halders stwierdził, że tak będzie najlepiej, przynajmniej na razie.

- Też tak myślę.

- Był... nie wiem, jak to określić... zdruzgotany. Kiedy jechaliśmy ze szpitala do nich, do szkoły.

Angela wzięła mały łyk wina. Zamknęła oczy i pomyślała o dzieciach.

- To było straszne - powiedział Winter. - Okropne przeżycie.

W szkole, dopóki nie przyjechaliśmy, był przy nich nauczyciel. - Wypił kolejny łyk. Czuł już tylko posmak alkoholu. - To się stało, zanim skończyli lekcje, więc... no tak, byli jeszcze w szkole.

- Odwiozłeś ich do domu?
  - Tak. - Winter spojrzął na zegarek. - Trwało to kilka godzin.
  - Jasne. - Wstała, podeszła do kuchenki i wyłączyła okap. Zapadła inna, nowa cisza. Winter słyszał odgłosy dobiegające z podwórka. Szkło. Głosy. - Ale chyba nie są tam sami?
  - Jest z nimi Hanne - odparł. Zadzwoił do Hanne Östergaard, pastor współpracującej z policją. Potrafiła rozmawiać. Ukoić chyba też. Sam nie wiedział. Tak, ukoić. - Halders nie zaprotestował, kiedy to zaproponowałem. - Znowu usłyszał głosy. Tym razem rozbrzmiewały głośniejsze, ale nie mógł rozróżnić słów. - Myślę, że Hanne zadzwoni po psychologa. Przynajmniej coś o tym wspominała.
  - To dobrze.
  - Przyjechała też Aneta.
  - Aneta? Aneta Djanali?
  - Tak.
  - Dlaczego ona?
  - Halders po nią zadzwonił. Przyjechała natychmiast.
  - Dużo ze sobą pracują?
  - Właściwie tyle co z innymi.
  - Czy oni się przypadkiem ze sobą nie kłócili?
  - Skąd ci to przyszło do głowy?
  - Daj spokój. Przecież trochę ich znamy. Sam kiedyś o tym wspominałeś.
  - Eee... to tylko takie gadanie. - Podniósł szklanekę i z zaskoczeniem stwierdził, że jest pusta. Wstał i podszedł do butelki. - On naprawdę jej teraz potrzebuje. - Nalał. Półtora centymetra. - Nie powinien teraz być sam. Z dziećmi.
  - Nie ma krewnych?
  - Nie, przynajmniej nie w mieście.
- Gdy wrócił i usiadł, Angela wyglądała przez okno. Zapadał już zmrok, jasna smuga światła wisiała nad dachami. Usłyszała głosy i szcęk szkła dobiegający zza okna.
- Nie mogę przestać myśleć o tych dzieciach - powiedziała,

odwracając się do Wintera. - Były załamane?

- Nie, przynajmniej nie było tego po nich widać. Były bardzo ciche. To pewnie szok.

Ktoś na dole głośno się roześmiał, inni poszli w jego ślady. Winter się podniósł i podszedł do okna. Cztery piętra niżej jacyś ludzie miło spędzali letni wieczór. Zamknął okno, ale wciąż przy nim stał.

Co teraz będzie? Potrzebował Haldersa, ale gdyby postanowił zostać w domu, nie wahałby się ani chwili. Decyzja należy do Haldersa. Nie powinien na niego naciskać.

Przecież przede wszystkim jesteśmy ludźmi.

Wrócił do Angeli i whisky.

## 6

W POKOJU BYŁO GORĄCO, panowała letnia duchota. Na zewnątrz nie drgnął nawet jeden listek, nie było wiatru, który mógłby wpaść do pokoju i wywiać z niego klejące się do skóry powietrze.

Winter spojrzął na piętrzące się przed nim teczki, dokumenty i zdjęcia.

Były wśród nich raporty dopiero co wydrukowane przez Möllerströma z dysku twardego, ale większość dotyczyła przeszłości, lata sprzed pięciu lat. Beatrice Wägner. Papiery dokumentujące jej nagłą śmierć czuć było kurzem i suchym mrokiem. Bił od nich pozorny spokój, tak sugestywny, że mało brakowało, żeby

Winter odłożył na bok tę starą biblię mordu i sięgnął po nową, dopiero co rozpoczętą księgę - tę o Angelice Hansson.

Bibliami mordu nazywali raporty o śmierci zebrane w straszną księgę, którą wciąż czytało się od początku. Bez wytchnienia.

Winter zamówił teczkę z wycinkami prasowymi. Gdy do niej zajrzał, miał wrażenie, że wycinki mają po sto lat.

Wstał i podszedł do okna. Zapalił corpsa. Po grzebaniu w starych dokumentach cygaretką miała czysty, lekki smak. Trzecia tego ranka. Palił dwadzieścia dziennie, czasem więcej. Każda kolejna miała być ostatnią. W domu zaczął obowiązywać zakaz palenia, co mu zresztą służyło. Do tego mieli wycofać markę Corps Diplomatique. Ostrzegł go sprzedawca tytoniu. Każde opakowanie mogło być ostatnim, ale Winter nie był fanem robienia zapasów. Kiedy już nie będzie corpsów, po prostu rzuci palenie.

Zaciągnął się i zapatrzył na ruch po drugiej stronie rzeki. Tramwaj, autobus, samochód, znowu tramwaj, piesi. Wszystko skąpane w słońcu, któremu teraz, tuż przed porą lunchu, nie towarzyszyły żadne cienie.

Kiedy nie będzie już corpsów, rzucę, powtórzył w myślach. Ha!

Wrócił do biurka. Postanowił przestudiować akta sprawy Beatrice Wägner od początku, przeanalizować wszystkie zeznania i raporty. Jeśli było wśród nich coś, co mogło im się teraz przydać, powinien to znaleźć. Spróbuje to znaleźć. Nie. Po prostu to znajdzie.

Beatrice Wägner mieszkała z rodzicami w willi w Påvelund, w zachodniej części miasta. Niewiele ponad kilometr na południe od Önnared, gdzie mieszkała Angelika Hansson, pomyślał. W prostej linii na południe.

Znowu się podniósł i podszedł do mapy miasta wiszącej na południowej ścianie pokoju. Prześledził palcem drogę od miejsca zamieszkania Angeliki na północ, przez dom Beatrice, do domu Jeanette. Linia prosta. Było to dość niezwykle, ale niekoniecznie musiało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Prawdopodobnie nie miało.

Wciąż stał przy mapie. Beatrice Wägner chodziła do liceum Frölunda. Podobnie jak Angelika i Jeanette świętowała ukończenie szkoły. Ona też chodziła do klasy z rozszerzoną wiedzą o społeczeństwie. Została w mieście, kiedy większość

jej rówieśników gdzieś wyjechała. Nie przypominał sobie, czy gdzieś pracowała w wakacje. Jeanette nie pracowała, Angelika pracowała w hurtowni.

Trzy dziewczyny, wszystkie miały po dziewiętnaście lat. Dopiero co skończyły liceum. Dwie zginęły w te wakacje, trzecia pięć lat temu. Trzy różne szkoły. Jeanette twierdzi, że nie знаła Angeliki. Czy znała Beatrice? Musi ją o to zapytać. To niewykлучzone. Mieszkały niedaleko siebie, na willowych przedmieściach w pobliżu morza.

Czy zawsze tak było? Czy chodziły razem do podstawówki? Spokojnie, Erik. Teraz nie ma czasu, żeby odpowiadać na wszystkie pytania.

Czy Beatrice i Angelika się znały? To powinno się znaleźć w raporcie.

Trzy dziewczyny. Jedna żyje, dwie zginęły.

Stał przed mapą. Gdyby wszystkie swoje pytania miał zmieścić w jednym wielkim Pytaniu, brzmiałoby ono: Czy spotkały tego samego zabójcę? Tego samego skurwiela, jak wyraził się w tym pokoju Halders? Czy Jeanette też go spotkała?

Winter siedział przy biurku. Palił i czytał. Śledził ostatnią godzinę czy też godziny życia Beatrice. Była w mieście ze znajomymi. Czy cały czas? To nie było do końca jasne. Tuż po pierwszej w nocy się rozdzielili. Właśnie zaczęła się niedziela. Doszli razem, całą piątką, do sklepu nocnego, pięćset metrów od parku. Tam, w środku albo przed sklepem, stało się coś, co sprawiło, że Beatrice odłączyła się od grupy.

Winter czytał protokoły z zeznań świadków. Słowa sprawiały wrażenie lekko chaotycznych, jakby pamięć tych młodych ludzi nie funkcjonowała całkiem prawidłowo. Winter wiedział dlaczego, widział to już setki razy. Po prostu byli pijani albo podchmieleni, każdy w innym stopniu, a w tamtej chwili alkohol zaczął wyparowywać z ich głów, poczuli się zmęczeni, mieli przytępione zmysły.

W takim stanie wszyscy są poirytowani i zdenerwowani. Właśnie to się stało przed sklepem. Beatrice się wściekła i poszła sobie. Tak, pamiętali, że była o coś zła, ale nikt nie mógł sobie przypomnieć o co. Może chciała zapalić w sklepie. Może wtedy, podpita, nienawidziła całego świata.

W jej krwi wykryto alkohol, ale niezbyt dużo. Więc może chodziło o coś innego.

Poszła w stronę parku. Cała grupa widziała, jak odchodzi. Pozwolili jej. Przecież zaraz wróci, myśleli.

Weszli do sklepu, ale kiedy znowu znaleźli się na zewnątrz, Beatrice nie było. Wołali ją, poszli w stronę parku i znowu wołali.

Zawrócili. Na pewno się znajdzie. Pewnie jest po drugiej stronie parku. Wsiadła do nocnego autobusu. Pewnie już czeka u Liny. Czeka u mnie, powiedziała Lina, wtedy, w nocy, pięć lat temu. Potem przyjechał autobus, więc... cóż, wsiedli i cały czas wyglądali na drogę biegnącą wzdłuż parku, ale nie zobaczyli Beatrice, co znaczyło, że na pewno czeka na nich u Liny.

Nie czekała. Cały czas była tam, między drzewami. Chyba. Na pewno była tam w niedzielę kwadrans przed południem. Leżała wśród zieleni, w cieniu skały, zamordowana i naga. Słońce stało już wysoko, tak jak teraz.

Ubrania leżały obok, złożone na kupkę. Winter przeczytał, co tamtego wieczoru miała na sobie i co z niej ściągnął morderca. Wszystko było wymienione w raporcie. Ale to nie tego szukał. Chodziło mu o to, czego brakowało. Czasem nie mogli znaleźć czegoś, co ofiara miała przy sobie, ale co zabrał sprawca.

W tym przypadku był to pasek.

Natrafiał na ten szczegół w zeznaniach jej przyjaciół. Potem potwierdził to protokół z rozmowy z rodzicami.

Beatrice miała skórzany pasek, ale nie było go w stercie ubrań niedbale rzuconej obok ciała.

To właśnie nim sprawca mógł ją udusić. Nie byli tego pewni na sto procent, bo go nie znaleźli.

Winter wziął drugą biblię mordy, tę o Angelice. Pochylił się nad spisem części jej garderoby. Bluzka, szorty, skarpetki, majtki, stanik. Gumka do włosów. Reeboki do koszykówki. Żadnego paska. Nie potrzebowała go do szortów?

Czy ktoś pytał o jej strój? Nie widział żadnego zapisu o pasku. Przeczytał orzeczenie Pii E:son Fröberg: mogła zostać uduszona skórzanym paskiem.

Sięgnął po telefon i wybrał bezpośredni numer Görana Beiera z wydziału technicznego. Nikt się nie zgłaszał. Zadzwoił do głównego laboratorium.

Pełniący obowiązki szefa wydziału odebrał po dwóch sygnałach.

- Cześć, tu Erik. Chciałbym ci zająć chwilę.

- Nie ma sprawy.

- Siedzę właśnie nad aktami sprawy Wägner. Beatrice.

- I?

- Pracowałeś u nas wtedy?

- Beatrice Wägner? Tak. To było jakieś... cztery lata temu?

Może pięć?

- Pięć. Równy pięć, tak na marginesie.

- O takich sprawach się nie zapomina.

- Nie.

- Zrobiliśmy, co mogliśmy.

Winter miał wrażenie, że w słowach Beiera kryje się jakaś aluzja.

- Ja się nie poddałem.

Beier nie odpowiedział.

- Dlatego dzwonię. To może mieć coś wspólnego z tą sprawą.

- Tak?

- Pamiętasz, że Beatrice miała pasek, który zawsze nosiła, a który zginął po zabójstwie?

- Jasne.



- Przypominasz sobie?
- Przecież mówię, że tak. Ktoś z jej znajomych wspomniał o tym jeszcze tego wieczoru, kiedy zniknęła. Czytałem o tym w dokumentacji śledztwa wstępnego. - Przerwał na chwilę. - Kiedy się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że to ty podpisałeś tamten raport. Taką dobrą mam pamięć.
- Mam go teraz przed sobą - odparł Winter, dotykając dokumentu. Widniał na nim jego własny podpis: inspektor Erik Winter.
- To było, zanim ty i ja zostaliśmy komisarzami. Winter nie odpowiedział.
- To Birgersson prowadził śledztwo, tak?
- Tak.
- Pamiętam, że rozmawialiśmy wtedy o tym pasku - zauważył Beier.
- I do czego doszliśmy?
- Do niczego poza tym, że mógł posłużyć za narzędzie zbrodni. Ale nigdy go nie odnaleźliśmy.
- A teraz chodzi o Angelikę Hansson.
- Słyszałem od Haldersa, że dostrzegacie pewien związek.
- Może i taki związek istnieje.
- Równie dobrze może go nie być.
- Wtedy też sprawca mógł użyć paska. Beier zamilkł. Winter czekał.
- Wiem, o co ci chodzi - powiedział Beier po chwili.
- Da się sprawdzić, czy Angelika Hansson nosiła pasek do tych szortów, które miała na sobie tamtego wieczoru?
- Przecież już to potwierdziliśmy.
- O czym ty mówisz?
- Nie czytasz raportów, czy jak? Jaki sens ma w takim razie...
- Kiedy mi je wysłałeś?
- Wczoraj. Wys... poczekaj, ktoś chce mi coś powiedzieć. - Winter usłyszał, jak Beier z kimś rozmawia. Potem znów usłyszał jego głos. - Przepraszam, Erik, ale Pelle właśnie mi

powiedział, że nie wysłał ci jeszcze tych raportów. Chciał spraw...

- Dobra, nieważne. Ale miała pasek?

- Tak, spodnie miała przewiązane paskiem. Chodzi dokładnie o te szorty, które leżały na stosie obok ciała. Tyle wiemy. To pewne.

- Ale w spisie rzeczy leżących na tym stosie nie ma paska.

- Nie, bo go tam nie było.

- Czyli zabrał go ze sobą - powiedział Winter, właściwie sam do siebie.

Beier się nie odezwał.

- W takim razie Angelika Hansson mogła zostać uduszona własnym paskiem.

- To możliwe.

- Tak jak Beatrice Wägner.

- Wiem, do czego zmierzasz, ale nie nakręcaj się.

- Nie nakręcam się, jestem spokojny.

Był spokojny jeszcze przez godzinę. Słońce nadal przesuwało się po wciąż bezchmurnym niebie. W pokoju wciąż unosił się dym. Nadal rozmyślał o godzinach, a potem dniach po zabójstwie Beatrice Wägner.

Świadkowie widzieli samochody odjeżdżające z miejsca zdarzenia. Jeden jechał szybko - tak zeznała jakaś kobieta, ale Winter wiedział, że mogła to sobie dopowiedzieć po faktie, żeby w jej zeznaniu było więcej emocji, żeby dzięki niej śledztwo ruszyło do przodu. W większości przypadków przynosiło to jednak odwrotny skutek.

Wtedy, tak jak teraz, problemem okazało się lato: mniej ludzi niż zazwyczaj było w domach. Zaczął czytać jednocześnie różne wycinki. Uśmiechnął się, kiedy w gazecie sprzed niemal pięciu lat znalazł wypowiedź Sturego Birgerssona: „W przypadku zabójstw dla policji problemem jest okres urlopowy”, powiedział.

Birgersson był jego szefem, szefem wydziału śledczego.

Siedział w swoim gabinecie. Po południu się do niego wybierał.

Pięć lat wcześniej wizyty w domach stojących wokół parku przyniosły równie marne rezultaty.

Winter czytał raporty z nocy zabójstwa Beatrice Wägner. Jego uwagę przykuł pewien szczegół: dwaj świadkowie, niezależnie od siebie, zauważyli mężczyznę i chłopca, którzy wczesnym rankiem przez ponad godzinę pakowali coś do samochodu. Miało to miejsce przed jednym z trzypiętrowych domów stojących jakieś sto metrów na północ od parku. Świadkowie zauważyli tę parę niemal jednocześnie, każdy z innej strony.

Może mężczyzna i chłopiec też coś widzieli albo słyszeli, ale prowadzącym śledztwo nigdy nie było dane się o tym dowiedzieć, ponieważ tamci nigdy się nie zgłosili. Policja opublikowała ogłoszenie, ale nikt na nie nie odpowiedział.

Kolejne wizyty w domach stojących wokół parku też nic nie dały. W domu odpowiadającym opisowi po prostu nie było mężczyzny i chłopca. Winter przypomniał sobie, że Birgersson sprawdził to u właściciela domu.

Nagle zadzwonił stojący na biurku telefon. Winter odebrał, usłyszał głos Birgerssona.

- Erik, czy możemy się spotkać trochę wcześniej? O szesnastej wyskoczyło mi coś innego.

- Dobrze.

- Możesz wpaść teraz?

- Za kwadrans. Chcę cię zapytać o parę spraw, ale najpierw muszę jeszcze trochę poczytać.

Kiedy Winter zadawał Birgerssonowi pierwsze pytanie, ten stał przy oknie i palił papierosa. Przez krótko obcięte siwe włosy prześwitywała rozświetlana przez promienie słońca skóra. W przyszłym roku skończy sześćdziesiąt lat. On czterdzieści dwa. Ale Birgersson był dla niego raczej jak ojciec niż jak starszy brat.

- Nie wiem, co z tego wynikło - odpowiedział Birgersson, strząsając popiół na dłoń. - Ale naprawdę się staraliśmy znaleźć tę parę, ojca i syna, czy kim tam byli. - Spojrzał na Wintera. - Przecież byłeś przy tym.

- Czytając o tym teraz, przypomniałem sobie, że wtedy byłem wściekły.

- Ja też się uczepiłem tego wątku. - Szczupła twarz Birgerssona drgnęła. - Ale to było oczywiste. Nie mieliśmy zbyt wielu tropów, a ten wydawał się ważniejszy, niż był w rzeczywistości.

- Często myślisz o sprawie Beatrice? - zapytał Winter. Siedział na krześle przy biurku stojącym na środku pokoju.

- Codziennie, nie częściej.

- Ze mną było trochę inaczej. Nie myślałem o niej codziennie, aż do teraz.

- Erik, ty wciąż jesteś młody, ale ja ryzykuję, że odejdę na emeryturę z nierozwiązaną sprawą na koncie. Nie chciałbym tego. - Zaciągnął się, ale w świetle padającym z okna nie było widać dymu. - Nie chciałbym tego - powtórzył i wyrzwał przez okno, a potem znów spojrzał na Wintera. - Nie wiem, czy to, co się dzieje teraz, to skutek jakiegoś pokrętnego myślenia życzeniowego, ale mam nadzieję, że on wrócił. Że to się nigdy nie skończyło.

Winter nie odpowiedział.

- Teraz, gdy w mieście zjawił się potwór, mam nadzieję, że to ten sam potwór.

- Dla mnie najważniejsze jest to, żebyśmy go złapali.

- To może być on.

- Tak.

- I może ci to pomóc w śledztwie.

- Dlatego siedzę nad biblią Beatrice.

- Pasek - powiedział Birgersson. - Kluczem jest pasek.

- Możliwe. Sam o tym niedawno pomyślałem.

- Czy ta dziewczyna, Bielke, miała pasek?

- To właśnie jedna z tych rzeczy, które chciałem sprawdzić przed spotkaniem z tobą. - Winter zapalił kolejną cygaretkę. Podniósł się i dołączył do stojącego pod oknem Birgerssona.
- Nie miała. Nigdy nie nosi paska.
- Może to ją ocaliło - powiedział Birgersson, patrząc mu w oczy. - A co ty o tym sądzisz, Erik? Może nie była dla niego szczególnie interesującą ofiarą, skoro nie miała na sobie paska, którym mógłby ją udusić i który mógłby zabrać do domu? Jako trofeum?

7

COŚ JĄ UKŁUŁO W PRAWĄ STOPE, pod palcami. Stąpała ostrożnie, ale dno pokrywała gruba warstwa wodorostów. Przypominały poruszaną przez fale wysoką trawę. Brązową i obrzydliwą jak zgniłe kwiaty.

Przystanąła na skrawku piachu. Balansując na jednej nodze, podniosła prawą stopę i zobaczyła, że leci z niej krew. Tylko trochę. Kolejne skaleczenie tego lata. Zawsze tak jest.

- Anne!

Znowu ją wołali. Ktoś podniósł butelkę, ale widziała tylko ciemną sylwetkę na tle słońca. Zaczynało się już zniżać, ale wciąż tkwiło wysoko nad horyzontem. Może to Andy. Dla niego impreza zaczęła się, jak tylko tu przyszli, a właściwie już w mieście, w tramwaju.

- Anne! Paaaarty!

Teraz go rozpoznała. W dłoni miał butelkę, na twarzy szeroki uśmiech. Party. Kolejne party, czemu nie? Zasłużyła na to. Trzy lata w Burgården. Po czymś takim każdemu należy się impreza.

Należała jej się z jeszcze jednego powodu.

Ale teraz nie chciała o tym myśleć.

- Anne!

Wspięła się na skały przy brzegu, przytrzymała się

kamieni. Znowu poczuła ukłucie w stopie.

Gdy była na górze, spojrzała na nogę. Półmetrowy wodorost owinał się jej wokół łydki. Zdjęła go. Był oślizgły.

- Nadchodzi mała syrenka - powiedział Andy.

- Nalej mi kieliszek.

- Widziałas kiedyś piękniejszy wieczór?

- Dawaj kieliszek.

Fredrik Halders przysiadł na sofie. Nie pamiętał, żeby tu stała, gdy był tutaj ostatnio. Rozejrzył się, jakby tu nigdy nie był. Dom wyglądał bardziej obco niż kiedykolwiek.

Tuż po rozwodzie wszystko zaczęło się wydawać nierzeczywiste. Jakby to był sen. Wszystko wyglądało znajomo, ale niczego nie rozpoznawał. Nie rozróżniał przedmiotów. Stał na uboczu. Takie miał wrażenie. Po rozwodzie musiał stanąć obok własnego życia, które później wcale nie zaczęło wyglądać lepiej.

Może to dlatego, że przez ostatnie lata był taki ZŁY. Wściekły. Budził się wściekły, wściekły szedł spać, a w międzyczasie robił się jeszcze bardziej wściekły. Można by powiedzieć, że życie sprawiało mu ból.

Ale to było bez znaczenia.

W porównaniu z tym było niczym.

Hannes i Magda spali. Magda wciąż jeszcze łkała, nawet przez sen. Hannes wpatrywał się w ścianę. Próbował sam z nimi porozmawiać o... o... O czym właściwie próbował z nimi porozmawiać? Już zapomniał.

Minęła już północ. Drzwi na werandę były otwarte, wpadał przez nie zapach ogródka, zapach, którego już nie pamiętał. W drzwiach zobaczył twarz Anety Djanali, rozświetloną lampą stojącą na półce po lewej.

- Nie chcesz wyjść na dwór?

Potrząsnął głową.

- Jest naprawdę przyjemnie.

- Pójdę po piwo. - Wstał i poszedł do kuchni.

- Niedługo zacznie świtać - powiedziała Aneta, gdy wyszedł na zewnątrz i usiadł na stojącej pod ścianą ławce.

Napił się i spojrział w niebo. Jaśniało już - i to mu wystarczało. Gdyby mógł zatrzymać czas, zrobiłby to właśnie w tym momencie. Ciemność. Już na zawsze ciemność i spokój. Żadnych dzieci budzących się rano i przypominających o sobie. Dzieci, które mają przed sobą całe długie życie. *Sometimes I feel like a motherless child*, pomyślał. To właśnie przyszło mu na myśl, a potem pomyślał o Margarecie.

Napił się jeszcze i ponad tarasem spojrział na koleżankę. Partnerkę i przyjaciółkę.

- Nie powinnaś już jechać do domu?

Widział tylko zarys jej sylwetki. Kiedy indziej na pewno by z niej zażartował, zawsze tak robił. Jej czarna skóra szczególnie kontrastowała z ciemnością nocy. Było jeszcze za wcześnie.

- Nie ma sprawy.

- Dam sobie radę - powiedział.

- Wiem.

- Więc możesz jechać do domu i trochę odpocząć. Pewnie musisz wcześniej wstać.

Nie widział, czy kiwnęła głową.

- Musisz wcześniej wstać? - zapytał.

- Tak, ale nigdy nie potrzebowałam dużo snu.

- Ja też nie. - Wypił do dna i odstawił butelkę na stół. - W takim razie możemy jeszcze chwilę posiedzieć.

- Tak.

Widziała, jak Fredrik zasłania twarz dłonią. Potem coś usłyszała, za chwilę znowu. Wstała, usiadła obok niego na ławce i, na tyle, na ile mogła, objęła go. Drżał, ale tylko odrobinę.

- Muszę pracować.

Wciąż siedzieli na ławce. Był już ranek, parę minut po

trzeciej. Znowu było jasno. Cienie padające na twarz Haldersa przypominały morskie zatoki uformowane w ciągu ostatnich godzin. Z czoła schodziła mu skóra, krótkie włosy wyglądały jak ze stali. Aneta słyszała krzyki mew. Za płotem przejechał samochód. Kilka mniejszych ptaków wyleciało z krzaka, może wystraszyły je mewy. Nie czuła zmęczenia. Zapewne poczuje je potem, po południu, gdy będzie jeździć nagrzanym samochodem w tę i z powrotem.

- Wiesz, co mam na myśli? - Halders odwrócił się w jej stronę. W lewym oku pękło mu naczynko. - To nie dlatego, że chcę. uciec. To nie o to chodzi. - Potarł czoło u nasady nosa. - Ale wydaje mi się, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli będę pracować.

- Jeśli dasz radę.

- Czemu miałbym nie dać?

Wzruszyła ramionami.

- Uważasz, że brak mi instynktu samozachowawczego?

- Nie.

- Uważasz, że nie myślę o dzieciach?

- Przestań.

Halders znowu przeciągnął dłonią po twarzy. Aneta usłyszała chrzęst zarostu: teraz wyglądał na dłuższy i mocniejszy niż włosy na jego głowie.

- Musimy jak najszybciej wrócić do normalnego życia - powiedział, po czym zapatrzył się w horyzont, jakby tam szukał potwierdzenia swoich słów. - To ważne, żebyśmy wszyscy spróbowali do niego wrócić. Tak szybko, jak się da.

Ale najpierw załamanie, pomyślała Aneta. Załamanie jest już blisko.

Winter nadal przeszukiwał biblię mordy: jedną grubą, jedną cieką.

Poprosił Bergenhema, żeby też je przeczytał. Bergnhem był młodym, zdolnym śledczym. Właśnie wrócił ze zwolnienia. Wziął je z powodu bólów głowy i osłabienia, ale Winter



wiedział, jak jest naprawdę. Przecież policjanci też cierpią na depresję.

Czasami się zastanawiam, czy i mnie nie dopadła. Przecież nie zawsze jestem w dobrym humorze. Może to przez ten upał, a może przez tę sprawę. Trudno ją z siebie zrzucić, kąpiąc się wieczorem w morzu.

Pojechali do parku. Mercedesem Wintera. Klimatyzacja działała. Ulice były niemal zupełnie puste.

- Czasami tutaj przychodzę - powiedział Winter, gdy znaleźli się na miejscu. Drzewa się nie ruszały. Skałę ledwo było widać. Wciąż była odgradzona taśmą. Gdyby ktoś patrzył niezbyt uważnie, mógłby to wziąć za jakiś nowy element architektury krajobrazu, pomyślał Bergenhem. Właściwie to jest nowy... element, chociaż w innym sensie.

Widział dzieci kąpiące się w sadzawce. Flamingi stały na jednej nodze i przyglądały się ich zabawie.

- Przychodziłem tu od czasu do czasu przez te lata - ciągnął Winter. Omiótł wzrokiem lasek. - Wiesz po co?

- Tak.

- Więc po co?

- Bo sprawca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

Winter kiwnął głową i spojrzał na dwie przechodzące dziewczyny. Przyglądały się stojącym na odgradzonym taśmą terenie mężczyznom.

- Bywał tutaj co najmniej tak często jak ja - dodał Winter. - Jestem pewien. On tu bywał.

- Może w tym samym czasie co ty - zauważył Bergenhem.

- Nie. - Winter spojrzał na niego. - Zorientowałbym się.

Wystarczy przychodzić tu dalej, pomyślał. Nie ma co do tego wątpliwości.

Po zabójstwie Beatrice bywał tu wiosną, latem, jesienią i zimą. Oczywiście nieregularnie, ale zdarzało się, że odwiedzał park w weekendy, wieczorami lub nocą.

Kiedyś, późno wieczorem, zobaczył przy skale jakiś cień. Puls

mu przyspieszył. Podszedł bliżej i kiedy cień się odwrócił, stanął twarzą w twarz z Birgerssonem.

Wiedział, że Halders też czasem przychodzi.

Raczej nikogo nie wystraszyli. Przecież nie wchodzili do parku tyralierą, na szeroko rozstawionych nogach, z bronią w rękę i w pełnym słońcu.

- Ta dziewczyna jest dla nas największą szansą - powiedział Bergenhem. - Jeanette, ta, która przeżyła.

- Może właśnie o to chodziło.

- O co? Żeby przeżyła?

Winter wzruszył ramionami. Może.

- Jeśli to on, to ona go widziała, dotykała i słyszała.

- Tak.

- Słyszała słowotok.

- Hm...

- Mówiła, że to był słowotok. Mamrotał coś bez sensu. W kółko to samo. Wydawało jej się, że powtórzył to samo chyba ze trzy razy.

- Aha.

- Podczas gwałtu.

- Tak - potwierdził Winter. Zobaczył, że dziewczyny, które ich przed chwilą mijaly, idą z powrotem. W rękach miały lody w wafelkach. Z zaciekawieniem patrzyły na odgradzony teren. Zatrzymały się w pobliżu i przysiadły na trawie. - Podczas gwałtu.

- Może chodziło o coś jeszcze - powiedział Bergenhem.

Winter spojrział na dziewczyny. Lody wyglądały na smaczne. W taki upał nie można się obejść bez lodów i zimnych napojów.

- Może przypomniała sobie coś więcej - dodał Bergenhem.

- Spotkam się z nią jutro - odparł Winter. - O dziesiątej.

Bergenhem podszedł do drzew, pochylił się i wszedł między nie. Gdy się odezwał znowu, jego głos tłumili skała i konary.

- Jak myślisz, jak daleko musiał je ciągnąć? - zapytał.

- Z dziesięć metrów - odpowiedział Winter.  
- Czy po zabójstwie Beatrice Wägner też znaleziono ślady ciągnięcia?

- Tak.

- A jak było z Jeanette? Ją też tutaj wciągnął?

- Porozmawiamy o tym jutro. Do tej pory twierdziła, że nie pamięta. Że straciła przytomność.

Winter spojrział w przeciwnym kierunku. Dziewczyny już poszły.

- Pójdziemy na lody?

Bergenheim wyszedł z zarośli.

- Dobra.

Obeszli sadzawkę i doszli do budki z lodami. Stąd nie było tak bardzo słyhać kąpiących się dzieci. Jakaś para w wieku Wintera przemknęła obok nich na rolkach. Dalej, na trawie, jakiś mężczyzna sprzedawał balony. W kolejce przed kioskiem stały trzy osoby.

- Ja stawiam - powiedział Winter.

Wrócili z wafelkami w rękach. Lody zaczęły kapać.

- Trzeba było wziąć w kubeczkach - stwierdził Bergenheim.

Usiedli na trawie. Pachniała sucho, miejscami blada zieleń była poprzątkana żółtymi plamami.

- Dlaczego próbował udusić Jeanette? - zapytał Winter po chwili.

- Co masz na myśli?

- Nie miała paska, którego mógłby użyć... tak jak zrobił w przypadku tamtych dwóch, Beatrice i Angeliki, ale przecież miał coś innego... smycz. Tak powiedziała Jeanette. Miał smycz, ale nie udusił jej. Nie zamordował jej.

- Zakładasz, że Beatrice i Angelikę zabił ten sam sprawca.

- Tak. Zakładam. Przynajmniej na razie. - Winter czuł, jak zimny lód ścieka mu po palcach. Sprawiało mu to przyjemność.

- Ten sam człowiek. Pięć lat przerwy.

- Tak.
- Użył paseków należących do dziewczyn.
- Tak.
- Czy Angelika miała pasek?
- Według Beiera miała. Była w szortach. Potem zapytałem jej rodziców, potwierdzili to.
- Ale pasek zniknął.
- Tak.
- Tak samo jak ten należący do Beatrice Wägner.
- Tak.

Anne poszła się wykąpać. Ostatni raz. Andy też był w wodzie. Pozostali śpiewali pieśń ku czci zachodu słońca, a może o zachodzie słońca. Po dwóch kieliszkach wina trochę jej się kręciło w głowie, ale teraz, dzięki wodzie, już chłodniejszej niż przed godziną, poczuła się trzeźwa i rześka. A może to było dwie godziny temu?

Wieczorem mieli gdzieś pójść całą paczką, nie mogła się doczekać. Nie zawsze tak było. Kilka razy została w domu. Nie była pewna, czy mamie się to podoba. Mówiła, że to miło, że jest w domu, ale nie wiedziała, czy mówi szczerze. Tak jakby mama chciała, żeby wychodziła jak najczęściej i bawiła się, korzystała z lata po zakończeniu szkoły. Jakby to miało być jej ostatnie lato. Ostatnie lato. Czy tak się nie nazywał jakiś film?

Kilka razy pojechała do domu bezpośrednio stąd.

Ostatnie dwa razy musiały być ostatnie.

Nie powinna była tego robić. Gdyby ktoś ją zapytał, nie umiałaby nawet powiedzieć, jak do tego doszło.

Ale to przecież nic takiego.

Wytarła się szybko. Teraz, gdy słońce zaczynało się czerwienić, zrobiło jej się odrobinę zimno.

Kiedy wracali, nie wiało, ale na otwartej przestrzeni czuć było chłód.

W mieście, między domami, wciąż jeszcze było gorąco. Czuli

się tak, jakby po przejażdżce rowerowej brzegiem morza weszli do dusznego domu.

Zatrzymali się przy bulwarze Avenyn, przypięli rowery do stojaka i usiedli w ogródku. Tym co zawsze.

- Duże mocne, do pełna - powiedział Andy, kiedy podeszła kelnerka.

- Właściwie najpierw powinnam jechać do domu, wykąpać się. Wtedy przyjemniej się tu siedzi. - Dostali zamówione piwo. Przy stoliku było ich pięcioro. - To tak, jakbyśmy byli po pracy.

- To ciężka robota tak się cały dzień wylegiwać nad morzem - rzucił Andy i łyknął ze szklanki. - Ale w ten sposób zaliczamy wypłatę dwa razy. - Wyszczerył w uśmiechu bardzo białe zęby. - Wypijemy piwo i zrelaksujemy się, potem pojedziesz do domu, wykąpiesz się i ogarniesz. Potem przyjedziemy tu znowu.

Ktoś się zaśmiał.

Zadzwoił jej telefon. Wcisnęła zielony i usłyszała głos mamy. Tak, niedługo jedzie do domu. Za jakieś pół godziny. Tak. Wychodzi wieczorem. Spojrzała na kolegów i przewróciła oczami. Andy wyciągnął rękę w kierunku przechodzącej obok nich kelnerki. Niosła tacę z piwami dla jakiejś innej grupy. Andy miał zamiar zostać na cały wieczór. Nie musiał się myć, przebierać i szykować. Nigdy nie wyglądał na kogoś, kto musi to zrobić.

- To mama - powiedziała, wtykając telefon do kieszonki w torebce.

- Aha.

- Mieszkam sama, ale i tak musi mnie trochę kontrolować.

Kelnerka postawiła przed Andym kolejne piwo.

- Ty oczywiście zostajesz - stwierdziła Anne.

- Na zdrowie.

- Ja spadam.

- Lepiej sprawdź komórkę.

- Co?
- Sprawdź, czy zablokowałaś klawiaturę.
- Tak, tak. - Wyjęła komórkę i sprawdziła. - Zablokowana.
- Nie chcę zaliczać więcej przypałów. - Andy napił się piwa i posłał jej kolejny biały, bardzo biały uśmiech.

Wypiła resztę ze szklanki i, machając im, podeszła do roweru. Odpięła go i ruszyła bulwarem. Ludzi było coraz więcej, jakby Avenyn w jedną i drugą stronę przemierzały całe karawany. Miała wrażenie, że znowu zrobiło się bardzo gorąco. Marzyła o prysznicu.

Zadzwoił telefon. Wyświetlił się napis „połączenie”, ale kiedy odebrała, nikt się nie odezwał. Sprawdziła, czy zablokowała klawiaturę, i wetknęła telefon z powrotem do torby.

Dość przypałów. Parę dni temu przytulali się z Andym, właściwie to robili coś więcej, i któreś z nich nacisnęło niechcący na telefon tak, że klawiatura się odblokowała, o ile w ogóle blokada była włączona. Wybrało trójkę i kiedy tak leżeli, to, co mówili, i wszystkie dźwięki, i... o Boże, wszystko było słyhać w domowym telefonie, bo pod trójką miała zapisany numer domowy. Odebrała mama.

Przypał.

- Czemu zapisałaś skrót numeru do pustego domu? - zapytał wtedy Andy.

- No, nie jest zupełnie pusty - odparła. - Czasami trzeba zadzwonić do samego siebie, do domu. Może tam akurat być ktoś, z kim chcesz się szybko połączyć.

- Można włożyć numer telefonu do koperty i wysłać pod swój adres. Jak w *Rikky don't lose that number* Steely Dan.

Skręciła i pojechała w dół ścieżką rowerową prowadzącą na zachód. Było chłodniej niż na głównej ulicy. Z restauracji dolatywał zapach jedzenia.

WINTER POSTANOWIŁ SIĘ NIE GOLIĆ. Założył koszulę z krótkim rękawem i lniane spodnie. Kiedy wychodził o wpół do siódmej, Angela i Elsa jeszcze spały. Na klatce było chłodno. Po remoncie, który przeprowadzono na początku lata, wciąż pachniało czystością. Brakowało mu zapachu starości dobywającego się ze ścian i z wyszlizganej drewnianej poręczy. Odkąd się wprowadził dziesięć lat temu, zawsze tak pachniało. Teraz miał wrażenie, że wszystko zaczyna się od nowa. I tak było. Co oznaczało, że remont i nowy zapach były jak najbardziej na miejscu, pomyślał. Wyszedł z bramy i odczuł cały urok poranka.

Służby miejskie czyściły jezdnię. Szczotki kręcące się pod samochodem skrobały asfalt, a strugi wody ściekały na wschód, w tym samym kierunku, w którym szedł. Ulica była pusta, zupełnie pusta. Usłyszał tramwaj, ale jeszcze nie było go widać.

Nad Heden nie drgnął nawet jeden listek. Termometr wiszący na ścianie domu stojącego naprzeciwko wskazywał dwadzieścia cztery stopnie. Dwadzieścia cztery stopnie. A było za dziesięć siódma. Jak w tropikach. Przez całą noc było ponad dwadzieścia, a kiedy średnia temperatura dobowa przekracza dwadzieścia stopni, klimat można uznać za tropikalny.

Wjechał windą na górę i wszedł do swojego gabinetu. Był otwarty. Ten sam zapach co zawsze. Nic nowego. Na noc zostawił okno otwarte na oścież, ale na nic się to nie zdało.

Papiery zostawił na biurku. Leżały na nich okulary do czytania. Jedną parę trzymał tutaj, drugą w domu. Z daleka też widział coraz gorzej. Już niedługo, chodząc, będzie się musiał podpierać o ściany. Będą go prowadzać i wozić w wózku. Miał czterdzieści jeden lat.

Jakiś mężczyzna zeznał, że słyszał krzyk dobiegający z parku.

Było to około drugiej w nocy czy raczej o wpół do drugiej. Pół godziny lub godzinę po tym, jak Beatrice zniknęła między drzewami. Mieszkał w pobliżu i właśnie wracał z jakiejś domówki. Trochę wypił, ale czuł, że zachował jasność umysłu. Według zapisu w protokole był wiarygodnym świadkiem.

Wszedł do parku i minął miejsce, w którym znaleźli Beatrice. Minął je w odległości jakichś piętnastu metrów, ale już niczego nie usłyszał i nie zobaczył.

Wydawało mu się, że głos, który usłyszał, brzmiał tak, jakby na kogoś polowano. Właśnie tak - polowano. Pojedynczy krzyk. A może podwójny. A potem wszystko umilkło.

Winter przypomniał sobie o nim. Nie przesłuchiwał go, ale widział przez sekundę kilka dni później. Pamiętał, że wciąż wydawał się rozdygotany, a może taki miał po prostu charakter. Rozdygotany.

Kiedy usłyszał krzyk, wybiegł z parku i pobiegł w stronę pobliskich kamienic. Na chodniku spotkał parę w wieku „około trzydziestu pięciu lat”. Oboje mieli na sobie „białe ubrania”. Powiedział im, co słyszał. Kobieta powiedziała rozdygotanemu świadkowi, że chwilę wcześniej przechodziła przez park i nie jest pewna, czy kogoś nie widziała.

Wydawało jej się, że chyba kogoś widziała.

Nigdy nie rozmawiali ani z nią, ani z jej towarzyszem. Winter pamiętał, że szukali ich, gdzie się dało. Dali ogłoszenie z prośbą o kontakt.

Było dokładnie tak jak z tym mężczyzną i chłopcem pakującymi coś w nocy do samochodu. Jakby nigdy ich tam nie było. Może tej pary nikt nie powinien

zobaczyć razem w tym miejscu i o tej porze. Takie powody często powstrzymują świadków przed ujawnieniem się. Osobiste nieprzyjemności. Czym wobec nich jest morderstwo? Skok w bok. Społeczeństwo ocenia skoki w bok zdecydowanie zbyt surowo, pomyślał Winter. Ewentualną



zdradę małżeńską ocenia się tak bezwzględnie, że może to przeszkodzić policji w pracy. Czy nie można jakoś uregulować moralności prawnie? Może dałoby się wprowadzić w życie luźniejsze reguły, uwzględniając wszystkie śledztwa, które na tym cierpiały.

A co z mężczyzną i chłopcem? Minęło pięć lat, a oni nie zostali przesłuchani. I pewnie żaden z nich już nie pamiętał, że w tamtą letnią noc pakowali coś do samochodu przy parku w centrum Göteborga.

Było coś jeszcze.

Zdjął okulary do czytania i potarł grzbiet nosa. Spojrzał na zegarek: ósma. Za dwie godziny spotka się z Jeanette Bielke, u niej w domu. Zapytał, gdzie chciałaby porozmawiać - wybrała dom.

Poszedł do wspólnej kuchni i zaparzył filiżankę kawy. Był sam. Odwołali dzisiejsze zebranie. Jutro będzie im musiał wszystko pokrótce opowiedzieć, ale i tak już wiedzieli, co mają robić.

Później, kiedy wróci ze spotkania z Jeanette Bielke, powinien dostać raporty ze sprawdzania potencjalnych podejrzanych. Mogli nic nie ustalić, ale to też by coś znaczyło. Eliminowanie. Ten, ten i ten nie mogli tego zrobić. Nie tym razem. Akurat ten dobrze im znany gwałciciel tego wieczoru nie miał takiej możliwości. Ten morderca siedział, a ten spał, i mogą to potwierdzić ci, którzy położyli się później. Ten facet ze skłonnością do bójek akurat o tej porze pobił kogoś niemal na śmierć, ale zrobił to na drugim końcu miasta albo na drugim końcu kraju, albo wręcz za granicą.

I tak dalej, i tak dalej.

W świetle poranka asfalt był wręcz biały. Może było już trzydzieści stopni. Jak w Marbelli. Pomyślał o ojcu, pochowanym na małym uroczym cmentarzu na górze. Jeśli spojrzeć z niej w dół, widać morze i Puerto Banus, a jeśli w górę - dom w Nueva Andaluda. Dom, w którym matka

postanowiła zostać.

Był przy ojcu, kiedy umierał, uczestniczył w pogrzebie, potem, w nocy, siedział w ogródku z trzema palmami tak długo, aż w jego głowie zrobiło się zupełnie pusto.

Przestał błądzić myślami. Słońce wciskało się przez żaluzje do pokoju, układało się we wzory na ceglanych ścianach korytarza.

Stał przy oknie i zapalił. Pierwszą cygaretkę tego dnia. Sięgnął po nią po dwóch godzinach pracy - to sukces. Jutro spróbuje wytrzymać kwadrans dłużej.

Usiadł i sięgnął po okulary.

Było coś jeszcze. Trzy dni po zabójstwie Beatrice dwudziestoletnia kobieta została napadnięta i zgwałcona przez „szczupłego” i „dość wysokiego” mężczyznę. Były pewne podobieństwa między tymi sprawami, ale czy zdarza się, że ich nie ma, kiedy chodzi o gwałt? Wydawało jej się, że mężczyzna mówił coś sam do siebie, kiedy się na nią rzucił, że „mamrotał”, jak napisano w raporcie, który Winter trzymał w ręku.

Dom ocieniały drzewa. Mogły mieć ze sto lat. Dom może być równie stary, pomyślał Winter. Dobrze utrzymany, stuletni budynek. Stary majątek. Jak wszystko tutaj, w najstarszej części Långedrag. On dorastał niecały kilometr dalej, w stronę miasta. Czasem zapuszczał się tu na rowerze. Witamy w dzielnicy dostatku.

Pojawili się dwaj chłopcy na deskorolkach. Jechali szybko. Usunął im się z drogi, a potem przeszedł przez ulicę i znalazł się na podjeździe prowadzącym do domu. Na werandzie siedział jakiś mężczyzna. Nie podniósł się, kiedy Winter zaczął wchodzić po schodach. Przywitał się, podał mu rękę. Ojciec Jeanette. Nie spotkali się wcześniej. Nie poznał też Jeanette, to Halders z nią rozmawiał. Ale Halders ma dziś własne zmartwienia.

- Czy to konieczne? - zapytał Kurt Bielke. Był nieco niższy od

Wintera, ale rozmawiając z nim, nie patrzył w górę. Nie zabrzmiało to agresywnie. Raczej jak pełne żalu westchnienie.

Dobre pytanie. Ile razy można nachodzić ofiarę, jeśli nie przynosi to żadnych efektów? Można jej tylko zaszkodzić.

Jak się jest u nich i naciska za mocno, tak że w końcu wyciąga się z nich wszystko, co się chce, to czy wyciąga się prawdę? - tak się wyraził Halders, gdy dwa dni wcześniej siedzieli w jego, Wintera, pokoju. Tak właśnie jest. Jak to się mówi w ich żargonie - świadka można przesłuchać na kawałki. Przesłuchać na kawałki.

- Musimy jeszcze chwilę porozmawiać z Jeanette.

- Musimy? - zapytał Bielke. - Widzę tylko pana.

- Ja muszę.

- O czym znowu? Przecież już sto razy mówiła, przez co przeszła.

Winter nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy ma sens ciągle omawianie szczegółów, które powoli mogą docierać do świadomości, urywków wrażeń, które w końcu mogą się stać czymś więcej niż tylko wrażeniami. Czasami wszystko może wrócić naraz. Nie daj Bóg o drugiej w nocy, gdy człowiek jest zupełnie sam i wszystko spada na niego jak uderzenie obuchem w głowę albo jak cios mieczem w duszę.

Jeśli Jeanette przypomni sobie teraz, potem będzie jej łatwiej.

- Czasami pewne rzeczy widzi się wyraźniej dopiero po jakimś czasie - odparł Winter. - Po kilku dniach.

- Jakie rzeczy? - Bielke wciąż patrzył gdzieś w bok. W jego głosie nadal nie było słycać agresji. Twarz miał napiętą, zastygłą, jakby wyciętą z aluminium. - Co się działo w czasie gwałtu? Sekunda po sekundzie? Chodzi o to, jak go wyciągał ze spodni, czy co?

Winter milczał.

- Czy będzie jej lżej, jeśli przypomni sobie wszystkie

szczegóły?

- Nie wiem.

- No to po co pan przyszedł?

- Popełniono morderstwo - odparł Winter.

Bielke spojrział na niego. Podszedł bliżej. Winterowi wydawało się, że czuje zapach alkoholu, ale równie dobrze mogła to być woda po goleniu. Przecież woda po goleniu też zawiera alkohol. Bielke otarł czoło. Winter zauważył krople potu u nasady jego prostych włosów. Teraz jemu też zrobiło się gorąco - stali chwilę na werandzie pod markizą, która zamiast chłodzić, raczej nagrzewała powietrze. Po południu musi tu być jak w saunie.

- Dobry Boże - wymamrotał Bielke. - Powinienem był się domyślić. - Znów przeciągnął dłonią po czole. - Myślicie, że to ten sam sprawca?

- To może być ta sama osoba. Nie mamy na to żadnych dowodów, ale istnieje taka możliwość.

- Nazywa pan to możliwością.

- Proszę?

- Ja raczej nie użyłbym tego słowa.

Bielke patrzył na niego nieobecny wzrokiem. Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby się zastanawiał nad czymś zupełnie innym. Wyglądał na zatopionego w myślach.

- Czy mogę iść do Jeanette? - zapytał Winter i odsunął się o krok.

- Jest na górze, w swoim pokoju. - Bielke wycofał się, jakby już było jasne, którędy Winter ma iść. Jakby pole zostało rozminowane. - Nie chciała zejść.

Winter wszedł, Bielke za nim. Wskazał na schody, na lewo od wejścia. Gdzieś z głębi domu doleciał brzęk szkła i porcelany. Idąc na górę, Winter nie widział nikogo. Dom przypominał zbudowany z niewielkim rozmachem zamek.

Drzwi pokoju Jeanette były otwarte. Zobaczył narożnik łóżka i okno ocienione przez duże drzewo. Czuł się coraz bardziej

nieswojo. Czuł się tak, gdy tu jechał. Potem, kiedy rozmawiał z jej ojcem, było jeszcze gorzej. Czuł, że to uczucie przejmuje nad nim władzę, że przestaje myśleć jak profesjonalista. Angela powiedziała, że to dobrze. Że tak musi być, że jeśli jest inaczej, to jest źle, beznadziejnie.

- Proszę - powiedziała, gdy zapukał we framugę. Nadal jej nie widział. - Proszę wejść.

Siedziała w fotelu, na prawo od drzwi. Obok stała sofa i stolik, kawałek dalej biurko wciśnięte w kąt, przy drzwiach, za którymi widział łazienkę. Pokój przypominał apartament. Stare pieniądze, a może nowe. Albo jedno i drugie.

Dziewczyna czesała ciemnobrązowe włosy. Widać było, że nie jest umalowana. Dżinsy, T-shirt, bez skarpetek. Na szyi cienki złoty łańcuszek.

Czesała się długimi pociągnięciami. Przy każdym ruchu szczotką ściągała twarz i mrużyła oczy, przez co wyglądała trochę orientalnie.

Wskazała na sofę. Winter usiadł i przedstawił się.

- Wcześniej rozmawiałam z kimś innym.

Winter przytaknął.

- Czy to jakaś taktyka?

- Co masz na myśli?

- To, że wysyłacie różnych ludzi do prowadzenia... rozmów, przesłuchań, czy jak to się tam nazywa.

- Czasami. Ale nie tym razem.

- A czemu to ma służyć?

Winter nie odpowiedział od razu.

- Polubiłam tego poprzedniego - powiedziała, odkładając szczotkę. - Fredrika. - Spojrzała na Wintera. - To chyba dobrze. Więc raczej kiepską taktyką jest przysyłanie tu teraz kogoś innego. Nie sądzi pan?

Dobra, powiem jej, pomyślał Winter. I powiedział, co się stało z żoną Haldersa.

- Nie będę więcej o to pytać.

- Czy w takim razie ja mogę cię o coś zapytać? - Winter pochylił się do przodu. Dziewczyna skinęła głową. Jakiś ptak uderzył w okno i odleciał, trzepocząc skrzydłami, ale ona zdawała się nie słyszeć tego głośnego plaśnięcia. - Czy od czasu, kiedy rozmawiałeś z Fredrikiem, nic ci się nie przypomniało? Może to być cokolwiek.

Wzruszyła ramionami.

- A niby co miałabym sobie przypomnieć?

- Cokolwiek z tamtego wieczoru. Z tamtej nocy.

- Przecież nie chcę o tym myśleć. Już to mówiłam... Fredrikowi też. - Znów chwyciła szczotkę i zaczęła się czesać. Wyraz jej twarzy się zmienił. - Jedyne, o czym teraz myślę, to czy... będę miała AIDS. - Czesiła się jeszcze gwałtowniej. Patrzyła na Wintera małymi, wąziutkimi oczami. - Albo HIV, bo tak się nazywa pierwsze stadium choroby. Czy jak tam się na to mówi. Nie jestem całkiem pewna i pewnie nigdy nie będę.

Winter nie wiedział, co powiedzieć. Zastanawiał się, czy nie wstać, nie podejść do okna i nie zapalić cygaretki.

- Czy mogę zapalić przy oknie?

- Oczywiście - odparła i chyba się nawet lekko uśmiechnęła.

- Tylko proszę uważać, żeby tata nie zauważył. - Potem odwróciła wzrok. - On wszystko widzi. I na wszystko patrzy z góry.

- Teraz musiałby patrzeć z dołu.

- Co proszę?

- Żeby zobaczyć, że palę w oknie, musiałby popatrzeć na mnie z dołu.

- Ha, ha.

Winter podniósł się i wyciągnął z lewej kieszeni wąskie białe pudełko.

Wyjął cygaretkę i zdjął z niej osłonkę.

Otworzył okno i zapalił. Trawnik widziany spomiędzy gałęzi rozmiarami przypominał boisko. Z dołu dobiegł brzęk szkła i

czyjś cichy głos. Po chwili coś powiedział drugi głos, ale nie dało się rozróżnić słów. Ktoś napełnił szklanę. Wpół do jedenastej, to jeszcze nie pora na drinka do lunchu, ale co tam, *what the hell it's noon in Miami*. Przecież są wakacje. Zaciągnął się i odwrócił w stronę pokoju.

Możliwe, że ich córka miała cholernego pecha i będzie mieć HIV. Pierwsze stadium AIDS.

- Kiedy mówiłam, że pewnie nigdy nie będę pewna, jeśli chodzi o nazwy, chodziło mi o moje studia medyczne. Zaczynam jesienią. Ale teraz mam to gdzieś.

- Dlaczego?

- To żart?

- Kiedy dostaniesz wyniki testu na AIDS?

- Oj, pytanie prosto z mostu.

- Kiedy?

- W przyszłym tygodniu. Ale chcę zrobić jeszcze jeden, a to potrwa następnym kilka tygodni.

Winter skinął głową.

- A potem i tak nie wiadomo do końca. Przez rok.

Winter znowu się zaciągnął i wypuścił dym. Usłyszał wzburzony kobiecy głos, a po chwili zobaczył, jak Kurt Bielke przecina trawnik i podchodzi do czarnego samochodu zaparkowanego na podjeździe. Włączył silnik i pojechał w stronę miasta. Winter się nie ruszył, stał przodem do okna. Słyszał kosiarkę, widział kaskadę wody wyrzucanej ze spryskiwacza. Znowu zobaczył chłopców na deskorolkach, jechali z powrotem. Ulicą szła kobieta z wózkiem. Wszystko było takie normalne, tworzyło gładki, idylliczny obrazek.

- Śni ci się to, co się stało w parku? - zapytał po upływie pół minuty i odwrócił się w jej stronę.

- Tak.

- Co ci się śni?

- Że biegnę. Zawsze tak jest. Biegnę i słyszę za sobą kroki.

- Co się dzieje dalej?

- Nie wiem... właściwie tylko to... bieg i pogoń.
  - Nigdy nikogo nie widzisz?
  - Nie.
  - Żadnej twarzy?
  - Niestety. - Przestała się czesać i spojrzała na Wintera. - Dobrze by było, co? Gdybym we śnie zobaczyła twarz, której nigdy nie widziałam w rzeczywistości, i gdyby się okazało, że to właśnie on. Że to naprawdę ta twarz. - Odłożyła szczotkę na blat. - Można by to wykorzystać jako dowód?
  - Nie jako jedyny.
  - Szkoda.
  - Ale nie widziałaś twarzy?
  - Nie. Ani wtedy, ani teraz, we śnie.
  - Czy on cię ciągnął?
  - Jak to?
  - Czy w tym śnie ktoś się ciągnie. Wciąga cię gdzieś, próbuje ściągnąć ze ścieżki. - Winter znów się zaciągnął. - Nic takiego się nie dzieje?
  - Nie.
  - A jak było... w rzeczywistości?
  - Już mówiłam. Nie wiem. Straciłam przytomność. - Zrobiła taką minę, jakby się zastanawiała nad tym, co właśnie powiedziała. - Musiałam ją stracić.
  - Ale ocknęłaś się gdzie indziej? Nie na ścieżce, którą szłaś? Pamiętasz, że szłaś tamtędy przed napadem?
  - Tak, tak musiało być.
- Wciąż się czesała. Winter widział ból w jej wąskich oczach. Jakby mocnymi ruchami, przyciskając gęste włosy do skóry, chciała usunąć z głowy to przekleństwo.
- Czasem żałuję, że się w ogóle ocknęłam.
- Winter znowu usłyszał samochód i zobaczył, jak Kurt Bielke parkuje na podjeździe i szybkim krokiem wchodzi do domu. Było słycać głosy, ale nie poszczególne słowa.
- Czy może go pan ode mnie pozdrowić? Tego drugiego



policjanta, Fredrika?

- Jasne.

- Wrócił do pracy?

- Jeszcze nie.

- Po czymś takim chyba jeszcze długo nie będzie mógł pracować?

Winter spojrział na nią. Jeśli ty możesz żyć, to on może pracować. Pomyślał o tym, co mówiła o ocknięciu się, czy raczej nieocknięciu.

## 9

Z DOŁU, Z WERANDY, ZNÓW dobiegł go odgłos przestawianego szkła i porcelany. Najwidoczniej wcześniejsza wymiana zdań nie powstrzymała ich przed zjedzeniem lunchu.

- Przepraszam - powiedziała Jeanette i wyszła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi. Winter się rozejrzył. Pokój był dokładnie, wręcz z pedantyczną starannością wysprząpany. Wszystko było poukładane w porządne stosiki i rządki. Wstał i podszedł do regału. Książki ustawiono w porządku alfabetycznym, według nazwisk autorów.

- Ład i porządek, co? Odwrócił się.

- Po tym, jak. to się stało, nie robiłam nic innego, tylko sprzątałam - powiedziała, wskazując głową na regał. - Teraz się zastanawiam, czy jednak ich nie ustawić w porządku tematycznym.

- Dużo ich tu masz - odparł Winter.

- Ale tematów niewiele.

- W większości literatura piękna, z tego co widzę.

- A pan co czyta?

Winter nie mógł się opanować, musiał się roześmiać.

- Coraz rzadziej sięgam po prawdziwą literaturę. Ale mam zamiar to zmienić. Już niedługo pójdę na dłuższy urlop. A na

razie, czytam przede wszystkim raporty śledcze. Zeznania świadków i tym podobne.

- Fascynujące.

- Czasami tak. Naprawdę. Z tym że na początku trzeba się nauczyć interpretować język, bo każdy policjant, pisząc raport, używa innego. Czasami przypomina to łamanie szyfru.

- Ale potrafią pisać?

- Większość tak.

- I co w tym takiego fascynującego?

- Czasem można połączyć jakiś szczegół z czymś, co się wyczytało gdzie indziej. Albo nagle znaleźć coś, na co się wcześniej patrzyło sto razy, ale się tego nie widziało. Coś, co cały czas było, ale co się przegapiło.

- Jak to?

- Coś, czego się nie wychwyciło albo źle się zinterpretowało. Ale potem nagle to do ciebie dociera.

- Nigdy się tego nie omawia z kimś innym? Z kimś, kto też czyta te raporty?

- Omawia się, i może właśnie na tym to polega. Ktoś inny może inaczej odczytać jakieś zdanie. Dla niego może mieć inne znaczenie.

- Chyba zawsze tak jest, bez względu na to, co się czyta?

- Nie wiem - odparł Winter. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zapalić jeszcze jednej cygaretki. W końcu zrezygnował. Usiadł w jej fotelu.

- Większość z tych książek ukradłam - powiedziała, gwałtownym ruchem wskazując na regał. - Nie słyszał pan? Ukradłam je!

- Słyszałem.

- I co, nic pan z tym nie zrobi?

- Nie wierzę ci.

- Nie?

- Powiedz mi coś o tym dźwięku, który wydawał ten

mężczyzna.

- Co?

- Przecież mówiłaś, że coś mówił, czy raczej mamrotał, że to był jakiś słowotok, że nic nie rozumiałaś.

Opowiedz mi o tym.

- Już mówiłam, było dokładnie tak, jak pan to opisał. Słyszałam coś w rodzaju słowotoku.

- Zastanawiałaś się nad tym?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wychwyciłaś z tego ani słowa?

- Nie.

Winter się zamyślił.

- Może spróbujesz to powtórzyć?

- Powtórzyć? Chyba pan oszalał!

- To może być ważne.

- A jakie to ma znaczenie?

- To, co się przytrafiło tobie, może się przytrafić innym. -

Popatrzył na nią. - Przytrafiało się innym.

- Wiem.

- W porządku. - Winter skinął głową.

- Ale to jednak ponad moje siły naśladować. naśladować tego skurwiela.

- Pomyśl o tym.

- Ale ja właśnie nie chcę tego robić, do cholery.

- Dobrze, rozumiem.

- To musi być trudne.

- Co?

- Musieć zadawać te wszystkie pytania, kiedy się wie, że ten, kogo się przesłuchuje, najbardziej na świecie pragnie, żeby go zostawiono w spokoju. Nie pragnie niczego innego, tylko spokoju.

- Tak, to trudne.

- Widzę.

- Trudne, ale nie do uniknięcia. Nie przyszedłem tu z własnej

woli. To nie tak.

- Ale sam pan sobie wybrał ten zawód.

- Tak.

- Dlaczego?

- Pozwól mi się zastanowić - powiedział Winter z uśmiechem.

- Ma pan czas do następnej wizyty - odparła. Nie widział, czy ona też się uśmiecha. Poczł powiew: wpadł do pokoju przez okno. Zobaczył chmurę nadciągającą od zachodu. Nagle pojawiła się na niebie.

Halders przeszedł się po całym domu. Teraz, gdy już tu nie mieszkał, wszystko wydawało mu się obce. Zamieszkali tu razem, a potem on się wyprowadził. Margareta z dziećmi została w domu, a on przeniósł się do mieszkania w mieście. Nie było to tanie rozwiązanie, ale tak było najlepiej. Dzięki temu dom mogli zachować dla dzieci. No i ona zarabiała lepiej niż on. Zarabiała.

Wczoraj Hannes i Magda zostali w domu, ale dziś poszli do szkoły. Halders wrócił do salonu. Zrobił kółko. Większość mebli kupili w tamtych czasach. Większość nadal tu stała. Jej już nie było, ale reszta została. Z tego co wiedział, Margareta nikogo sobie nie znalazła, ale nie wiedział wszystkiego.

Pytał dzieci o szkołę, o to, czy nie wolałyby zostać jeszcze parę dni w domu. Magda pierwsza powiedziała, że nie. Hannes milczał. Ani razu nie usiadł przy kuchennym stole. Halders musiał iść do jego pokoju.

- Zostaniemy tutaj? - zapytał, gdy tylko Halders wszedł. Leżał w łóżku.

Halders przysiadł na brzegu kołdry.

- Zostaniemy tutaj? W tym domu? Nie chcę się wyprowadzać.

- Jeśli chcesz tu zostać, to zostaniesz.

- Ty też będziesz tu mieszkał, tato?

Haldersowi zrobiło się zimno, gdy usłyszał to przerażające

pytanie. Nagle pomyślał o tym, jak bezbronne są jego dzieci, jak bardzo czują się opuszczone. Hannesowi wcale nie wydawało się oczywiste, że tata z nimi zamieszka, że wróci do nich na stałe.

Siedząc tak na łóżku syna, poczuł wszechogarniający smutek. Bezbrzeżny żal.

- Jasne, zamieszkamy razem - odpowiedział.

- Razem z Magdą?

- Naturalnie, że z nią.

- I zostajemy tutaj?

Halders pomyślał o swoim mieszkaniu. Swoim zasyfionym mieszkaniu. Teraz wydawało mu się jakby odległe. Dom nie należał już do niego, ale przecież na pewno coś da się z tym zrobić.

- Jakoś to załatwimy.

- Muszę iść do szkoły?

- Nie, mówiłem już, że nie.

- A Magda? Wróci do szkoły?

- Jeśli będzie chciała. A przed chwilą powiedziała, że chce.

Chłopiec usiadł. Nad jego łóżkiem wisiały plakaty grup hardrockowych, których Halders w ogóle nie znał.

- Zaczęła się już pierwsza lekcja po przerwie obiadowej?

- Jeszcze nie.

- No to mogę iść.

Zawiózł dzieci do szkoły. Potem wrócił i znowu krążył po domu. Zadzwoił do Wintera.

- Spotkałeś się z nią?

- Tak.

- I jak poszło?

- A ty? Jak się czujesz?

- Odpowiadasz pytaniem na pytanie.

- Chcę wiedzieć, co z tobą.

- Wszystko w najlepszym porządku.

- Daj spokój, do cholery.

- No, może nie w najlepszym, ale biorąc pod uwagę okoliczności.

- Co robisz?

- Łażę po domu, robię kółko za kółkiem. Będę się musiał tutaj przeprowadzić. Dzieci nie chcą się stąd wynosić.

- Zrób tyle kólek, ile chcesz. - Winter usłyszał westchnienie. - Jeanette Bielke kazała cię pozdrowić.

- Będę dziś w robocie - odparł Halders.

- Weź sobie parę dni wolnego.

- Nie.

- Nie mogę cię przecież powstrzymać przed powrotem.

- Jeśli coś się wali, to zawsze na linii frontu.

- Nigdy nie słyszałem takiego powiedzenia.

- Ale może będziesz chciał posłuchać tego: przyszło mi do głowy coś, co się wiąże ze śmiercią Angeliki. Coś, o czym nie gadaliśmy.

- Nie możemy tego obgadać teraz? Przez telefon?

- Będę w robocie. To może godzinę poczekać.

- W takim razie musimy to odłożyć do popołudnia. Za pół godziny mam spotkanie z rodzicami Beatrice.

- To oni się do ciebie odezwali?

- Nie, ja do nich.

Dojechała rowerem do domu. Rozwiesiła wilgotne ręczniki na sznurze rozpiętym za domem. Za albo przed, jeśli ktoś chciał wejść kuchennymi drzwiami. Ona właśnie tak zrobiła.

W środku panowała cisza. Gdyby nie chciała nigdzie wieczorem wychodzić, miałyby dom dla siebie. Mogłyby chodzić z piwem albo kieliszkiem wina i wdychać zapachy, które wraz z nadejściem nocy zaczną wpadać przez otwarte okna. Na zewnątrz było tyle zieleni, że cudownie było krążyć po domu, przyglądać się i wahać.

Wzięła prysznic. Wchodząc do sypialni, zauważyła, że miga światelko na automatycznej sekretarce. Odsłuchiwała nagranie i od razu oddzwoniła.

- Byłam pod prysznicem.
- Mhm....
- Dzwoniłeś wcześniej? Odebrałam, ale nikt się nie odezwał.
- Nie.
- No to o co chodzi?
- Możesz przyjść wieczorem?
- Nie wiem... Nie dam rady.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Jestem jakaś rozbita.
- Tu też możesz być rozbita. No, powiedzmy, że rozbita.
- To po drugiej stronie miasta.
- Weź taksówkę.
- Za drogo.
- Ja stawiam.
- Nie.
- Obiecuję.
- Nie o to mi chodziło. Po prostu mam dziś ochotę posiedzieć w domu. Wyluzuj.
- Dobra.
- Nie jesteś zły?
- Będziesz tego żałować.
- Jesteś zły?
- Tak.
- Naprawdę?
- Nie.
- Możemy się przecież spotkać jutro.
- Wykluczone.
- Nie wierzę.
- Zadzwonię.

KIEDY WINTER WYCHODZIŁ Z KOMENDY, padało. Wciąż było ciepło, powietrze było cięższe. Od razu poczuł na czole

krople potu. Deszcz był jak wilgoć osadzająca się u nasady włosów. Czuć było zapach trawy rosnącej przy parkingu. W kilka minut zrobiła się bardziej zielona. Padało pierwszy raz od miesiąca.

Nagle ruch uliczny zaczął brzmieć inaczej. Opony świs tały na mokrym asfalcie. Dźwięki wydawały się bardziej miękkie.

Kolory były bardziej wyraziste niż wcześniej, kiedy jechał przez centrum. Niewiele osób miało na sobie kurtki przeciwdeszczowe. Stał na czerwonym. Trzech chłopaków bez koszulek tanecznym krokiem przebiegło przez Allén. Jeden pokazał mu uniesiony kciuk. Winter skinął głową przez szybę mercedesa.

Minął tunel, potem odbił, żeby ominąć korek, i mniejszymi ulicami dojechał pod dom. Kiedy wysiadał, już nie padało. Nie było czuć wiatru. Mimo że w samochodzie działała klimatyzacja, plecy miał wilgotne.

Z zewnątrz dom jak zwykle wyglądał przygnębiająco. Ostatnim razem był tu przed dwoma laty. A może tylko rok temu? Nadal utrzymywał kontakt z rodzicami Beatrice. Birgersson też, ale jakimś cudem Winter potrzebował tego bardziej. Może poza względami zawodowymi kierowało nim poczucie obowiązku. Morderca ich córki wciąż był na wolności. A oni już na zawsze zostali więźniami tej zbrodni, niewolnikami wspomnień i żalu. Na zawsze zamknięci w tym ceglanym domu skrytym w mroku i mgłę. Okna były ciemne, drzwi zamknięte. Otworzyły się, kiedy tylko Winter znalazł się kilka kroków za furtką. Bengt Wägner wyszedł, zamykając za sobą drzwi, i uściśnął Winterowi dłoń.

- Lisen nie wyjdzie - powiedział Wägner. - Leży. To wszystko wróciło.

- Przykro mi.

- To nie pana wina.

- Przecież dzwoniłem. Pewnie właśnie potem.

- Nie możemy udawać, że to się nie stało - powiedział



Wagner. Przeszedł kilka kroków po trawniku; trawa z powodu upałów przestała rosnąć, ale teraz znowu odzyskała kolor. - Dla Lisen najlepszym wyjściem jest przeżywanie smutku. Jeśli sobie na to nie pozwoli, może być tylko gorzej. I to gorzej za każdym razem. - Spojrzał na Wintera. - Więc znowu do tego doszło?

Winter skinął głową.

- W tym samym miejscu.

- Tak.

- Dokładnie w tym samym?

- Na to wygląda.

- I napadnięto jeszcze inną dziewczynę?

- Tak.

- Ją też zgwałcił?

Winter znowu kiwnął głową.

- Ale w mieście jest pewnie więcej gwałcicieli na wolności?

- Zależy, jak liczyć, ale całkiem sporo - odparł Winter.

- A wśród nich jest ten jeden szczególnie - stwierdził Wagner.

- To hipoteza.

- Czy to rozsądne opierać się na niej?

- Tak sądzę.

- Co na tym zyskacie? - Wagner parsknął, jakby się zaśmiał bez wesołości.

- Co my na tym zyskamy?

Winter zapalił cygaretkę. Wypuścił dym i patrzył, jak miesza się z powietrzem. Teraz, gdy ostatnia porcja wilgoci opadła z nieba i wsiąkła w trawnik, na którym stali, zaczynało się robić coraz bardziej rześko.

- Jeśli dostrzeżemy jakiś związek między tymi sprawami, może nam to pomóc. Może nam to bardzo pomóc.

- Jak? Jaki to by miał być związek?

Winter znowu się zaciągnął. Wagner przyjął cygaretkę, którą Winter go poczęstował. Właśnie ją zapalał.

- Może się okazać, że ten, kto zabił Angelikę, zabił również

Beatrice. Zarówno pan, jak i ja będziemy wreszcie mogli przestać myśleć o tym, że jest na wolności. Dla pana to dziesięć tysięcy razy gorsze, ale i ja nie mogę o tym zapomnieć.

- Ale jakiego związku można się dopatrzeć, znowu babrząc się w tej cholernej sprawie? - zapytał Wägner, przyglądając się, jak dym z jego cygaretki szybko rozplywa się w powietrzu.

- Jeśli te sprawy coś łączy, dowiemy się co - powiedział Winter. - I właśnie to nam pomoże.

- Ale co takiego miałyby to być? Co takiego mogłoby mieć jakieś znaczenie?

- Wszystko.

- Przecież sto razy pan czytał wszystkie akta, raporty i całą resztę. W kółko je pan czyta. Chyba nie mógł pan nic przeoczyć?

- Nie miałem ich z czym porównać.

- No tak, rozumiem, ale na pewno jest mnóstwo wątków, które są wspólne, ale nic nie znaczą. To przecież trzy dziewczyny w tym samym wieku. Może miały takie same zainteresowania, może lubiły takie same rozrywki. Może lubiły te same miejsca w mieście, może te same. może można je było spotkać w tej samej dzielnicy. Mówił pan przecież, że te trzy dopiero co skończyły liceum. - Wägner wzruszył jednym ramieniem i machnął ręką. - Mój Boże, przecież tych wspólnych motywów jest mnóstwo. Musi ich być dużo. Kiedy pan czyta i porównuje, skąd pan wie, co jest ważne, a co nie?

- Mogę tylko mieć nadzieję, że to wiem.

- Nadzieję? Czy tylko na tyle możemy mieć nadzieję?

Winter się roześmiał i znowu zapalił.

- Są dość mocne - powiedział Wägner, spoglądając na długie, cienkie cygaretki. - Parę miesięcy temu chciałem sobie kupić paczkę, ale okazało się, że już ich nie ma.

- Najwyraźniej tylko ja je palę - odparł Winter. - A kiedy

przestaną je produkować, dam sobie spokój z paleniem.

- Ale nie ze sprawą Beatrice?

- Nigdy.

- Czy znajdzie pan. my. czy znajdziemy tego drania?

- Tak.

- To znowu tylko nadzieja.

- Nie. Kiedy skończy się lato, będziemy go mieli.

- Lato może trwać długo - powiedział Wägner, spoglądając w niebo.

Winter zadzwonił. Wciąż stał na trawniku Wägnera. Halders odebrał po czterech sygnałach. Potem pojechał z powrotem na wschód, do Lunden, i kierując się wskazówkami Haldersa, odszukał dom. Przed wejściem stał samochód Hal dersa. Zaparkował za nim.

- Mogłem podjechać na komendę - powiedział Halders. Czekał na niego przy furtce.

- I tak byłem w mieście - odparł Winter.

- Co za wspaniały, zapewniający swobodę zawód.

- Masz coś do picia?

- Może być słabe piwo?

Winter skinął głową i ruszył za Haldersem do domu.

- Nie byłem tu cztery lata, albo i dłużej.

- Ani razu?

- Tylko przy furtce. - Halders wyciągnął z lodówki puszkę. - Proszę.

Winter otworzył i napił się.

- Mogę ci dać szklankę.

Winter pokręcił głową i wypił kolejny łyk. Kuchnia była jasna. W zlewie nie piętrzyły się niepozmywane naczynia. Na blacie nie było okruszków. Nad stołem wisiał oprawiony plakat z lat sześćdziesiątych, reklamujący pastę do zębów. Już jej nie było na rynku. Koło telefonu, przy którym stał, wisiał kalendarz. Stara data

- nikt nie wrywał z niego kartek. Winter wiedział, jaki to

dzień, nie musiał liczyć.

- Z jej ojcem coś jest nie tak - powiedział Halders. - Z ojcem Jeanette.

- Co masz na myśli?

- Albo między nimi coś jest nie tak. W każdym razie coś tam jest na rzeczy.

- Możesz mówić jaśniej?

- Przecież w kilku punktach jej zeznania nie zgadzają się z jego. Ta noc, kiedy wróciła do domu. Kiedy to się stało.

Winter czytał zeznania i zauważył różnice. Nie musiały oznaczać, że któreś z nich kłamie. Przynajmniej nie świadomie.

- Zastanawiam się, kto kłamie - powiedział Halders. - Myślę, że ona. On o tym wie, ale nie chce nic powiedzieć.

- To nic nadzwyczajnego.

- Musimy ich mocniej przycisnąć.

- Jeśli już, to jego. - Winter napił się znowu, opróżnił puszkę.

- Jeanette

musi się jeszcze trochę zastanowić. Musi chwilę od nas odpocząć.

- Zastanawiam się, kiedy ona wróciła do domu - powiedział Halders. - Bo nie o tej godzinie, którą nam podała. - Podeszedł do lodówki i wziął jeszcze jedno piwo. - Ale czemu on nic o tym nie mówił? Nie sądzę, żeby wtedy spał.

Mieli świadka. Twierdził, że widział Jeanette Bielke wracającą do domu o świcie. Trzy godziny później, niż zeznała.

- Ona jest kluczem - dodał Halders. Spojrzał na Wintera i podeszedł bliżej.

- Jeanette Bielke jest w tej sprawie kluczem. Gdzieś była tego wieczoru, ale nie chce o tym powiedzieć.

Kluczem, pomyślał Winter. Jednym z kluczy.

- Może jej ojciec wie - powiedział Halders.

- Musimy go przesłuchać jeszcze raz.

- Ja go przesłucham.

Winter widział napięcie na jego twarzy. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale tym razem Halders wyglądał jakoś inaczej. Było z nim źle jak nigdy, ale od dawna nie wydawał się taki pozbierany. Jakby wreszcie przestał udawać, że wszystko z nim w porządku, jakby wreszcie przyszło mu się zmierzyć z prawdziwymi problemami, pomyślał Winter. To było coś więcej niż zwykły przesycony cynizmem pesymizm gliniarza. Pytanie tylko, jak to wpłynie na jego pracę. Jak zareaguje w krytycznej sytuacji? Jeśli podejmie złą decyzję, może doprowadzić do tragedii.

Czy powinien na razie dać mu wolne? Co powinien zrobić? Może samo się okaże?

- Jest jeszcze coś, nad czym myślałem, krążąc po domu - powiedział Halders, siadając przy stole. - Ty też usiądź. - Winter usiadł. - Dlaczego nie znaleźliśmy chłopaka, który zrobił dziecko Angelice Hansson?

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć, Fredrik.

- To było pytanie retoryczne.

- Nikt z jej znajomych nie wie - powiedział Winter. - Nikt z tych, których pytaliśmy. Albo nikt nie chciał powiedzieć.

- To dziwne, do cholery.

- Może trzymała to przed wszystkimi w tajemnicy.

- A może i przed samą sobą?

- Mogła nie wiedzieć, że jest w ciąży - odparł Winter. - Albo to wyprzeć.

- W gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Ale on musi gdzieś być. Ojciec, czy jak go tam, do cholery, nazwać.

- Ktoś ze znajomych wie - stwierdził Winter.

- Chyba miała przyjaciółkę?

- Według rodziców nie.

- Rodzice nie mają pojęcia, co robią ich dzieci. Dla nich jeszcze niedawno były takie małe. - Halders spojrzał na Wintera. - Mam rację?

- Masz rację. Może rodzice w roli świadków nie zawsze są najlepszym źródłem informacji - powiedział Winter z bladym uśmiechem.

- Będzie do dupy, jeśli nie znajdziemy tego chłopaka. Musimy go znaleźć.

- Halders się skrzywił. - On też miał zostać rodzicem.

Było do dupy. Jadąc z powrotem na komendę, Winter zrozumiał, jakim wyzwaniem jest ta sprawa. Skoncentrowali się na szukaniu chłopaka Angeliki, czy kim on tam dla niej był, ale się nie udało.

Może rozwiążą tę zagadkę w chwili, kiedy znajdą ojca dziecka, którego Angelika nie zdążyła urodzić. Może to on ją zabił. Może to szalenięc.

Niewykluczone, że wszystko to jest takie proste.

A Beatrice zabił ktoś inny.

A Jeanette zgwałcił jeszcze kto inny.

Nie.

Zaparkował i po pięciu minutach był u siebie, na górze. Na podłodze pod oknem, które zostawił otwarte, widać było jeszcze krople deszczu.

Zadzwoił telefon.

- Mamy nowego świadka - powiedział Bergenhem.

- Tak?

- Chodzi o. a tak, zabójstwo Angeliki Hansson. Jakiś koleś twierdzi, że tamtej nocy, przechodząc koło parku, usłyszał jakiś dziwny odgłos.

- Czas się zgadza?

- Tak.

- To co słyszał?

- Mówi, że świst. Świst, który się powtórzył kilka razy.

- I co zrobił?

- Poszedł dalej. Dostyc szybko zresztą.

- Nie był zbyt ciekawski.

- Myślał, że to borsuk, i się wystraszył.

Winter go rozumiał. Kiedyś sam na spokojnej ulicy spotkał borsuka. Zwierzak gonił go potem sto metrów. Winter wyraźnie czuł za plecami zbliżające się zagrożenie.

- Ale teraz sądzi, że to jednak nie był borsuk?
- Obejrzał wiadomości - powiedział Bergenhem.
- I to go przekonało?
- Na to wygląda.
- Świadcowie zgłaszają się jeden po drugim.
- Ale niektórych wciąż nie mamy.
- Tak, zwłaszcza tych sprzed pięciu lat.

Wieczorem poszli do parku. Angela jadła loda, a Winter pchał wózek ze śpiącą Elsą. Obudziła się, gdy mijali grupę na rolkach.

- I tak już pora na ciebie - powiedziała Angela, podnosząc ją. Mała sięgała po loda. - Nie musimy wyciągać wobec nich konsekwencji prawnych.

- Ma ochotę na loda.
- Nie mam przy sobie pieniędzy.
- Dobrze, że ktoś z nas ma - stwierdził Winter i z Elsą na rękach poszedł do budki z lodami. Była już zamknięta. Chłopak, który sprzedawał lody, wsiadał właśnie na rower. Winter przez chwilę się zastanawiał, czyby go nie poprosić, żeby otworzył jeszcze na chwilę.

Elsa zrozumiała, że nie dostanie loda. Wcale jej to nie ucieszyło.

- Trzeba ją czymś zająć - powiedziała Angela, kiedy wrócili.
- Było już zamknięte.
- To wymyśl coś innego.

Winter zaniósł Elbę do sadzawki i ostrożnie zamoczył jej stopy. Płacz zamienił się w śmiech. Znowu je zanurzył i wymamrotał jej coś do ucha, a potem podniósł wzrok i spojrzał na drugi brzeg. Wszystko wyglądało znajomo. Widział niewielki placyk otoczony kręgiem krzewów, drzew i kamieni połyskujących w ostatnich promieniach słońca.

Z prawej, tuż przed ciemnymi zaroślami, widać było cień. Stał bez ruchu. Winter też zamarł. Zmienił pozycję dopiero, gdy poczuł, że Elsa zaczyna się wiercić. Nie spuszczał wzroku z cienia. Miał kształt człowieka, zwłaszcza teraz, kiedy zachodzące słońce sięgało głębiej, niczym reflektor. Rzeczywiście okazał się człowiekiem, poruszył się. Winter usłyszał, że Angela coś mówi tuż za nim. Wyciągnął Elbę z wody i bez słowa posadził ją w jej ramionach. Kiedy schowany za krzakami prawą stroną okrążył sadzawkę, słyszał jej płacz. Dobiegł do alejki po drugiej stronie zarośli - zobaczył przejście między drzewami i szczelinę w skale. Słońce już ich nie oświetlało. Minął spacerującą młodą parę i przedarł się przez krzaki. Patrzył na drzewa i cały ten obrzydliwie znajomy widok. Poczul, jak puls mu skacze, gdy próbował namacać broń. Została w szafce, daleko stąd.

## 11

KIEDY DOTARŁ NA MIEJSCE, nikogo już nie było. Widział przejście między drzewami, skałę, gałęzie, krzaki rosnące po bokach i zmierzchające niebo, ale cienia nie było. W grocie było pusto, nie czuł żadnego zapachu. Trawa znów była sucha jak pieprz. Szukanie odcisków stóp nie miało sensu. Miał jednak zamiar kogoś ściągnąć, kogoś, kto mógłby zbadać ewentualne ślady. Nigdy nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo, powtórzył w myślach. Okrążył przesiekę, a potem szybko przeszedł pięćdziesiąt metrów biegnącą na tyłach ścieżką. Angela i Elsa już tam były. Elsa siedziała w spacerówce. Schylony przedzierał się przez chaszczę, a ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Następnym razem, jak będziesz się chciał bawić, powiedz nam, zanim zaczniesz - powiedziała Angela. - Chyba że chcesz się schować, a potem sam się szukać.



Winter strzepnął z ramion igły i sięgnął po paczkę cygaretek. Nie było jej w szerokiej i luźnej kieszeni koszuli.

- Odpowiedni moment na rzucenie palenia - stwierdziła Angela, widząc ten gest.

Winter zauważył paczkę na ziemi, tam, gdzie się schylał. Większość cygaretek wypadła, ułożyły się w luźny półokrąg. Podeszedł i podniósł paczkę. Kiedy zbierał cygaretki, jedną po drugiej, przy przedostatniej zauważył guzik. Zwykły guzik, biały albo kremowy, od koszuli.

Znaleźliby go, gdyby tu leżał, kiedy ogrodzili teren po zabójstwie Angeliki. I po gwałcie na Jeanette.

Potem mógł go zgubić ktokolwiek, kto tędy przechodził.

- Masz może chusteczkę higieniczną? - zapytał, odwracając się do Angeli. Wciąż kuczał.

Angela wyciągnęła z torby chusteczkę, Winter zawinął guzik.

- Co to?

- Guzik.

- Ach tak?

- Guzik od koszuli. Tak sędzę.

- Aha. Właśnie miałyśmy okazję zobaczyć cię w pracy. - Angela zwróciła się do Elsy. - Tak pracują detektywi. Patrz i ucz się.

- Chcesz, żeby Elsa prowadziła śledztwa? - zapytał Winter, znowu się pochylając, tym razem nad wózkiem. Elsa zagaworzyła. - Powiedziała detektyw.

- Nie, powiedziała bez perspektyw. - Angela spojrzała na niego z uśmiechem. - Zapewne chodziło jej o to, że trzeba mieć jakieś perspektywy w życiu prywatnym i zawodowym. - Powędrowała wzrokiem w stronę zarośli. - Czy teraz tak będą wyglądać nasze wieczorne spacerunki?

- Wydawało mi się, że kogoś widziałem.

- Dobry Boże.

- To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

- Z pewnością.

- Ktoś tu stał. I nie był to jakiś przypadkowy włóczęga.  
- Nie zapomnij o guziku. - Zobaczyła, że jego spojrzenie nagle pociemniało. Tu, między drzewami, było chłodniej. Elsa próbowała wydostać się z wózka. Winter jej pomógł. - Przepraszam, Erik. Wiem, że to ważna i poważna sprawa. I straszna. Ale nie mogłam się oprzeć, żeby trochę z ciebie nie pożartować.

- Śmiało.

Podniósł Elbę i wrócili do sadzawki.

- Myślisz, że, że on wraca na miejsce zbrodni?

- Tak.

- Chodzi ci o to, że zawsze tak jest?

- Tak mi mówi doświadczenie. Własne i innych.

- I ten cień, który widziałeś, to mógł być on?

Winter wzruszył ramionami.

- Kiedy go zobaczyłem, miałem wrażenie, że to ktoś. ważny. Ważny dla sprawy. - Spojrzał na nią. Stał z Elszą na rękach. - Cholera, teraz już nie jestem taki pewny.

- Lela - powtórzyła za nim Elsa.

- Co to jest życie prywatne? - powiedział Halders do Anety Djanali. Siedziała obok niego w samochodzie zaparkowanym przed willą Hanssonów. Czula wpadający przez otwarte okno zapach morza.

- W którym momencie życie przestaje być prywatne? - zapytał, odwracając się w jej stronę. - Ja sam nie potrafię już rozróżnić własnych żyć.

- No nie.

- Teraz i ja zaczynam filozofować? - Zaśmiał się. - Prywatny filozof. - Znów się zaśmiał, jeszcze krócej i bardziej sucho. - Filozof amator.

Powinien siedzieć w domu, pomyślała Aneta. Dlaczego Winter go nie odsunie od śledztwa? Albo Birgersson? Łatwiej byłoby to zrobić Birgerssonowi.

- Wiem, co myślisz. Że powinienem na trochę zostać w

domu - powiedział Halders. - Właśnie się nad tym zastanawiasz.

- Zgadza się.

- Rozumiem, ale nie masz racji. - Halders otworzył drzwiczki. - Ze smutkiem można sobie radzić na wiele sposobów. - Postawił jedną nogę na asfalcie. - Jeśli zauważę, że dzieci nie chcą chodzić do szkoły albo mają inne problemy, oleję robotę. Ale dopiero wtedy. - Stał już na zewnątrz, pochylił się do Anety. - Idziesz?

Lars Olof i Ann Hansson siedzieli na przeciwnych krańcach sofy. Aneta i Halders w fotelach naprzeciwko nich. Wygląda na całkowicie załamana, pomyślała Aneta, patrząc na matkę Angeliki, która odwróciła się w stronę ogrodu, jakby chciała się przyjrzeć wszystkim odcieniom zieleni za oknem.

Lars Olof Hansson wpatrywał się w blat stołu.

Za nimi stało coś w rodzaju regału na książki. Na jednej z półek widać było świeżo zrobione zdjęcie Angeliki. Biała studencka czapka kontrastowała z ciemną skórą. Jest jeszcze ciemniejsza niż ja, pomyślała Aneta.

Lars Olof Hansson zauważył jej spojrzenie i odwrócił się.

- To sprzed zaledwie pięciu, sześciu tygodni.

Aneta skinęła głową.

- Pojawiła się w naszym życiu, gdy jej matka miała tyle lat co ona teraz.

- PRZESTAŃ - powiedziała głośno jego żona. Wstała i szybko wyszła z pokoju.

- No tak, niepotrzebnie to powiedziałem - stwierdził bezbarwnym głosem. Spojrzał na Anetę. - Pani się tutaj urodziła?

Facet jest pogrążony w żałobie, pomyślał Halders. Może mówić, co chce i kiedy chce, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Ze smutkiem można sobie radzić na wiele sposobów.

- Tak, tutaj - odpowiedziała Aneta. - W szpitalu Östra. Ale

moi rodzice pochodzą z Afryki.

- A skąd?

- Z Górnej Wolty. Taka była oficjalna nazwa, kiedy wyjechali do Szwecji. Dziś to Burkina Faso.

- Aha. - Hansson znów spojrzał na blat, a potem podniósł wzrok. - Była tam pani kiedyś?

- Tak.

- I jak było?

- Cóż, nie było to jakieś niesamowite przeżycie. Przynajmniej nie takie, jakiego się spodziewałam - odparła. Przesłuchanie zeszło na inny tor, ale niech tam. - Ale chciałam tam pojechać.

- Angelika też chciała - powiedział Hansson. W tej samej chwili do pokoju weszła jego żona.

- Nic już nie mów, Lasse. - Spojrzała na niego z takim wyrazem twarzy, jakiego Aneta jeszcze nigdy nie widziała.

Hansson nagle zaczął sprawiać wrażenie zupełnie bezradnego. Jakby się topił, pomyślała.

- Do Ugandy - dodał. Na tym musieli zakończyć temat pochodzenia Angeliki Hansson i Anety Djanali.

- Mamy pewne trudności z odtworzeniem drogi, jaką szła Angelika, wracając do domu - powiedział Halders.

- Co mogę na to poradzić? - Hansson stał przy drzwiach do altany ogrodowej, pochylał się w stronę ściany. - Powiedziałem już wszystko, co mi przyszło do głowy. Wszystko, co wiem.

- Dlaczego przez kilka godzin była w mieście sama? Bez towarzystwa?

- To wy tak twierdzicie.

- Nikt spośród tych, z którymi rozmawialiśmy, nie spędził z nią tych kilku godzin wieczorem czy też na początku nocy.

- Powiedziałem wszystko, co wiem - powtórzył Lars Olof Hansson.

- Ale co ona robiła? - zapytał Halders.

- Nie wiem, mówiłem już.
- Czy możliwe, żeby dostała gdzieś pracę?
- Pracę?
- Pracę wakacyjną. Pracę - powtórzył Halders.
- Gdyby tak było, na pewno by nam o tym powiedziała.
- Czy wcześniej się zdarzało, żeby wychodziła do miasta sama?

- A czy to, do cholery, takie dziwne?

- Zdarzało się?

- Nie śledziłem jej przecież.

Halders czekał. Widział, że Hansson jeszcze nie skończył.

- Ona dużo myślała o swoim pochodzeniu - dodał w końcu. -

Czuła się zagubiona. Sam nie wiem, jak to określić. -

Spojrzał na żonę, ale nie odzywała się.

- Wyglądało na to, że ten problem narastał. Może chodziła sama i rozmyślała o tym. Nie wiem.

- Była przygnębiona?

- Nie wiem - powtórzył. - Nie wiem, do cholery.

- A co z jej chłopakami? - zapytała Aneta.

Ann Hansson podniosła wzrok. Aneta zwróciła się do niej.

- Na pewno. ostatnio sporo państwo o tym myśleli. - Ann

Hansson przytaknęła. Nagle Aneta zobaczyła na jej twarzy taką samą bezradność, jaka przed chwilą malowała się na

tworzy jej męża. Dokładnie tę samą niemoc.

- Nie robiliśmy nic innego.

Aneta czekała. Zgodnie z nowoczesną kognitywną metodą prowadzenia przesłuchań chciała im dać jakieś wskazówki, ale nie miała żadnych.

- Nie było żadnego chłopaka - powiedziała Ann Hansson. -

Przynajmniej my o żadnym nie wiedzieliśmy.

- Poruszaliście ten temat? - zapytała Aneta.

- Czy poruszaliśmy? Ja. z Lassesem?

- Państwo z Angeliką - wyjaśniła Aneta, robiąc ruch w jej stronę. - Pani z Angeliką.

- Tak, cóż mogę powiedzieć... Oczywiście, że o tym rozmawialiśmy. Ale ona jeszcze nie była w żadnym. stałym związku - powiedziała Ann Hansson i zaczęła cicho płakać. Pierwszy raz, odkąd przyszli. - Tak trudno uwierzyć w tę sprawę z ciążą. To jak jeden koszmar w drugim.

- To żaden koszmar - stwierdził jej mąż. - To się dzieje naprawdę. - Spojrzał na żonę. - Przecież musimy to sobie powiedzieć.

Bergnhem siedział w pokoju Wintera. Było wpół do dziesiątej rano. Nad nimi szumiała wentylacja. Bergnhem był opalony - wolne godziny spędzał nad morzem, na północnym zachodzie. Już dawno nie wyglądał na tak silnego, pomyślał Winter. Silnego i spokojnego.

- Może jednak miała chłopaka - powiedział Bergnhem. - Dziś rano złapałem jej koleżankę. Wczoraj wróciła z Paryża. Widziała kiedyś Angelikę z jakimś kolesiem. I to parę razy. - Bergnhem zajrzał do notatnika, po czym podniósł wzrok. - Dwa razy. Po zebraniu dostaniesz wydruk protokołu.

- Więc mamy chłopaka.

- Tak. Widziała go z Angeliką dwa razy. Raz w kawiarni, w której się z nią umówiła, a raz z tramwaju, jak szli ulicą. - Bergnhem popatrzył na Wintera. - W kawiarni chłopak już się zbierał, więc powiedzieli sobie tylko cześć.

- Widziała go tylko te dwa razy?

- Tak.

- Nigdy nie widziała go samego? Albo z kimś innym?

- Nie.

- A co powiedziała Angelika?

- Nie rozmawiały o tym.

- Aha.

- Oczywiście zapytała, ale Angelika nie powiedziała ani słowa.

- Jak nie powiedziała ani słowa?

- Nie rozumiem.

- Roześmiała się czy wyglądała na zmartwioną, przestraszoną, wściekłą albo zawiedzioną? Czy na jaką?

- Właściwie to nie wiem.

- Dowiedz się.

- Jasne.

- I ta koleżanka nie rozpoznała chłopaka?

- Nie.

- Kiedy znów się z nią spotkasz?

- Teraz, przed południem. Po prostu najpierw chciałem pogadać z tobą.

- Dobra. Spotkacie się z nią ty i Bertil.

Berghem kiwnął głową.

- Chcę go szybko znaleźć - powiedział Winter. - Przecież gdzieś jest.

Ale nie mogli go znaleźć. Mimo wielu rozmów nie posunęli się ani o krok dalej. Wydawało się, że mogą liczyć tylko na to, że koleżanka Angeliki, Cecilia, zauważy go gdzieś w mieście.

Opisała, jak wyglądał.

Minął kolejny dzień. Chcieli ogłosić, że go poszukują, ale nie mieli żadnych konkretów. Nie sporządzono jeszcze portretu pamięciowego.

- Gdyby był w kraju, odezwałby się - stwierdził Bertil Ringmar na przedpołudniowym zebraniu.

Szef Wintera, starszy od niego, siedział z boku. Z tygodnia na tydzień będzie nas coraz mniej, pomyślał Winter. Z jednego nieprzynoszącego żadnych rezultatów tygodnia na drugi. Ale nie wiadomo, czy wcześniej nie dostaniemy czegoś w rodzaju klucza z odpowiedziami.

- Rozrysowaliśmy już krąg jej znajomych?

- Przesłuchaliśmy wszystkich, o których wiemy - powiedział Ringmar. - A przynajmniej tych, którzy są w domu. A sprawdzamy to skrupulatnie. Trochę trudniej sprawdzić tych przebywających za granicą.

- Może to było przypadkowe spotkanie? - zasugerowała

Aneta Djanali. - To nawet nie musiał być ten sam chłopak. Ta koleżanka, Cecilia, mogła się pomylić.

- Dlaczego Angelika nic o tym nie powiedziała? - dodał Bergenhem. - O tym spotkaniu czy też spotkaniach. O nim. Albo o tym, że za drugim razem to był ktoś inny. Choć nie sądzę. Przecież mogła po prostu powiedzieć.

Może on nie żyje, pomyślał Halders. Może chłopak jest martwy.

Kiedy zasnęła, zadzwonił telefon. Odpowiedziała zaspanym głosem.

- Tak?

- Chyba jeszcze nie spałaś?

- Właściwie tak. - Podniosła się. Za oknem było już prawie ciemno, musiał być środek nocy. Przez otwarte na oścież okno do pokoju wpadał zapach kwiatów i wodorostów.

- Jaka szkoda.

- Czego chcesz?

- Możesz jutro popracować? Jeszcze tylko ten jeden raz?

- Mówiłam już, że nie chcę.

- Anne.

- Nie.

- Dobra już, dobra.

- Nie dzwoń tu więcej.

- Zobaczę, może jeszcze zadzwonię.

Wystraszyła się. Ten strach było słyszeć w jej głosie. Wiedziała, że on wie.

- Nie masz się czego bać - powiedział. - Ale chcę, żebyś jutro przyszła.

- Nie chcę pracować. I nie boję się. Czego miałabym się bać?

- Po prostu przyjdź. Musimy o tym pogadać.

- Nie ma o czym. Już ci mówiłam.

- Taa...

- Sto razy.

- W takim razie do zobaczenia.



Winter zwołał konferencję prasową. Przyszło tylu dziennikarzy, ilu przychodzi zazwyczaj, kiedy chodzi o brutalny gwałt. Rozumiał to, ale nie lubił konferencji prasowych. Nie miał wyrobionego poglądu na temat dziennikarzy jako takich - po prostu robią swoją robotę, jedni lepiej, inni gorzej.

Czasami potrzebował mediów, tak jak one jego.

Tym razem potrzebował ich bardziej niż kiedykolwiek. Jeszcze o tym nie wiedział, ale czuł, że tak może być. Ta ledwo uchwytna myśl tliła mu się w głowie, gdy przedstawiał dziennikarzom techniczne szczegóły dochodzenia.

## 12

ZAPARKOWAŁ PRZED RESTAURACJĄ NOON i przeszedł przez skrzyżowanie. Od dawna nie szedł Bellmansgatan, chociaż to tak niedaleko domu. Ile to już lat? Dwadzieścia? Dziesięć? Ulica jak zwykle chowała się w cieniu kamiennych fasad. Może ostatnio szedł tędy tamtego słonecznego czerwcowego dnia w 1979 roku, kiedy tłoczył się wraz z innymi maturzystami przed budynkiem prywatnego liceum Sigrid Rudebeck. Bal maturalny. Świadectwo dojrzałości. Nie miał białej czapki akademickiej. Cała reszta klasy miała, tylko on nie, on i Mats, który pięć lat temu umarł na zapalenie płuc czy może raczej na AIDS. Był na jego pogrzebie, na wyspie, na szkiełach. Brakowało mu go. Myślał o nim, mijając drzwi i wchodząc do hallu, który wyglądał tak samo jak kiedyś - podłoga była tak samo zdeptana, identyczne były klatka schodowa, dziedziniec z tyłu i plakaty ponaklejane na ścianach, jeden nad drugim.

Teraz, latem, brakowało tu tylko biegania po schodach, grupkę zbierających się pod wiszącymi na ścianach tablicami, mieszejących się ze sobą głosów i wspinalczki do klas znajdujących się na piętrze.

Co jeden to mądrzejszy, pomyślał, choć nie był to sprawiedliwy osąd. Sam był kiedyś na ich miejscu. Nie musiał być zgorzkniały tylko dlatego, że nie udało mu się zostać nikim więcej niż gliną, pomyślał, oglądając swoje odbicie w szybie biblioteczki. Nie każdemu się w życiu powodzi, dodał, chyba z uśmiechem. Czuł zapach nagrzaných słońcem książek.

Gabinet dyrektora nadal znajdował się na parterze, po lewej. Kiedy wszedł, zobaczył odwracającą się w jego stronę twarz. Wyglądała znajomo, kojarzył ją jak przez mgłę. Upływ czasu sprawił, że rysy były nieco obwisłe - twarz wydawała się szersza i cięższa, ale to był on - Gustaw Hjalte. Siedział w dyrektorskim fotelu, ale dwadzieścia trzy lata temu, podczas lekcji szwedzkiego, zajmował miejsce przy katedrze. Miał wtedy mniej lat niż ja teraz, pomyślał Winter i od razu w starszym mężczyźnie zobaczył tamtego młodego faceta. Nie widzieli się przez wszystkie te lata. Nie było żadnych spotkań klasowych. Żadnych ustawek na mieście. Czy to nie dziwne? Nie przechodził wprawdzie nigdy obok szkoły, ale bywał w tej okolicy.

Hjalte się uśmiechnął i wyszedł zza biurka.

- Miło było znowu cię usłyszeć, Erik. - Ucisnął mu dłoń. - Choć może brzmi to niezręcznie, zważywszy na okoliczności.

- Ależ nie.

- Czasami nie wiadomo, co powiedzieć.

- Przecież słowa są pańską domeną, panie profesorze, słowa i język szwedzki.

- Czasem się nad tym zastanawiam. Po paru latach spędzonych na tym stanowisku zajmuję się raczej cyframi. Obawiam się, że administrowanie nie ma zbyt wiele wspólnego ze słowami. Czasem sam nie wiem, czemu to robię. - Wskazał Winterowi krzesło. Wyglądało na nieprzeciętnie niewygodne. Unikał długich wizyt. - Mniej słów, więcej cyfr. - Spojrzał na Wintera. - Kiedy byłem twoim

wychowawcą, wszystko wyglądało inaczej. - Znów się uśmiechnął. - A propos, proszę, możesz mówić.

Winter skinął głową.

- Czasem czytam o tobie w prasie - dodał Hjalte.

- Nic złego, mam nadzieję.

- Przeciwnie.

- Wolałbym, żeby w ogóle o tym nie pisali.

- Chodzi ci o to, żeby w ogóle nie było żadnych przestępstw?

- Czy to by nie oznaczało, że żyjemy w społeczeństwie idealnym?

- Wtedy ty byłbyś bez pracy.

- To ofiara, którą jestem gotów ponieść.

- Niestety, dobrze wiesz, że pracy masz aż nadto i że to się nie zmieni.

- Niestety.

- I właśnie to cię tu dziś sprowadza.

- Tak, Jeanette Bielke.

- Mówiłeś mi o niej. Biedna dziewczyna. Nic nie wiedzieliśmy. Za plecami Wintera coś zaskrzypiało.

Hjalte wstał. Przeciskając się przez wąski pokój, minął Wintera i zamknął drzwi. Same się otworzyły.

- Przeciągi i usterki takie same jak wtedy, gdy byłeś naszym uczniem - powiedział, wracając na miejsce. - Cóż, częściowo właśnie w tym tkwi urok szkół prywatnych. Chyba można je porównać do angielskich public schools.

- Aż tak źle nigdy tu nie było.

- Dzięki.

- Jak dobrze zna pan tę dziewczynę?

Zmiana tematu nie zrobiła na Hjaltem wrażenia.

- Obawiam się, że dość powierzchownie. - Machnął ręką w kierunku leżących na biurku blankietów i formularzy. - To wszystko przez to. Przez tak zwaną administrację. - Podniósł jakiś papier. - Nie wiem, czy to znak czasów, ale mam wrażenie, że wszyscy chcą zapisać swoje dzieci do szkół

prywatnych.

- Przerazające - odparł Winter.

- Co? Nasze czasy? Atmosfera w społeczeństwie?

- Trend, żeby posyłać dzieci do prywatnych szkół.

- Ty to powiedziałaś. - Hjalte odłożył papier i spojrzał na Wintera. - Mówiąc poważnie, nie wiem, jak mógłbym ci pomóc, Erik. Jeanette to miła, urocza dziewczyna, którą okrutnie potraktowano. Właściwie tylko tyle mogę powiedzieć.

- Ale czy to nie dziwne, że pan nie wiedział, co się stało? - zapytał Winter.

- To znaczy, zanim ja zadzwoniłem. Takie wiadomości szybko się rozchodzą, nie tylko w szkole. Nie mówiąc już o tak małej szkole jak ta.

- Faktycznie, to dziwne. Ale przecież są wakacje.

- Mimo wszystko. nie doszła do pana nawet najmniejsza plotka na ten temat - ciągnął Winter. - Wakacje czy nie, dyrekcja powinna być informowana.

- Przez kogo?

- Nie wiem dokładnie.

- Dziewczyna ma lojalnych znajomych, nie chcą o tym mówić.

- Być może. Zresztą okazało się, że niewiele osób z jej paczki uczyło się tutaj.

- Tak?

- Jej znajomi, przynajmniej ci, z którymi się spotkaliśmy, nie chodzą do Rudebeck. Większość w ogóle nie chodzi ani nie chodziła do liceum.

- W takim razie masz wyjaśnienie. - Hjalte spojrzał na Wintera oczami, w których nie było widać upływu lat. - To, co się przydarzyło Jeanette, to nie wszystko, prawda?

- To znaczy?

Winter czuł się dziwnie, przepytując dawnego wychowawcę. Chyba wciąż czuł respekt, który mu wpojono, kiedy był ucz-

niem. Próbował się przed tym bronić, ale nie bardzo miał jak.

- Przecież słyszałem i czytałem o tej zamordowanej dziewczynie. tej, która wiosną skończyła liceum Schillera - powiedział Hjalte. - Czy to ma jakiś związek z tą sprawą?

Hannes czekał w pokoju wychowawczyni. Halders go objął. Nauczycielka stała obok. Po chwili zdjęła rękę z ramienia chłopca.

- Magda chce zostać do końca lekcji - powiedział chłopiec. - Pytałem ją.

Halders mocno go przytulił.

- Możemy jechać do domu, tato?

Jechali w deszczu, po południu się rozpadało.

- Nie jesteś na mnie zły, tato?

- Dlaczego miałbym być zły?

- Bo musiałeś przyjechać z pracy i odebrać mnie przed końcem lekcji.

- Jeśli nie chcesz być w szkole, nie musisz - powiedział Halders, prawą ręką ściskając jego ramię. - A ja nie muszę iść do pracy.

Hannesa chyba to uspokoiło, do końca siedział bez słowa. Halders zaparkował i weszli do domu. Przewiózł już część swoich rzeczy. Gdzie miało być jego miejsce, jeśli nie przy dzieciach?

- Jestem zmęczony.

- Połóż się na chwilę. Ja posiedzę w salonie.

- Tato, czy kiedy się jest smutnym, można być przez to bardziej zmęczonym?

- Tak. - Do niedawna sam o tym nie wiedział. Teraz czuł, że tak jest. Ten okropny stan dopadł i jego. - Razem się na chwilę położymy, a potem pojedziemy po Magdę.

- Nie mogę wam powiedzieć, co robiła tej nocy, sekunda po sekundzie, bo nie wiem - powiedział Kurt Bielke. - Nigdy aż tak jej nie kontrolowałem.

Z tym jej ojcem coś jest nie tak, stwierdził wcześniej Halders.

Z ojcem Jeanette. Albo coś jest nie tak między nimi. Coś tam jest na rzeczy. Możesz mówić jaśniej? zapytał Winter. Halders powiedział mu, że w kilku punktach zeznania Jeanette nie zgadzają się z zeznaniami jej ojca. Chodzi o tę noc, kiedy wróciła do domu. Kiedy to się stało.

- Ale jest pan pewny, że wróciła przed trzecią?

- Było jakoś koło trzeciej, mówiłem to już sto razy.

- A nie dwie godziny później?

- Nie. Kto tak powiedział?

- Mamy świadka, który twierdzi, że widział, jak Jeanette wraca o tej porze do domu.

- Rozumiem. W takim razie ten świadek się pomylił.

Siedzieli w salonie. Było bardzo jasno, chociaż za oknem padał rześisty deszcz.

- Przecież moja żona też wam to mówiła. Jeanette była w domu około trzeciej i nie rozumiem, do cholery, po co mamy jeszcze drażnić ten temat.

Kurt Bielke posłał Winterowi stanowcze spojrzenie.

- Przecież ona też tak mówiła. Po co miałyby kłamać? To jakiś absurd.

- Proszę jeszcze raz opowiedzieć o rozmowie telefonicznej. Tej z tamtego wieczoru - poprosił Winter.

Bielke głośno westchnął.

- Jestem dość cierpliwy, panie komisarzu, ale musi pan zrozumieć, że moja cierpliwość w pewnym momencie się skończy. I że wtedy zacznę odmawiać udzielania odpowiedzi na pytania. Naszą rodzinę spotkała tragedia. Jeanette spotkała tragedia. a wy nic, tylko wypytujecie o jakies rozmowy i powroty do domu.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie poważnego przestępstwa - odparł Winter.

- Brzmi to tak, jakbym to ja był winny - stwierdził Bielke.

- Dlaczego pan to mówi?

- Słucham?

- Dlaczego pan mówi, że pytania brzmią, jakby to pan był winny.
- Bo tak to wygląda.
- Proszę opowiedzieć o tej rozmowie.
- Zadzwoiła koło jedenastej, żeby zapytać, czy ktoś do niej dzwonił.
- Ktoś konkretny?
- Nie, po prostu ktoś.
- A dzwonił ktoś?
- Nie.
- Pożyczyła telefon od koleżanki - powiedział Winter.
- Skoro tak twierdzicie...
- Nie zorientował się pan?
- Nie.
- Odbierał pan już kiedyś połączenie z komórki?
- Ostatnim razem na początku lat osiemdziesiątych, ale pamiętam, że w słuchawce słycać było trochę inny szum. Zebrało ci się na żarty, pomyślał Winter. Świetnie. W tej robocie chodzi też o to, żeby pozwolić słowom płynąć.
- Ale tym razem to tak nie brzmiało? - zapytał.
- Nie pamiętam.
- Powiedziała, że jest poza domem.
- Tak.
- Czy coś o tym świadczyło?
- Ta rozmowa trwała ledwie parę sekund. Jej komórka była w naprawie. Winter już to potwierdził.
- Nie wiemy do końca, kto jej pożyczył telefon - dodał.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Nie wiemy, gdzie Jeanette spędziła tamtej nocy kilka godzin. Kilka godzin, a może i więcej.
- Możecie ją przecież zapytać. Kolejny raz. Nie podoba mi się to, ale skoro trzeba, to trzeba.
- Pytam pana.
- To pyta pan niewłaściwą osobę.

Winter zauważył, że coś się w nim zmieniło podczas rozmowy - czy raczej przesłuchania. Zmienił się też od czasu pierwszego spotkania. Zrobił się bardziej agresywny. Może to przez Wintera albo przez Haldersa. A może z innego powodu - A pan nie chciałby się dowiedzieć?

- A jak pan myśli?

Winter nie odpowiedział. Usłyszał jakiś odgłos z góry - ktoś szedł po schodach. Brzmiało to jak ostrożnie stawiane kroki - albo jak potknięcie. Może podśluchiwała, ale pewnie by się zorientował. Nagle do pokoju weszła Jeanette. Od strony kuchni. Na schodach musiał stać ktoś inny. Army Bielke nie było w domu. Tak powiedział jej mąż, kiedy Winter przyszedł.

Na dworze padało jeszcze mocniej niż wcześniej. Ogród wypełniała mokra zieleń. Temperatura spadła, ale nadal było ciepło. Od zachodu słychać było rozbijające się o skały fale.

Winter jechał na południe. Prawa wycieraczka nadawała się do wymiany, pole widzenia miał z tej strony ograniczone. Wszystko było zamazane, domy i drzewa wyglądały, jakby się na nie patrzyło przez cienką warstwę galarety.

Na jednym ze skrzyżowań musiał czekać, robotnicy łatali asfalt. Bez pośpiechu wypełniali dziury w jezdni czarną masą. Pomyślał, że on myśli szybciej.

Dziewczyny, Beatrice i Angelika, znalazły się w tym samym miejscu. Tam znaleziono ich ciała, tam je zamordowano. Tam albo kilka metrów dalej. Tam napadnięto Jeanette. Mówiła, że to tam. Czemu miałyby kłamać?

Jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma to miejsce? Wrócił myślami do przeszłości, do sprawy Beatrice, ale czy ktoś jeszcze to zrobił? Czy mają do czynienia z copycatem\* [Termin określający przestępcę kopiującego zbrodnie przedstawiane w środkach masowego przekazu] Nie cierpiał tego słowa. Ale ani to, co się przytrafiło Beatrice, ani miejsce zbrodni nie było tajemnicą.



Czy ktoś to wykorzystał? Copycat?

Czy jego rozważania idą w dobrym kierunku? Czy zamiast wracać do przeszłości, nie powinien wybiec w przyszłość? Zobaczył, że jeden z robotników macha na niego. Stał przy dziwnym pojeździe przypominającym taczankę używaną przez wojska piechoty albo wóz z serii filmów Mad Max. Ciepły asfalt syczał i parował w deszczu. Przez okna wpadał zapach jak podczas ataku wojska.

Odtworzyli ostatnie godziny z życia dziewczyn. Tak dokładnie, jak się dało.

To samo zrobili z Jeanette. To kolejna zagadka - Jeanette przeżyła, ale to, co ona robiła wieczorem przed napadem, przesłedzić najtrudniej. Mają mniej świadków. Większość z nich nic nie pamięta.

Przyglądał się już mapie, szukał drogi prowadzącej jednocześnie do parku, do skały, do miejsca między drzewami i do zarośli.

Może istnieje taka trasa, którą da się wytyczyć mniej lub bardziej precyzyjnie. Jeśli się poskłada zeznania ich znajomych, opisujących, gdzie byli i dokąd poszli albo mieli iść, wyłania się coś na kształt szlaku, którym mogły podążać Beatrice, Angelika i Jeanette tej nocy, kiedy spotkały mordercę. Szlak zaczyna się na północ od centrum i kończy wiadomo gdzie.

Na północ od centrum - co tam robiły? Były w pobliżu rzeki, starej przystani czy opery? A może po drugiej stronie? Winter czytał raporty w tę i z powrotem, ale nie znalazł wzmianki o miejscu, które by się znajdowało niedaleko punktu, w którym się zaczynał ten hipotetyczny szlak. Czy to wszystko zbiegi okoliczności? Nie wiedział, ale postanowił pójść tym tropem. Przyjrzy się jeszcze mapie tej części miasta.

Szukał czegoś, co by łączyło te trzy historie, a hipoteza szlaku, choć na razie bardzo słaba, była czymś takim. Bo

czym miałyby się zająć?

Skręcił w lewo. Ojciec Angeliki Hansson czekał na niego w drzwiach, jak ostatnio.

- Chciałbym się chwilę rozejrzeć. Sam - powiedział.

Lars Olof Hansson wyszedł, zamknął za sobą drzwi. Winter zaczął się rozglądać po pokoju Angeliki. To miał być początek. Podszedł do szafy i otworzył lewe skrzydło drzwi.

### 13

W SZAFIE NIE ZNALAZŁ NIC, czego wcześniej nie widział. Nikt nie przekładał ubrań, odkąd on i Berghem byli tu pierwszy raz, żeby przeszukać pokój i przejrzeć bluzki i spodnie. Czegoś takiego Winter nie życzyłby nikomu. Dotykanie ubrań należących do zmarłych budziło w nim sprzeciw. Nie nadawał się na technika kryminalnego. Tych ubrań miał już nikt nie nosić. Widział to nieraz: wszystko miało latami leżeć na półce albo w szufladzie, tak samo jak meble, poukładane na biurku papiery, książki na regale i nieliczne sprzęty - wszystko miało pozostać nietknięte.

Wszystko składało się na przechowywane wspomnienia, wspomnienia, które nie były w domu mile widziane, ale na których wyrzucenie brakowało sił. Sił lub chęci. Albo jednego i drugiego, pomyślał, zamykając szafę.

Tajemnica.

Od czasu pierwszej rozmowy z ojcem Jeanette ta myśl nie dawała mu spokoju. On albo jego córka mieli jakąś tajemnicę. Może oboje ją mieli. Czegoś mu nie powiedzieli. Nie mógł wskazać na nic konkretnego, tak jak się wskazuje na dowód. Ale miało to jakiś związek z przestępstwem, którego ofiarą padła Jeanette, z gwałtem. Jeszcze do tego nie doszedł, ale czuł, że tak jest. Halders również.

Potrzebował Haldersa. To była sprawa dla niego - skomplikowana sprawa, przy której trzeba myśleć,

skoncentrować się na celu i nie rozpraszać się pobocznymi tropami.

Stał więc w tym pokoju, do którego przez na wpół zaciągnięte żaluzje wpadać będzie mogła jedynie połowa światła dziennego i połowa ciemności nocy.

Usiadł przy biurku i spojrzął na zdjęcie Angeliki: stała na pomoście nad morzem. Ciemne młode ciało i uśmiech równie szeroki i jasny jak horyzont rozciągający się w tle.

Te przekłete zdjęcia, które nigdy nie uwzględniają przyszłości. Napatrzył się na tysiące takich przepowiadających zbliżającą się tragedię widoków. Na takim zdjęciu każdy szczegół nabiera głębszego znaczenia, pomyślał. Przyglądając się temu zdjęciu, nie robię nic innego, jak tylko przychodzę na ten pomost z przyszłości, przynosząc zapowiedź śmierci.

W przeciwieństwie do Kurta Bielkego Hansson nie miał tajemnic. Gdzieś z głębi domu Winter usłyszał jego chrząknięcie. Ojciec - był nim przecież, adoptował Angelikę, ale był jej ojcem - nie miał pojęcia o ciąży córki ani o jej ewentualnych chłopakach.

Ale czy Angelika miała tajemnice? Na kogo się natknęła tamtej nocy? Czy tak jak Beatrice odłączyła się od znajomych i została sama? Czy może spotkała chłopaka, z którym osiem tygodni wcześniej zaszła w ciążę?

Co zrobiła potem? Właśnie skończyła trwającą dwanaście lat edukację i miała wkroczyć w dorosłe życie.

Czy wpadła na mordercę i gwałciciela, który tamtej letniej nocy szukał ofiary? Czy to był przypadek? Pech? Choć to eufemistyczne określenie. Czy może stał za tym jakiś motyw? Czy było to zaplanowane zabójstwo?

Miejsce mogło być starannie wybrane. w obu przypadkach. Przez szaleńca. Albo przez mordercę, który czekał na konkretną osobę, właśnie na nią, na Angelikę.

W takim układzie nie miało to nic wspólnego ani z Beatrice,

ani z Jeanette Bielke.

A może jednak miało?

Może te trzy dziewczyny łączyło coś, co na dwie z nich ściągnęło śmierć? Może nie chodziło tylko o to, że znalazły się w nieodpowiednim miejscu?

Czy to, co robiły, miało ze sobą coś wspólnego? Czy to możliwe?

Dobry Boże, muszę się skupić na jednym morderstwie. Wspólnego mianownika dla wszystkich tych spraw poszukamy później.

Siedział z głową opartą na dłoniach i rozmyślał. Potem wstał i otworzył jedną z szuflad biurka. Chciało mu się palić, ale jakoś się powstrzymał. Odkąd został ojcem, miał jeszcze większą ochotę na cygaretki. Wcześniej wydawało mu się, że będzie odwrotnie albo że w ogóle odechce mu się palić. Ale nie - teraz palił więcej niż kiedykolwiek. To znak, że trzeba rzucić. Dyskretne uwagi Angeli powoli zmieniły się w coś innego. Nie było to jeszcze zrządzenie, na pewno nie. Ale może. irytacja? Nie chodziło tylko o to, że jest lekarką, przemawiał przez nią zdrowy rozsądek. Zdrowy.

Wstał, wyszedł przed dom i zapalił corpa.

Kiedy wrócił, zaczął metodycznie przeszukiwać pokój. Znów długo wpatrywał się w zdjęcie, w jej skórę na tle morza. Wyciągnął szufladę i wyjął z niej osiem plików zdjęć, które niedawno przeglądał. Zabrał się za to jeszcze raz. Podzielił je na mniejsze pliki, najpierw tak, potem inaczej. Angelika w różnych miejscach. Zazwyczaj poza domem. Uśmiechnięta albo poważna. Osobno ułożył zdjęcia robione na dworze i te robione we wnętrzach. Osobno zrobione latem i zrobione zimą. Jaskrawe kolory jesiennych liści. Angelika w zaspie śnieżnej - czarne, czarne, białe, białe. Angelika wiosną na wzgórzu z zawilcami połyskującymi bielą - jak jej zęby. Angelika z matką i ojcem na tym samym wzgórzu - rodzice po zimie wręcz chorobliwie bladzi.

Na zdjęciach nie zapisano dat, wyglądało jednak na to, że wszystkie zrobiono w ciągu ostatnich lat. To były tylko domysły, ale potwierdziła je data na kopercie. Było ich prawie trzysta. Składały się na coś w rodzaju pamiętnika, w którym zapisano ostatnie lata życia Angeliki. Lato, jesień, zima, wiosna i znowu lato. Ostatnie lato, czy raczej połowa lata, pomyślał, patrząc na zdjęcia z uroczystości zakończenia szkoły. Dziedziniec, kwiaty, balony, to co zawsze. Powiewający nad wszystkim banner z powiększonym osiemnastokrotnie zdjęciem rocznej Angeliki.

Wokół stoi dużo ludzi, tworzą szerokie półkole. Mnóstwo twarzy. Rozpoznał jedynie rodziców, nikogo więcej. Angelika ma na głowie białą czapkę i śmieje się szeroko do obiektywu. To było sześć tygodni temu. Dalej układał zdjęcia na osobne stosy. Po co ja to robię? Czy to jakiś rodzaj autoterapii? Czy tak się konfrontuję z tym cholernym, trudnym śledztwem? To jak pasjans. Cierpliwość, chodzi przede wszystkim o cierpliwość.

Za oknem śpiewały ptaki. Deszcz ustał na chwilę, a potem znowu zaczął bębnić w okna. Winter zapatrzył się na zdjęcie Angeliki. Zrobiono je w pomieszczeniu, na tle ceglanej ściany. Cegły miały ceglany kolor. Angelika patrzyła w obiektyw, ale nie uśmiechała się. Jej twarz jest właściwie bez wyrazu, pomyślał. Na stole przed nią stały szklanki i butelki, i kilka talerzyków z czymś, co wyglądało na resztki jedzenia. W lewym górnym rogu było widać cień. Może to był abażur albo coś, co wisiało na ścianie.

Na pewno zrobiono to zdjęcie we wnętrzu. Światło padało z różnych stron - i nie było to światło dzienne.

Można było dostrzec słabo widoczny cień fotografa.

Odłożył je i wziął kolejne: Angelika również uchwycona z półprofilu, przy tym samym stoliku, na tle tej samej ściany, ale bez cienia w prawym rogu.

Fotograf musiał się przesunąć.

Może to restauracja, pomyślał Winter. Może pub. Odbitki były w tej samej kopercie co zdjęcia zrobione zimą. Może je również wtedy zrobiono. Nie znalazł negatywu. Może to miejsce, w którym zazwyczaj bywała. Jakiś lokal. Czy wiedzą już, w jakich klubach się bawiła? Tak. Mają już kilka adresów. Pod którym z nich jest ta ceglana ściana? Winter przejrzał pozostałych trzysta zdjęć, układał je na biurku w osobne stosy. Żadnych klubów, restauracji ani pubów. Ani jednego zrobionego w pomieszczeniu. Znalazł tylko kilka fotografii wykonanych w ogródkach restauracyjnych. Na jednej kelner zrobił głupią minę. Wyszedł z pokoju i poszukał Hanssona. Siedział sam w salonie i śledził wzrokiem krople spływające po szybie.

- Chciałbym, żeby pan na coś rzucił okiem - poprosił. - Jeśli ma pan chwilę.

- Ale tylko chwilę - odparł Hansson. - Chcę przeczekać ten deszcz na szybie. Krople nie mogą się zdecydować.

Winter pokiwał głową, jakby rozumiał.

- O co chodzi? - zapytał Hansson.

- O kilka zdjęć. Chciałbym, żeby je pan obejrzał. - Ruchem głowy wskazał hol. - Są w pokoju Angeliki.

- Ja tam nie wchodzę. - Hansson oderwał wzrok od szyby. W pokoju było gorąco i wilgotno, tak jak na dworze. Za oknem wiatr poruszał gałęziami. Mrok panował zarówno w domu, jak i w spływającym strugami deszczu ogrodzie. - Nie wchodzę tam, od kiedy to się stało.

- Przyniosę je tutaj - powiedział Winter. Po chwili wrócił ze zdjęciami. Podał je Hanssonowi. Patrzył na nie niewidzącym wzrokiem.

- Co to jest? - zapytał.

- Nie wiem dokładnie - odparł Winter. - Jakiś lokal. Może restauracja. Nie rozpoznaje pan?

- Czego nie rozpoznaje? - Hansson spojrział na Wintera.

- Tego lokalu. Ściany. Czegokolwiek. Przecież widać, że

Angelika tam była, myślałem, że może wie pan, gdzie to jest. Hansson znów popatrzył na fotografię, którą trzymał w ręku.

- Nie - odparł. - Nigdy tam nie byłem.

- Ale Angelika była. W jej szufladzie jest kilka zdjęć stamtąd.

- Nie mam pojęcia, gdzie to może być. I. czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem - odpowiedział Winter.

- Przecież chodziła w różne miejsca, jak to młodzi. Nigdy tego nie kontrolowałem. - Kolejny raz spojrzął na zdjęcie. - Dlaczego niby to miałyby być takie ważne? Dlaczego musi pan dowiedzieć się, gdzie jest ta cholerna ściana?

- To zależy od tego, kto tam był.

- Najwyraźniej była tam Angelika. Może była sama.

- Ktoś musiał trzymać aparat - stwierdził Winter.

- Może to z samowyzwalacza - powiedział Hansson i zaśmiał się. Zakrztusił się. W zamkniętym pokoju zabrzmiało to jak kanonada. - Przepraszam - powiedział, kiedy już się uspokoił.

- Była tam niedawno - ciągnął Winter.

Hansson był zbyt zmęczony i zrezygnowany, żeby zapytać, skąd to wie.

- Ktoś mógł ją tam widzieć - dodał Winter. Ją i jeszcze kogoś, pomyślał.

Przyszło mu do głowy coś jeszcze. Wrócił do pokoju Angeliki i przyniósł zdjęcia z zakończenia roku szkolnego. Podał je Hanssonowi. Hansson apatycznie wyciągnął po nie rękę.

- To zakończenie liceum - powiedział Hansson.

Winter skinął głową.

- Może mi pan pomóc zidentyfikować tych, którzy są na zdjęciu?

Hansson wpatrywał się w odbitkę.

- Nawet tych stojących plecami do obiektywu?

- Jeśli da pan radę.

Hansson wskazał palcem na zdjęcie.

- Ten grubas tam w głębi, z prawej. - Spojrzął na Wintera. -

To jej wujek Bengt. Mój brat. Odwraca się i pewnie gryzie udko indyka albo coś podobnego. - Zasłonił usta dłonią. - Jedzenie to jego nałóg.

- Rozpoznaje pan kogoś jeszcze?

Hansson podał imiona kilku osób, wskazywał ich twarze palcem.

Kiedy skończył, zostały cztery niezidentyfikowane osoby.

- Nigdy ich nie widziałem.

- Jest pan pewien?

- A jak pan sądzi, do cholery?

Winter popatrzył na twarze. Kobieta i trzech mężczyzn. Dwóch mogło mieć około czterdziestki. Jeden był ciemny, drugi był brodatym blondynem w okularach przeciwsłonecznych. Było w nim coś znajomego. Trzeci był chłopakiem w wieku Angeliki. Kobieta też mogła mieć czterdzieści lat, może mniej. Stała z boku, jakby chciała wyjść z kadru. Patrzyła gdzieś w dal. Jeden z mężczyzn stał obok chłopaka. Był do niego bardzo podobny, czy to raczej chłopak był podobny do niego. Wyglądali na południowców - byli smagli, a mimo to jakby bladzi. Mężczyzna z brodą i w okularach trzymał balon i śmiał się razem z Angeliką.

Winter zastanawiał się, gdzie mógł go spotkać. Twarz wyglądała znajomo. Może to ta postura - mężczyzna stał lekko pochylony do przodu.

- Nigdy ich nie widziałem - powtórzył Hansson.

Winter poczuł, że ma gęsią skórkę. Coś jest na rzeczy. Kolejny raz spojrział na obce twarze. Miał wrażenie, że teraz, kiedy Hansson przedstawił mu ludzi otaczających Angelikę, już ich zna. A ta czwórka była obca. Mogli zostać zesłani z jakiegoś nieznanego miejsca. Coś było na rzeczy.

- Czy to nie dziwne? - zapytał.

Hansson wzruszył ramionami.

- Na dziedzińcu było dużo ludzi, widzi pan przecież. - Hansson wskazał na jedno ze zdjęć. - Pewnie ci, których nie



rozpoznaje, się pomylili.

- Czyżby? - Winter też wskazał na zdjęcie. - Wyglądają, jakby świętowali z wami. Jakby znali Angelikę.

- Może, ja ich w każdym razie nie znam.

- Nie rozmawiał pan z nimi?

- Mówilem przecież, do cholery, że ich nie znam.

- Rozumiem.

Zapadła cisza. Winter nie słyszał już kropel uderzających o szyby. Usłyszał tylko przejeżdżający samochód i szum wody rozpryskiwanej przez opony.

- Co oni tam robili? - powiedział nagle Hansson, spoglądając znowu na zdjęcie. - Nie zapraszałem ich. - Przeniósł wzrok z powrotem na Wintera. Jego twarz miała teraz zupełnie inny wyraz. - Wtedy ich tam nie widziałem, a powinienem był.

- Sam pan mówił, że było sporo ludzi.

- Ich nie mogło tam być.

- Co ma pan na myśli?

- Przyszli tam. potem. - Kolejny raz popatrzył na zdjęcie, a potem na Wintera. Podniósł się i stanął bliżej Wintera. Winter poczuł od niego zapach potu, strachu i zwątpienia. - Nie rozumie pan? Przyszli tam potem. Przesłano ich na to cholerne zakończenie, ale nikt nie mógł ich zobaczyć. - Wpatrywał się w oczy Wintera jak niewidomy. - Nikt ich nie widział. Nawet Angelika. Przybyli z przesłaniem.

Przesłaniem z piekła!

Wciąż przewiercał głowę Wintera niewidzącym wzrokiem.

- A teraz wrócili! - krzyknął.

Facet potrzebuje pomocy, pomyślał Winter. Albo ma rację, ale ja nie potrafię tego zrozumieć.

Twarc Hanssona znów się zmieniła. Potrząsnął głową, wciąż spoglądał na zdjęcie.

- Nigdy pan nie znajdzie tej grupy - powiedział.

- Myśli pan, że byli tam razem? Byli grupą?

- To nie ma znaczenia - odparł Hansson. - Oni nie istnieją.

HALDERS POSTANOWIŁ, ŻE NA POGRZEBIE, pod sam koniec, puszcza Led Zeppelin. Aneta Djanali oczywiście rozpoznała, co to za kawałek. Winter, który siedział trzy rzędy dalej z Angelą i Elsą, słyszał go po raz pierwszy. W małym kościółku muzyka brzmiała donośnie.

Ceremonię poprowadziła Hanne Östergaard. Od wielu lat pracowała dla policji na pół etatu. Jako pastor. Można z nią było porozmawiać po ciężkich przeżyciach.

Rzeczywiście teraz, po śmierci Margarety, jest dla nas wsparciem, pomyślał Halders.

- Led Zeppelin byli jej ulubioną kapelą - powiedział Halders do Anety Djanali godzinę wcześniej. - Miała wspomnienia związane z tym kawałkiem. Ja też. - Potem dodał: - Mieliśmy wspólne wspomnienia. - Spojrzał na nią. - Myślisz, że ta muzyka jest nie na miejscu?

- Skądże. Dzisiaj ludzie często puszcza ją na pogrzebach własną muzykę.

- Od lat na żadnym nie byłem.

- Led Zeppelin będzie pasować.

- No tak, to przecież ballada.

Gdy przysypywano trumnę ziemią, Halders stał obok z dziećmi. Nie było mowy o kremacji. Padał drobny deszcz, rozpogodzić miało się później.

Po wszystkim rozmawiał z ludźmi, ale właściwie nie słyszał, co mówią. Dzieci stały tuż przy nim.

- Czy mama jest już w niebie? - zapytała Magda.

- Tak - odpowiedział.

Magda spojrzała w górę. Chmury rozpierzchły się na boki i wyrzało błękitne niebo.

- Patrzcie, dziura! - krzyknęła, unosząc palec. - Mama może przez nią przejść!

Próbował spojrzeć w niebo, ale przez łyzy widział jedynie mgłę.

- Hannes, widzisz tę dziurę w niebie?! - Magda odwróciła się do brata.

- Nie ma tam żadnej dziury, to po prostu pusta przestrzeń - odpowiedział, spuszczać wzrok na moką ziemię.

- Oczywiście, że jest - stwierdziła Magda, opuszczając rękę i mocno ściskając dłoń ojca. - Oczywiście, że jest.

Jechali w kierunku klifów, na południe. Po kilku deszczowych dniach miało się wrażenie, że jest dwa razy goręcej. Angela prowadziła, Elsa siedziała z przodu, w foteliku. Winter z tyłu. Widział pola połyskujące w słońcu. Opuścił szybę i poprosił Angelę, żeby wyłączyła klimatyzację. Chciał poczuć zapachy.

Zaparkowali. Przechodzili przez pastwisko dla koni, Winter niósł Elbę. Przystanęli, żeby popatrzeć na odpoczywające w trawie źrebki. Obok stała jego matka, pochylała się nad nim. Nikt im nie zajął miejsca na klifie. Winter szybko się przebrał i zszedł z Elbą do wody. Zanurzył ją powoli. Potem zajęła się nią Angela i Winter wypłynął dalej. Morze było spokojne. Położył się na plecach i patrzył na Angelę i Elbę siedzące na kocu rozłożonym na klifie.

Przygnębienie, które go ogarnęło na pogrzebie, spłynęło z niego i zniknęło pod powierzchnią wody. Kiedy przekroczył się na brzuch i wypłynął dalej w morze, w głowie miał już tylko resztki złych myśli. Potem znów odwrócił się na plecy i spojrzał na swoją rodzinę. Wydawała się jeszcze mniejsza. Po pogrzebie Halders wyglądał, jakby miał zemdleć. Winter nie wiedział, kiedy wróci do pracy. Jutro albo wcale. Nie można było tego przewidzieć.

W czasie uroczystości Winter czuł się, jakby był z kamienia.

Poruszał ramionami tuż pod powierzchnią wody.

Ciężko było unieść trumnę z kościelnej ławy. Wróciły wspomnienia - te najnowsze, kiedy Angela była tak blisko.

kiedy Elsa. to, czym wtedy była. kiedy stał przed tamtymi drzwiami, jakby wrósł w podłogę, z nogami jak z ołowiu. Wtedy czuł, że życie z niego ucieka, opada szybko w próżnię bez dna.

Zacisnął powieki, na twarzy czuł słońce. Jakaś łódź przepłynęła przez zatokę sto metrów od niego, ale nie otworzył oczu. Mewy skrzeczały. Nad wodą niósł się czyjś głos. Lekki wiatr przyniósł zapach benzyny z łodzi. Poczul, że jest we właściwym miejscu, tu i teraz. Gdyby tylko mógł zatrzymać tę chwilę.

- Unosiłeś się na wodzie jak żaglówka - powiedziała Angela, kiedy do nich wrócił, bardziej mokry niż kiedykolwiek. - Porządnie przycumowana.

- Nie wiedziałem, że potrafię to robić tak dobrze.

- Chyba wiem dlaczego - odparła Angela. Ukłuła go palcem w lekko zaokrąglony brzuch. On, patrząc z góry, nie widział żadnych krągłości. Elsa też zaczęła go kłuć, raz za razem. Miał wrażenie, że to wręcz boli.

- Wystarczy mi jeden bieg na dziesięć kilometrów. Poza tym zamiast wracać samochodem, mogę pobiec do domu.

Buty miał w bagażniku. Od miasta dzieliło ich nieco ponad dziesięć kilometrów. Może dużo ponad? Nie.

- Czy w takim razie pozwolisz sobie na ten posiłek? - Angela ruchem głowy wskazała na bagietkę z sałatką z kurczaka, którą trzymał w ręku.

- Tak - odpowiedział.

Angela nagle zaczęła płakać. Przetarła oczy dłonią. Winter odłożył kanapkę, pochylił się nad kocem i przytulił ją. Elsa też zaczęła płakać. Ją również wziął w objęcia.

Elsa umościła sobie między nimi gniazdko, ale potem zaczęła się z niego gramolić. Angela znów przetarła oczy i spojrzała na zatokę. Żeglowało po niej kilka łodzi, różnej wielkości.

- Zrobiło mi się tak strasznie smutno, kiedy zobaczyłam Fredrika i dzieci - powiedziała.

- Rozumiem. Mnie też się serce ścisnęło.  
- Mam nadzieję, że sobie poradzi.  
- Jakoś próbuje żyć dalej. - Winter zaczął się rozglądać za paczką cygaretek. - Nie chciał brać wolnego. A przynajmniej nie za dużo.

- Mam nadzieję, że sobie poradzi - powtórzyła Angela.  
Do domu ruszyli, kiedy już zmierzchało. Czerwień ulicznych świateł zlewała się z purpurową poświatą zachodzącego słońca. Tym razem zrezygnował z biegania. Elsa spała w foteliku. Główna jej się przechyliła i z buzi ściekała strużka śliny. Kapała na bluzkę. Angela prowadziła szybko i sprawnie, lepiej niż on. Rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu. Słońce i sól sprawiły, że ciało miał rozgrzane i suche, skórę przyjemnie napiętą.

Chociaż Vasagatan nie była pusta, było cicho. W ogródkach rozstawionych wzdłuż ulicy siedziało mnóstwo ludzi.

Angela zaparkowała w podziemnym garażu. Kiedy przesadzali Elbę do wózka, nadal spała.

- Idziemy na piwo - powiedział Winter.

Usiedli w pierwszym ogródku, w którym znalazł się wolny stolik, i zamówili piwo z beczki. W powietrzu unosił się zapach jedzenia i upału. Wraz z kończącym się dniem zniknął między wysokimi kamienicami.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Angela potrząsnęła głową.

- Ja jestem - stwierdził Winter i zamówił grillowany stek z łososia.

Angela też zmieniła zdanie. Kelner przyniósł dania. Jedli, a Elsa spała w wózku stojącym przy stoliku. Nie byli jedynymi rodzicami ze śpiącymi dziećmi. Minęły ich trzy nastolatki. Jedna powiedziała coś do komórki i wszystkie wybuchnęły śmiechem. Dokładnie w tym momencie Winter pomyślał o swoich trzech dziewczynach. Tak właśnie nazywał je w myślach: moje trzy dziewczyny. Odsunął talerz i kiedy zjawił

się kelner, zamówił jeszcze jedno piwo. Spojrzał na Angelę, ale już nic nie chciała.

- Jutro rano jadę do Pålvelund - powiedział. - Do Wägnerów. Angela milczała. Pochyliła się nad główką Elsy i coś poprawiła. Mijały ich kolejne nastolatki.

Następnego dnia o dziesiątej rano zjawił się w domu Bengta i Lisen Wägnerów. Była sobota.

- Przepraszam, że zawracam głowę.

- Ależ nie ma o czym mówić - powiedział Bengt Wägner. - Może pan tu zamieszkać, jeśli dzięki temu dowiemy się, co się przytrafiło Beatrice.

- Kto - poprawiła go żona. - Kto się jej przytrafił.

- Tak - przytaknął, spoglądając na żonę. - Dowiemy się, kto to zrobił.

Weszli do pokoju. Poranne słońce wkradało się przez żaluzje. Było na tyle jasno, że nie musieli zapalać światła.

- Chciałbym obejrzeć wszystkie zdjęcia Beatrice - powiedział. Zobaczył, że Lisen Wägner się wzdrygnęła. To była tylko chwila, ale zauważył. - Przepraszam, może niezręcznie się wyraziłem. Chodzi mi o zdjęcia z. ostatniego roku. - Dobry Boże, teraz wygląda na jeszcze bardziej wstrząśniętą. Jak ma się wyrazić, żeby to nie zabrzmiało źle? Zawsze brzmi źle.

- Po co? - zapytał Bengt Wägner.

- Nie potrafię powiedzieć. - Zwrócił się wprost do niego: - Szukam czegoś, co będę mógł porównać. Jakiegoś tła.

- Przecież przeglądaliście wszystko, kiedy. to się stało - powiedziała Lisen Wägner. - Zabraliście większość rzeczy i przejrzelście je. Zdjęcia też.

- Wiem.

- Czemu wtedy nic nie znaleźliście?

Winter lekko wzruszył ramionami.

- Jeśli wtedy nie wiedzieliście, czego szukacie, to skąd teraz wiecie?

Na tyle, na ile mógł, opisał, co znalazł ostatnio.

- Ceglana ściana? - powtórzył Bengt Wägner. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ale też nigdy nie przeglądałem wszystkich jej zdjęć.

- Ja też nie widziałem wszystkiego - dodał Winter. - I też nie kojarzę takiej ściany.

- W każdym razie tutaj ma pan zdjęcia - powiedziała Lisen Wägner. Przyniosła pudło ze znajdującej się w drugim końcu pokoju szafy.

Posegregował je tak samo jak zdjęcia Angeliki. Wiosna, lato, jesień, zima. Te robione w pomieszczeniach i na dworze.

Lisen Wägner przyniosła kawę i jeszcze ciepłą, pachnącą wanilią drożdżówkę. Kiedy słońce się podniosło i w pokoju zrobiło się ciemniej, Winter podniósł żaluzje. Przez okno zobaczył Bengta Wägnera.

W końcu udało mu się znaleźć pięć zdjęć zrobionych w miejscu, które wyglądało na restaurację albo pub. Niektóre zrobiono w lokalu, inne na dworze. Na żadnym nie było ceglanej ściany ani niczego, co by przypominało wnętrza uwiecznione na zdjęciach Angeliki. Na trzech widać było któreś z rodziców, na jednym zarówno ojca, jak i matkę.

Winter wyjrzał przez okno i zobaczył Bengta Wägnera. Wciąż przechadzał się między grządkami, z sekatorem w ręku. Winter wyszedł i pokazał mu zdjęcia. Wägner od razu rozpoznał miejsce. Beatrice często tam bywała.

- Mają państwo jeszcze inne zdjęcia? - zapytał Winter.

- Właściwie to nie wiem.

- Myśli pan, że mogła przechowywać zdjęcia gdzie indziej?

Wägner wyglądał, jakby się zastanawiał. Odłożył sekator na ziemię. Z domu wyszła Lisen Wägner. Winter zapytał ją o to samo.

- W książce, jako zakładkę.

- O właśnie - przytaknął jej mąż.

- Czasami używała zdjęć jako zakładek - wyjaśniła Lisen Wägner. - Robiła tak już, kiedy była mała.

Ale w jakich książkach szukać? pomyślał Winter. Tylko w tych należących do niej? Czy we wszystkich? W jej pokoju książki zajmowały cztery lub pięć metrów.

Winter wrócił do pokoju Beatrice i zaczął wyjmować książkę za książką. Po półgodzinie przyszedł Bengt Wägner. Zapytał, czy chciałby zjeść lunch. Przyjął zaproszenie.

Kiedy wrócił do pracy, miał przed sobą jeszcze metr. Przejrzał wszystkie książki, ale niczego nie znalazł.

- Jest jeszcze trochę na strychu - powiedział Bengt Wägner, wchodząc do pokoju. - Książki dla dzieci. Całe pudło.

- Mógłby je pan przynieść?

Wägner zniknął. Wrócił po chwili z długim, wąskim pudłem.

Winter przejrzał książki z historyjkami o dziewczynkach i chłopcach, i o nastolatkach, bo znalazła się tam też seria dla młodzieży. W jednej z książek, trzeciej od góry, znalazł kopertę przyklejoną od środka do przedniej okładki. Spojrzał pytająco na Wägnera, ale Wägner pokręcił głową.

- Nigdy tego nie widziałem.

- Kiedy to pudło trafiło na strych?

- Nie wiem.

- Kto je tam zaniósł?

- Beatrice.

- Kiedy?

- Minęło już dużo czasu. - Wägner wyjrzał przez okno, wpatrywał się w cienie pod drzewami. - Dużo czasu, odkąd umarła. - Odwrócił się z powrotem do Wintera. - Może zrobiła to w tamte wakacje. Po skończeniu liceum. - Kolejny raz spojrzął na cienie za oknem. - Może chciała zamknąć jakiś rozdział. Przechowywała masę rzeczy z czasów, gdy dorastała, gdy chodziła do szkoły. A wtedy ten okres w jej życiu się skończył. - Winter spojrzął na jego profil. Z lewej strony do pokoju wdzierало się słońce. Odbijało się w jego pełnych łez oczach. - To miał być początek czegoś nowego - powiedział, wciąż wyglądając przez okno.



Winter ostrożnie rozciął kopertę, nie dotykając jej palcami, i wysypał zawartość na foliową torebkę rozłożoną na biurku.

Wypadły dwa zdjęcia.

Od razu rozpoznał ceglana ścianę. Beatrice siedziała przy stoliku zastawionym talerzami i szklankami. W lewym górnym rogu widać było cień.

To samo miejsce, tak samo ustawiony aparat. Tylko dziewczyna inna.

- Proszę tego nie pokazywać Lisen - poprosił Bengt Wägner.

- Nigdy wcześniej nie widział pan tego zdjęcia?

- Nie. I proszę obiecać, że nie pokaże go pan Lisen - powtórzył.

- Może będę musiał.

- Rozumiem, ale proszę z tym trochę poczekać.

- Czy coś to panu przypomina?

- Nie.

- Z niczym się panu nie kojarzy? Nie ma w nim nic znajomego?

- Taki mur raczej rzuca się w oczy. Gdziekolwiek to jest, gdybym tam był, rozpoznałbym go.

- To to samo miejsce. Angelika też tam była.

- Jest pan pewien?

- Ta sama perspektywa. To samo oświetlenie. Ta sama ściana.

- Pozwoli pan, że porównam.

Winter wyjął zdjęcie Angeliki. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Żadnych.

- Dobry Boże - powiedział Wägner. - Co to może znaczyć?

- Jeszcze nie wiem.

- Ale to, że były w tym samym miejscu, nie musi jeszcze nic znaczyć?

- Nie wiem.

- Musicie znaleźć to miejsce.

- Tak.

- Mam nadzieję, że to gdzieś w mieście. - Wägner spojrział na Wintera. - Przecież Beatrice była sama na kilku zagranicznych wycieczkach. Sama, to znaczy bez nas.
- Wiem.
- Może ta druga dziewczyna, Angelika, też.
- Możliwe.
- Może to tam. Na Cyprze albo na Rodos.
- Sprawdzimy to.
- Dlaczego ukryła kopertę? - zapytał Wägner.
- Tak pan sądzi? Że ją ukryła?
- Na to wygląda.
- Ale nie wyrzuciła tych zdjęć.
- Czemu miałyby to zrobić? - Wägner nie zrozumiał.
- Nie wiem.
- Czy między tymi, między dziewczynami i tym, jak zginęły, naprawdę mógł istnieć jakiś związek?
- Właśnie usiłuję taki związek znaleźć - odparł Winter. - Znaleźć albo wykluczyć.
- Więc będzie pan szukał tego miejsca?
- Miejsca i osoby, która zrobiła zdjęcia.
- Nie sądzę, żeby się znały - powiedział Wägner. - Beatrice i Angela.
- Angelika.
- Nie sądzę, żeby się znały. Beatrice na pewno by o tym wspomniała. - Spojrział na Angelikę na tle ceglanej ściany. - Rozpoznałbym ją, gdybym ją widział. U nas w Påvelund nie ma zbyt wielu ciemnoskórych osób. - Popatrzył na zdjęcie Beatrice. - Wygląda na to, że jest tam porządnie i miło. Nie wygląda tu może na szczególnie zadowoloną, ale przecież się uśmiecha.
- Potrafiłby pan określić, kiedy mniej więcej zrobiono to zdjęcie?
- Niezbyt dokładnie.
- W przybliżeniu.

- Wygląda jak. wtedy. ostatnio. To znaczy tuż przed. - Zadrzał mu głos. Wyraz jego twarzy się zmienił. - To mogło być całkiem nowe zdjęcie, jeśli pan wie, o co mi chodzi. - Znów spojrział na Wintera. - Myślę, że mimo wszystko powinniśmy porozmawiać z Lisen. Ona lepiej kojarzy szczegóły.

## 15

- ROZPOZNAJĘ TO UBRANIE - powiedziała Lisen Wägner. Przyglądała się zdjęciu, twarz miała ściśniętą żalem. - Tę sukienkę kupiła parę tygodni przed tym, jak. zginęła.

- Jesteś pewna? - zapytał jej mąż.

- Tak.

- Czy to było dwa tygodnie wcześniej?

- Około. - Wyglądała, jakby zdawała sobie sprawę, że nie do końca jej wierzą. - Przecież tego się nie da zapomnieć. - Spojrzała na męża. - Dużo o niej myślałam. O tej sukience. - Przeniosła wzrok na Haldersa. - Ta była ostatnia. To jej ostatnia sukienka.

- Minęło już tyle lat - powiedział Bengt Wägner.

- To nie ma znaczenia.

- W takim razie musiała wywołać to zdjęcie. - zaczął Winter, ale Lisen Wägner mu przerwała.

- Niedługo przed tym, jak ją zamordowano.

Winter nie patrzył na nią, spoglądał w stronę okna. Nie chciał używać tego słowa w tym domu.

- Na odwrocie jest data - zauważył ze zdumieniem Wägner. Wpatrywał się w białą stronę zdjęcia.

Winter już ją widział. Beatrice odebrała zdjęcia tydzień przed śmiercią. Jeśli jej matka się nie pomyliła, oznaczało to, że musiały zostać zrobione kilka dni wcześniej. Ale gdzieś na pewno miała całą kliszę. Musiało na niej być więcej zdjęć.

- Gdzie zazwyczaj oddają państwo zdjęcia do wywołania? - zapytał.

- Do zakładu przy Mariaplan.

- Beatrice też tam oddawała?

- Tak sądzę - odparł Bengt Wägner.

Lisen Wägner usiadła. Jej lekka opalenizna już zniknęła. W jej twarzy Winter dostrzegł rysy Beatrice.

Spojrzał na zdjęcie, które trzymał w ręku. Beatrice siedziała w lokalu: ceglana ściana, stoły i porcelitowe talerze. Prawdopodobnie jakiś bar albo restauracja.

Była tam zaledwie parę dni przed tym, jak ją zamordowano. Chciała zachować tę wizytę w sekrecie.

Dlaczego?

Angelika Hansson też tam była. To musiało być to samo miejsce. Kiedy tam była Angelika? Na jej zdjęciach nie było daty. Wywołano je w innym zakładzie. Zdjęcia z ceglanym murem znalazł wśród innych. Tych robionych zimą. Nie były schowane. Ale to było to samo miejsce, ta sama ściana. Wreszcie znalazł ogniwo łączące te sprawy.

Siedział w swoim pokoju. Była sobota, wciąż panował upał. Naprzeciwko niego siedział Berghem. Jego opalenizna nabrała ciemniejszego odcienia. Wyglądał, jakby miał jeszcze więcej energii niż ostatnio.

- Zatem widziała Angelikę z tym chłopakiem kilka razy - powiedział Winter, zaglądając do raportu. - Ta jej koleżanka, Cecilia.

- Dwa razy - sprecyzował Berghem. - Raz w kawiarni i raz z tramwaju.

- A on jeszcze się do nas nie zgłosił - wymamrotał Winter sam do siebie.

- Nie. Dziewczyna przejrzała sporo zdjęć, ale nic to nie dało.

- Berghem zaczął zakasywać rękawy koszuli. - Chłopak może być za granicą - dodał. Rękawy miał już podwinięte. - W przeciwnym razie zobaczyłby nasze komunikaty.

Może nie żyje, pomyślał Winter. Wiedział, że Halders też bierze to pod uwagę.

Potrzebowali nazwiska i twarzy. Cecilia próbowała opisać, jak wyglądał.

Był mniej więcej w wieku Angeliki. „Był jakby trochę jaśniejszy”. Też był ciemnoskóry, ale jaśniejszy. Nie powiedziała: południowiec, ale Winterowi właśnie to słowo przyszło na myśl, gdy wyciągnął zdjęcie z zakończenia szkoły, które znalazł u Hanssonów.

Były na nim cztery osoby, których Lars Olof Hansson nie rozpoznał. Kobieta i trzech mężczyzn. Jeden z nich był właściwie chłopakiem, w wieku Angeliki.

Był jakby trochę jaśniejszy.

Kiedy Winter oglądał to zdjęcie pierwszy raz, dostał gęsiej skórki. Teraz było tak samo.

Coś było na rzeczy.

Pokazał zdjęcie Bergenhemowi.

- Od razu do niej zadzwonię - powiedział Bergenhem i sięgnął po telefon.

- To on - stwierdziła Cecilia. Miała na sobie cienką płócienną koszulę i szorty w kolorze khaki. Kiedy weszła do pokoju Wintera, wniosła ze sobą zapach olejku do opalania. Przywędrował za nią z klifów. Tam właśnie Bergenhem ją złapał. Zadzwonił na komórkę. Włosy miała posklejane od słonej wody i wiatru. - To on - powtórzyła.

- Namyśl się chwilę - powiedział Winter.

- Nie muszę.

- Zastanów się na spokojnie.

- Po co? Jestem pewna na stówę. - Wpatrywała się w zdjęcie, dziedziniec, balony, jakby szukała swojej twarzy. - Byłam tam, ale akurat tu mnie nie widać.

- I wtedy go nie widziałaś?

- Nie. - Znów spojrziała na zdjęcie. - Jest podobny do tego faceta. - Przeniosła wzrok na Wintera. - Wyglądają jak ojciec

i syn. - Kolejny raz spojrzała na zdjęcie. - Powinnam go przecież poznać.

Winter się nie odzywał.

- Więc poznajesz go? - zapytał Bergenhem. - Tego niby ojca, tego starszego? I tego drugiego ze zdjęcia też?

- No nieee. nie wiem. - Wciąż wpatrywała się w ich twarze. - Naprawdę nie wiem - powiedziała, patrząc na Wintera. - Niektóre twarze wydają mi się znajome. a niektóre po prostu znam od dawna. Ale tych dwóch tam nie widziałam.

- A kobietę? - zapytał Winter, wskazując na postać stojącą z boku, tę, która wyglądała, jakby chciała wyjść z kadru.

- Nie.

- A tego blondyna? Tego z brodą?

- Jego też nie.

Cecilia nie знаła tej czwórki, tak samo jak ojciec Angeliki.

Przyszli tam po wszystkim, powiedział Lars Olof Hansson. Nie rozumie pan? Przyszli tam później! Nikt ich nie widział. Ale przyszli z wiadomością. Z wiadomością z piekła!

Dobry Boże.

- Ale chłopaka rozpoznaję - podsumowała Cecilia.

- Za pierwszym i za drugim razem to był on? W kawiarni i wtedy, na ulicy?

- Tak, na stówkę.

- I rozmawiałaś z nim?

- Powiedzieliśmy sobie tylko cześć.

- Tylko tyle?

- Tak. - Spojrzała na zdjęcie. - To straszne - dodała. - Był na zakończeniu szkoły. - Wskazała głową na zdjęcie. - Czemu go tam wtedy nie widziałam?

- Co powiedziała o nim Angelika?

- Mówiłam już, że nie chciała o nim gadać - wyjaśniła, wskazując głową na Bergenhema.

- Ale coś przecież musiała powiedzieć.

- Ale i tak wciąż nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że go

nie widziałam na zakończeniu szkoły.

- Więc widziałaś ich razem przed końcem szkoły?

- Taaak, tak sądzę.

- Ale przed chwilą mówiłaś, że powinnaś go była poznać tam, na dziedzińcu. Więc musiałaś go widzieć wcześniej.

- No tak, zgadza się.

- Powiedz nam jeszcze raz, kiedy to mogło być. Wtedy w kawiarni i potem, na ulicy.

Znów zaczęła się zastanawiać. Tak. To musiało być wcześniej.

Wiosną. Późną wiosną, w maju. Za pierwszym i za drugim razem to był maj. Mówiła to już

jemu - wskazała na Bergenhema.

Winter się zastanawiał. Próbował wyobrazić sobie dziewczynę na szkolnym dziedzińcu. Co mogła robić? Coś więcej, niż tylko przyglądać się uroczystości i świętować z koleżanką?

- Masz może inne zdjęcia z tego dnia? - zapytał, wskazując na fotografię.

- No, właściwie to tak.

- Możesz nam je dostarczyć?

- Teraz?

- Tak.

- Ni... nie wie.

- Podwieziemy cię. - Winter się podniósł. - Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni.

Godzinę później Cecilia wróciła - z kolorową kopertą w rękę. Zauważył, że przebrała się w sukienkę i poprawiła włosy.

Winter wybrał z pliku zdjęcia zrobione na dziedzińcu. Porozkładał je pojedynczo jedno obok drugiego. Zajęły cały blat biurka.

Ta sama uroczystość. Może te same minuty. Ale perspektywa inna. Lars Olof Hansson robił zdjęcia, stojąc tuż przed córką i przed gośćmi. Cecilia fotografowała z boku. Stała na lewo od Hanssona.

Na jej zdjęciach było więcej ludzi.

Winter nie zauważył ani chłopaka, ani mężczyzny, który mógł być jego ojcem. Nie było też faceta z brodą i w okularach.

Znalazł za to kobietę. Tę, która wychodziła z kadru. Sięgnął po zdjęcie Hanssona, na którym stała po lewej. U Cecylii stała z przodu.

Jakby się przemknęła z jednego zdjęcia na drugie.

Pokazał ją Cecylii.

- Cholera, nie rozumiem tego - odparła.

- Masz ją na zdjęciu.

- Nie pamiętam jej. Nie pamiętam, żebym ją fotografowała. -

Popatrzyła na zdjęcia Hanssona i na swoje. Winter i Berghem czekali. Podniosła wzrok. - Ale czy na moich zdjęciach też nie powinno być choć trochę widać tamtych?

- O ile były robione w tym samym momencie - powiedział Winter.

- No ale ona tu jest. To musiało być w tym samym momencie. W tej samej minucie, prawda?

Winter milczał.

- To jakieś czary - stwierdziła Cecilia. - Jak duchy.

Wrócili!

- Ale chłopak przecież istnieje - odparł Winter. - Dwa razy widziałas go na mieście z Angeliką.

- Ale nie tam. Dlaczego tam go nie widziałam?

Ani Winter, ani Berghem nie odpowiedzieli. Nie mogli.

Winter znów poczuł, że ma gęsią skórkę.

- Chciałbym ci pokazać coś jeszcze.

Popatrzyła na ceglana ścianę.

- Nie znam tego miejsca.

- Zastanów się dobrze.

- Jak się raz zobaczy taki mur, to się go nie zapomina.

- Ale ją poznasz?

- Żartuje pan? Przecież to Angelika.



- Poznajesz ubrania, które ma na sobie?

Cecilia wpatrywała się w zdjęcie przyjaciółki.

- To zimowe ciuchy. Chodzi mi o to, że ma na sobie ciuchy, które nosi się w pomieszczeniach, ale zimą.

Winter przytaknął.

- Ten sweter kupiła chyba ostatniej zimy.

- Kiedy?

- Ostatniej zimy.

- Ale kiedy dokładnie?

- Wydaje mi się, że po Nowym Roku. Tak, po Nowym Roku.

- Czyli w tym roku?

- No tak, na to wychodzi.

Berghem notował.

- Jak często się spotykałyście? - zapytał Winter. - Ty i Angelika?

- Dość często.

- Czyli? Co ile?

- Nie wiem. Dlaczego pan o to pyta?

- Zwierzałyście się sobie?

Nie odpowiedziała od razu. Widział, że się zastanawia. Przyglądała się zdjęciu Angeliki na tle ceglanej ściany.

- Angelika była trochę dziwna pod tym względem. Niewiele mówiła o tym, co robi, gdzie indziej i kiedy indziej.

Winter czekał.

- Tak jak z tym chłopakiem. Po prostu nie chciała o tym gadać, i już.

- A to miejsce? - Winter skinieniem głowy wskazał na zdjęcie, które nadal trzymała w dłoni.

- Z tym musiało być tak samo. Przynajmniej mnie nic nie mówiła o knajpie z ceglana ścianą. - Popatrzyła na Wintera. - Bo i po co? Jeśli była gdzieś, kiedy akurat nie była ze mną, po co miałyby mi o tym opowiadać?

- Nie wiem.

- No właśnie. To, że mi nie powiedziała, nie znaczy, że to

była tajemnica.

- A kto mówi o tajemnicy?

- Tak to zrozumiałam. Że chodzi o jakąś tajemnicę.

- Ale czy nie jest normalne, że się rozmawia o tym, gdzie się chodzi?

- Tak, chyba tak.

- No to czemu nic o tym nie wspomniała?

- Może i wspomniała. To znaczy może nie mówiła, że jest tam ceglana ściana. - Znów wbiła spojrzenie w zdjęcie. - Kto wie, może i ja tam byłam, tylko w innej sali.

- Możesz nam podać listę wszystkich miejsc, w których bywałaś z Angeliką? Wszystkich, które znasz.

- Wystarczy sprawdzić w dodatku do gazety.

- Tak dużo razem wychodziłyście?

- Nie, nie, chodziło mi o to, że tam są wszystkie miejsca, w których bywałyśmy.

- Możesz je dla nas zaznaczyć?

- Kiedy?

- Najszybciej jak się da.

- W porządku.

Bergnhem wyszedł. Winter wyciągnął rękę po leżące na półce przy umywalce cygaretki. Paczka okazała się pusta, a naprawdę musiał zapalić.

Świetny pretekst, żeby wreszcie wyjść, kupić nowe i wrócić do domu, do rodziny, zanim Elsa zaśnie.

Wieczór był piękny. Szedł wzdłuż kanału. Przed dworcem kolejowym ruch był niewielki. Przed hotelem Eggers tłoczyło się sporo ludzi. Jakaś grupa wyszła z walizkami i ruszyła w stronę dworca. Winterowi wydawało się, że kiedy wolnym krokiem mijali ogródki restauracyjne, na ich twarzach widać było żal. Komu chciałoby się podróżować w taki wieczór, zamiast siedzieć na dworze? Kiwnął głową kilku znajomym policjantom, którzy właśnie wsiadali do wozu zaparkowanego przed domem handlowym. Samochód ruszył,

migając przednimi światłami, i po chwili zniknął w oddali. Zniknął. Winter miał w wewnętrznej kieszeni marynarki kilka zdjęć. A przed oczami twarze czterech osób, których nikt nie mógł rozpoznać, których jakby nie było. Zniknęły. Z wyjątkiem kobiety. Ona została uwieczniona przez dwa aparaty.

Chłopak też tam był, przynajmniej na zdjęciach Hanssona. Zaraz po rozmowie z dziewczyną opracowali jego portret. Już niedługo jego twarz będzie wszędzie. Bergenhem miał się tym zająć.

Winter przeszedł przez Brunnsparken i wstąpił do sklepu z tytoniem, tego co zawsze.

- Przykro mi - powiedziała sprzedawczyni. - Ostrzegałam pana, ale sama się nie spodziewałam, że to już.

- Co już?

- Swedish Match nie sprowadza już corpsów. Nie można ich u nas dostać.

- Jak to? - Nagle poczuł, że zasycha mu w ustach. Coś go łaskotało nad brodą. Przełknął ślinę. Okropne uczucie. - Nie sprowadza?

- Miałam odłożyć dla pana ostatnią paczkę, ale klient wszedł akurat, gdy miałam ją w ręku, i nie dałam rady jej dla pana schować.

- O nie.

- Proszę?

- Nic, nic, tak czy inaczej, dziękuję.

- Musi się pan przetrzucić na inne produkty Swedish Match.

Winter spróbował się uśmiechnąć.

- Dzwoniłam, żeby popytać konkurencję, ale nikt ich już nie ma - powiedziała. - Od dawna. Tylko my prowadziliśmy sprzedaż i tylko pan je kupował. No i ten klient, który pana uprzedził.

Kolejna ofiara, pomyślał Winter. Był zaskoczony. Właściwie to mało powiedziane. Spokojnie, bez paniki.

Przecież miał zamiar rzucić. Teraz miał okazję. To znak z góry. Przysługa. Opatrzność wyświadczyła mu przysługę. I dystrybutorzy tytoniu. Wszyscy połączyli siły, by dbać o jego zdrowie. Rodzina go potrzebuje, potrzebuje go dziecko. Oto nadeszła chwila, by zacząć żyć bez trucia się. Nagle strasznie, okropnie, niewyobrażalnie zachciało mu się palić.

- Przecież są inne marki, panie komisarzu - powiedziała kobieta, wskazując na stojące za nią przepełnione regały.

- Paliłem corpsy piętnaście lat - odparł. - Inna marka nie wchodzi w grę.

- Miał nadzieję, że w jego głosie nie słyhać płaczliwego tonu.

- Ale są inne marki.

- Nie dla mnie.

Pożegnał się i wyszedł. Musi jak najszybciej dotrzeć do domu i omówić z Angelą dalsze kroki. Jest lekarką. Ma jakieś plastry z nikotyną? Pastyłki do żucia? Może morfinę?

Schowane za chmurami słońce świeciło z jasnego nieba, ale jemu wydawało się czarne.

Są przecież inne sprawy. Na corpsach świat się nie kończy. Przecież może rzucić. Kiepsko u niego z silną wolą, ale innym, wcale nie mocniejszym, się udawało.

Przemierzał Salutorget z ciężarem w sercu. Idąc przez park, zrozumiał, jakie to uczucie - smutek. Właśnie stracił przyjaciela.

## 16

ANNE PRZYSZŁA DO KLUBU trzy minuty po północy. Rozpoznała kilka twarzy przy barze - wzrok wbity gdzieś w dal, może w ścianę w drugiej sali. Było ją widać z tego miejsca, jeśli się stało z odpowiedniej strony. Słysząc było muzykę. Brzmi jak charkot, pomyślała, jakby

coś podchodziło komuś do gardła. Nie była to muzyka, przy której można się odprężyć i którą można się delektować. Ale przecież nie o to chodziło odwiedzającym to miejsce.

Ich twarze mieniły się na biało, zielono i fioletowo, odbijały światła rzucane przez lampy zwisające z sufitu.

Wyszedł z biura, zza baru. Biuro - dobre sobie. Zwykła garderoba schowana za drugą garderobą.

- Zastanawialiśmy się już, dokąd poszłaś.

- Przecież jestem.

- Chyba nie jesteś zmęczona?

- Nie.

- Na pewno?

- Tak.

Czekała, chciała o to zapytać. Czekała, i w końcu zapytała:

- Czemu nic nie mówisz o Angelice?

- Słucham?

- Nie wspomniałeś o niej ani słowem, odkąd. to się stało.

- A co miałbym powiedzieć?

- To chyba naturalne, że coś się mówi. Cokolwiek.

- I tak wszyscy o tym gadają.

- Ale to ty jesteś właścicielem.

- O co ci właściwie chodzi, Anne?

- Nie rozumiesz?

- Ja nie należę do tych, co gadają.

- Ależ skąd.

- Jeśli chcesz coś powiedzieć, to słucham.

- O Boże.

- Przecież wiesz, że ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Gdybyś miał, a ja byłabym o tym przekonana, nie byłoby mnie tu teraz.

- Ale to nie znaczy, że nie przejąłem się tą sprawą.

- Smutno ci?

- Tak, smutno. To oczywiste, była jedną z nas.

- Jedną z nas?- Pora na ciebie.

Zobaczyła, że drzwi przy scenie są uchylone. No tak, scena. Skinął głową w tamtą stronę. Odwróciła się i zobaczyła, że jedna z twarzy przy barze jest zwrócona w jej stronę.

- Nie, tylko nie on. Znowu.

- A co to za różnica?

- Myślisz tylko o swoich stałych klientach, czy jak tam ich nazwać.

- Daj spokój, przychodzi tu od dawna.

- To nie ty musisz stać tam w środku. Nie wiesz, jak to jest.

- Wiesz, że nie musisz się bać.

- Łatwo powiedzieć, ale nie wiesz, jakie to uczucie.

- No jakie?

- Nie da się tego opisać.

- Wystarczy zamknąć oczy.

Zaśmiała się tylko i zaczęła iść w stronę drzwi. Twarz ruszyła od baru - była ogromna, blada i obrzydliwa, ale zanim się zbliżyła, Anne zdążyła wejść do pokoju. Przygotowała się i weszła do klatki. Zamknęła oczy i zaczęła podrygiwać w takt muzyki płynącej z głośników. Tym razem puścili inny kawałek. *Chcę cię wziąć w ciemności, dziś wieczorem.*

Wszyscy siedzieli z kubkami kawy w rękach. Znowu padało. Ringmar zamknął okno, ale po pięciu minutach w pokoju zrobiło się za gorąco, więc je otworzył. Po chwili na podłodze pod oknem utworzyła się niewielka kałuza. Winter czuł lekkie podmuchy wiatru. Miłe uczucie. Żuł gumę z nikotyną. Smakowała okropnie. Wyjął ją z ust i wrzucił do kosza. Głowa zaczęła go boleć pół godziny po śniadaniu, dokładnie tak, jak mówiła Angela.

- Jak długo będę musiał to znosić? - zapytał, pijąc poranną kawę.

- Dopóki ten demon z ciebie nie wyjdzie.

- Dość długo siedział w moim ciele.

- Dasz radę.

- Są inne marki.

- To dla ciebie szansa. Opatrzność dała ci szansę. Możesz rzucić - powiedziała.

- Chyba raczej Swedish Match - odparł.

Wziął kolejną gumę. Pożuł ją chwilę i wypluł. Zdjęcia krążyły wśród zebranych. Kolejne dochodzenie, kolejny zestaw odbitek, które wszyscy muszą zobaczyć. Zdjęcia zwłok, części ciała. Dzieci. Dziecięcych obrazków. Domów. Samochodów. Drzew. Skał. Morza. Leśnych rowów. Kolejnych zwłok. Martwych twarzy: opuchniętych, zniekształconych przez kule i ciosy. Rok po roku. I tak bez końca.

Ceglane ściany. Uroczystości z okazji ukończenia szkoły. Twarze żywych, którzy za kilka tygodni zginą. Mieli w rękę coś w rodzaju klucza z odpowiedziami, a nic w nim nie zapisano. To i to się stało, ale dlaczego, jak, kiedy i kto, i.

- Nielegalny lokal - powiedział Halders.

Wrócił do pracy trzy dni po pogrzebie. Wyszczupłał i zmizerniał. Żadnych głupich komentarzy, żadnych kiepskich żartów. Zupełnie inny człowiek. Żadnego przekomarzania się z siedzącą kilka krzeseł dalej Anetą. Winter zastanawiał się, czy jej tego nie brakuje. Może się okaże, że i inni zatęsknią za dawnym Haldersem. Ale on nie wróci.

- To wygląda na nielegalny lokal - powiedział Halders, patrząc na zdjęcie, które wyświetliło się na ekranie.

Möllerström opuścił żaluzje i włączył projektor. Najpierw zobaczyli Beatrice, potem Angelikę, a w tle - tę samą ścianę.

- Musimy je wszystkie sprawdzić - powiedział Ringmar.

- Przecież ktoś się zajmuje restauracjami - powiedział Berghem. - Ktoś kontroluje bary i puby. Inspekcja sanitarna i ci od bezpieczeństwa pożarowego.

- Tak - odpowiedział Winter. - Sprawdź to. Niech ci pomoże ktoś, kto ma dyżur.

- Jasne.

- Wróć z adresem.

- Znajdę to miejsce.

- Nielegalne kluby ciągle otwierają się na nowo - stwierdził Halders. - Jak się któremuś utnie głowę, w jej miejsce wyrastają dwie.

- Z tym jest inaczej - powiedział Winter. - O ile to faktycznie nielegalny klub. - Odwrócił się w stronę ekranu, na którym widać było Beatrice na tle ściany. - To zdjęcie zrobiono co najmniej pięć lat temu. A miejsce wygląda tak samo.

- Ściana wygląda tak samo - zauważył Halders. - Ale to nie znaczy, że jest w tym samym miejscu. Może chyba być gdzie indziej? - Rozejrzał się. - Mogli ją przenieść. Zabrać kamienie i wymurować od nowa gdzie indziej. A co, nie mogliby? Bergenhem wzruszył ramionami.

- W dzisiejszych czasach właściciele klubów są gotowi na wszystko - dodał Halders.

- Znajdę ten lokal - powtórzył Bergenhem i odwrócił się do Haldersa. - Znajdę tę ścianę.

Siedzieli w pokoju Wintera. Winter chodził od biurka do okna i z powrotem. Ringmar siedział bez ruchu.

- Jesteś jakiś nerwowy - zauważył.

- A widzisz tu jakieś cygaretki?

- Nie.

- To masz odpowiedź.

- Wypróbuj plastry.

Winter podciągnął koszulę, odsłonił brzuch.

- A może guma do żucia?

Winter otworzył usta.

- Ćwiczenia?

- Nie mam kiedy.

- Praca?

- Tak. - Usiadł. - Kto stał za aparatem?

- Myślisz, że zdjęcia zrobił ten sam człowiek? - zapytał Ringmar.

- To byłoby za proste.

- Ale to był jej aparat? Mówię o Beatrice. To nim zrobiono



zdjęcia?

- Musimy zapytać specjalistę od zdjęć. Może da się stwierdzić, jaki to był aparat.

- Będzie trudno.

- A co potem?

- Potem musimy się dowiedzieć, kto zrobił zdjęcia - odparł Ringmar.

- Dlatego musimy znaleźć to miejsce.

- Niektórzy żyją z tego, że chodzą tu i tam i robią innym zdjęcia. Tak zarabiają na chleb.

- Paparazzi.

- Raczej nie w tym przypadku. Ale to mógł być ktoś, kto robi zdjęcia za pieniądze.

- Albo zrobili sobie zdjęcia nawzajem.

- Tak też mogło być.

Wcześniej Winter pokazał zdjęcia Beatrice Cecilii, koleżance Angeliki. Nie rozpoznała jej. Nigdy jej nie widziała.

- Nie jestem ekspertem, ale te zdjęcia wyglądają na zrobione przez amatora - zauważył Ringmar.

Spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że w domu Angeliki nie było aparatu. Miała aparat, ale nie znaleźli go. Nie trafili też na zakład, w którym zrobiono odbitki.

Aparat Beatrice nadal był w domu jej rodziców. Prawdopodobnie to nim zrobiono zdjęcia, które u niej znaleźli. Mieli zarówno negatywy, jak i aparat.

Ale kto sfotografował Beatrice? Kto trzymał aparat? Kto zrobił zdjęcie Angelice? Kto stał za obiektywem tym razem? Jaki to był aparat?

Halders i Aneta Djanali kolejny raz odwiedzili rodziców Jeanette Bielke. Ojciec wyglądał na niezadowolonego, ale ich wpuścił. Jeanette zeszła na dół. Usiedli w ogrodzie. Halders miał na sobie koszulę, Aneta Djanali cienką bluzkę. Jeanette wyglądała, jakby jej było zimno.

Spojrzała na ścianę uwiecznioną na zdjęciach, które jej podała Aneta. Najpierw na to przedstawiające Angelikę, potem na drugie, z Beatrice.

- Poznają tę ciemnoskórą dziewczynę. Ale przecież pokazywali ją w gazetach - powiedziała. - Właściwie to nadal pokazują. Wciąż sporo o tym piszą.

Halders przytaknął.

- Dlaczego z tym do mnie przychodzicie?

- Bo może nam pomożesz znaleźć ten klub, w którym siedzą na zdjęciach. Klub czy cokolwiek to jest. - Halders wziął od niej jedno ze zdjęć. - My raczej się nie bawimy w takich miejscach.

- Nie? Myślałam, że wiecie wszystko o wszystkich klubach i lokalach w mieście.

- Nie o tym. Szukamy go, ale na razie bez skutku.

- Szukajcie, a znajdziecie.

- Ta ściana jest wyjątkowa.

- Nigdy jej nie widziałam.

- Byłaś kiedyś w jakimś nielegalnym klubie?

- Co? - Jeanette popatrzyła na Anetę, która jej zadała to pytanie. - Co pani powiedziała?

- Pytam, czy byłaś w nielegalnym klubie. Na mieście jest ich sporo. Byłaś kiedyś w jakimś?

- Nie.

- Ale słyszałaś o takich miejscach?

- Tak.

- Od kogo?

- Jak to?

- Jak się o nich dowiedziałas?

- Choćby tak, że umiem czytać. Przecież pisze się o tym.

- Znasz kogoś, kto był w takim miejscu?

- Nie.

- Znasz kogoś, kto mówił coś o tym?

- Nie.

- Wiesz o nich tylko z gazet?
  - Tak.
  - Znasz jakieś nazwy takich klubów? - zapytał Halders.
  - Skąd miałabym je znać?
  - Tamtego wieczoru, gdy cię napadnięto. Czy wtedy nie byłaś w takim właśnie miejscu?
  - Co to za pytania? - Nie wytrzymała. - Długo jeszcze?
  - Będę z tobą całkiem szczerą, Jeanette. - Halders spojrział na nią tak poważnie, jak tylko potrafił. - Jest tak, że jak człowieka spotka coś tak okropnego jak ciebie, to potem człowiek się boi pokazać w złym świetle. Po tym, co się stało. Niektórzy nie chcą się przyznać, że wcześniej pili. Albo że poszli gdzieś z kimś, z kim nie powinni. Albo że byli gdzieś, gdzie nie powinni.
  - Na przykład w nielegalnym klubie.
  - Tak.
  - Ale mnie to nie dotyczy. Nie byłam w takim miejscu.
- Jeanette spojrzała na wróbla skaczącego po trawie. W pewnym momencie padło na niego światło słońca i ptak jakby się zmienił w ognik. Potem wzbił się w powietrze i odleciał.

\*

- Kim, do cholery, jest ten chłopak? - zapytał Ringmar.
  - Albo kim jest jego ojciec - odparł Winter. - Jeśli ten facet ze zdjęcia z zakończenia szkoły to rzeczywiście jego ojciec.
  - Ktoś powinien był się zgłosić po komunikatach. - Ringmar spojrział na Wintera. - Już raz tak było, że nikt nie odpowiedział, kiedy opublikowaliśmy zdjęcie. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.
- Anne zrobiła, co do niej należało. Muzyka się skończyła i mogła wrócić do przebieralni. Kiedy wyszła, w głębi, przy barze, zauważyła tę samą twarz. Czowała na sobie jego wzrok. Nie umiała i nie chciała widzieć. W tych oczach kryło się

szaleństwo.

Kiedy wyszła, na niebie rozciągały się smugi światła. Wyglądały jak zrobione z chmur palce wskazujące w stronę, w którą szła. Zeszła po schodach. Śmierdziały jak zawsze. Na dole, na ulicy, nie było zbyt wielu ludzi. Blask latarni mieszał się z mrokiem nocy.

Kiedy przechodziła na drugą stronę, odwróciła się i zobaczyła, że mężczyzna z dziwną twarzą schodzi po schodach. Przyspieszyła i znów się obejrzała. Mężczyzna zniknął.

W torebce zadzwoniła komórka.

- Gdzie jesteś?

- Już wracam - odpowiedziała. - To był ostatni raz.

## 17

ANNE ZAMÓWIŁA PIWO. Na barierce otaczającej ogródek restauracyjny wisiały kwiaty. Wciąż było gorąco, niemal duszno. Na wschodzie widać było ciemną chmurę. Ptaki latały bardzo nisko.

- Falszywy alarm - powiedział Andy, podążając za jej wzrokiem. - Nie będzie padać.

- Wcale nie chcę, żeby padało.

- A ja nie miałbym nic przeciwko małemu deszczowi. Jak mówią rolnicy, gleba jest wysuszona.

- Aha.

- No tak, zawsze tak mówią.

- Andy, od dziesięciu lat nie ruszyłeś się poza granice miasta.

- Potrafię rozmawiać z rolnikami w ich języku.

- Idzie moje piwo.

Andy też sięgnął po swoją szklanekę.

- Tego mi było trzeba - powiedziała.

- Było aż tak źle?

- Jeszcze tydzień i kończę.

- Przez telefon mówiłaś, że to był ostatni występ.
- Kończę w przyszłym tygodniu.
- Czemu nie teraz?
- Przecież wiesz.
- Pieniądze to nie wszystko - powiedział i wypił kolejny łyk. Spojrzał w górę, jaskółki latały już nieco wyżej. Ciemne chmury ciągnące ze wschodu zniknęły.
- Akurat teraz ich potrzebuję.
- Pieniądze mają to do siebie, że wywołują potrzebę - odparł.
- Aż tyle ich nie mam.
- I tak wystarczy.
- To nie jest tak, jak myślisz. Nie potrzebuję więcej pieniędzy. Nie w tym sensie. Nie dlatego.
- Bo okazało się, że wcale nie tak łatwo je zarobić.
- Nie.
- Naprawdę myślałaś, że to będzie proste?

Wzruszyła ramionami.

- No powiedz.
- Przecież można zamknąć oczy.
- Nie zawsze. Czasem musisz je otworzyć, żeby nie stracić równowagi.
- Dzisiaj znowu tam był - powiedziała po krótkiej przerwie.
- Spokojnie.
- On ma takie dziwne. spojrzenie.
- Myślałem, że wszyscy tam takie mają.
- Jest na maksa obleśny.
- Myślałem, że wszyscy są.

Napiła się jeszcze i przepuściła grupę przeciskającą się do większego stolika za nimi. Wszyscy byli opaleni i ubrani na biało: jasne uśmiechy, świetliste spojrzenia i błyszczące włosy.

- Boję się.
- Całkiem rozsądnie.
- Mam wrażenie, że on. coś wie. Jakby chciał mi coś

powiedzieć.

- Co?

- Czasem uśmiecha się tak, jakby coś wiedział. Jakby wiedział, że ja wiem.

- Że co wiesz?

Spojrzał na nią wyczekująco. Towarzystwo, które usiadło obok, zaczęło śpiewać. Jeden z mężczyzn wyglądał, jakby był tym trochę zażenowany.

- Andy, jeszcze nikomu nie mówiłam.

- Czego nie mówiłaś? Teraz już nic nie rozumiem.

- Ta dziewczyna, którą zamordowano. Zgwałcono i zamordowano. Angelika, Angelika Hansson.

- Słyszałem o tym. Trudno przegapić tę historię, jeśli się zagląda do gazet.

- Znałam ją.

- Tak?

- Z klubu.

- Z klubu? Też tam pracowała?

- Tak.

- Była tancerką?

- Nie, pracowała w barze.

- Kiedy. Kiedy to było? To znaczy pracowała tam, kiedy to się stało? Tamtej nocy?

- Tak sądzę. Widziałam ją tam parę dni wcześniej.

- I?

- Co i?

- Doszłaś do jakichś wniosków?

- Wolę nie dochodzić.

- Pomyślałaś, że to miało związek z klubem. To, co ją spotkało.

- Nie chcę o tym myśleć.

- Ale czemu to miałyby mieć cokolwiek wspólnego z klubem?

- No właśnie, też tak myślę.

- Klub nie miał tu nic do rzeczy - stwierdził Andy.
- Nie miał.
- Bo i czemu miałby mieć?
- Właśnie, czemu?
- Zbieg okoliczności.
- Racja - powiedziała, wpatrując się w jego twarz. Uśmiechał się.
- Żal ci mnie? - zapytał Halders.
- Jak możesz pytać? - odpowiedziała Aneta Djanali.
- Odpowiadasz pytaniem na pytanie.
- Bo trudno rozmawiać o tym, czy kogoś ci żal.
- A mnie nie jest siebie żal - stwierdził Halders. - Nie tak. To tragedia, ale dzieciom jest dwa razy ciężiej. Dwadzieścia, sto razy ciężiej.
- To dotknęło was wszystkich.
- Je najbardziej.

Siedzieli na werandzie domu, w którym jego dzieci mieszkały od zawsze i w którym miały zostać, jeśli to on miał o tym zdecydować. A taki miał właśnie zamiar.

Hannes i Magda spali. Przed chwilą u nich był. Hannes mamrotał coś przez sen. Kiedy tak przy nich siedział, Magda też coś powiedziała. Brzmiało to tak, jakby ze sobą rozmawiali.

Aneta wstała.

- Na mnie pora.

Skinął głową.

- Dasz radę?

Znowu pokiwał głową.

- Jesteś pewien?

- Dam radę - powiedział, spoglądając na niebo. Od wschodu zaciągało się ciemnymi chmurami. Mignął na nich schodzący do lądowania samolot. - Jutro wstanie nowy dzień, i takie tam.

- I co wtedy zrobisz?

- Porozmawiam z chłopakiem Jeanette.
- Z Mattiasem.
- Tak.
- Tym, który nie za bardzo chciał dać za wygraną.
- Zastanawiam się dlaczego.
- Co w tym dziwnego? Przecież chciała z nim zerwać.
- Nie o to chodziło. Rozmawiałem z nim o tym. Poszło o coś innego.
- Aha.

- Chciał od niej czegoś, o czym nie chciał powiedzieć mnie. Nam. Ale jej powiedział.

Aneta się odwróciła i zatrzymała. Za płotem przejechał samochód. Zazgrzytał rozsypany na poboczu żwir.

- O coś im poszło. chłopak był wściekły, ale nie tylko dlatego, że z nim zerwała. - Halders popatrzył na Anetę. - Wiesz, o co mi chodzi? To się po prostu czuje.

- Tak.

Halders też się podniósł.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Schylił się do niej, kiedy już siedziała za kierownicą.

- Dziękuję, że przyjechałaś.

- Połóż się, Fredrik.

Trzymał ją za rękę. Puścił dopiero, gdy samochód ruszył.

Winter siedział w pokoju Beiera. Słysząc było odgłosy wydziału technicznego: próbne wystrzały, odkurzacz, przelewaną wodę, wyciąganie ubrań z foliowych torebek, szelest papieru i trzask lampy błyskowej.

Beier zadzwonił do niego przed chwilą.

- Krajowe Laboratorium Kryminalistyczne sprawdziło tyle, ile mogło.

- Ten sam sprawca?

- Nie. To znaczy nie da się tego stwierdzić w stu procentach.

- Wiedziałem.

- Teraz przynajmniej wiesz na pewno.



Na analizę DNA czekali dwa tygodnie. A właściwie to laboratorium zdecydowało, że tyle właśnie to potrwa. Sprawa nie trafiła na początek ich listy priorytetów, ale też nie na sam koniec.

- Jeśli chodzi o tę Bielkę, to powiedzieli, że nie mieli wystarczająco dużo materiału.

- Jeanette - sprecyzował Winter. - A co właściwie mieli?

- W zasadzie nic. - Beier napił się kawy. Zaproponował ją Winterowi, gdy tylko wszedł. - Umyła się i wyszorowała aż nadto skutecznie. - Odstawił kubek i wytarł usta. - A Angeliki nie zgwałcono. Nie znaleziono śladów, które by to potwierdzały. Materiał nie był wystarczający.

- Więc to nie był ten sam skurwiel - podsumował Winter. - Pięć lat temu Beatrice, a teraz Angelika Hansson. Pięcioletni odstęp. To samo miejsce. Ta sama. broń. - Pochylił się do przodu. - Możesz powiedzieć coś więcej o pasku? Masz jakieś konkrety?

- Nie. Uduszono je, ale nie mogę powiedzieć dokładnie czym.

- Mimo wszystko jest to jakiś przełom w śledztwie, jednym i drugim. Można tak na to spojrzeć. Eliminujemy hipotezy i odrzucamy część pytań.

- Tak.

- Następny krok to aparaty.

- Sprawdziłem to od razu po naszej rozmowie. I miałeś rację. Nie dało się stwierdzić, z jakiego aparatu zrobiono zdjęcie Angelice, nie na podstawie odbitki. A tylko nią dysponowali. Ale na zdjęciu była niewielka plamka, Winter ją zauważył. Ludzie Beiera sprawdzili to dokładniej i okazało się, że prawdopodobnie na obiektywie była rysa.

- Dla porównania obejrzałem inne zdjęcia, które prawdopodobnie zrobiono aparatem Angeliki. Na nich nie było tej rysy.

- Rozumiem.

- Więc jej aparat zaginął, ale to nie nim zrobiono jej zdjęcie w tym barze czy co to tam jest.
  - Więc teraz mamy pewność.
  - Sprawdziliśmy też sprzęt tej drugiej dziewczyny, Jeanette. Na jej obiektywie też nie ma żadnych uszkodzeń.
- Winter pokiwał głową.
- W ich domach nie znaleźliśmy zapasowych obiektywów.
  - Czyli gdzieś tam jest aparat, którym zrobiono zdjęcie Angelice i który jest uszkodzony - powiedział Winter.
  - Znajdźcie go, a może znajdziecie też mordercę.
- Siedzieli w milczeniu. Winter czuł, jak słońce wpadające przez okno za jego plecami grzeje mu kark. Zbliżała się czternasta. Już nie był głodny.
- A ten twój guzik jest z najzwyklejszej koszuli. Możesz taką dostać choćby w H&M - dodał Beier.
- Guzik znaleziony przez Wintera wraz z innymi dowodami leżał teraz przed nimi na stole.
- Ja nie kupuję tam koszul.
  - Nie chodziło mi o pana, komisarzy.
  - Aha.
  - Mówiłem o tych, którzy nie kupują koszul u Baldessariniego.
- Beier miał na sobie garnitur od Oscara Jakobsona, białą koszulę i krawat.
- Gdyby to był Baldessarini, byłoby prościej.
  - Tu masz próbki tego, co znaleźliśmy na miejscu - powiedział Beier, wskazując na dowody rozłożone na blacie. - Ile z tych rzeczy należało do sprawy?
  - Ty mi powiedz.
  - Żadna. Tyle dotychczas ustaliliśmy.
  - Aha.
  - Jak mi dostarczysz wyraźny odcisk palca, będę bardziej pomocny.
  - Musisz szukać dalej. Sam.

- Szukamy, szukamy.
- Jeszcze jedno. Co sądzisz o tych przybyszach z zaświatów?
- Nie umiem tego wyjaśnić - odpowiedział Beier. - Przecież są na zdjęciu z zakończenia szkoły. Tym, które zrobił ojciec Angeliki Hansson. Są tam. Może i ich nie znał, ale uwiecznił ich na kliszy. Więc musieli tam być.
- No tak, to by się zgadzało z dotychczas obowiązującymi zasadami. Jeśli ktoś stoi przed obiektywem, to potem jest na zdjęciu.
- I oni się na nim znaleźli.
- Nie na tym zrobionym przez Cecilię, a uchwyciła to samo miejsce. Z innej perspektywy, ale to samo miejsce, tę samą scenę.
- Rozwiązanie jest oczywiste - stwierdził Beier. - Kiedy ona robiła zdjęcie, ta trójka już sobie poszła.
- Też brałem to pod uwagę.
- No, ja myślę - powiedział Beier z uśmiechem.
- Ale kiedy się patrzy na te dwa zdjęcia, trudno nie dojść do wniosku, że zrobiono je niemal jednocześnie.
- Wiele się może wydarzyć w ciągu sekundy.
- Zapewne.
- A jak tam polowanie na kluby?
- Na razie nic nie mamy.
- To na pewno nielegalny klub.
- Na pewno.
- Nie macie ich wszystkich na oku?
- Nie wiemy, jak wyglądają od środka.
- Wystarczy wyjść w teren.
- Właśnie wyszliśmy.
- To może być ciekawe środowisko.
- Dla kogo?

Beier podszedł do okna i podciągnął żaluzje. W pokoju zrobiło się białe.

- Chyba nie powinno ci dawać spokoju, że nie wiesz, co dokładnie te dziewczyny robiły godzinę przed śmiercią.
- Nie daje mi to spokoju - przyznał Winter. - Myślę, że były w tym klubie, barze czy co to tam jest. Były tam i to stamtąd szły, a ten ktoś szedł z nimi. Albo za nimi. - Spojrzał na Beiera. Widział tylko jego czarną sylwetkę odcinającą się na jasnym tle. - Jeśli znajdziemy to miejsce, będę trochę spokojniejszy.
- Albo dopiero wtedy zaczniesz się niepokoić naprawdę.

## 18

JEDEN ZE ŚWIADKÓW, MĘŻCZYŻNA, zeznał, że słyszał krzyk dobiegający z parku. Było to około drugiej w nocy, właściwie dochodziło wpół do trzeciej. Minęło zatem od pół godziny do godziny od chwili, kiedy Beatrice zniknęła między drzewami.

Winter kolejny raz sięgnął po biblię mordu. Wertował ją w tę i z powrotem. Świadek opowiadał wciąż tę samą historię. Winter przeglądał ją od nowa, ale nic się w niej nie działo, nic z niej nie wynikało, brakowało w niej drugiego dna.

Czytał raz za razem, próbując odkryć tajemnicę ukrytą między wierszami, ale niczego nie znalazł.

A jednak coś się wtedy stało.

Ostatnie godziny Beatrice. Wrócił do przesłuchiwania świadków sprzed lat. Byli dla niego jak starzy przyjaciele. Minęło już tyle czasu. Próbowali sobie przypomnieć, tak jak on teraz. Byli już starsi, niedługo będą mieli po dwadzieścia pięć lat. Rozmawiał z czterema osobami, które tej ostatniej nocy były w mieście z Beatrice. Dwie z nich miały już dzieci. Skończyły studia. Żyły zupełnie inaczej. Jedni wciąż zachowywali się jak dziewczętnastolatki, inni - jakby im stuknęła trzydziestka. Gdzie na tej skali mieściłaby się dziś

Beatrice? Jak by dzisiaj wyglądała? Brakuje mi jej, powiedziała jedna z dziewczyn. Tak bardzo mi jej brakuje. Winter porównywał ich wypowiedzi ze starymi zeznaniami. Jedna rzecz się nie zgadzała. Zgadzała się nie do końca. Może to była kwestia zawodnej pamięci zmyłonej upływem czasu, a może nie.

Ostatni wieczór? Chyba już nic więcej nie można o nim powiedzieć. Popatrzył na Wintera. Miał na imię Klas. Skończył studia. Czy zdawał sobie sprawę, że jemu dane było przeżyć? Czy czasem się nad tym zastanawia? Winter sięgnął do kieszeni koszuli po paczkę cygaretek - fantomowy odruch. Fantomowy, bo taki właśnie ból odczuwał po tej paczce. Była jak narośl wycięta z klatki piersiowej. Do tego dziwne uczucie w gardle. Odkąd rzucił palenie, czuł się źle. Przyczajone przeziębienie krążyło po jego ciele. Teraz mogło to robić do woli, bo nikotyna już go nie chroniła. A kto chronił Beatrice? Wtedy, tego ostatniego wieczoru? Jedna rzecz się nie zgadzała. Teraz Klas zeznał całkiem co innego. Albo wtedy inaczej go o to pytali. Beatrice nie była z nimi, ze swoją paczką, cały czas. Tak, spotkali się. Ale. to chyba było później. Większość z nich była już od jakiegoś czasu w mieście, poszli coś zjeść, a ona dołączyła później. Potem znowu się rozdzielili, na kilka godzin przed tym, jak całe towarzystwo rozeszło się do domów.

Chwileczkę. Winter przypomniał sobie zeznania z biblii. Czy wtedy nie zapytał, jak wyglądał cały wieczór?

Nie byliście razem cały czas?

Z tego co pamiętam, nie.

Co ona wtedy robiła?

Miała swoje sprawy.

Jakie sprawy?

Nie wiem.

Daj spokój.

Ale z czym?

Co z tobą? Nie rozumiesz, że to ważne?

Spokojnie, komisarzu.

Jakie sprawy?

Chyba było jakieś miejsce, do którego chodziła.

Miejsce?

Ktoś coś mówił, że gdzieś poszła. Do jakiegoś klubu. Przecież już to mówiłem. kiedy to się stało. Kiedy ją zamordowano.

Nie.

Bo też dobrze nie wiedziałem. Nigdy mi o tym nie mówiła.

I?

Nie wiedziałem, przecież mówię. Nie wspomniałem o tym, bo nic nie wiedziałem.

Winter wpatrywał się w niego.

A kto wiedział?

Nikt.

Ktoś przecież o tym wspominał.

Nie wiem kto. Naprawdę. NAPRAWDĘ.

Powinieneś oberwać po mordzie.

Winter powiedział to, bo był zupełnie bezradny i zdenerwowany. Nie miał już w sobie nikotyny, a to ona działała jak wewnętrzna ochrona, jak bariera. Są przecież inne marki. Każdy może zmienić zdanie.

Klas gapił się na niego.

Że co?

Przepraszam, ale powinieneś być o tym powiedzieć wcześniej. Przecież to nic takiego. I właściwie to wasza robota, wy powinniście wyjaśnić, co robiła.

O to właśnie chodzi. O luki. Winter wrócił do czytania tekstu, który przed nim leżał. Jeden ze świadków, mężczyzna. Najpierw jednak wstał i przeszedł się po pokoju. Próbował rzucić z siebie ochotę na ukochaną truciznę. Włączył czajnik elektryczny i zrobił sobie kawy. Potem wrócił za biurko.

Świadek usłyszał krzyk. Czytał o tym dziesiąty raz. Świadek się przestraszył i pobiegł po pomoc. Spotkał jakąś parę -

mieli po mniej więcej trzydzieści pięć lat i byli ubrani na biało. Kobieta powiedziała, że właśnie przed chwilą szła przez park i chyba kogoś minęła. Tak twierdził świadek.

Im nie było dane porozmawiać z tą parą - mężczyzna i kobieta nigdy się nie zgłosili na komisariat.

Rozwazał to po raz kolejny. Czemu nie chcieli się ujawnić?

Tej samej nocy jakiś mężczyzna i chłopiec ładowali coś do samochodu zaparkowanego przy parku. Może byli tam w tym właśnie momencie. Ich też nigdy nie znaleźli. Dlaczego się nie zgłosili?

Winter jechał do Lunden, opuścił szybę. Minął dom Haldersa, ale to nie tam zmierzał. Haldersa zresztą nie widział - Halders nie traci teraz czasu i wykorzystuje każdą godzinę. Jego dom otaczał wysoki na półtora metra żywopłot. Winter usłyszał szczekanie psa. Trzy przecznice na północ od domu Haldersa skręcił w prawo i zatrzymał się przed innym domem, otoczonym innym żywopłotem. Na ulicy, tuż przy skrzynce na listy, stało nowe bmw. Połyskiwało w słońcu. Winter czuł pot na szyi i na plecach. Wszedł przez otwartą furtkę i skręcił w lewo. Wyłożoną kamiennymi płytami pochyłą ścieżką poszedł na tyły domu. Na leżaku, z piwem w ręku, leżał dobrze mu znany gangster. Słońce odbijało się w basenie. Mężczyzna go zauważył.

- Masz na sobie za dużo ciuchów - powiedział, unosząc butelkę z piwem.

- Jestem w pracy.

- Cóż, ja mam wolne.

- Wolne od czego?

- Siadaj, Erik.

Winter usiadł na drugim leżaku.

- Chcesz piwo?

- Tak.

Benny Vennerhag wstał i wszedł do domu przez werandę. Wrócił z piwem. Winter wziął butelkę w dłoń i zrobiło mu się

zimno.

Vennerhag usiadł. Nie założył kąpielówek. Byli starymi znajomymi, o ile tak można określić ich relacje. Kiedyś Vennerhag był mężem siostry Wintera, Lotty. Bardzo krótko. Co ona, na Boga, w nim widziała?

- Słyszałem o tych twoich zabójstwach.
- Nie są moje - odpowiedział Winter i napił się piwa.
- Moje też nie. Ale już ci to mówiłem, kiedy dzwoniłeś.
- A co z tą drugą sprawą?
- Z nielegalnymi klubami? Nie moja działka.
- Czy to nie dziwne, że o co bym cię nie spytał, Benny, nie jest to twoja działka?
- A co w tym dziwnego?
- Jak zarządzasz swoimi interesami, skoro żadnego nie masz?

- Tajemnica handlowa.

- Trochę jednak znamy twoje tajemnice, Benny.

- A mimo to siedzę sobie w gaciach i całkiem mi dobrze - powiedział Vennerhag, wskazując na basen, mozaikę i otaczający ich piękny trawnik.

Winter ściągnął koszulę i spodnie.

- No to zaczynamy - rzucił Vennerhag, kiedy Winter zanurkował w basenie. Nie pierwszy raz się w nim kąpał.

Kiedy Winter wypłynął na powierzchnię, Vennerhag wstał i z butelką w dłoni podszedł do krawędzi basenu. Woda ściekała Winterowi po twarzy, spływała z przyklejonych do głowy włosów.

- Nielegalne kluby to delikatna sprawa - powiedział Vennerhag.

- W jakim sensie?

- Nie jestem żadnym konfidentem. Choć przyznaję, że dla mnie legalna działalność ogranicza potrzeby zwykłych, porządnych ludzi.

- Nie pierdol.



- Sam powinieneś czasem odkryć w sobie potrzebę odwiedzenia takiego miejsca.
- Teraz odkrywam w sobie jedynie potrzebę zapalenia corpsa.
- Masz w koszuli? Podać ci?
- Rzuciłem.
- Bezmyślne posunięcie.
- Już ich nie importują.
- Są inne marki.
- Podobno.
- Zastanów się lepiej, co robisz. - Vennerhag udał, że zasłania się ręką przed ciosem. - Żebyś znowu się nie zrobił agresywny i nie zaczął mnie dusić ani nic w tym stylu. Faktycznie, nie byłby to pierwszy raz.
- Winter podciągnął się na krawędzi basenu.
- Chodzi o miejsce, które istniało już pięć lat temu.
- Aha.
- Co najmniej pięć.
- Dlaczego to miałyby być nielegalny lokal? Sprawdziliście inne miejsca? Te legalne?
- Sprawdzamy.
- Masz ze sobą zdjęcia, o których mówiłeś?
- Tak.
- Mogę zobaczyć?
- Za chwilę.
- Okej.
- I co możesz mi powiedzieć?
- O lokalach działających na czarno pięć lat temu?
- O tych, które przetrwały do dziś.
- Wydaje mi się, że nie ma takiego.
- Wydaje ci się czy wiesz?
- Wydaje, wydaje mi się. - Vennerhag się roześmiał.
- Możesz to sprawdzić?
- Mogę spróbować. - Spojrzał na Wintera z ukosa. - Wiem

przecież, co to za sprawa. Chętnie pomogę.

- To dobrze, Benny.

- Morderstwa to też nie moja działka.

- Wiem.

- Ani gwałty.

- W porządku.

- Jeśli nam się uda złapać tego skurwiela, ja pierwszy będę wam bił brawo.

- To my go złapiemy. Ty nie bierzesz w tym udziału.

- Przecież powiedziałem my.

- To te zdjęcia - powiedział Winter, wyjmując odbitki.

- Ciekawa ściana - stwierdził Vennerhag.

Winter skinął głową.

- Ładne dziewczyny. To straszne. - Popatrzył na Wintera. - Straszne. Winter znów skinął głową.

- Nigdy wcześniej nie widziałem tego wnętrza - powiedział i znów spojrzał na Wintera. - Ta ściana. Wygląda jak mur.

- Popytaj znajomych z branży.

- W takim razie muszę mieć te zdjęcia.

- Masz je w ręku.

- To dla mnie?

- Tak.

- To zgodne z przepisami?

- Ty chyba masz je gdzieś.

- Dobra. - Vennerhag odłożył zdjęcia na trawę.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli to jest w mieście, ktoś powinien je rozpoznać.

- W porządku.

- Ta ściana rzuca się w oczy.

Vennerhag się podniósł i wrócił na leżak. Winter zrobił to samo. Po drodze wypił resztkę piwa.

- Chcesz jeszcze jedno?

Winter pokręcił głową.

- A cygaretkę? - Vennerhag zapalił mercatora. Uśmiechał się przez dym.

Winter kolejny raz pokręcił głową. Potem pochylił się i sięgnął do paczki. Potem złapał zapalniczkę. Połyskiwała na ziemi tuż obok bladej stopy Vennerhaga.

- Trzęsiesz się - powiedział Vennerhag, gdy Winter zapalał cygaretkę.

Zaciągnął się, delektował się smakiem.

- Nie ma już dla ciebie ratunku, jesteś stracony - stwierdził Vennerhag.

- My jesteśmy.

- Więc jednak my? Przed chwilą mówiłeś co innego.

Winter palił w milczeniu. Znów czuł w sobie rozkoszną truciznę. Tylko ten jeden, ostatni raz, żeby sobie przypomnieć, jak straszną rzeczą jest nałóg.

Vennerhag przyglądał mu się.

- Czy nielegalne kluby zmieniły się przez ostatnie lata? Czy działają tak samo? - zapytał Winter po chwili.

- Nie wiem, mówiłem, że to nie moja działka.

Winter zaciągnął się jeszcze raz. Potem zapatrzył się w dym ulatujący ku niebu, na którym nie było widać ani jednej chmury. Słońce wydawało się raczej białe niż złociste. Dopiero później robi się pomarańczowe, a razem z nim całe niebo. A to oznacza, że jutro rano znów wstanie, a niebo znów będzie błękitne i bezchmurne.

- Nie bardzo zresztą wiem, o co ci chodzi - dodał Vennerhag, spoglądając na Wintera.

- Tak się zastanawiałem... czy na przykład przejęły też kluby porno?

- Jezu, to tym bardziej nie moja...

- Tak, wiem, nie twoja działka.

- Ale to możliwe.

- Aha.

Vennerhag się zaciągnął.

- Właściwie, jak o tym wspominasz, to skojarzyło mi się, że jest chyba parę lokali, w których już od paru lat oferują takie, że tak powiem, menu.

- Menu? Masz na myśli porno?

- Mam na myśli rozrywkę dla dorosłych.

- Rozumiem.

- Jest kilka takich miejsc, ale muszę to sprawdzić.

- Zadzwoń po południu.

- Wieczorem. Zadzwoń wieczorem.

Vennerhag sięgnął po zdjęcia i kolejny raz spojrział na każde z nich.

- Więc według ciebie to jakiś nielegalny eroklub? Taką masz hipotezę?

- Tak, taką mam hipotezę.

- Co w takim razie robiły tam te małe dziewczynki?

- Pracowały.

- Pracowały? Masz bardziej zepsutą wyobraźnię niż ja.

- Wyobraźnia to też nie twoja działka.

- Ależ z ciebie pieprzony czarnowidz. - Vennerhag popatrzył na zdjęcia, a potem znowu na Wintera. - Ja wierzę, że ludzie są dobrzy.

- Może te dziewczyny też tak sądziły - odpowiedział Winter, ruchem głowy wskazując na zdjęcia w jego rękach.

- I dlatego pracowały w nielegalnym klubie oferującym jeszcze bardziej nielegalne usługi.

- Nie wiem.

- Chyba zbłądziłeś.

- To pomóż mi się odnaleźć - powiedział Winter, a potem wstał i założył koszulę.

TO CHŁOPAK WYBRAŁ MIEJSCE, w którym się spotkali. Słońce oświetlało klify ze wszystkich stron. W dali bieleły się

zagle. Morze rozciągające się za portem było czarne. Halders czuł się otępiały. Odwiózł dzieci do szkoły, uściskał i pomachał im z samochodu. Magda w podskokach pokonała kratkę do gry w klasy i weszła do szkoły.

Mattias mrużył oczy od słońca, on też.

- I tak dzień za dniem - powiedział.

Mattias śledził wzrokiem łódź wypływającą z portu. Potem spojrzał na Haldersa.

- Rekordowe lato. Zajebiste lato.

Halders podniósł o centymetr daszek czapki i otarł czoło. Mimo że zasłonięte, było bardzo rozgrzane.

- To czym się teraz zajmujesz? - zapytał.

- Teraz? Latem? Pracuję, ale już to panu mówiłem.

- A poza pracą?

- Niczym.

- Przecież sam mówiłeś, że lato jest zajebiste.

- Nie dla mnie.

- Dół?

- Słucham?

- Masz doła?

- Nie, dlaczego?

- Tak wyglądasz.

- Pan też nie wygląda na zajebiście szczęśliwego.

- Nie.

- A jest pan?

- Nie.

- No proszę.

- Rozmawiałeś z nią jeszcze potem? - zapytał Halders.

- Od tamtej pory nie - odpowiedział Mattias, jakby się śmiejąc z tego, co mówi.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Nie rozmawiałem z nią o tym, jak ją zgwałcono. Jak, skoro on jest w domu.

- Jaki on? O kim mówisz?

- Nie rozumie pan?
- Odpowiedz. Jaki on.
- Jej ojciec - odparł, spoglądając na horyzont. Właśnie zniknęło za nim kilka statków.

- Nie przepadasz za nim?

Chłopak coś wymamrotał. Wciąż wpatrywał się w morze. Z nosa schodziła mu skóra. Włosy ma jak siano, pomyślał Halders. Kiedyś też takie miałem latem. Kolejny raz przeciągnął dłonią po czole. Włosy pod czapką, te, które mu jeszcze zostały, miał krótko ścięte. Przed oczami stanął mu ojciec Jeanette. Kurt Bielke. Jego wygodne krzesło na werandzie. Jeanette nigdy tam nie schodziła. Cały czas siedziała w swoim pokoju, czasem w ogrodzie. Nigdy na werandzie.

- Nie słyszałem, co mówiłeś.
- Oczywiście, że za nim nie przepadam.
- Dlaczego?
- Proszę zapytać Jeanette.
- Pytam ciebie.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Ciebie pytam - powtórzył Halders.
- A czy to ważne?
- Tak.
- Więc pan też uważa, że to podejrzany typ.
- Wyjaśnij mi lepiej, dlaczego myślisz, że jest podejrzany.
- Nie tylko myślę.
- Wyjaśnij mi to.
- Proszę zapytać Jeanette. Jeszcze raz.
- Czemu w kółko powtarzasz, że mam zapytać Jeanette?
- Nie rozumie pan?
- Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

Chłopak milczał. Morze wydawało się jeszcze ciemniejsze. Halders zacisnął powieki.

- Kiedy ostatnio rozmawiałeś z Jeanette, byłeś wkurzony.

- Może.
- Zerwała z tobą.
- Taaa. Może.
- To dlatego byłeś taki wściekły? Bo zerwała?
- Może.
- Weź się w garść.
- Bo co?

Ręka Haldersa sama się wyrwała. Złapał chłopaka za kołnierz.

- Nie zgrywaj mi tu kozaka, dzieciaku.
- Co je...
- Wrzucę się do morza, gówniarzu, jeśli mi nie pomożesz.
- Pomogę? W czym?

Halders go podciągnął, wciąż trzymał go za kołnierz. Chłopak zobaczył jego oczy.

- Kurwa, oszala...

Halders mocniej zacisnął dłoń, a potem nagle go puścił. Wstał i ruszył przed siebie.

Wieczorem zadzwonił Benny Vennerhag. Elsa spała. Winter stał na balkonie. Angela popatrzyła na niego z nieco kwaśnym uśmiechem. Cygaretką, którą trzymał w ręku, pachniała tropikalnymi owocami i skórą. Corona. Wracając do domu godzinę temu, kupił te i kilka innych.

Wszedł do środka.

- Mam kilka nazw - powiedział Vennerhag.
- Słucham.

Vennerhag wymienił dwie.

- Byliśmy tam - odparł Winter. - Nie ma tam takiej ściany jak na zdjęciach.
- Tyle mam na razie.
- No to wielkie dzięki.
- Nie musisz być złośliwy.
- Myślałem, że lepiej się orientujesz, Benny.
- Pozwól, że powiem to samo o tobie.

- Czekam na kolejny telefon.

Vennerhag bez słowa odłożył słuchawkę. Angela zawołała go z kuchni. Poszedł do niej, otworzył lodówkę i wyciągnął piwo.

- Usiądę na chwilę do komputera.

- Myślałam, że posiedzimy chwilę na balkonie.

- Dobra.

W parku było pusto. Niebo górowało nad miastem. Pojazdy poruszające się w dole wyglądały jak światełka rozpalone na niebieskim tle. Słysząc było przeróżne dźwięki. Unosiły się z wiatrem ponad domami. Winter znów zapalił cygaretkę.

- Więc zabrakło ci silnej woli.

- Tak.

- Ale jakoś cię to nie martwi.

- Zauważyłem, że bez nikotyny nie potrafię się skoncentrować.

- Czyli teraz czujesz się lepiej.

- Tak, pomysły same przychodzą mi do głowy.

- Tak ci się tylko wydaje.

Winter wypuścił dym. Zapach cygaretki ulatywał w powietrze.

- Może, ale nie stać mnie na to, żeby to teraz sprawdzać. Ta sprawa. Dziewczyny. - Zaciągnął się kolejny raz. - Ten ktoś jest na wolności. - Wyciągnął rękę z cygaretką. - Gdzieś tam, na dole.

- Tam, na dole, bez przerwy ktoś jest - powiedziała Angela. - Zawsze będzie.

- A ja zawsze będę tutaj, w środku - odparł z uśmiechem. - Takie moje życie. Ktoś tam, ja tu. - Popatrzył na cygaretkę. - A stąd wyruszam tam, w stronę tego kogoś. - Przeniósł wzrok na Angelę.

- Wszystko to brzmi dość melodramatycznie, nie sądzisz?

- Dopóki cię nie spotkałam, nie wiedziałam, że policjanci snują takie rozważania - odpowiedziała, popijając piwo ze szklanki. - Że próbują jakoś zdefiniować swoją rolę.



- A zastanawiałaś się, o czym myślą policjanci, zanim mnie spotkałaś?

- Nie. - Wypiła kolejny łyk. - Byłam przekonana, że w ogóle nie myślą.

- A potem to do ciebie dotarło.

- A potem tylko się utwierdziłam w swoim przekonaniu.

- I jakie to było uczucie?

- Przeróżające.

- Teraz przynajmniej jesteś pewna.

Skinęła głową.

- I właśnie dlatego tego potrzebuję - powiedział, podnosząc cygaretkę. - To mi pomaga zebrać te mizerne myśli, na które mimo wszystko mnie stać.

- Chciałem wrzucić nastolatka do wody - powiedział Halders.

Siedzieli przed domem. Hannes i Magda weszli już do środka.

- Ale nie wrzuciłeś? - zapytała Aneta.

- Nie.

- To świetnie.

Halders zaśmiał się chropawo.

- Właściwie to sobie poszedłem.

- Aha.

- Miał powiedzieć coś ważnego. O ojcu Jeanette. Ale w końcu nic nie powiedział.

- A co według ciebie miał powiedzieć?

- Chcesz szklankę soku?

- Odpowiedz.

- Odpowiem, jak znów z nim porozmawiam.

- A co mówił o tym, że z nim zerwała?

- Tutaj chodzi o coś innego.

Weszli do domu. Halders wyciągnął sok. Gdzieś z głębi domu dobiegały głosy dzieci. U Hannesa był kolega. Słysząc było odgłosy gry komputerowej. Śmiech. Wystrzały - najpierw

pojedyńczy, potem cała seria. Halders spojrział na Anetę. Wsluchiwała się w te wojenne odgłosy.

- Lepiej, żeby postrzelali sobie teraz, niż kiedy będą dorośli. Uśmiechnęła się.

Strzały umilkły, a po chwili zastąpiły je odgłosy wyścigu samochodowego.

Aneta Djanali odjechała. Halders sięgnął po piwo. Przyszła Magda - na płytach w ogrodzie zadrapała sobie kolano. Znowu ktoś strzelał w grze, w którą grali Hannes i jego kolega. Strzelał i strzelał. Halders przemyślił Magdzie kolano, ale nie przykleił plastra. Potem usiadł przy kuchennym stole. Popijał piwo. Po chwili przestał myśleć o czymkolwiek.

## 20

BIRGERSSON WEZWAŁ WINTERA DO SIEBIE. Wchodząc, Winter zauważył, że szef nie ma w ręku papierosa.

- Tak, rzuciłem - powiedział Birgersson. Wyglądał, jakby wręcz chciał za to przeprosić. - Moje płuca miały dość. Naprawdę dość.

- Ja zacząłem - odparł Winter. - Na nowo.

- Nie wiedziałem, że w ogóle rzucałeś. - Birgersson zaciągnął się inhalatorem z nikotyną, z białym ustnikiem. Po chwili wyjął go z ust i zaczął mu się przyglądać. - Śmieszna zabawka. - Spojrział na Wintera. - Co się dzieje? - Wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka. - Siadaj. - Winter usiadł, krzyżując nogi. - Wiecie już coś o chłopaku?

- Na nic nie trafiliśmy.

- Duch, czy co?

Winter nie odpowiedział.

- Niedawno zesłany na ziemię.

- Nie wiem, Sture.

- Przecież musi być jakieś wyjaśnienie.

- No tak.

- Nielegalny imigrant?
- Jeśli tak, to czemu się nie ukrywa?
- Chyba właśnie się ukrył, i to cholernie dobrze.
- Spotykał się z tą dziewczyną, z Angeliką. Jawnie.
- Miłość zwycięża wszystko - odparł Birgersson.
- Nie. Ma pewne granice, a one przebiegają w tym właśnie miejscu.

- Aha.

- Wiesz chyba, że ta sprawa się rozrasta.

Birgersson skinął głową. Wpatrywał się w swoją śmieszna zabawkę.

- Rozrasta się, a potem kurczy. Im więcej się dzieje, tym mniej wiemy - dodał Winter.

- Gdyby było na odwrót, bylibyśmy w o wiele lepszej sytuacji.

Winter się uśmiechnął. Birgersson bawił się ustnikiem. Słońce jak zwykle zaglądało przez żaluzje. A oni jak zwykle siedzieli i rozmawiali, analizując ostatnie tragedie. Było tak samo ciekawie jak zazwyczaj.

Co będzie dalej? Czy te zagadki mają rozwiązanie? Czy tropy się w końcu zbiegną? Gdzie się zaczynają? Czy mam je wszystkie w ręku? Winter spojrział na inhalator, który Birgersson trzymał w ustach. Plastik kołysał się bez sensu w górę i w dół. Bez sensu. Gdyby mógł teraz być gdzie indziej. Na klifach. Elsa i on. Pięć metrów od brzegu. Elsa łapie oddech. Idą na koc, żeby się napić. Ziarnka piasku w maśle. Ktoś kopie piłkę. Urocze, lekkie życie. Przeciwnieństwo tego tutaj - ciężkiego, pełnego znoju i niebezpieczeństw. Martwe nastolatki, właściwie jeszcze dzieci. Obchodzi to tylko tych, którzy próbują znaleźć i uchwycić tropy, czyli nas.

A my robimy to tylko dlatego, że nam za to płacą.

Chociaż właściwie - bez przesady.

Nie tylko dlatego.

- Jak się miewa Halders? - zapytał Birgersson.

- Chyba fatalnie.
  - Innymi słowy wszystko jest jak zawsze.
- Winter nie odpowiedział.
- Ale czy on w ogóle może pracować?
  - Tak.
  - Rozmawiać z ludźmi?
  - Wygląda na to, że idzie mu lepiej niż kiedykolwiek.
  - Tak?
  - Wciąż nie może przestać się kontaktować z rodziną Bielke.
  - A powinniśmy się przestać z nimi kontaktować?
  - Może na razie tak. Mamy kolejne morderstwo.
  - A niedługo kończy się okres urlopowy.
  - I co w związku z tym?
  - Wszystko zacznie się od nowa.
  - Podziwiam ten isticie filozoficzny pogląd.
- Birgersson wyciągnął ustnik i odłożył go na biurko.
- A ten bar czy co to tam jest... Tak na zdrowy rozum to powinniśmy go już namierzyć.
  - Jeśli istnieje.
  - Jeśli istnieje? Co to za defetystyczne podejście?
- Niełatwo się rozmawia z ludźmi na odwyku, pomyślał Winter.
- Odbierz to zadanie Berghemowi i powierz komuś innemu.
  - Nie, jeszcze nie.
  - Kto tu decyduje, ja czy ty?
  - Ja.
- Berghem siedział w barze. W ciągu dwóch dni zaliczył ich całkiem sporo. Ten był dziesiąty. Inni siedzieli w innych barach. Zapytali już wszystkich, wszystkim powiedzieli: straży pożarnej, służbom sanitarnym, restauratorom, związkom zawodowym, wszystkim. Znanym amatorom jedzenia i picia. Przypadkowym przechodniom. Dziwkom i ich klientom. Nastolatkom. Przynajmniej tym, których nie

zamordowano, pomyślał Berghem, pokazując zdjęcie ściany siedzącemu na sąsiednim stołku właścicielowi lokalu. Mężczyzna spojrział na odbitkę. Dotychczas nikt nie rozpoznał tego miejsca.

- To gdzieś w mieście? - zapytał, przyglądając się stolikowi, ścianie, sztućcom, szklankom i dziewczynie. Beatrice. A potem Angelice. Berghem mu nie powiedział, że zdjęcia dzieli pięć lat.

- Tego nie wiemy.

- Więc to może być gdziekolwiek na świecie?

- Tak.

- Kojarzę to miejsce - powiedział w końcu. Nazywał się Bengt Nordin.

Berghem czekał na ciąg dalszy. W lokalu nie było gości. Barman zaparzył im kawę i zaczął wkładać butelki z piwem do stojącej za ladą lodówki.

- Nie jestem pewien, ta ściana jest dość szczególna. Nikt jej do tej pory nie rozpoznał?

- A pan ją poznaje?

- Tak. Kojarzę ją. W starej części Nordstad był taki niewielki klub w podziemiach. Wyglądał podobnie. Mieli tam taką właśnie ścianę, stały pod nią stoliki. - Jeszcze raz spojrział na zdjęcie. - Widzi pan ten cień w rogu?

Przypomina trochę kiść winogron. Tak, to było to. Wisiały tam winogrona z porcelany. - Popatrzył na Berghema i zaśmiał się. - Okropieństwo. - Znów się zaśmiał. - Nazwę też mieli okropną, przynajmniej pod koniec. Barock. Słyszał pan kiedyś coś takiego? Barock?

- Był pan tam? - zapytał Berghem.

- Byłem, jako jeden z nielicznych. Przynajmniej pod koniec.

- To nie było popularne miejsce?

- Było, ale nie dla wszystkich, jeśli pan wie, o czym mówię. - Popatrzył na zdjęcie. - Było całkiem zabawne, bo właściciele często zmieniali wystrój. Wieszali jakieś tkaniny na ścianach

albo coś w tym stylu. W zasadzie ta sala na zdjęciu wygląda na większą, niż była w rzeczywistości, chociaż tutaj widać tylko kawałek. To był raczej taki boks będący częścią klubu. Nie wiem, jak to nazwać. Ale to chyba było miejsce dla pracowników, chociaż stały tam stoliki.

- Gdzie to jest?

- Hm... te zdjęcia muszą być stare. To miejsce zburzono wiele lat temu. Zniszczono cały dom, razem z resztą kwartału Nordstad. Ten budynek się wyróżniał, był jednym z najwyższych.

- Jest pan pewien, że go zburzono?

- A jak pan myśli? Chyba głupotą byłoby kłamać w takiej sprawie. Zburzono go co najmniej trzy lata temu. Nie później.

- Nie mówię, że pan kłamie. - Bergenhem wziął do ręki zdjęcie Angeliki. - Ale to zdjęcie zrobiono ostatniej zimy. Nordin kolejny raz spojrzał na zdjęcie.

- Ach, tak. W takim razie to musi być gdzie indziej. Ale przecież, do cholery, w takim razie ktoś musiał zrobić gdzie indziej niezłą imitację. - Wskazał na cień w rogu zdjęcia i popatrzył na Bergenhema. - Te winogrona.

Winter i Bergenhem dotarli pod wskazany adres. Teraz stały tu nowe biurowce z czerwonej cegły, nowe buty deptały świeżo wybrukowaną ulicę. W miejscu klubu znajdowało się teraz biuro podróży. Z zacienionej ulicy ledwo było widać niebo. Nie czuło się jednak chłodu, między budynkami było gorąco. Skoro nie dociera tu słońce, czy nie powinno być trochę chłodniej? - pomyślał Winter.

- Zaczynamy kopać? - zapytał Bergenhem. - Może odkryjemy piwnice.

Winter spróbował się uśmiechnąć.

- Więc to nie koniec przygody - stwierdził Bergenhem.

Jakaś kobieta wyszła z biura podróży. Okna były oklejone zdjęciami plaż i palm. Powinni raczej pokazywać śnieg,

pomyślał Winter. Czuł, jak pot ścieka mu strugami po plecach.

Bergnhem szybko dowiedział się więcej. Stary budynek zburzono cztery lata temu. Może wtedy w piwnicach był klub, ale tego nie udało im się jeszcze potwierdzić. Jeśli rzeczywiście tam był, to z całą pewnością nielegalny. W okresie poprzedzającym rozbiórkę nie zarejestrowano w tym budynku żadnej legalnej działalności. Tak się wyraził Ringmar: w okresie poprzedzającym rozbiórkę.

- Gdzie zatem siedzi Angelika? - zapytał Winter, spoglądając na mężczyznę, który właśnie wyszedł z bramy sąsiadującej z biurem podróży. Był blady, nie wyglądał na zadowolonego. Pewnie urlop miał w maju, kiedy poziom opadów był najwyższy od stu lat. A teraz siedzi zarzucony protokołami, jak ja.

- Musimy znaleźć właścicieli - powiedział Bergnhem.

- O ile tak można ich nazwać - zauważył Winter.

- Najwidoczniej dokądś się przenieśli.

- Albo leżą pogrzebani pod budynkiem.

- Ha, ha.

- W takim razie zacznij szukać. Dostaniesz troje ludzi - powiedział Winter.

- Dobra.

- A ja z kimś pogadam.

Winter spotkał się z Vennerhagiem w kawiarni. Benny siedział w kącie.

Tak jak Winter miał na sobie krótkie spodenki.

- Czy taki strój na pewno jest odpowiedni na służbie?

- Byłeś kiedyś w klubie Barock, Benny? - zapytał Winter, ruchem głowy wskazując na oddalone o pięćdziesiąt metrów biuro podróży. - Tak się nazywało to miejsce. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Nie.

- Nie próbuj kłamać, Benny.

- Gdybym tam był, pewnie rozpoznałbym to wnętrze na zdjęciu i powiedziałbym ci o tym, kiedy gadaliśmy ostatnio. Musisz mi ufać.

Winter nie odpowiedział.

- Jestem twoim przyjacielem.

Winter napił się soku.

- Teraz, kiedy prawdopodobnie wiemy, gdzie to było, chcemy się dowiedzieć, kto był właścicielem. - Winter wypił kolejny łyk i spojrzał na Vennerhaga znad butelki. - A właśnie w takich sytuacjach potrzebuję przyjaciół.

- Dzięki.

- Nie znasz żadnych nazwisk?

- Nie, ale nie ma w tym nic dziwnego. Są kluby i kluby. Kiedyś też były. Niektóre, cóż... niektóre się zna, a niektóre wydają się nieciekawe z czysto ekonomicznego punktu widzenia. Przynajmniej dla mnie.

- Nas - wtrącił Winter. - Dla nas.

- Dobra, dobra. Ale tego Barocku, czy jak mu tam, nie znam. Wiedziałem, że jest tu jakiś lokal, ale inaczej się nazywał. Nie pamiętam jak.

- Jak sądzisz, czym się teraz zajmują ci, którzy prowadzili ten lokal?

- Mam zgadywać?

- Spróbuj.

- Nie mam pojęcia. Ale teraz, kiedy wiem, gdzie to było i jak się nazywało, mogę próbować dalej. Barock - powtórzył. - Co za głupia nazwa.

- Dzięki za pomoc.

- Cholera, mam nadzieję, że jesteś na właściwym tropie. I że to miejsce naprawdę jest ważne dla śledztwa, że dzięki niemu znajdziesz odpowiedź.

- To by oznaczało, Benny, że wreszcie możesz się zająć czymś pożytecznym.

Halders siedział w pokoju Wintera. Winter stał przy oknie,



pałił. Czuł lekki powiew wieczornej bryzy. Halders przeciągnął ręką po ściętych na jeża włosach. Wyglądał na wypoczętego. Był w pracy, co oznaczało, że ktoś inny musiał zostać z dziećmi.

- Aneta została z Hannesem i Magdą - powiedział.

- To dobrze - odparł Winter. - Jest już po pracy.

Winter nie odpowiedział.

Halders wstał.

- Facet miał jakąś knajpę albo coś w tym stylu.

- I?

- Próbowałem go sprawdzić dokładniej i faktycznie coś takiego się pojawia w papierach.

- Ale to chyba był legalny biznes?

- A co jest tak do końca legalne w branży restauracyjnej?

- Nie pozwól, żeby twoje doświadczenia z niemiłą obsługą miały wpływ na tę sprawę.

- Najwidoczniej lubi prowadzić takie lokale - wyjaśnił Halders. - I to gdzieś na boku. Nic o tym nie wspominał.

- Bo nie pytaliśmy.

- To zapytamy.

- Poczekaj.

- Na co?

- Spokojnie.

- Dlaczego?

- Bo po prostu nie chcę mieć zbyt wielu tropów naraz. - Winter zaciągnął się cygaretką. Ta będzie ostatnia. Przynajmniej w tej godzinie. - Mamy tu świeże morderstwo i stare nierozwiązane śledztwo. Tak jak ty myślałem, że sprawa Jea nette Bielke jakoś się z tym łączy, ale teraz to nie jest takie oczywiste, a inne tropy są bardziej czytelne albo pilniej trzeba się nimi zająć. Sprawdź interesy Kurta Bielkego, ale wstrzymaj się z wypytywaniem go.

Halders milczał.

- W porządku?

- Przenieśli tamtą ścianę.
- O ile to była ściana.
- Może kurtyna?
- Może coś w tym stylu.
- Albo znowu wracamy do magicznych zagadek. Wierzysz w duchy, Erik?
- W prawdziwym życiu ludzie przychodzą i odchodzą. Rzeczy są, a potem znikają. Miejsca też mogą nagle zniknąć. Ale są rzeczywiste i istnieją.
- Gdzie w takim razie istnieją?
- Tam, dokąd zmierzamy.

Anne wracała na początku nocy albo późnym wieczorem, jeśli dwunastą uznać za wieczór. Dla niektórych noc była jeszcze młoda. W centrum, przez które przechodziła, było mnóstwo ludzi. Ktoś zawołał, ale nie ją. Andy'ego nie było. Wyszła z tamtego lokalu, nic mu o tym nie mówiąc. Zawahała się w połowie schodów prowadzących do stolików.

- Mamy komplet - powiedział ochroniarz. Twarz miał czerwoną po zbyt wielu godzinach spędzonych na słońcu. W świetle neonu wydawała się jeszcze czerwiejsza. Wyglądał jak idiota - miał ufarbowane na blond i zaczesane do tyłu włosy. Jak wystraszona postać z karykatury.

Może to ja go tak wystraszyłam.

- I tak nie skorzystam - powiedziała i obróciła się na pięcie. Wzdłuż Avenyn niósł się zapach jedzenia i alkoholu. Czuć było również olejek do opalania, kokosowy, i inne obrzydliwości.

Zaczekała, aż tramwaj przejedzie, po czym wskoczyła na rower i ruszyła wzdłuż Allén. Poczowała nocną bryzę - przypominała letnią kąpiel.

Wykąpię się, kiedy wrócę do domu. Zapalę świece i niech się palą, ile chcą.

Na ulicy było zaledwie kilka samochodów. Jeden jechał za

nią, z lewej. Minał ją i zatrzymał się na światłach. Przejechała na czerwonym i skręciła w lewo, w stronę domu.

## 21

ZSIADŁA Z ROWERU. PROWADZIŁA GO. Tego lata miasto wyglądało, jakby było w stanie oblężenia - wszędzie roboty drogowe, kable wystające z ziemi i maszyny do mieszania asfaltu. Na ulicy żywej duszy. Cicho. Tylko niewyraźne odgłosy samochodów dobiegały zza wysokich ciemnych domów. W oknach było ciemno. Ludzie już śpią, pomyślała. Przecież niektórzy muszą pracować i wstawać wcześniej rano, nawet teraz, podczas upałów.

Park z lewej i z prawej oświetlały latarnie. W środku było ciemno, a właśnie tamtędy biegła ścieżka rowerowa. Ale przecież wiedziała o tym. Nie była głupia. Niedaleko biegła inna droga, nieco dłuższa, ale lepiej oświetlona. Po drugiej stronie sadzawki widać było samochody i taksówki z podświetlonymi tabliczkami.

Czuła zapach benzyny. Ktoś musiał tędy przed chwilą jechać. A może zapach doleciał z drogi biegnącej po lewej. Pod drzewami stał jakiś samochód, schowany w cieniu. Rzadko rozstawione latarnie rzucały brudnożółte czy może raczej białe światło. Nie sięgało zbyt daleko, nie na wiele się przydawało. Anne przyspieszyła. Nagle noga ześlizgnęła jej się z pedału i rower przechylił się w lewo. Serce skoczyło jej do gardła. Kierownica się przekręciła, ale odciągnęła ją z powrotem i prawie udało jej się odzyskać równowagę. Chwiejąc się jeszcze, zatrzymała się pod najbliższą latarnią, przyćmioną jak wszystkie pozostałe. Wtedy z prawej strony mignął jakiś cień, a sekundę później coś ją pchnęło. Wystraszyła się. Poczowała kolejne pchnięcie, ktoś ją ściągnął z roweru. Lodowaty strach przeniknął ją od środka, serce chciało z niej wyskoczyć.

Trzy godziny wcześniej Winter próbował się skontaktować z Hansem Bulowem. Bulow w końcu się odezwał i zostawił wiadomość. Winter oddzwonił do niego. Mijał jedno z boisk na Heden. Piłka poleciała w jego stronę. Kopnął ją i gra mogła się zacząć na nowo. Powinien do nich dołączyć i poczuć na sobie przyjemny pot i urok tego wieczoru.

Było późno. Cyfrowy zegar wiszący na ceglanej ścianie wyświetlał dwudziestą drugą z minutami.

Bulow odebrał.

- Tu Winter.

- Powinieneś był się odezwać już dawno temu.

- Nie miałem czasu.

- Jeśli potrzebujesz pomocy, to sam musisz wykazać inicjatywę - powiedział dziennikarz.

Winter zatrzymał się na przejściu przy Södra Vägen. Minał go cadillac, jak z Grease. Z mocno dudniących głośników dolatywał głos Eddiego Cochransa:

Ain't no cure for summertime blues. W samochodzie siedziały dziewczyny w sweterkach. No tak, prawdziwa fura to fura z panienkami. Bez panienek to już nie to.

- Poczekaj chwilę.

Przeszedł na drugą stronę i minął ogródek restauracyjny Kometen. Jeden

ze stolików stojących z brzegu był wolny, właśnie wstały cztery osoby. Na blacie leżał rachunek.

- Jeśli możesz się teraz wyrwać, to czekam w Kometen.

- Będę za dziesięć minut.

Winter zamówił duże piwo z beczki.

Bulow, jak tylko przyszedł, wziął to samo.

- Od zawsze zajmujesz się sprawami kryminalnymi? - zapytał Winter, kiedy Bulow się napił i zapalił papierosa.

- Odkąd nauczyłem się pisać.

- Mam zamiar obdarzyć cię ogromnym zaufaniem.

- Najwyższa pora.

- Przecież to nie pierwszy raz.

Bulow popijał piwo i dopalał papierosa. Czekał. Rower zostawił po drugiej stronie ogrodzenia.

- Możliwe, że zamordowano pewnego chłopaka.

Bulow odstawił szklankę.

- Kogo? I gdzie?

Winter nie odpowiedział.

- Winter, na Boga.

- Nikt nie wie.

- To nie powinieneś o tym wspominać.

- Mówiłem ci - to kwestia ogromnego zaufania.

- Nie, dzięki.

- Gardzisz moim zaufaniem?

- Właśnie mnie nim obdarzyłeś, do cholery. Boże. Mam przemilczeć morderstwo? KOLEJNE?

- Może trochę ciszej.

Bulow rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że nikt im się nie przysłuchuje. Przy sąsiednim stoliku właśnie usiedli jacyś ludzie. Składali zamówienie i trajkotali jeden przez drugiego.

- W takim razie mów.

- Możemy go znaleźć. To moje prywatne podejrzenia, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Potrzebujemy przełomu w pewnej sprawie. - Winter spojrział mu w oczy. - Muszę do kogoś dotrzeć. Może się ukrywa.

- Kto? Ten chłopak?

- Jeszcze nie wiem.

- A czemu właściwie mówisz o tym właśnie mnie?

- Chcę, żebyś coś napisał.

- Czy zazwyczaj nie jest na odwrót?

Cios, kolejny i kolejny. Szarpanie. Głowę rozsadza krzyk. Na twarzy czuła oddech i nieznaną zapach, pot, smród. Serce miało się w niej jak oszalałe zwierzę. Uderzenia, oddech, głos, który mówił coś tuż obok, ale brzmiał, jakby dobiegał z oddali. Jakby ktoś ją rozdzierał na kawałki.

Leżała na ziemi, widziała przewrócony rower, koło wciąż się kręciło. I ten odgłos, może to koło, a może to coś, co ją ciągnęło. Szarpało nią w górę i w dół, a w pobliżu nie było nikogo. Dlaczego nikogo nie ma, dobry Boże, kto, gdzie i... Próbowała sięgnąć do torebki, która nie wiadomo czemu była otwarta. Chciała złapać komórkę. Nawet jeśli nie da rady zadzwonić, będzie mogła uderzyć nią w głowę tego. Coś ją podciągnęło do góry, krzaki drapały jej twarz. Próbowała krzyczeć, ale czyjaś dłoń przycisnęła się do jej twarzy i już nie mogła otworzyć ust.

Poczuła uderzenie w głowę. I znowu ten oddech, tak blisko. Ktoś coś powiedział. Oddech przypominający głos. Głos, tak, to był głos. Mamrotał coś, słowa, wciąż te same słowa, dźwięki, nie mogła zrozumieć, Boże, Bożeee...

Kolejne uderzenie. Czerwień, biel i znów rozrywająca głowę czerwień.

- Nielegalny imigrant - powiedział Bulow.

- Nie.

- Nie?

- Nie o to chodzi.

- Przecież nie możecie go znaleźć.

- To się musi szybko wyjaśnić.

- A ja mam o nim pisać tak, jakby nie żył?

- Jakby tak mogło być.

- Podyktujesz mi artykuł?

Winter nie odpowiedział. Teraz już wszystkie stoliki były zajęte, a wszyscy wokół mniej lub bardziej pijani.

- Zapłaciłeś? - zapytał.

- Więc to ja stawiam?

Winter wstał.

- Idziemy do domu.

Bulow prowadził rower. Trzech facetów biło się przed budką z hot dogami. Beładne ciosy przecinały pachnące grillowanymi kielbaskami powietrze. Jeden miał krew na

czole. Drugi zaczął wymiotować. Wyglądał, jakby wypuszczał z ust bukiet. Trzeci śmiał się jak oszalały.

Bulow i Winter minęli ich.

- Gorączka szalonej sobotniej nocy - powiedział Bulow.

- To dziś sobota?

- Nie.

- Przygotowania do festiwalu.

- To? To jeszcze nic.

Vasaplatsen był opustoszały. Od strony Landali nadjechał tramwaj. Słysząc było muzykę dobiegającą z kawiarni na końcu placu.

- Czyli dogadaliśmy się? - zapytał Winter.

Bulow się zaśmiał.

- Możesz na mnie polegać w stu procentach.

- Dobranoc.

Winter wszedł w bramę.

- Pozdrów rodzinę - powiedział dziennikarz, ale brama już się zamknęła.

Zadzwoił telefon. Cztery sygnały. Włączyła się sekretarka. Wiadomość rozniosła się krzykiem po pustych pokojach.

Jej głos:

Nie ma mnie w domu, ale jeśli.

Potem wiadomość:

Oddech, sapanie, jak u dzikiego zwierza, jej głos, może błaganie. potem zawroźnienie, niczym z kościelnej ławy, bełkot w dziwnym języku, niski głos dobiegający jakby z zaświatów, a może właśnie stąd czy stamtąd: nihhhhyyy. nihhhhyyydyhh. NIHHYYDYHWHIISS. NIHHHDYWYSSYYJ...

NIHHHDYWYSSYYJ...!

Kiedy wrócił, Angela i Elsa już spały. Ściągnął sandały i ostrożnie wszedł do kuchni. Zamknął za sobą drzwi. Zawiasy skrzypiały, trochę się już zatarły.

Zaparzył kawę.

- Więc nie masz zamiaru dzisiaj spać. - Do kuchni weszła

Angela. Usiadła przy stole i ziewnęła. Włosy opadały jej na oczy.

- W przeciwieństwie do ciebie - odparł. - Widzę, że ty śpisz na siedząco.

- Nie mógłbyś się położyć? Rano musisz być wypoczęty.

- Jestem wypoczęty.

- Powiedziałam: rano.

- Muszę pomyśleć.

- Myślenie wychodzi najlepiej, kiedy się jest wypoczętym.

- Przecież mówię, że jestem WYPOCZĘTY.

- Nie musisz krzyczeć.

- Nie krzyczę.

- Aha.

- NIE krzyczę.

- Elsa śpi. Chyba.

- Było cicho, dopóki nie przyszłaś.

- Ha, ha.

- Jeśli możesz mnie zostawić w spokoju jeszcze tylko na godzinę, to będę cicho, a potem się położę. W porządku?

Angela nie odpowiedziała.

- W porządku?

Wstała, odwracając twarz. Usłyszał łkanie.

- Ależ.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Zaskrzypiały.

Usiadł. Postawił przed sobą kubek kawy. Zastanawiał się, czy nie walnąć głową w lodówkę. Tylko raz. Okno było otwarte. Na dole, na dworze, siedziało kilka osób. Na górze wyraźnie było słyhać ich głosy. Czy ma się wychylić i krzyknąć, że jego rodzina chce spać? CICHOTAM!

Palił na balkonie. Czuł zapach dymu, ale nie papierosowego. Dolatywał skądinąd, jakby się gdzieś paliło.

Tramwaje już nie jeździły.

Angela wyszła do niego.

- Przepraszam - powiedział.



- My też jesteśmy częścią twojego życia.
- Wiem, że czasem zachowuję się jak idiota. Że lekcewa.
- Nie o to mi chodziło. To też jest jakieś wsparcie. - W świetle latarni i w poświacie nieba wyglądała, jakby była przezroczysta. - Nie musisz nas uważać za przeszkodę.
- Nigdy tak nie myślałem.
- Czy kiedykolwiek mówiłam coś o twojej pracy?
- Oczywiście, że nie.
- Ale nie pozwól, żeby to cię pochłonęło.
- Staram się.
- Może powinieneś z kimś o tym porozmawiać.
- O czym? I z kim?
- Ostatnio wiele się działo.

Jakby sama nie powinna z kimś porozmawiać, pomyślał. Przydarzyło jej się coś, czego nawet nie umiał sobie wyobrazić. Mógł bez końca patrzeć na martwych ludzi, ale w żaden sposób nie mógł poruszyć tego tematu. Ona też powinna porozmawiać. Z kimś innym. A ja, idiota, domagam się ciszy.

- Myślisz o ojcu?
- Nie wiem. Nie.
- Czy między nami coś jest nie tak?
- Nie o to chodzi. Po prostu jestem zmęczony.

Pokiwała głową, powiedziała dobranoc i weszła do środka. Jutro spróbuje jej to lepiej wyjaśnić. Odłożył cygaretkę i wpatrzył się w rozżarzony tytoń. Z oddali wciąż dolatywał zapach pożaru. Zadzwoił telefon. Usłyszał, że Angela odbiera.

ZJEŹDŻAJĄC ZE WZGÓRZA, zobaczył nagle światło wylaniające się zza góry po drugiej stronie parku. Wyglądało jak biała mgła zawieszona pod czystym, przejrzystym

niebem. Zapowiedź nowego dnia. Znów będzie gorąco. Już teraz termometr wskazuje dwadzieścia dwa stopnie, chociaż teoretycznie jest jeszcze noc.

Ale dziewczynie nie było dane przeżyć kolejnego dnia. Widywał już ciała uduszonych ludzi. Ofiara miała odsłonięte krocze. Policjanci niczym zmory kręcili się po miejscu zbrodni. Lekarz sądowy pochylał się nad nią jak anioł śmierci. Tym razem przysłano kogoś innego, nie Pię E:son Fröberg. Winter przypomniał sobie, że przecież jest na urlopie. Zamiast niej zjawił się mężczyzna. W szortach i czapeczce bejsbolowej wyglądał na dużego i niezgrabnego. A może to leżąca przed nim dziewczyna wyglądała na niską i drobną.

Jak martwy wróbel na poboczu drogi.

Winter wyszedł z zarośli. Rower leżał na środku drogi czy raczej ścieżki rowerowej. Kierownica była przekreślona. Winter miał wrażenie, że jedno z kół nadal się obraca. Obok stał umundurowany policjant, za nim radiowóz. Na jego dachu migiała policyjna lampa. Kręciła się jak karuzela. Twarz dziewczyny raz była oświetlona, raz znikwała w ciemności. Winter wolał to drugie. Podszedł do policjanta. Nigdy wcześniej go nie widział. Był młody, może parę lat starszy od dziewczyny. Dopiero co zaczął służbę, był asystentem.

- Słyszałem, że to wy byliście tu pierwsi.

- Tak, to my. ją znaleźliśmy.

Winter skinął głową.

- Jak się nazywasz?

- Peter. Peter Larsson.

- Jak się zorientowaliście?

- Rower - powiedział policjant, ruchem głowy wskazując na przewrócony pojazd. - Przejeżdżaliśmy obok i zauważyliśmy rower.

- Jeździecie tędy co wieczór.

- Prawie.

Z tego miejsca ścieżkę było widać tylko do zakrętu, dalej okrążała sadzawkę. Po drugiej stronie wody ciągnął się zagajnik, a za nim druga sadzawka. Za nią zarośla, kilka drzew i blok skalny - podwójne miejsce zbrodni.

Trzeci raz odbyło się to gdzie indziej, ale niedaleko, w linii prostej jakieś pięćset metrów. Winter pomyślał o dziewczynie - o martwym wróblu.

- Nie widzieliście nikogo?

- Nikogo.

- Jak znaleźliście dziewczynę?

- Tak jak mówiłem, zobaczyliśmy rower i zatrzymaliśmy się. Wysiadłem i rozejrzałem się po poboczu. Było widać, że ktoś tędy szedł. Nie trzeba było jej szczególnie szukać. Zresztą sam pan widzi.

- No tak.

- Po tym, co się wcześniej stało, jesteśmy trochę czujniejsi.

- To bardzo dobrze.

Policjant spojrział na Wintera, a później na zarośla i drzewa.

- To kolejny raz?

- Słucham?

- To znowu on?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Winter i wrócił tam, gdzie leżała dziewczyna.

- Wygląda na gwałt? - zapytał Ringmar. Przyjechał chwilę po Winterze.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Ringmar zadał pytanie - powiedział Winter.

- Prawdopodobnie - odparł lekarz, wstając. Czapeczka zjechała mu do tyłu. Taki strój jest tu nie na miejscu, pomyślał Winter. Zresztą wszędzie by był. Lekarz spojrział na Wintera. - Tak, wiem, o co tu chodzi. O co może chodzić. Będę pracował tak szybko, jak się da.

- To samo powinno zrobić laboratorium w Linköping -

wtrącił Ringmar. - A gdzie w ogóle jest Beier?

- W Nowym Jorku.

- W Nowym Jorku?

- Na konferencji. Nie wiedziałeś?

- W Nowym Jorku - powtórzył Ringmar. - Tam pewnie jest jeszcze cieplej niż tutaj.

- Zabieram ją stąd - powiedział lekarz.

- Ona ma imię. Nazywała się Anne Nöjd - poprawił go Winter.

Jej torebka nadal leżała na ziemi. Dziewczyna miała imię. Imię i adres. Mieszkała na zachód od parku. Kiedy mijali tunel i jechali w tamtą stronę, Winter miał dziwne uczucie. Wszystkie ofiary mieszkały na zachód od parku.

Tutaj było już jaśniej, linia horyzontu przebiegała bliżej. Nieważne, że słońce wschodziło za nią. Opuścił szyby i do środka wpadł zapach morza. Jechali wąskimi uliczkami, wciśniętymi między stare zabudowania nabrzeża.

Dom wyglądał, jakby stał w krainie liliputów. Nad werandą wisiała tabliczka z numerem.

- To musi być tutaj - powiedział Ringmar.

Wokół domu rósł żywopłot. Pięćdziesiąt metrów dalej cumowały łodzie. Zapach morza był jeszcze wyraźniejszy. Winter słyszał szum fal. Wiedział, że tuż za cyplem są klify, na których często rozkładają się młodzi ludzie, którzy wybrali się nad wodę. Zobaczyłby je, gdyby stanął na cyplu. Jeanette tam bywała. Beatrice też, ale dawniej, w poprzednim tysiącleciu. I Angelika. Czy Anne Nöjd także? Czy ma to jakieś znaczenie?

W domu było ciemno.

Miała dwadzieścia lat. Najprawdopodobniej mieszkała właśnie tutaj. Tylko tyle wiedzieli. Kiedy podeszli bliżej, dom wydał im się jeszcze mniejszy. Powinno być na odwrót. Winter schylił się i zajrzał przez okno. Zobaczył ciemne zarysy sprzętów. Ringmar zapukał. Potem jeszcze raz,

mocniej. Nikt nie otwierał.

Ringmar wyciągnął pęk kluczy - było ich cztery. Znaleźli je w jej torebce. Dwa były do siebie podobne, mogły pasować do zamka. Drugi wszedł bez problemu. Ringmar go przekręcił, otworzył drzwi i zawołał dwa razy. Spojrzał na Wintera, Winter odpowiedział skinieniem. Kiedy wchodzili, Winter słyszał pierwsze poranne krzyki mew.

W środku było jaśniej, niż im się wydawało, kiedy stali przed domem. Stanęli w holu, potem skręcili w lewo, do kuchni. Nie mogła mieć więcej niż trzy metry kwadratowe. Na blacie leżała gazeta. Obok stał kubek. Opróżniona do połowy butelka wina połyskiwała w świetle poranka, z każdą minutą jaśniejszego. Winter pochylił się nad stołem i spojrział na morze. Odbijało promienie słońca. Woda falowała, zmieniała barwy.

Na pewno cudownie jest tu usiąść i obserwować, jak poranek odbija się w morzu.

Ringmar zawołał go gdzieś z głębi domu. Winter wrócił do holu i skręcił w lewo, do pokoju, czy raczej klitki z małym stolikiem i krzesłem. Obok znajdowała się sypialnia z łóżkiem, stolikiem nocnym i jeszcze jednym krzesłem. Podłoga z jasnej sosny. Pachniało kwiatami. Ringmar znów coś powiedział. Winter przeszedł do salonu. To było ostatnie pomieszczenie. Miało najwyżej dwadzieścia metrów kwadratowych. Okna wychodziły na ulicę, Winter widział dach swojego samochodu. Drewniana ława do siedzenia, na podłodze ładny dywan w kolorach, których nie dało się jeszcze rozróżnić. Za godzinę pewnie się da, teraz jeszcze nie, pomyślał Winter. Na ścianach obrazy różnej wielkości. Było jeszcze na tyle ciemno, że wyglądały raczej jak dziury w ścianach. Przed Ringmarem stał stolik, na nim telefon, obok automatyczna sekretarka. Mrugało czerwone światełko. Ringmar spojrział na Wintera pytającym wzrokiem. Winter się zastanawiał, światełko mrugało.

W torebce dziewczyny nie było telefonu. Ale Winter był pewny, że miała komórkę. Wszyscy młodzi mają, zresztą nie tylko młodzi.

Będą musieli przeszukać miejsce, gdzie znaleziono ciało. Trzeba też sprawdzić, czy miała abonament.

Światelko wciąż mrugało. Za oknem zaskrzeczała mewa. Winter skinął głową i Ringmar ręką w rękawiczce ostrożnie wcisnął przycisk. Najpierw usłyszeli ostry pisk. Potem świst i głos:

- Tu Andy. Wyrwałem kogoś. No wiesz. Zadzwon, jak będziesz w domu. Ciao, baby.

Świst i pisk.

Potem cisza.

I znowu coś.

Ringmar pochylił się, żeby lepiej słyszeć. Winter zrobił krok w przód.

Usłyszeli jej głos. Krzyk, potem kolejny. Potem coś jakby chrząknięcie, odgłos uderzenia, stłumiony szelest gałęzi albo krzaków.

- Co to, do cholery? - powiedział Ringmar.

- Cicho. - Winter stanął przy urządzeniu. - To ona.

Ringmar siedział z zastygłą twarzą. Patrzył to na Wintera, to na automatyczną sekretarkę.

- Jak, do li.

Winter podniósł dłoń. Czuł, że ręce mu drżą.

Przysłuchujemy się morderstwu.

NIHHHDYWYYSSYYJ.

Usłyszeli bełkot. Mamrotanie. Nie mógł sobie przypomnieć, kto o tym wspominał. Może Jeanette? Jeanette, której udało się przeżyć?

Wpatrywał się w automatyczną sekretarkę, jakby to było czarne, dzikie, niebezpieczne zwierzę.

Słyszeli krzyki, pojękiwanie, pomruki. Wrzaski i ten powracający głos - nihhdywy. za pierwszym i drugim razem

cicho, potem głośniej - NIHHHDYWYYSSYYJ.

Nagle nagranie się urwało. Winter spojrzał na zegarek. Nie upłynęło dużo czasu, ale ta wiadomość powinna się skończyć wcześniej. Czekali, ale to był koniec. Urządzenie zatrzeszczało i kasecja przewinęła się do początku. Ringmar kolejny raz wcisnął guzik.

- Tu Andy.

Potem cała reszta. Ringmar notował. I cisza.

- To on - powiedział Winter.

- I ona - dodał Ringmar.

Za oknem znów zaskrzeczała mewa. A może rybitwa. Słońce wspięło się już ponad górę wznoszącą się na wschodzie, oświetlało oba jej stoki. Promienie dotarły także do domu, nagle odbiły się od matowej powierzchni automatycznej sekretarki.

Halders zmienił płytę. Za dwadzieścia dwie minuty powinno zacząć świtać. Kiedy usiadł z powrotem na sofie, Aneta wyczuła w jego oddechu zapach whisky.

Usłyszeli muzykę. Kilka ostrożnych akordów na pianinie. Głos Boba Dylana. *I know no one can sing the blues like Blind Willie McTell.*

- *Smell that sweet magnolia blooming* - zaśpiewał Halders.

- *Hear that undertakers bell.* - Potem coś wymamrotał.

- Co mówiłeś?

- *No one can sing the blues like Bob Dylan.*

Nie odpowiedziała.

- *Well God is in heaven* - Halders dalej wtórował Dylanowi.

- Może powinienes się położyć.

Halders pochylił się do przodu i sięgnął po szklanę.

- Myślisz, że robię z siebie głupka?

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Zmęczonego? Żartujesz?

- Nie pij już.

- To moja sprawa. Może tego mi właśnie trzeba?

- Ciekawe, czy jutro powiesz mi to samo.

- Jutro? To znaczy, że zostaniesz?

Wstała i wyszła do kuchni. Wróciła ze szklanką wody. Przez drzwi balkonowe widać było zaciągające się smugami nowego dnia niebo.

- *But nobody can sing the blues like Blind Willie McTell* - śpiewał Dylan w duecie z Haldersem. - *There is a chain gang on the highway, I can hear the rebels yell.*

- Jutro musisz odwieźć dzieci do szkoły.

- Nie musisz mi o tym przypominać.

- O ósmej zaczynamy służbę.

- Mówiłem, że nie musisz mi przypominać o. o.

Muzyka ucichła. Halders wstał i cofnął płytę, po czym odwrócił się do Anety, która cały czas stała.

Zaśpiewał: *There's no one that sings the blues like Blind Fredrik McTell.*

Potem przeleciał przez oparcie sofy i wylądował z głową tuż przy podłodze.

- Fredrik?!

Aneta podeszła szybko i pochyliła się nad nim. Miał otwarte oczy.

- Fredrik?!

Wymamrotał coś i pokręcił głową. W końcu się podniósł.

- Aż tak pij. pijany nie jestem - powiedział i zaczął płakać. Aneta go objęła. Czuła, jak jego potężne ramiona drgają. Gardło miał napięte jak splecione stalowe kable. Poruszył się, uwolnił z jej uścisku i podniósł się. Usiadł i powiedział:

- Wszystko się pieprzy.

Ona też usiadła.

- Fredrik, a czy ty właściwie pozwoliłeś sobie na smutek?

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał. Jakby nie chciał zrozumieć, pomyślała.

- Tu chodzi o ciebie, Fredrik. Tylko o ciebie. I o dzieci. Nie możesz tego tłumić. To niebezpieczne. Po prostu musisz być



sobą i czuć to, co czujesz. Naprawdę czuć. Zrozum. Czuć i okazywać to, że czujesz.

Wymamrotał coś.

- Co mówisz?

- Czuć.

- Tak?

- A co to znaczy czuć?

Automatyczną sekretarkę zabrali technicy. Winter dostał kopię taśmy. Przesłuchiwał jej początek. Kim jest Andy?

Mogą sprawdzić, czy dzwonił z komórki, czy ze stacjonarnego, ale jeśli z komórki, to, cóż. Przecież aparat miał ze sobą.

Anne Nöjd najwidoczniej mieszkała sama. Teraz w jej domu są technicy. Są wszędzie.

Znaleźli kilka nazwisk - to mogli być rodzice albo inni krewni. Winter odbył kilka strasznych rozmów. Między innymi z jej matką.

Dosłownie przed sekundą. Zadzwoiła jego komórka. Dochodziła piąta.

- Zaczęłam się niepokoić - powiedziała Angela.

- Nie miałem chwili, żeby zadzwonić.

- Przyjedź do domu, jak będziesz mógł, zrobię latte. Za godzinę zejdę do piekarni i kupię bułki z rodzynekami.

- W takim razie postaram się wrócić. Chociaż na chwilę.

Kolejny dzwonek - tym razem telefonu stojącego na biurku. Pożegnał się z Angielą i podniósł słuchawkę. Dzwonił jeden z techników sprawdzających dom w Långedrag.

- Przyszedł chłopak, Andy jakiś tam, pytał o dziewczynę.

- Gdzie jest teraz?

- Stoi obok mnie.

- Daj mi go.

Winter usłyszał kolejny już dzisiaj głos, młody, wystraszony.

- Co się stało?

Winter się przedstawił.

- Czy możesz tu natychmiast przyjechać?
- Co się stało Anne?
- Proszę, żebyś wsiadł do samochodu, który stoi przed domem, i przyjechał tu jak najszybciej. Wszystko ci wyjaśnię.
- Co z Anne?!

Winter zastanawiał się chwilę.

- Zamordowano ją dziś w nocy. Dlatego musisz tu przyjechać jak najszybciej, Andy. Potrzebujemy twojej pomocy.

Usłyszał krzyk, wrzask. W słuchawce rozległ się równomierny świst, jakby ktoś wyrzucił telefon w powietrze.

- Halo? Halo?

Potem znów usłyszał głos technika:

- Już z nim jedziemy.

## 23

WINTER CZEKAŁ W SWOIM POKOJU. Rozświetlało go szarawe światło poranka. Szarość doskonale pasowała do jego stanu ducha. Było to dziwne uczucie. Mieszało się z podnieceniem, które go przepęłniało na myśl o tym, co będzie dalej. Coś się zaczęło dziać. Miał wrażenie, że wyczekuje na coś beznamiętnie, wręcz niestosownie do sytuacji, jakby pełen zwątpienia przedzierał się przez wyniszczone pustkowie, ale jednocześnie jakby coś mu przypominało o nadziei.

Zza okna dolatywał zapach dopiero co przebudzonego upału. Ptaki zaczęły śpiewać. Po drugiej stronie rzeki ciężarówka z zakładu oczyszczania miasta zamiatały ulicę. Nawet tutaj słyszał szum ogromnych szczotek.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł dwudziestopięcioletni chłopak z technikiem. Technik tylko się przywitał i natychmiast zniknął.

Andy wyglądał, jakby jego twarz się zapadła. Nie, nie jakby: ona się zapadła.

Winter wskazał mu krzesło.

- Postoję. Co. co się właściwie stało?

Winter powiedział, ile mógł. Najpierw jednak zapytał chłopaka, jak się nazywa.

- Andy.

- A nazwisko?

- Grebbe. Andy Grebbe.

Chłopak usiadł. Miał na sobie rozdarty pod lewą pachą T-shirt. Włosy miał bardzo krótkie, ale i tak wyglądały na nieuczesane. Pod jednym okiem, lewym, widniała czarna podkova. Chociaż dzieliło ich biurko, Winter czuł zapach przetrawionego alkoholu. Teraz był już wystarczająco trzeźwy, ale też bardzo zmęczony.

- Kiedy ostatnio rozmawiałeś z Anne?

- To. było wieczorem. To znaczy wczoraj. Wczoraj wieczorem.

- Kiedy?

- Słucham? No, mówiłem.

- O której godzinie?

- O której. Koło ósmej. Tak mi się wydaje.

- Gdzie?

- Gdzie? Właściwie to nigdzie, bo przez telefon. Zadzwoiłem do niej z domu.

- Odebrała?

- No jasne, że odebrała. Przecież mówiłem, że z nią rozmawiałem. Winter pokiwał głową.

- Potem dzwoniłem do niej w nocy, ale wtedy nie odebrała.

Winter znowu skinął głową.

- Nagrałem się na sekretarkę. Wiadomość musi tam być. - Popatrzył na Wintera. Biało-czerwono-czarne spojrzenie, chyba widać w nim było strach. - Jeśli przesłuchacie jej sekretarkę, to się przekonacie.

- Już to zrobiliśmy - odparł Winter. Starał się nie tracić kontaktu wzrokowego z chłopakiem. Czy to teraz ma

nastąpić przełom? Załamię się?

- Dobrze. To słyszeliście moje nagranie.
- Tak. O której dzwoniłeś?
- Po drugiej, może wpół do trzeciej.
- Skąd?
- Z takiego lokalu w Vasastan.

Wymienił nazwę. Winter znalazł to miejsce.

- Dlaczego dzwoniłeś? - zapytał.
- Czy to przesłuchanie?
- Po prostu muszę zadać kilka pytań.
- Czy potrzebuję adwokata?
- A uważasz, że potrzebujesz?
- Nie.
- Zatem dlaczego dzwoniłeś?
- Bo mieliśmy się spotkać, ale ja akurat nie mogłem, a potem ona nie przyszła do baru, więc zadzwoniłem i zostawiłem wiadomość, żeby się odezwała, jak będzie w domu.
- Gdzie mieliście się spotkać?
- W barze.
- Ale wcześniej?
- W kawiarni.

Andy podał jej nazwę, zanim Winter zapytał.

- Ale ty tam nie dotarłeś?
- Dotarłem, ale za późno. Już jej nie było.
- Ale w ogóle była?

Andy nie odpowiedział.

- Była tam w ogóle? - powtórzył Winter.
- Nie wiem. Zajrzałem do środka, ale jej nie było. Nie było też nikogo znajomego, kogo mógłbym zapytać.
- I co zrobiłeś?
- Przeszedłem się po mieście. A potem byłem w barze.
- A ona się do ciebie nie odzywała przez cały wieczór?
- Nie.
- Gdzie była?

Andy nie odpowiadał. Napił się wody, którą mu przyniósł Winter. Nagle odpłynął gdzieś myślami, do innego świata.

- Gdzie była Anne wczoraj wieczorem? - zapytał znowu Winter.

- Nie wiem - odpowiedział Andy. Wpatrywał się w jakiś punkt obok Wintera. Panująca w pokoju szarość mieszała się już z coraz jaśniejszym światłem poranka i Winter pomyślał, że takie połączenie wprowadza niepewność. Powstając w samym środku pokoju, taka zmieszana poświata nie wie, w którą stronę pójść. Oświetliła twarz Andy'ego. Winter się zastanawiał, czemu chłopak kłamie.

Halders zastanawiał się, czemu ona kłamie. Siedzieli w ogrodzie. Jej ojciec siedział na werandzie. Jego cień pada na nią, pomyślał Halders. Dzieli ich trzydzieści metrów, ale ona siedzi w jego cieniu. Wygląda, jakby jej było zimno, chociaż jest trzydzieści stopni.

- Nie chcesz, żebyśmy dorwali tego skurwiela? - zapytał.

- Jasne, że chcę - odpowiedziała Jeanette.

- Nie widać, żebyś się tym aż tak przejmowała.

- Przecież powiedziałam wszystko, co wiem. O wszystkim, co przeżyłam, i o tym, jak to przeżyłam.

- A co powiesz o morderstwie? - zapytał Halders.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Jakby nie usłyszała.

- Wiem tyle co każdy - odpowiedziała, zanim zdążył powtórzyć pytanie.

- Więc nie znałaś tej dziewczyny, Anne Nöjd?

Jeanette Bielke pokręciła głową.

- Nigdy jej nie widziałaś? - Kolejny raz pokazał jej zdjęcie, które znaleźli w domu Anne.

- Nie wiem.

- A ten dom kojarzysz?

Wzruszyła ramionami.

- To niedaleko stąd. Wszystkie te małe domki są do siebie podobne - dodała.

Halders przytaknął.

- Zlewają się w jedno.

Kurt Bielke zszedł z werandy i zbliżył się do stolika, przy którym siedzieli, schowani pod zielonym dachem klonu.

- Myślę, że Jeanette już wystarczy - powiedział.

Halders nie zareagował. Kurt Bielke spojrzał na córkę.

- Jeanette, możesz już iść do siebie.

Jeanette, nie patrząc na ojca, zaczęła się podnosić. Jakby w zwolnionym tempie, pomyślał Halders.

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział. - Mamy jeszcze coś do omówienia.

- Zawsze macie.

Jeanette spojrzała na Haldersa. Halders skinął głową i podniósł się.

- W takim razie do widzenia, Jeanette. - Wyciągnął do niej rękę.

Miała zimną dłoń. Wróciła do domu.

- Jak ona się czuje? - Halders zwrócił się do jej ojca.

- A jak pan sądzi?

- Co będzie jesienią? Ze szkołą? Z uniwersytetem?

- Zobaczymy.

- A jak interesy?

Bielke właśnie zamierzał wrócić na werandę. Zamarł i spojrzał na niego.

- Nie rozumiem.

- Interesy. Przecież jest pan współwłaścicielem kilku lokali rozrywkowych.

- Czyżby?

- To chyba żadna tajemnica?

- Nie?

- A tak?

- Na niektóre pytania nie da się odpowiedzieć tak lub nie - stwierdził Bielke. - Na przykład na takie: Czy bije pan jeszcze żonę? Albo na to, które pan zadał.

- A bił pan żonę? - ciągnął Halders.

Bielke zrobił krok w jego stronę.

- Albo córkę?

- Co, do kur.

Halders cofnął się o krok i obrócił na pięcie. Powiedział za dużo. Taki już jestem. Może to i dobrze. Może planowałem to cały czas, chociaż sam nie byłem tego świadomy.

- Żegnam - rzucił przez ramię.

- Zadzwoń do PAŃSKIEGO SZEFA! - krzyknął Bielke.

Szedł za Haldersem.

Halders już wsiadł do samochodu, który stał za furtką, w cieniu dębu. Bielke stał po drugiej stronie płotu.

- Winter - rzucił Halders, zanim zamknął drzwi. - Nazywa się Erik Winter.

Halders jechał na południe. Na drodze widać było plamy, jakby po deszczu, ale to było złudzenie. To słońce. Kiedy zaatakowało samochód, musiał mrużyć oczy, chociaż osłony były opuszczone.

Budynki centrum handlowego Frölunda migotały niewyraźnie w rozgrzanym powietrzu. Zaparkował na dużym parkingu, do połowy rozkopanym. Po jednej stronie robiono wykopy, po drugiej terkotały maszyny mieszające asfalt. Halders poczuł znajomy ostry zapach. Przez gorący wiatr jeszcze przybrał na sile. Robotnicy pracowali w szortach, rękawicach i wielkich buciorach. Skórę mieli równie ciemną jak asfalt. Tak właśnie powinni wyglądać robotnicy. Powinni być czarni. A bardziej wyrafinowani ludzie powinni mieć jasną skórę. Jak Kurt Bielke.

W centrum, w części z targowiskiem, było mnóstwo ludzi. Pewnie wiele osób wróciło już do miasta z urlopów, ale tu jest ich więcej, pomyślał Halders, kupując gruszkę od pomarszczonego dziadka z Syristanu czy cholera wie skąd.

Tylko nielicznych stąd stać na letni wyjazd na działkę, nie wspominając o zagranicznych podróżach. Do Syristanu albo

cholera wie gdzie. Ten zasuszony dziadek widział pewnie więcej świata niż większość zubożałych Szwedów, którzy tu przychodzą - przygarbieni, z otyłymi tyłkami i otępiełym spojrzeniem, w tanich ciuchach. Kurwa, pomyślał Halders. To wszystko jest bez sensu. Ten kraj się kończy.

Mattias czekał przy schodach przed halą sportową. Po drugiej stronie ulokowały się miejscowe pijaczki. Kobieta siedziała z głową wspartą na rękach. Dwóch mężczyzn próbowało się bić, ale nie bardzo im to wychodziło. Jeden z nich, w zasadzie chłopak, popijał z flaszki. Jego starszy towarzysz, już stracony dla świata, chciał mu ją zabrać. Mijając ich, Halders poczuł smród sików i przetrawionej wody. Ale przy takiej ładnej pogodzie pijaczyny chyba miło spędzają tu czas, wygrzewając się na słońcu, pomyślał.

- Długo czekasz? - zapytał Mattiasa.

- W porządku.

- Idziemy gdzieś?

- A co jest nie tak z tym miejscem?

- Śmierdzi tu - odparł Halders i zaczął się wspinać po schodach. - Czuć smród patologii społecznej.

Mattias też ruszył w górę. Szedł obok Haldersa.

- No tak, przecież można by wyeliminować cały ten element.

- Spojrzał na Haldersa. Był wysoki, wyższy od niego.

Wyglądał na dobrze zbudowanego.

- Nie mamy wystarczająco dużo ludzi do takiej akcji.

- Można by to robić stopniowo. Ale kto miałby dokonać selekcji?

- Ja - odparł Halders. Usiedli w kawiarni przed budynkiem.

- Nie ma nikogo, kto by się chciał iść kąpać w taki dzień jak dziś - powiedział Mattias.

- Właściwie jak jest ciepło, to w saunie też jest super.

- Naprawdę?

- Tak. Byłem kiedyś na misji ONZ na Bliskim Wschodzie i chodziliśmy do sauny. Na przykład w Nikozji, kiedy na



dworze było czterdzieści pięć stopni. Człowiek się potem świetnie czuje. Tak rześko.

- Skoro pan tak mówi...

- A ty co mi powiesz, Mattias?

- O czym?

- O Jeanette.

- Mówiłem już przez telefon, że nic więcej. Przecież, kurwa, nie ma już nic do powiedzenia.

- Dziś z nią rozmawiałem.

- Aha.

- Niedawno. Z nim też.

- Ze starym?

Mattias spojrział w niebo, całkiem nieruchome, bez jednej chmury. Przyszła kelnerka, żeby przyjąć od nich zamówienie. Halders wziął kawę, Mattias lody. Kelnerka odeszła.

- Miałaś rację.

- Co?

- Co do niego. Co do Kurta Bielkego.

- Rację? Jaką rację? Przecież nic o nim nie mówiłem.

- Coś z nim jest nie tak. Rozumiesz?

Chłopak siedział cicho. Kelnerka przyniosła zamówienie. Lody zaczęły się już topić. Mattias przyglądał się im, ale nie zaczął jeść.

- Jego może pan wybrać - powiedział.

- Co masz na myśli?

- Kiedy będzie pan robił selekcję.

Dla policjantów prowadzących dochodzenie w sprawie zabójstwa sezon urlopowy oznacza same kłopoty.

Winter czytał biblię mordu, a dokładniej przechowywane w niej wycinki z gazet:

„Wizyty w okolicznych domach niewiele dały. Większość ludzi nie wróciła jeszcze z wyjazdów, mówi komisarz Sture Birgersson.

Policja nadal kontynuuje analizowanie zeznań świadków”.

Nadal kontynuuje, pomyślał Winter.

Kontynuuje, a nie nadal kontynuuje. Widocznie pięć lat temu też mieli problemy z gramatyką. Dziś, pięć lat później, policja nadal kontynuuje analizowanie zeznań świadków. Tych starych i tych nowych.

Nadal też się zastanawia, co się stało ze świadkami, którzy zniknęli.

Zadzwoił telefon. Matka. Dawno się nie odzywała. Na linii z Costa del Sol pojawiły się jakieś zakłócenia, w słuchawce szumiało.

- W wiadomościach mówili, że w Skandynawii wciąż jest cieplej niż w Hiszpanii.

- Chyba należą nam się gratulacje - odpowiedział Winter.

- Zobaczymy, co powiesz, jeśli tak będzie dalej. W końcu nie da się tego wytrzymać. Wiem coś o tym - stwierdziła matka.

- I dlatego wciąż tkwisz na południu Hiszpanii?

- Przyjeżdżam w sierpniu, wiesz przecież. Tu naprawdę nie da się wytrzymać. Po prostu się nie da.

- W takim razie czekamy.

- Przemyślałeś już sprawę domu?

- Nie.

- Ale Angela powiedziała, że.

- Że co?

Sam usłyszał ostry ton w swoim głosie.

- Erik, co się dzieje?

- O co ci chodzi? Co powiedziała Angela?

- Że może się rozejrzycie za czymś jesienią. Może.

- Ach tak?

- Eriku, co się dzieje?

- Nic. Jest gorąco i tyle. Gorąco, a do tego mam dużo pracy.

- Wiem.

- W porządku.

W słuchawce znów rozległy się szумы. Słyszał tylko nakładające się na siebie urywki rozmów płynących z całej

Europy.

- Erik?

- Jestem, jestem.

- Ale między wami wszystko w porządku? Między tobą i Angellą?

## 24

BYŁO CICHO. Winter zbierał się, żeby znów się przysłuchać morderstwu. Przedwczoraj przyniósł nową płytę Metheny'ego. Nadal leżała nietknięta na stercie ułożonej na regale tuż nad panasonikiem, na prawo od okna.

Postawił odtwarzacz na stole. Na dworze już nie śpiewały ptaki. Włączył nagranie z automatycznej sekretarki Anne Nöjd.

Krzyki i. i ten drugi głos, jakby z piekła rodem. Zupełnie nieludzki, pomyślał.

W tym jest zakodowana jakaś wiadomość, przesłana nieświadomie. Takie wiadomości można znaleźć wszędzie.

Jeanette wspomniała o powtarzającym się bełkocie. Usłyszała to samo - chyba trzy razy. Twarzy nie widziała, ale docierał do niej głos, jeśli można to tak nazwać. Może raczej odgłos. O ile to ten sam sprawca.

Czy w tym bełkocie da się rozróżnić jakieś słowa? Coś, co brzmi sensownie? Czy da się oddzielić od siebie poszczególne dźwięki, żeby usłyszeć jakieś słowa? Może frazy? Trzeba przefiltrować to, co słyhać. To powinno być możliwe. Przecież w tym budynku, pięćdziesiąt metrów stąd, mają techników, a jeśli oni nie dadzą rady, zrobią to dźwiękowcy z radia.

Usłyszał pukanie. Do pokoju wszedł Ringmar. Nie był sam. Wyglądał na przestraszonego.

Bergnhem i Möllerström szukali właściciela klubu. Sprawa się przeciągała. Barock nie był przecież zarejestrowany jak

zwykle lokale. Oczywiście byli policjanci, którzy kojarzyli to miejsce, ale nikt nie wiedział, jak wygląda kwestia własności. Owszem, istniał rejestr właścicieli. Mieli całe mnóstwo nazwisk i twarzy, ale jak dotąd na nic nie trafili. Prędzej czy później muszą go znaleźć, ale to żmudna robota - czas ucieka, a trzeba porozmawiać z mnóstwem ludzi.

- Mamy mnóstwo nazwisk - powiedział Möllerström.

Wśród nich było jedno szczególne. Skojarzyli je z restauracją z dansingiem, tuż za rzeką, na południu. Nazwisko od dawna należało do najpopularniejszych w branży lokali rozrywkowych w mieście. Było przy tym jednym z wielu. Trafili na nie, odhaczając kolejne pozycje na liście. Chcieli przesłuchać tego człowieka, zanim się zajmą kolejnymi nazwiskami. Bergenhem nie wiązał z tym większych nadziei.

- Co właściwie w dzisiejszych czasach oznacza restauracja z dansingiem? - zapytał Möllerström.

- Miejsce, gdzie możesz coś zjeść i zatańczyć.

- To jeszcze nie przeszło do historii?

- Jedzenie i tańczenie?

Möllerström się uśmiechnął.

- Mówię o dansingach. Przypomniał mi się hotel u nas w mieście.

- Przekonamy się.

Przedzierali się przez hordy turystów. Piesi przechodzący przed maską wyglądali na zmęczonych i zagubionych. Przybysze z odległych miast.

Möllerström kolejny raz pomyślał o hotelu w swoim rodzinnym mieście.

Cysterny po drugiej stronie rzeki połyskiwały wrogo. Lokal, którego szukali, mieścił się w jednym z żółtych ceglanych domów przy portowej ulicy.

W środku czuć było kurzem i starym dymem. Rzeczywiście wyglądało to na restaurację z dansingiem: duży półkolisty parkiet otaczał scenę, dalej stały, również w półkolu, stoliki i

krzesła, na końcu mieścił się bar w kształcie podkowy. Na stolikach leżały białe obrusy, na każdym stał wazonik z kwiatkiem.

Za barem nie było nikogo. Na scenie stały instrumenty. Jakaś kobieta przecierała podłogę szarą szmatą na kiju. Co chwilę maczała ją w wiadrze z wodą. Pojedyncze promienie słońca zaglądające przez jedno z okien oświetlały jej twarz. Wyglądała przez to, jakby stała na oddalonej o dziesięć metrów scenie i śpiewała pierwszy tego wieczoru kawałek o miłości. Uchyliła się przed smugą światła i dalej wpatrywała się w kraciastą biało-czarną podłogę. Było dość ciemno, ale na pewno nie mogło być jaśniej. Nagle promień słońca dosięgnął leżącego na scenie saksofonu. Instrument błysnął, jakby był ze złota.

- Restauracja z dansingiem - stwierdził Möllerström.

Na lewo od baru otworzyły się drzwi. Jakiś mężczyzna ruszył w ich stronę. Wyciągnął rękę i przedstawił się. Był wysoki, wyższy od nich. Czubek głowy miał łysy, włosy po bokach wygolone. Miał na sobie białą koszulę, ciemną marynarkę i czarne spodnie od garnituru.

Było w nim coś znajomego. Bergenhem uścisnął mu dłoń i przedstawił siebie i Möllerströma.

- Miło mi - odpowiedział Johan Samic.

Bergenhem próbował mu wyjaśnić, po co przyszli.

- W takim razie trafiliście pod właściwy adres.

Bergenhem milczał. Möllerström wyglądał na zaskoczonego.

- To my byliśmy ostatnimi właścicielami tego klubu, ale to chyba żadna tajemnica - powiedział Samic.

- Nikt nic nie mówił o tajemnicy.

- Barock to była porządna knajpa.

Ciekawe, co, do cholery, ma na myśli, pomyślał Bergenhem.

- Zmieniliśmy ten klub w miejsce z klasą.

- Wcześniej takie nie było?

Samic się uśmiechnął.

- Czy możemy się rozejrzeć? - zapytał Bergenhem.
- Nie.
- Nie?
- Nie mogę pozwolić, żeby każdy mógł sobie wejść przed otwarciem i węszyć po kątach.
- Prowadzimy dochodzenie, to poważna sprawa.
- Wiem, ale co ma z tym wspólnego moja restauracja?
- Przed chwilą to wyjaśniliśmy.
- No właśnie. Co zatem panowie tu robią?
- Mamy jeszcze kilka pytań - powiedział Bergenhem.
- Tak?
- Może lepiej będzie, jeśli zadamy je panu u nas.
- U was?
- Na komendzie.
- Ha, ha.
- W takim razie idziemy. Jest pan gotowy.
- Co, do chole.
- Nie możesz odmówić pójścia z nami, Samic. Przecież wiesz.
- Dobra. O Boże, akurat teraz mam tyle na głowie. W takim razie możecie się tu pokreć. Jakby było po co. - Rozejrzał się po klubie. - Toalety są tam. - Wskazał kciukiem. - Damskie też możecie przeszukać, pozwalam.
- Arogancki buc - powiedział Möllerström, kiedy się przeciskali przez kolejną grupę turystów. A może to ci sami ludzie? Może po prostu cały dzień krążą w kółko, pomyślał.
- Wyglądał znajomo - stwierdził Bergenhem.
- Że niby znasz ten typ?
- Też, ale mówię o nim samym.
- Nie pokazałeś mu zdjęć dziewczyn na tle ściany.
- Nie.
- Dlaczego?
- To nie był dobry moment. - Bergenhem odwrócił się do siedzącego za kierownicą Möllerstöma. - Tak czy inaczej, nie powinien nikogo rozpoznać.

- Tak myślisz?

- Z kim on mi się kojarzy. - Bergenhem wdychał wiatr, który smagał mu twarz. Nie było to szczególnie miłe uczucie, ale też nie całkiem nieprzyjemne. - Muszę jeszcze raz spojrzeć na zdjęcia Wintera.

Jeanette Bielke słuchała nagrania z taśmy. Winter starał się ją na to przygotować, na tyle, na ile było to możliwe.

A nie było.

- Nie chcę - powiedziała po trzech sekundach.

- Jeszcze się nie zaczęło.

- Przecież wiem, co tam będzie.

- Wie.

- CZY MOŻECIE WRESZCIE DAĆ MI SPOKÓJ?! - krzyknęła, wstając z krzesła.

Ringmara już nie było. Winter się podniósł. Nagle Jeanette poleciała do tyłu i upadła na podłogę. Winter szybko obiegł biurko. Zobaczył, że leży z zamkniętymi oczami. Pochylił się nad nią, wtedy podniosła powieki.

- Udało mi się podeprzeć ręką - powiedziała i usiadła, pocierając nadgarstek. - Nic się nie stało. - Spojrzała na Wintera. - Dobrze, proszę to włączyć.

- Nie musisz tego robić.

- Chyba po to tu jestem?

Winter spojrział jej prosto w oczy. Nieprzeniknione spojrzenie. Ciałem była tutaj, ale myślami gdzie indziej.

Podnieśli się z podłogi. Jeanette usiadła z powrotem na krześle. Popatrzyła na odtwarzacz, a potem przeniosła wzrok na Wintera. Wtedy włączył nagranie.

Słuchała: nihhhdywyysyyy...

Winter wyłączył sprzęt.

- Niczego nie rozpoznaję - powiedziała wyuczonym, jakby nagrany głos. Popatrzyła na Wintera. - To straszne. To na pewno prawdziwe nagranie?

Winter przytaknął.

- Ale to nie ja.

- Słucham?

Popatrzyła na niego.

- To nie ja jestem na tej taśmie. - Przeniosła wzrok na otwarte okno. - Zaczyna padać.

Winter nie spuszczał z niej wzroku. Wpatrywała się w deszcz. Na podłodze pod oknem zebrała się już kałuża. Woda wylewała się też z popielniczki stojącej na doniczkach.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to nie ty?

Popatrzyła na niego.

- To ktoś inny.

Co ja mam teraz zrobić? Winter wciąż stał. Jeanette utkwiała wzrok gdzieś za oknem, była jakby nieobecna. Znowu włączył nagranie. Nie reagowała.

Technik Richard Yngvesson słuchał Wintera. Siedział przy komputerze podłączonym do miksera i innych urządzeń. Winter nie miał pojęcia, jak się nazywają i do czego służą.

- Pomoc tych z radia nie będzie konieczna - powiedział Yngvesson. - Że też w ogóle mogłeś tak pomyśleć.

- Przepraszam.

- Nie sądziłem, że ci ze śledczego są tacy nieogarnięci.

- Daj spokój, Richard. Da się coś z tym zrobić?

- A co byś chciał zrobić?

- Co się da. Wyodrębnić jakieś zdanie albo słowo. Głos, który da się wychwycić. Coś poza tymi niewyraźnymi odgłosami.

- Problem polega na tym, że nie mamy nic w stereo, co moglibyśmy obrobić - uprzedził go Yngvesson. - Na automatycznej sekretarce wszystko zapisało się w mono. Wszystko idzie jednym kanałem. - Spojrzał na Wintera, który przysiadł obok. - Rozumiesz? Wszystko jest przesyłane jednym kanałem.

- Mam jako takie pojęcie o tym, co to jest mono - odpowiedział Winter.

Yngvesson powcisnął jakieś przyciski, podłączył kilka kabli i



włożył kasetę do urządzenia, który wcale nie wyglądało na magnetofon. Coś usłyszeli.

Technik wsłuchiwał się uważnie.

- Teraz spróbujemy przefiltrować ten zapis - wyjaśnił. - Po prostu go wyczyścimy.

- To możliwe?

- No jasne.

- To dobrze.

- Ale nie spodziewaj się za dużo. Chodzi przede wszystkim o zniwelowanie basów, żeby nie były zbyt głębokie, i wzmocnienie sygnałów w rejestrze średnim.

- Kiedy możesz się za to zabrać?

Yngvesson spojrział na korkową tablicę wiszącą przy komputerach.

- Za tydzień.

- Fatalnie.

- Nie ty jeden się do nas zgłaszasz, Winter. Chyba ci się wydaje, że kiedy ty przychodzisz z pilną sprawą, wszyscy powinni wszystko rzucić. - Yngvesson wyglądał na rozłoszczonego. - Na świecie dzieją się też inne rzeczy.

- Mówisz o innych zabójstwach? Jakich?

- Chodzi o.

- Daj mi tę taśmę.

- Co?

- Pójdę z nią do kogoś z radia.

- Poczekaj, do chole.

- Czasami naprawdę nie rozumiem ludzi - powiedział Winter. - Pracuję nad, delikatnie mówiąc, trudną sprawą. Ktoś gwałci i zabija młode dziewczyny w samym środku wakacyjnej miejskiej sielanki, a ty mi bredzisz, że masz na głowie ważniejsze rzeczy.

- To ma być przemówienie? - zapytał Yngvesson. - Powiedz, jak skończysz, żebym mógł się zabrać do roboty.

- Jakiej roboty?

- Do tego twojego morderstwa - powiedział Yngvesson, odwracając się do komputera. Jego odbijające się w ekranie oczy wpatrywały się w Wintera.

- Tu jest potrzebna liczba mnoga - odparł Winter. - Morderstw było więcej.

Yngvesson kolejny raz włączył nagranie i znów go wysłuchał.

- Trzy minuty - stwierdził.

- Tak.

- Trzy minuty agonii.

- Dziwnie długo jak na nagranie na sekretarce.

Yngvesson wzruszył ramionami.

- Jak myślisz, kiedy będziesz coś miał?

- Nie chcę rozmawiać o wynikach. - Yngvesson zaczął majstrować przy klawiaturze. - Daj mi trzy dni.

- Trzy dni?

- Przestań naciskać, Winter. Normalnie czekałbyś tydzień, może dwa, a ja ci mówię o trzech dniach. W porządku?

- W porządku.

- Trzy dni, trzy minuty. Ale przygotuj się na dłuższe czekanie.

- Co właściwie z tym zrobisz?

- Wrzucę do komputera i przepuszcze przez kilka programów, które obrobiją dźwięk. Mamy aplikacje, które oczyszczają i analizują zapis dźwięku. Jeśli na przykład w tle słyhać jakiś jednostajny odgłos, szum czy szelest, można spróbować usunąć te częstotliwości.

- Aha.

- To musi potrwać. Muszę to obrabiać kawałek po kawałku. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- To, co na razie słyhać, to, że tak powiem, sieczka, to znaczy dźwięki, które nie tworzą precyzyjnego obrazu. Spróbuję trochę wzmocnić sygnały, żeby wyszło to, co cię

interesuje.

- Wszystko mnie zainteresuje.

- Czyli głos - powiedział Yngvesson. - Bo chodziło ci o słowa? Albo przynajmniej o głos, urywki słów albo cokolwiek, co z tego wyjdzie?

- No tak.

- Na taśmie są głosy, ale dokładnie nie da się usłyszeć niczego poza kilkoma okrzykami wzywającej pomocy dziewczyny. Chociaż to raczej szepty, nie krzyki. No i ten drugi głos. ten charkot czy jak to nazwać.

- O to właśnie chodzi - powiedział Winter. - To na tym głosie najbardziej mi zależy.

- OK. Popracuję trochę nad rejestrem średnim i kompresją. Spróbuję wzmocnić słabsze partie i obniżyć głośne.

Winter milczał. Yngvesson przesłuchał taśmę jeszcze raz.

- Zobaczymy, może nam się uda wyodrębnić przynajmniej fragmenty zdań, o ile to są zdania. To brzmi tak, jakby telefon był gdzieś schowany. Miała go w torebce?

- Nie wiem. Nie znaleźliśmy go.

- No to będzie jeszcze trudniej. To znaczy jeśli był w torebce. Słysząc też, że dziewczyna i ten facet byli w różnej odległości od mikrofonu.

Winter wyobraził sobie tę scenę: torebka, trawnik, mężczyzna, dziewczyna, walka, ciosy, ręce, smycz. Smycz? Dlaczego to smycz przysłała mu do głowy?

Dlaczego nie pasek? Czym właściwie się różni jedno od drugiego?

- Ale jest i lepsza wiadomość - powiedział Yngvesson. - Dziewczyna miała zestaw głośnomówiący.

- Tak myślisz?

- Musiała mieć. To brzmi tak, jakby mikrofon był na zewnątrz, przynajmniej pod koniec. Dźwięk jest wyraźniejszy, o ile można to tak określić. Mikrofon wychwycił wyraźniejszy dźwięk.

- Nie znaleźliśmy żadnego zestawu. Ani słuchawek. Zastanawiał się, gdzie mogą być. Czy ktoś jeszcze użyje tego telefonu?

Puścił Breckera na cały regulator. Zobaczył, że chmury znikają, może już na dobre. Muzyka je przeganiała.

Zadzwoił do Angeli.

- Wyjrzyj przez okno. Słońce wraca.

- I dlatego dzwonisz?

- A to nie jest dobry powód?

- Masz Elbę.

Porozmawiał z córeczką. Po chwili znów usłyszał głos Angeli.

- Aha, jesteśmy zaproszeni na obiad na sobotę.

- Do kogo?

- Do Agnety i Pellego.

- No tak, *beach party*.

- Możesz, mam nadzieję?

- W sobotę? Mam nadzieję, że tak.

## 25

BERGENHEM OPOWIEDZIAŁ O WIZYCIE W KLUBIE.

- Samic?

- Kojarzysz to nazwisko? - zapytał Berghem.

- Nie.

- Działa już od dłuższego czasu.

- Sprawdzę go.

- Nic na niego nie mamy. Przejrzałem już kartoteki.

Winter zapalił cygaretkę. Nie miał siły podejść do okna.

Berghem zdążył się już w swoim pokoju przebrać w szorty.

- Przejrzałem jeszcze raz zdjęcia z zakończenia szkoły -

powiedział Berghem, wyciągając swój komplet odbitek.

Pochylił się nad biurkiem i wskazał na jedną z nich. -

Popatrz.

Winter spojrział na smagłego mężczyznę stojącego obok

chłopaka.

- To może być Samic - powiedział Bergenhem.

- To może być ktokolwiek.

- Tak, ale.

- Musisz być pewny.

- Nie jestem.

- A jakie widzisz podobieństwo?

- Ma coś takiego w twarzy. Chociaż Samic łyśnieje, a ten tutaj ma włosy.

- Peruka?

- Albo tupecik. - Spojrzał na Wintera. - To się chyba da sprawdzić.

- Jak?

- Są chyba eksperci, którzy mogą określić, czy włosy są prawdziwe, czy nie.

- Patrząc na zdjęcie?

- Od wszystkiego są eksperci.

Wystarczy też znaleźć mordercę, zanim wybuchnie powszechna panika, pomyślał Winter. Pomyślał o Hansie Bulowie. Rano przeczytał jego artykuł.

Widział też zdjęcie zaginionego chłopaka. Jak dotąd nikt się nie zgłosił.

- Jędę tam - rzucił.

- Do tej restauracji z dansingiem?

Winter przytaknął. Kolejny raz przyjrzał się zdjęciu.

Pół godziny później stanął przed Johanem Samikiem i uściśnął mu rękę. Miał przy sobie zdjęcie. W wewnętrznej kieszeni. Kelner zdejmował krzesła ze stołów. Za barem było słycać stukanie - barman przygotowywał lód i kroił cytryny.

- A więc odwiedził mnie też sam szef - powiedział Samic.

- Zna pan tę dziewczynę? - zapytał Winter, pokazując mu zdjęcie Angeliki na tle ściany.

Samic spojrział na zdjęcie. Winter zauważył, że jego twarz nawet nie drgnęła.

- Kto to jest?
  - Pytałem, czy ją pan zna.
  - Nie.
  - Nie bywała tutaj?
  - Nie - odparł Samic. - Jest za młoda.
  - A co pan powie o widocznym na zdjęciu wnętrzu?
  - Brzydkie.
  - Specyficzne.
  - Jak tawerna na Costa del Sol. Mnie się tak kojarzy.
  - Albo nielegalny klub w Göteborgu.
  - Możliwe.
  - Rozpoznaje pan to miejsce?
  - Nie.
  - Nie wie pan, gdzie to jest?
  - Chyba wyraziłem się wystarczająco jasno.
  - Barock.
  - Ta obskurna dziura?
  - Tak.
  - Byłem tam sto razy. Tego zdjęcia nie zrobiono tam.
  - Nie?
  - Nie.
  - Czy nie był pan przez jakiś czas współwłaścicielem?
  - Oczywiście. - Spojrzał na Wintera. - A co to ma znaczyć?
  - Co?
  - Ta dziwna rozmowa, którą prowadzimy.
  - To pytania.
  - Tak, tak. Ale Barock? O co pan zapyta teraz?
  - O jeszcze jedno. Czy domyśla się pan, gdzie zrobiono to zdjęcie?
  - Słyszę inny ton, komisarzu.
  - Gdzie zrobiono to zdjęcie?
- Samic jeszcze raz rzucił okiem na odbitkę.
- Nie mam pojęcia.
  - Potrzebuję pomocy - powiedział Winter. - A to nie jest

przesłuchanie.

- To, czy jest, czy nie, zależy od pana - odparł Samic. - Właśnie zaczyna być przesłuchaniem.

Jeszcze się zobaczymy, pomyślał Winter, wychodząc.

Możliwe, że wtedy, na zakończeniu szkoły, miał na głowie tupecik. Ale

równie dobrze mógł to być ktoś inny. Nie można stwierdzić, czy to on jest na zdjęciu.

Chodniki były tak rozgrzane, że można było na nich smażyć jajka.

Winter był tak głodny, że wszedł do wietnamskiej restauracji i zamówił danie dnia - jedno z pięciu do wyboru. Właściwie wszystkie wyglądały tak samo. Poprosił o porcję ryżu z poszatkowanym mięsem i dostał stolik na dworze, pod parasolami. Przez upał tramwaje wyglądały, jakby jechały w zwolnionym tempie. Po całkiem bezchmurnym niebie przeleciał samolot. Czuć było benzynę i asfalt, a do tego delikatny zapach morza. Ludzie mieli na sobie możliwie najmniej ubrań. Sam był tylko w szortach i koszuli khaki. Angela kupiła mu ją w zeszłym tygodniu.

Angela - nie pomyślał o niej przez ostatnie dwie godziny. Myślał o Elsie, ale o Angeli nie.

Dostał wreszcie jedzenie, ale nie był już taki głodny. Czuł jedynie posmak glutaminianu sodu. Zjadł tylko połowę, po czym odsunął talerz. Napił się wody mineralnej i zapalił cygaretkę. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył profil Samica. Przejeżdżał obok samochodem, identycznym jak jego auto, zaparkowane po drugiej stronie ulicy pod domem handlowym - też mercedes, i to w tym samym odcieniu.

Benny Vennerhag pewnie będzie mógł o nim sporo opowiedzieć.

Obok stolików przeszła jakaś kobieta. Miała na sobie zbyt dużo zbyt drogich ubrań. Prowadziła dwa psy, każdego na osobnej smyczy. Jeden przysiadł na chodniku i się załatwił.

Kobieta rozejrzała się ze zniecierpliwieniem i odeszła. Nie posprzątała. Winter miał ochotę wstać, przywołać ją z powrotem i zrobić kilkusekundową awanturę. Czemu nie? Nie ruszył się jednak z miejsca. Patrzył tylko, jak psy wloką się za swoją panią.

Sądzi, że użyto smyczy. Sam tak sądził. Morderca zaciskał smycz na szyi ofiar. Pasek. Pasek albo smycz.

Czy miał psa? Nie, psa nie. Tylko smycz, którą zawsze nosił przy sobie. Może, idąc przez park, niósł ją luźno, niczym właściciel psa, który spuścił z niej czworonoga i teraz nonszalancko idzie za nim, żeby go za chwilę przywołać.

Smycz zwisała luźno, może z ramienia.

Chodził w tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Ze smyczą. A może wyciągał ją dopiero, gdy był blisko, tak blisko, jak tylko się dało. Bo musiał być blisko. A potem wracał.

W kieszeni koszuli rozdzwoniła się komórka.

- Gdzie jesteś? - zapytała Angela.
- W mieście, na Nordstan. Jem na wpół zgniły lunch.
- Mogłeś wpaść do domu.
- Nie zdążyłbym. I tak już za długo tu siedzę.
- Możemy wieczorem pojechać nad wodę?
- Jasne.
- Na chwilę w to zwątpiłam.
- O szóstej. Bądź gotowa.
- Na dole? Przed domem?
- Spakuj wszystko i nie zapomnij moich kąpielówek. I kanapek z sardelą.

Rozłączył się. Telefon natychmiast zadzwonił znowu.

- Zgłosił się ktoś, kto twierdzi, że zna chłopaka - powiedział Berghem.
- Tylko jedna osoba?
- Jedna wyglądająca na wiarygodną.
- Gdzie mieszka?
- We Frölunda. Wieżowce za centrum handlowym.



- Masz adres?

Bergnhem podał mu namiary. Winter zapłacił, wsiadł do samochodu i ruszył na zachód.

Elektroniczny termometr na placu przy centrum handlowym wskazywał trzydzieści cztery stopnie. Wieżowce stojące przy parkingu wyglądały na całkiem bezbarwne. Jakby się unosiły w poprzecinanym warstwami szkła powietrzu.

Bergnhem czekał na niego przed kioskiem. Weszli między budynki. W cieniu siedzieli ludzie, zbici w grupki. Winter czuł zapach jedzenia. Sporo przybyszów z innych krajów, z południa. Wieczorem pewnie będą siedzieć na wybrzeżu. Długo, dłużej niż Szwedzi. Szwedzi wrócą do domów przed siódmą. Ale nie on z Angelą i Elszą. Zapach grillowanego mięsa. Liczne rodziny, ludzie w każdym wieku, piłka nożna, krzyki, śmiechy, życie.

Minęli Centrum Kultury. Zabudowania się przerzedzały, domy były coraz niższe. Bergnhem spojrzał na kartkę i wskazał wejście do domu. Zadzwonili do drzwi na pierwszym piętrze.

Otworzył mężczyzna w bermudach i siatkowym podkoszulku. Żuł coś.

Bergnhem przedstawił siebie i Wintera.

- Wydaje mi się, że mieszka w domu naprzeciwko - powiedział mężczyzna, ciągle żując. - Mieszka tu wielu czarnych. - Wreszcie przełknął to, co miał w ustach. Spojrzał na stojącego za Bergnhemem Wintera. - Co takiego zrobił?

- Gdzie to jest?

- Co?

- Proszę nam pokazać ten dom.

- Tak, już. Tylko założę sandały.

Przeszli przez podwórko.

- Numer osiemnaście - powiedział mężczyzna.

Dwoje dzieci huštało się na nasłonecznionym placu. Obok, na ławce, siedziała ubrana na czarno kobieta.

- Mówiłem, że pełno tu czarnych - dodał, wskazując na dzieci.

- Zamknij się - powiedział Winter.

- Co, do. - wydusił mężczyzna i nagle się zatrzymał. Dzieci zahamowały nogami o ziemię i zatrzymały huštawki. Wpatrywały się w niego.

- Tak się mówi na. - zaczął jeszcze raz.

Winter poszedł dalej, pod osiemnastkę. Bergenhem za nim. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał najpierw na Bergenhema, potem na idącego przodem Wintera.

- Zadzwoń do waszych przełożonych! - krzyknął przez podwórko.

Weszli do klatki i zaczęli dzwonić - do wszystkich mieszkań po kolei. Kiedy byli mniej więcej w połowie, ktoś im otworzył, ale nikt nie rozpoznał chłopaka.

Bergenhem pokazywał zdjęcie, nikt nie czytał gazety.

W czterech mieszkaniach nikogo nie było.

- No tak - powiedział Bergenhem.

- Administracja budynku - zaproponował Winter.

- Przecież już ich pytaliśmy.

- Zapytajcie jeszcze raz.

Wrócili. Winter zauważył na plecach Bergenhema, na koszuli, plamę potu. Przeszli przez podwórko otoczone najwyższymi blokami.

- To tu mieszka Mattias - przypomniał sobie Bergenhem. - Były chłopak Jeanette Bielke.

- Aha.

- W tym bloku.

- Wiem.

- Byłeś u niego?

- Jeszcze nie.

Zadzwoił telefon Wintera.

- Właściwie nie doszło do gwałtu - powiedział lekarz zastępujący Pię Fröberg. - Mówię o Anne Nöjd.

- Domyślałam się - odparł Winter.
- Dostaliście już odpowiedź z laboratorium?
- Niestety jeszcze nie.

Na chwilę zapadła cisza. Winter słyszał szelest przekładanych papierów.

- Pasek albo inne wąskie narzędzie - dodał lekarz.
- Na przykład smycz? Mógł ją udusić smyczą?
- Tak, to możliwe.
- Można to określić precyzyjniej?
- Jeszcze nie.

Ruszyli nad wodę. Dwadzieścia po szóstej byli nad morzem. Inni Szwedzi wracali już do domów, na grilla. Importowani Szwedzi przywieźli grille ze sobą.

- Jutro też tak zrobimy. Można dostać takie jednorazowe minigrille na stacjach benzynowych - powiedziała Angela, rozbierając Elbę. - Nie wytrzymam dłużej wachania tylko tego smacznego zapachu. - Popatrzyła na dwie ubrane na czarno kobiety. Właśnie zaczęły przygotowywać posiłek na plaży.

- Dobra - zgodził się Winter, biorąc Elbę na ręce. Krzyczała i wymachiwała nogami, gdy ją podnosił i opuszczał. Ruszyli w stronę wody. Teraz, kiedy dzień chylił się ku końcowi, wylewała się na brzeg, coraz dalej.

Elsa siedziała mu na ramionach. Kiedy weszli do wody, przykucnął, żeby mogła powoli zamoczyć się w letnich falach. Pływało tu trochę za dużo meduz, ale woda była w sam raz. Podniósł Elbę, złapał ją pod brzuchem i zaczął obracać. Kręcili się i kręcili. Światło migotało. Horyzont znikł. Zatrzymał się i poczuł, że mu się kręci w głowie. Po chwili przestało, ale coś nie dawało mu spokoju. Próbował dojść, co to takiego, ale Elsa zaczęła się wyrywać z jego uścisku.

Musiał usłyszeć i zobaczyć coś, co przypomniało te refleksy, które widział przed chwilą, obracając się z Elwą. Ułamek chwili. Gdzieś już to widział. Widział.

Dobiegły go jakieś głosy, spojrzął w dół: stały przed nim dwie nastolatki. Pytały, czy mogą potrzymać Elbę.

- Zapytajcie ją.

Zgodziła się.

Gdy dojechali do domu, zdążyło się już ściemnić. Wniósł Elbę na górę, spała jak zabita.

Angela nalała po kieliszku białego wina. Usiedli w kuchni, wsłuchiwali się w wieczór.

- Potrzebujesz urlopu - powiedziała.

- Jeszcze tylko dwa tygodnie.

- Będiesz mógł wziąć wolne, jeśli nie rozwiążecie tej sprawy? Spraw?

- Tak.

- Naprawdę?

- Może tak będzie lepiej. Dla śledztwa.

- Nie sądzę.

- Wow, ale szybko poszło to wino. - Winter spojrzął na pusty kieliszek.

- Przyniosę butelkę.

Angela napełniła kieliszki. Napił się.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Teraz?

- No a kiedy?

- O tym, że to cudowny wieczór.

- Jeden ze stu - spojrzała na niego. - Myślałeś też o czymś innym.

- Tak.

- Wyglądałeś na zasmuconego.

- Bo oczywiście myślałem o tych morderstwach. O dziewczynach. - Popatrzył na nią. - Nie da się tego, ot, tak sobie, wyprzeć.

- Nie. Myślę, że nie.

- Ci, którzy twierdzą, że tak, nie mają racji. Można zapomnieć, zając się czymś innym, ale to wraca.

Kiwnęła głową.

- Dziś podeszły do nas dwie nastolatki. Chciały potrzymać Elbę. I właśnie wtedy to wróciło. Te obrazy.

- Kiedy wróciliście z wody, faktycznie wyglądałeś, jakbyś myślami był gdzieś daleko.

- Coś sobie uświadomiłem.

- Mogę zapytać co?

- Sam jeszcze nie wiem. Trudno to opisać, ale zrozumiałem, że wiem coś. nowego. Tak mi się wydaje. Coś ważnego.

## 26

WINTER ZADZWONIŁ DO HALDERSA. Halders dopiero co wstał. Właśnie usiadł na werandzie. Gdzieś z góry słyszał śpiew ptaków. Nie było ich widać. Dwa myśliwce zostawiły na niebie krzyż z przecinających się śladów.

- Zobaczę, co się da zrobić - odpowiedział.

- A jak tam w ogóle?

- Już jest gorąco.

- A poza tym?

- Przecież powiedziałem, że zobaczę, co się da zrobić.

- Dobra, dobra.

Halders spojrzął w górę i zobaczył kolejny krzyż. Poprzedni już się rozplątał.

- Jak słyszysz, ostało się we mnie jeszcze coś ze starego złośliwego Haldersa - powiedział.

- W takim razie jest nadzieja.

- Wpadnę za kilka godzin.

- Tymczasem spróbujemy znaleźć to mieszkanie.

- Musicie to załatwić. - Halders zrobił krótką przerwę. - Ja wchodzę w następnej rundzie.

Jechał wzdłuż rzeki. Białe promy pływające między szkiełkami świeciły niczym płomyki na wodzie. Asfalt zdawał się uginać pod oponami. Czuć było zapach z jakiegoś innego kraju. Z

odtwarzaczka CD śpiewała Julie Miller: *Out in the rain I keep on walking, out in the rain like the brokenhearted do, I could be wrong but that's where you find me, out in the rain just looking for you.* Halders zrobił głośniej i śpiewał przez całą drogę. Słońce waliło pięściami w dach. Jechał na zachód. Kiedy zjechał z ronda, nagle zepsuł mu się tłumik. Widział, jak ludzie odwracają za nim głowy. We Frölunda wieżowce kiwały się w rozgrzanym powietrzu jak pijane. Zaparkował przed jednym z nich, tuż pod McDonaldem.

Winda była zepsuta. Wszedł po schodach na siódme piętro. Ściany z popękanego betonu pokrywało graffiti i inne napisy. Wszędzie czarno-krwiste plamy. Między piętrami czuć było starymi sikami i oparami jedzenia. Zza zamkniętych drzwi dzieci i dorośli pokrzykiwali w stu różnych językach. Minął faceta w turbanie, kobietę w hidżabie i faceta w podkoszulku, który szedł, przyciskając się do ściany. Po oczach było widać, że jest psychicznie chory.

Na piątym piętrze trzasnęły drzwi, na klatkę wyszła młoda kobieta z szerokim wózkiem. Siedziało w nim dwoje dzieci. W milczeniu wpatrywały się w Haldersa. Kobieta wcisnęła guzik przy windzie.

- Zepsuta - uprzedził ją.

Wcisnęła jeszcze raz.

- Przecież muszę iść kupić jedzenie.

Halders wszedł jeszcze wyżej i zadzwonił do drzwi. Mattias otworzył po trzecim dzwonku.

- Nie byłem dla nich wystarczająco dobry - powiedział, kiedy już się rozsiedli na sofie pod dużym oknem.

Halders pokiwał głową.

- Rozumie pan?

- Skądś to znam.

- Pana też tak kiedyś ktoś potraktował?

Halders znowu skinął głową. Przez okno widział niebo. Obok wisiała reprodukcja przedstawiająca pole słoneczników.

- Oczywiście byłeś tam wczoraj? - zapytał. - Choćby koło domu?

- Kto tak powiedział?

Halders milczał.

- Ten stary dziad, tak?

Halders wzruszył ramionami.

- Jeanette przecież nic by nie powiedziała.

- Mattias, czemu o niej po prostu nie zapomnisz?

- Jak to: zapomnisz?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Już dawno to zrobiłem. Zapomniałem. o wszystkim.

- Na pewno?

- Odkąd zaczęliście mi zawracać głowę.

- To dlatego, że znowu coś się stało.

- Wiem, czytałem o tym. Ale nie rozumiem.

Zamilkł, kiedy Halders podsunął mu zdjęcie chłopaka.

Powiększone zdjęcie z zakończenia szkoły.

- Poznajesz go? - zapytał Halders.

- Nie - odparł Mattias po chwili. - Kto to?

- O tym nie czytałeś?

- Czy czytałem? Nie. O czym?

- To świadek, z którym bardzo chcemy się skontaktować.

Ale zaginął.

- Aha.

- Ostatnio dostaliśmy cynk, że mieszka tutaj.

- Tutaj? - Mattias rozejrzał się, jakby chłopak miał się nagle zjawić w pokoju.

- W tej okolicy.

- Ta okolica jest ogromna. Mieszkają tu setki tysięcy ludzi. Setki tysięcy idiotów.

Halders podał mu dokładny adres.

- To chyba po drugiej stronie Centrum Kultury?

Na ostatnim, czwartym piętrze drzwi otworzyła kobieta.

- Wydaje mi się, że mieszka pod nami - powiedziała, patrząc

na zdjęcie, które jej pokazał Winter. Identyczną odbitkę w tej samej chwili Halders pokazywał Mattiasowi, po drugiej stronie Centrum Kultury.

- Rozpoznaje go pani?

- Tak. Tak mi się wydaje. Na pewno spotkałam na klatce kogoś, kto tak wyglądał.

Zeszli piętro niżej.

- Widziałam, jak wchodzi tam. - Wskazała środkowe drzwi. Na piętrze było ich troje. - O, tu.

Na tabliczce widniało nazwisko Svensson.

Winter zadzwonił, ale nic nie usłyszał. Nikt nie otworzył. Zapukał dwa razy. Kobieta wciąż stała obok.

- W takim razie bardzo pani dziękujemy - powiedział, zwracając się do niej.

Wyglądała na zawiedzioną.

- Może jeszcze się do pani zgłosimy, jeśli będziemy potrzebować pomocy - pożegnał ją.

- Ach, no tak. Skoro tak. - odparła. Weszła po schodach, rozglądając się jeszcze dokoła.

Winter zapukał kolejny raz, nikt nie odpowiadał.

- Sprawdził go pan już? - zapytał Mattias.

- Co masz na myśli?

- Rozmawiał pan o tym z Jeanette?

- A ty?

- Ja nie muszę.

Halders nic nie powiedział.

- Po prostu musicie go jakoś dopaść.

- Niby jak?

- Musicie go śledzić.

- Śledzić?

- Chodźcie za nim i zorientujcie się, co ukrywa.

- Ty za nim chodziłeś?

Winter czekał przed blokiem. Wydawało mu się, że naprzeciwko, przy rządzie szeregowców, zobaczył faceta,



który nie przepada za czarnymi. Chyba mu się przyglądał z drugiej strony placu zabaw. W południe, w taki upał, nie było dzieci. We wszystkich mieszkaniach okna były otwarte na oścież, ale nie robiło to żadnej różnicy. Winterowi bardzo chciało się pić. Spojrzał na zegarek. Zjawił się Halders. Przeciął plac i podszedł do niego. Podał mu kubek coli.

- McDonald - wyjaśnił, popijając ze swojego.

- Ratujesz mi życie - podziękował Winter i jednym haustem wypił połowę.

- Nie przesadzaj. - Halders spojrzał na fasadę budynku. - Znalazłeś?

- Jakiejś kobiecie wydaje się, że widziała, jak chłopak wchodzi do mieszkania na trzecim piętrze.

- Wydaje jej się?

Winter wzruszył ramionami.

- To nam wystarczy? - zapytał Halders. - To w końcu ty prowadzisz to show.

Winter znów się napił.

- Tak - odpowiedział.

- No to teraz moja kolej. Dzwoniłeś do faceta z administracji?

- Już idzie. - Winter ruchem głowy wskazał na mężczyznę, który właśnie się do nich zbliżał.

W mieszkaniu czuć było stęchlizną. Gdybyśmy umieli oceniać wpływ czasu

na podstawie zapachu powietrza, wiele spraw wyglądałoby inaczej, pomyślał Winter. Na przykład: tutaj nie było nikogo od osiemnastego czerwca, wtedy zamknięto okna.

- Przytulnie - powiedział Halders, kiedy ostrożnie chodzili po mieszkaniu. Założyli ochraniacze na buty.

W jednym z dwóch pokoi, tym mniejszym, stało niepościelone łóżko. W drugim tylko niewielki stolik i coś na kształt fotela. W kuchni większy stół i dwa drewniane krzesła. To wszystko. Żadnych sprzętów, kwiatów, obrazów,

nic, co by nadawało mieszkaniu jakąś indywidualność. Żadnych zasłon, tylko zaciągnięte żaluzje.

W łazience też nic nie było - ani pasty, ani szczoteczki, ani szamponu.

- Nie masz co ze sobą zabrać tam, dokąd idziesz - powiedział Halders, rozglądając się. Jego głos rozniósł się echem po pustym pokoju. Winter widział krople potu na jego czole.

- W takim razie musimy znaleźć Svenssona - stwierdził Winter.

Halders się roześmiał.

- Patrząc na to wszystko, wyczuwam mieszkanie z siódmej ręki.

- Mimo wszystko musiał mieć umowę z prawdziwym właścicielem - odparł Winter. - A to pierwsze ogniwo łańcucha.

- Życzymy sobie szczęścia.

Kiedy wychodzili, Winter wszedł jeszcze piętro wyżej i zadzwonił do kobiety, z którą wcześniej rozmawiał. Kiedy otworzyła, wyglądała na mile zaskoczoną.

Pokazał jej jeszcze jedno zdjęcie. Kilka razy skinęła głową.

- Jestem pewna na sto procent - stwierdziła.

- Dziewczyna tu była - powiedział Winter, kiedy szli przez plac zabaw do samochodu. - Angelika Hansson. Sąsiadka widziała ją z tym chłopakiem.

- Wszystkowidząca sąsiadka.

- No.

- Niektórzy widzą więcej, niż można by się spodziewać - zauważył Halders.

- Myślę, że jest wiarygodna.

- A to znaczy, że dziewczyna tu była.

Stanęli przy samochodzie Wintera. Winter przyłożył rękę do karoserii. Nagrzana jak cholera.

- A on był na zdjęciu z zakończenia szkoły. Musieli się znać.

- Ale jej rodzice go nie rozpoznali.

- To akurat można wyjaśnić na różne sposoby.  
- Ale w tej sytuacji? Gdy szukamy mordercy ich córki?  
- Czasem ludzie zachowują się przedziwnie. - Winter kolejny raz dotknął karoserii. - Na ile da się to wyjaśnić? Ale tak naprawdę wyjaśnić?

- Dobra, jedziemy. Zabiorę się z tobą. Policjanci stąd przyprawdzą mi potem samochód do miasta.

Jechali przez tunel. Ruch w stronę morza był duży.

- Sprzedałem mieszkanie - powiedział Halders. - Przenoszę się do domu na dobre.

Rozdzwoniła się włożona w uchwyt przymocowany do deski rozdzielczej komórka Wintera. Winter odebrał, słuchał, podziękował komuś i odłożył telefon.

- Na umowie ze spółdzielnią widnieje nazwisko Svensson, ale podnajął komuś mieszkanie.

- Gdzie w takim razie mieszka?

- Ciąg dalszy nastąpi. Sara właśnie szuka podnajemcy.

- On mógł podnająć mieszkanie jeszcze komuś innemu.

- Czasem się trafi na jakieś znajome nazwisko.

Dojechali do ronda przy parku.

- Skracamy - powiedział Halders.

Winter zaparkował sto metrów dalej. Przeszli przez trawnik.

Od strony sadzawki czuć było lekki zapach wilgoci. W wodzie stało dużo ludzi. Sięgała im do ud. Inni szukali schronienia w cieniu, pod drzewami. Nie było tam chłodniej, ale drzewa zapewniały jakąś ochronę przed słońcem. Kilkoro dzieci czekało w kolejce przed obwoźną budką z lodami.

Taśmy ogradzające miejsce zbrodni zostały już zdjęte.

Wydaje mi się, jakby to było dawno temu, pomyślał Winter.

W innej epoce.

- Niewiele brakuje, żeby można było stąd zobaczyć miejsce, gdzie zamordowano Anne Nöjd - zauważył Halders.

Winter spojrział w tamtą stronę. Widok przesłaniały drzewa.

Ale to było tam. Wystarczy przejść przez trawnik, o ile się

chce.

- Analiza nagrania nie przyniosła jeszcze nic nowego? - zapytał Halders.

Winter potrząsnął głową i spojrzął w stronę szczeliny w skale. Wyglądała, jakby z niej wiało chłodem, w środku było ciemno. Zupełnie inny świat.

- Pewnego dnia zobaczymy go, jak idzie przez trawnik i staje przed tym pieprzonym kamieniem - powiedział Halders.

Winter milczał.

- A potem wyciągnie smycz i rozejrzy się za psem, którego tak naprawdę nie ma - ciągnął Halders.

Winter przymknął oczy. Halders zamilkł. Winter słyszał cichy odgłos dobiegający od strony sadzawki, jakby ktoś poruszał stopami w wodzie. Był cichy, ale był znakiem życia. Otworzył oczy i kolejny raz spojrzął na skałę i otaczające ją drzewa. To miejsce jest martwe, zawsze takie będzie. Już nigdy nie powinna na nim rosnąć trawa, na drzewach nie powinny wyrastać liście. Tylko kamień i mrok. W jego głowie rozbrzmiały głosy i jęki z nagrania. Wyparły wszystkie delikatniejsze odgłosy życia, które go otaczało i które powinno zostać w tym miejscu na zawsze.

## 27

WINTER JECHAŁ W STRONĘ CENTRUM. W tunelu nagromadziło się tyle spalin, że nie dało się oddychać. Halders zakasłał. Zabrał ze swojego samochodu płytę. Wsunął ją do odtwarzacza w aucie Wintera. Rozbrzmiała muzyka.

- To nowoczesne country - powiedział Halders. - Julie Miller.

- Smutne - odparł Winter. - *Out in the rain?*

- Dla ochłody.

Objechali kolejne rondo.

Co wie ten zaginiony chłopak? Czy wie dlaczego i jak?  
Kim jest?

Czy uduszono go, tak jak Angelikę Hansson i Anne Nöjd? I Beatrice Wägner? Nie można o niej zapominać.

O Jeanette Bielke też nie. Ani o jej ojcu.

Ani o matce.

- Jakie wrażenie zrobiła na tobie matka Jeanette Bielke? -  
zapytał Winter.

Halders znowu zakasłał.

- Właściwie to prawie żadnego nie zrobiła - odparł, kiedy przestał kaszleć.

- Przypomina cię. - Odchrząknął, otworzył okno i splunął. -  
Kiedy u nich byłem, nie pokazywała się za bardzo.

Stanęli na czerwonym świetle przed operą. Na przystani dla turystów żagle zwisały luźno z masztów. Opaleni ludzie siedzieli w stojkach kąpielowych w kawiarnianych ogródkach. Wszystko było niebieskie, białe, żółte, brązowe i ceglastoczerwone.

- Mamy dużo wskazówek - powiedział Winter.

- Faktycznie.

- Pora z nich wyciągnąć konkretne wnioski.

- O ile się nie okaże, że to fałszywy trop.

- Fałszywe tropy są po to, żeby nimi iść, dopóki się nie zabrniesz w ślepy zaułek.

Halders nie odpowiedział. Śledził wzrokiem dwie rodziny, które przechodziły przed nimi przez ulicę. Dwóch mężczyzn około trzydziestki, każdy z wózkiem z dzieckiem.

- To samo można powiedzieć właściwie o wszystkim -  
powiedział, kiedy ruszyli.

- Co? Że to fałszywy trop?

- No. większość spraw w życiu to fałszywe tropy. Trzeba nimi iść, a i tak najczęściej na końcu się okazuje, że to ślepy zaułek.

Winter się nie odzywał. Widocznie po śmierci Margarety

Halders nie zmienił poglądów na życie.

Było to jednak również swoiste podsumowanie ich zawodu. Fałszywe tropy. Ślepe zaułki. Raz za razem. W końcu zaczyna brakować zaułków, w które można by wejść. Ale jeśli się ciężko pracuje, powinien się znaleźć ten jeden, ostatni trop, którym można pójść i który prowadzi dalej. Właśnie takiego tropu szukali cały czas. Na tym polegała ich praca. Tropić ślad choćby do samego piekła, jeśli tam jest odpowiedź. Nie na wszystko, oczywiście, bo taka nie istnieje, pomyślał Winter. Rzadko znajduje się wyjaśnienie. Bo też rzadko daje się wyjaśnić ludzkie sekrety. Komu się udało zrozumieć życie? Przecież w gruncie rzeczy nie da się go w żaden sposób podsumować. Kończy się, ot tak, dla wielu za wcześnie, znika niczym słońce nagle zepchnięte z nieba.

Kiedy Winter przyszedł porozmawiać z Yngvessonem, ten akurat pracował w studiu. Było to niewielkie pomieszczenie w większym pokoju. Na jednym z monitorów widać było zygzakowaną linię. Przypominała zapis EKG.

- Niezbyt miło się tego słucha - powiedział Yngvesson, odwracając się na krzesło.

- A co takiego słyszysz?

- Na przykład ten specyficzny odgłos zaciskania pętli na szyi.

- Co powiedziała przed tym?

Yngvesson odwrócił się z powrotem do pulpitu, zaskakująco małego.

- Słyszać głównie walkę. Pojękiwanie. Żadnego wołania o pomoc, ale może wołała wcześniej.

- Walkę? Myślisz, że można mieć wątpliwości co do tego, jaki będzie jej wynik?

- A jak sądzisz? Na podstawie tego, co słyszałeś?

- Nie można.

- Nie można - powtórzył Yngvesson. - Ale podczas gwałtu często się zdarza, że ofiara przez chwilę sądzi, że uda jej się uciec. Uwolnić się. Wiele ofiar o tym wspomina. Jakby

istniała jakaś przerwa w walce. Albo w ataku. Chwila, w której sprawca się waha albo przynajmniej sprawia takie wrażenie.

- Wtedy, gdy prosi o wybaczenie? - zapytał Winter.

- Nie, nie wtedy. To potem - odparł Yngvesson. - O ile w ogóle.

- Co w takim razie tu słyszysz?

- Nie słyszę żadnego wahania. Żadnego.

W studiu zapadła cisza. Winter nie słyszał ani jednego dźwięku z zewnątrz.

- Zastanawiam się, czy go znała - powiedział wreszcie Winter.

- Jak to?

- Czy da się usłyszeć cokolwiek, co by świadczyło o tym, że go rozpoznała. Że go znała.

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć. W każdym razie jeszcze nie teraz. - Kolejny raz spojrzął na Wintera. - W tej kwestii musicie polegać raczej na własnej żmudnej robocie. I na dokładnym odpytywaniu jej znajomych.

- Tak, tak.

- Mogę ci za to powiedzieć, że tutaj, w tym momencie, on coś do niej mówi.

- Da się to jakoś zrozumieć?

- Może uda się to wyodrębnić z tego fragmentu, kiedy zapis jest najwyraźniejszy.

- Czyli?

- Wtedy, kiedy oboje są blisko torebki. Wtedy dźwięk jest najlepszy.

- I on coś do niej mówi?

- Albo do siebie. Chcesz posłuchać?

Winter przytaknął i usiadł przed największym komputerem. Z głośników rozległ się dźwięk. To nie żaden black metal, pomyślał Winter. To się dzieje naprawdę.

NIHHHDYWYYSSYYJ...

ANIHHDYWYSSYYJ...

Winter spojrzął na Yngvessona. Widział jego profil i skupiony, spokojny, profesjonalny wyraz twarzy. Bóg jeden wie, o czym myślał.

- Może wymawia jej imię - powiedział Yngvesson, nie odwracając się. - Miała na imię Anne. ANIH... to może być jej imię.

Winter słuchał.

- Da się to jakoś wyostrzyć?

- Spróbuję, spróbuję, ale jeszcze nie teraz. Popracuję jeszcze nad tym głośnym dźwiękiem, spróbuję go trochę obniżyć. W tle słyhać mnóstwo odgłosów, które trzeba wyczyścić.

- Na przykład co?

- Różne szmery. Wiatr prawdopodobnie. Ruch uliczny.

- Ruch uliczny?

- Tak. Przejeżdża samochód. Może trzydzieści, może pięćdziesiąt metrów dalej.

- Ale to jest kilkaset metrów od drogi.

- Z tego nagrania wynika co innego. Myślę, że to samochód i że jest tak blisko, jak mówiłem.

- Właściwie da się przejechać samochodem ścieżką rowerową. Jest obok.

- No widzisz.

- Więc możliwe, że przejechał tamtędy samochód, kiedy to się działo?

- Na to wygląda.

- W takim razie powinni byli zauważyć leżący na ziemi rower.

- Ludzie mają gdzieś takie rzeczy.

- Ktoś z samochodu powinien był widzieć, że coś się dzieje.

- No to musisz poszukać jeszcze tego świadka.

- Da się usłyszeć, jaka to marka?

- Jasne - powiedział sucho Yngvesson. - Poczekaj, za sekundę komputer poda nam też numer rejestracyjny. -



Puścił ten fragment jeszcze raz.

- O, tu. - Przewinał i włączył ponownie. - Tu. To coś jakby zdanie. Wreszcie kilka słów wypowiedzianych z rzędu, nie tylko charkot upośledzonego.

Winter słyszał właśnie charkot. Za każdym razem coraz mniej wyraźny. Jak na *snuff movie*, w którym ludzie giną naprawdę. To było *snuff movie*. Prawdziwe morderstwo.

- Cholera, muszę to wyodrębnić - powiedział Yngvesson.

- A słyhać chociaż, czy jest młody, czy stary?

- Nie wszystko naraz.

- Da się to usłyszeć?

Yngvesson ledwo zauważalnie wzruszył ramionami, znów pochłonięty pracą.

Ringmar miał przynieść kawę. Wymamrotał coś i ruszył w stronę uchylonych do połowy drzwi na korytarz.

- Przecież to twoja kolej! - krzyknął za nim Winter.

Ringmar wrócił, ale bez mleka. Musiał iść jeszcze raz. Winter palił przy oknie. Mercatory to nie to samo co corpsy. Można je było jakoś sprowadzić z Belgii, choćby prosząc kogoś z wielu pracowników głównej siedziby UE kursujących pomiędzy Szwecją i Brukselą.

Po rzece przepłynął kajak. Winter zobaczył na wodzie kręgi od wiosła. To był jedyny ruch, jaki tego popołudnia widział za oknem. Żadnych samochodów, tramwajów, samolotów, pieszych. Żadnych odgłosów, żadnego wiatru, zapachu. Tylko kręgi na wodzie poruszonej przez wiosłującego na wschód mężczyznę. Gdy tylko promieniom słońca udało się odnaleźć drogę między domami, wbiły się kajakarzowi w plecy niczym włócznia.

- W porządku? - zapytał Ringmar, stając za nim i stawiając na biurku kawę.

- Co sądzisz o tym, żeby załatwić cień dla króla barów Samica? - powiedział Winter, nie odwracając się. Zaciągnął się ostatni raz i odłożył peta do popielniczki na parapecie.

- Czemu nie - odparł Ringmar. - Jeśli przeprowadzimy to sprawnie.

- Myślałem o Sarze.

O Sarze Helander. Była jednym z nowych pracowników wydziału śledczego, inspektorem z widokami na awans i na świetlaną przyszłość. Jeszcze nie całkiem rozpoznawalna na mieście. Atrakcyjna, ale nierzucająca się w oczy. W tej robocie nikt nie powinien się rzucać w oczy, pomyślał Winter. No, może ja, ale te czasy już minęły.

Spojrzał na swoją koszulę khaki, szorty i żeglarskie buty założone na gołe stopy.

- Rozmawiałeś już z nią? - zapytał Ringmar.

- Tak. - Winter się odwrócił. - Wie tyle, ile my, i chce się tego podjąć.

- Od kiedy?

- Od zaraz - odpowiedział Winter, spoglądając na zegarek. - Właściwie to już.

- To po co mnie w ogóle pytasz?

Winter machnął ręką.

Ringmar napił się kawy.

- Działa sama?

- Na razie tak, potem zobaczymy.

- Daj jej kogoś jeszcze, Erik.

- Akurat teraz nikogo więcej nie mam.

- To kogoś załatw.

- Dobra, dobra.

- Jaki ma samochód?

- Twój - odparł Winter, a Ringmar zakrztusił się i parsknął kawą na biurko Wintera, akurat tam, gdzie nie leżały żadne dokumenty.

Jadąc do domu Jeanette Bielke, mijał długie, powyciągane cienie. Stare wille kryły się za żywopłotami, które powstrzymywały światło próbujące wedrzeć się na działki.

Na dużej werandzie nie było nikogo. Winter zaparkował pod

nią. Kiedy szedł od samochodu do schodów, zwir chrząścił mu pod butami.

Zanim doszedł do werandy, z drzwi po prawej wyszła Irma Bielke. Przez sekundę wydawało mu się, że jest podobna do kobiety ze zdjęcia z zakończenia szkoły Angeliki Hansson. Były w tym samym wieku. Spojrzał na nią jeszcze raz, ale podobieństwo zniknęło.

Miała pięćdziesiąt lat, ale wyglądała młodziej. Wcześniej wydawało mu się, że może być niemal jego rówieśnicą.

Nie zadzwonił do nich, po prostu przyjechał.

- Jeanette nie ma w domu - powiedziała. - Kurta też nie.
- Właściwie przyjechałem, żeby chwilę porozmawiać z panią.
- Ze mną? A o czym?
- Możemy usiąść?
- Właśnie wychodziłam.

Chyba tylko na werandę, pomyślał Winter. Tak jak wszyscy teraz miała na sobie strój, który można nosić zarówno w domu, jak i w mieście: koszulę czy bluzkę, szorty i wygodne buty włożone na gołe nogi.

W pokoju, za nią, paliła się świeca. Winter widział ją przez otwarte drzwi. Stała na wąskim stoliku pod oknem.

- Możecie, ot, tak sobie, nachodzić ludzi? - zapytała.
- Możemy usiąść na chwilę? - powtórzył Winter.
- Nie ma już o czym rozmawiać. Ani z Jeanette, ani z Kurtem, ani tym bardziej ze mną.
- Nie będę z panią o niczym rozmawiał, chciałem tylko zadać kilka pytań.
- Jakim cudem ma pan jeszcze jakieś pytania?
- To nie potrwa długo.

Wskazała na rattanowe meble stojące w głębi werandy.

- Tylko proszę już sobie darować gadanie, że to dla dobra Jeanette - powiedziała głosem, w którym nagle dało się słyszeć hardość. - I że tym łatwiej będzie złapać sprawcę, czy jak to się mówi, im szybciej my odpowiemy na wszystkie

pytania, które zadają nam wszyscy przychodzący tu ciągle ludzie.

Winter się nie odzywał. Usiadł. Stała w półcieniu, oparta o ścianę. Oczy miała całkiem matowe. Winter wstał. Czuł zapach drzew i suchej trawy. Świeca w pokoju zapłonęła mocniejszym płomieniem.

- A jak ona się teraz czuje?

- A niby jak ma się czuć?

Dobra, rozumiem, że uprzejmości odkładamy na bok.

- Nici ze studiów - ciągnęła Irma Bielke.

- Jak to?

- Papiery były już złożone, chciała kontynuować naukę, ale teraz stwierdziła, że rezygnuje.

- A co chce robić?

- Nic. Tak sądzę.

- Chce gdzieś pracować?

- Powiedziałam przecież: nic nie chce robić.

Usiadła i popatrzyła na niego.

- A mnie pan nie zapyta, jak się z tym czuję?

- Jak się pani z tym czuje?

Odwróciła wzrok w stronę pokoju, w którym paliła się świeca.

- Na tym świat się nie kończy. Są gorsze rzeczy. - Spojrzała na Wintera, który właśnie usiadł. - Nie zapyta pan jakie?

- Jakie gorsze rzeczy?

- Na przykład AIDS. Wczoraj dostaliśmy ostatnie wyniki.

Winter czekał.

- Są negatywne. Dzięki Bogu. Jeszcze nigdy negatywny wynik nie wzbudził we mnie tylu pozytywnych uczuć. - Winterowi wydało się, że się zaśmiała. - Wybrał pan dobry moment na kolejną wizytę. Znow jesteśmy szczęśliwi.

Przeniosła się z powrotem pod ścianę, w półcień. Winter zastanawiał się, co powiedzieć.

- A gdzie teraz jest Jeanette?

- Poszła nad wodę, z koleżanką. Pierwszy raz. odkąd to się stało.

- A pani mąż?

- Kurt? Dlaczego pan pyta?

Winter nie odpowiedział.

- Dlaczego pan o niego pyta? - powtórzyła.

To jest ta chwila, pomyślał Winter. Świeczka w pokoju nagle zgasła. Coraz wyraźniej czuć było zapach morza.

## 28

NIE SPOJRZAŁA NA NIEGO, wpatrywała się w coś w ogrodzie. Słyszał, jak wiatr porusza koronami drzew. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

- Nie wiem, gdzie on jest. - Chyba znów się zaśmiała. A może to nie był śmiech. - Rzadko kiedy wiem.

- Jest z Jeanette?

- Nie wydaje mi się.

Wstała.

- Czy to już koniec?

- Niezupełnie.

- Nie mam już ochoty z panem rozmawiać.

- Kiedy ostatnio był tu Mattias?

Zamarła w pół kroku. Jak na zatrzymanym filmie, pomyślał Winter. Tylko ostrość jest lepsza.

- Słucham?

- Mattias. Ostatnio najwyraźniej trudno mu było trzymać się z dala.

- Mówi pan o byłym chłopaku Jeanette?

- A zna pani jeszcze jakiegoś Mattiasa?

- Nie.

- Mówię o jej chłopaku.

- Zapomniałam już, o co pan pytał.

- Kiedy był tu ostatnio? Do czegoś między wami doszło?

- A jakie to ma znaczenie? - Wyglądała na zaskoczoną, taki miała wyraz twarzy. - Czy to ważne? Teraz?

- Nie rozumie pani?

- Nie.

- Nigdy pani o tym nie myślała?

Zastanowiła się chwilę.

- Mattias? Nie. To niemożliwe.

Winter nie odpowiedział. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba w to nie wierzycie? Że Mattias, że zrobiliby Jea nette coś takiego?

Nie, pomyślał Winter. On nie. Ale nie powiedział tego na głos.

Zapytał za to o przejeżdżający ulicą samochód. Usłyszeli go.

- To nie pani mąż wraca do domu?

- Samochód na pewno jest jego - powiedziała i znów spojrzała gdzieś w bok.

Drzwi się otworzyły, potem trzasnęły. Najpierw na żwirze, potem na schodach rozległy się kroki. Wreszcie usłyszeli głos:

- Co on tu znowu robi?

Winter się odwrócił. Kurt Bielke stał na najwyższym stopniu. Miał na sobie białą koszulę, szare spodnie od garnituru i czarne mokasyny. Na twarzy krople potu. Podeszedł bliżej. Winter wyczuł w jego oddechu zapach alkoholu. Musiał sobie z tego zdawać sprawę, ale nie obchodziło go to.

- Nie można się odwrócić, żeby pan albo jakiś inny glin. policjant nie zjawił się tu znowu. - Zrobił krok w przód, zachwiał się na ułamek sekundy, zrobił kolejny krok i popatrzył na żonę.

- Co mówił?

Nie odpowiedziała.

Bielke spojrzał na Wintera.

- Co mówiła? - zapytał.

- Gdzie jest Jeanette? - odparł Winter.

Bielke odwrócił się do żony.

- Możesz przynieść piwo?

Irma Bielke popatrzyła na Wintera.

- Chodziło mi o jedno piwo - powiedział Bielke, ruchem głowy wskazując na Wintera. - Pan komisarz nie będzie pił. Musi wrócić samochodem, a nie można prowadzić po piwie. Tylko spokojnie, pomyślał Winter. To ważna chwila. Może mi coś powiedzieć. O nim i o jego żonie. Może też o Jeanette. Irma Bielke nie ruszyła się z miejsca.

- Mam iść sam? - zapytał Bielke, po czym uśmiechnął się i uśmiechnięty odwrócił się do Wintera. Zapalił lampę wiszącą na ścianie werandy. W świetle jego twarz wydawała się biała. Skinął głową i popatrzył na Wintera z uniesionymi brwiami, po czym zaśmiał się, jakby usłyszał jakiś dowcip.

Tego samego ciepłego wieczoru Sara Helander wybrała się na spacer. Na stopniach prowadzących do kanału siedziały dwie przytulone pary. Księżyc odbijał się w wodzie, rozcinając ją niczym złota wstęga. Sylwetki domów rysowały się wyraźnie na tle nieba, jakby naszkicowane węglem. Przecięła jedną z ulic w okolicy portu. W powietrzu przemykały różne zapachy. Jakaś taksówka sunęła wolno na południe, podświetlona tablica zostawiała za sobą cienką smugę światła. W ogródkach kawiarnianych było pełno ludzi. Dobiegał ją brzęk szklanek i naczyń oraz głosy zlewające się w ten szczególnie pomieszany język, jaki się słyszy w kawiarnianych ogródkach całego świata.

Samochody miały wejście do restauracji z dansingiem. Nawet tu rozstawiono ogródek, choć nikt w nim nie tańczył. Wszystkie stoliki były zajęte. Usiadła przy barze i zamówiła wodę mineralną z cytryną.

- Mogę zaoferować drinka? - zapytał siedzący obok mężczyzna. Szklanka z wodą stała przed nią na barze.

Podziękowała uprzejmie i napiła się łąpczywie. Wzięła kolejny łyk. Poczowała, że po jeździe samochodem i po spacerze

z parkingu chce jej się pić.

Mężczyzna przyglądał się jej. Był w jej wieku, około trzydziestki. Nawet niczego sobie. Ale nie przysłała tu dla zabawy.

- Nie pij za szybko- powiedział. - Efekt jest dopiero po chwili.

- To woda mineralna - odparła.

- Trzeba uważać na lód.

- Właśnie dlatego wzięłam bez.

- Ale za ciepłe też nie powinno być. - Uśmiechnął się.

- Chyba nieważne, co powiem, co?

- Nie.

- Przepra.

- Tak, tak, mam siedzieć cicho. - Posłał jej trzeci już uśmiech, po czym skinął na barmana i zamówił kolejne piwo. Spojrzał na jej szklankę. Pokręciła głową. - Jesteś pewna?

- Więc jednak nie będziesz siedział cicho? - Napila się. - Dobrze, poproszę jeszcze jedną wodę. Zimną, ale bez lodu.

- Wstrząśnięta czy zmieszana? - zapytał mężczyzna. Barman czekał. Wyglądał na rozbawionego.

Sara Helander spojrzała w stronę wejścia. Stał tam Johan Samic, rozmawiał z parą, która właśnie weszła. Podtrzymywała rozmowę z facetem przy barze, ale cały czas robiła, co do niej należało. Może to lepiej, że siedzi z tym facetem, jakby z nim przysłała.

Johan Samic rozejrzał się, taksował wzrokiem gości. Na chodniku stała kolejka. Za pięć jedenasta.

Z lokalu dobiegała muzyka. Muzyka do tańca. Taniec w parze to ostatnia rzecz, na jaką miałabym teraz ochotę, pomyślała.

Mężczyzna dostał piwo. Nagle muzyka zabrzmiała głośniej.

- Tańczysz? - zapytał.

- Nie, siedzę na stolku.

Wypił porządny łyk piwa. Chyba widziała na jego twarzy zakłopotanie. Nie musisz być taką suką, Sara, pomyślała.

- Muzyka nie do końca mi odpowiada - powiedziała.



- Mnie też nie - odparł. - Wolę rocka.

Pokiwała głową.

- Ale zapomniałem o drinku dla ciebie. - Wziął szklankę, z której jeszcze nie zdążyła się napić, podniósł ją. - Wstrząśnięta czy zmieszana?

- Wstrząśnięta - odpowiedziała. Widziała, jak Johan Samic staje w drzwiach z rękoma za plecami. Facet siedzący obok lekko wstrząsnął jej szklanką i odstawił ją z powrotem.

- Może się przedstawię. - Wyciągnął rękę. - Martin Petrén.

Odruchowo ucisnęła jego dłoń, ale nie wyglądała na skupioną: Samic właśnie zaczął kluczyć między stolikami. Może chciał wyjść.

- Jak masz na imię?

- Co?

Samic zawrócił i ruszył z powrotem do środka.

- Właśnie ci się przedstawiłem.

- Ach, no tak. S. Susanne Hellberg.

- No to na zdrowie, Susanne.

Podniósł szklankę. Pomyślała, że chyba powinna zrobić to samo. Był sympatyczny, a przy tym trzeźwy. Może następnym razem, kiedy nie będzie na służ.

- O, cześć!

Poczuła klepięcie w ramię i upuściła szklankę, którą właśnie podnosiła do ust. Jakaś ręka wysunęła się z za jej pleców i złapała ją, zanim zdążyła się roztrzaskać na ladzie albo na podłodze.

Nie zauważyła Bergehema, kiedy przysła. Niezły jest, pomyślała.

- No cześć - powtórzył, wciąż ze szklanką w dłoni. - Wygląda na to, że cię zaskoczyłem - powiedział bez uśmiechu.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Martin Petrén, odstawił piwo i zaczął schodzić ze stołka.

- Nie zapłaczisz? - powiedział do niego Bergehema.

- Co?

- Trzymaj to, tylko nie pij, do cholery - powiedział Berghem do Sary, podając jej szklankę. Potem zwrócił się do mężczyzny. Oni też byli w tym samym wieku. Widocznie tego czarodziejskiego wieczoru wszyscy mieli po trzydzieści lat.

- Widziałem, co zrobiłeś - wycedził Berghem. - Jestem z policji. Mam przy sobie odznakę, możesz być pewny. Obiecuję, że potem pokażę. Możemy sobie spokojnie wyjść i obgadać sprawę gdzie indziej. Może taka oferta to błąd.

Ale umówmy się, że nikt nikogo nie zaskoczy.

Mężczyzna rozejrzał się.

- Nie wiem, o czym gadasz - wysyczał.

- W jej szklance jest rozpuszczona tabletki. Widziałem, jak ją wrzucałeś. Może w kieszeni masz więcej, może nie. Idziemy?

Mężczyzna się nie ruszał. Berghem pochylił się w jego stronę i powiedział jeszcze niższym głosem: - Idziemy?

- Au, co, do chole.

- Wychodzę, a ty masz zrobić to samo.

Sara Helander zobaczyła, że mężczyzna wstaje. Nie usłyszała wszystkiego, co mówił Berghem. Nie słyszała też żadnej odpowiedzi. Ale zrozumiała.

- Zapłać za was dwoje - powiedział Berghem. - Potem podejdź do swojego samochodu, ale bez pośpiechu. - Spojrzał na szklankę, którą wciąż trzymała w ręku. - I weź ze sobą szklankę, ale nie pij.

- Załapałam - odparła cicho. - Masz mnie za kompletną idiotkę?

- To zabieramy się stąd - powiedział Berghem.

Wyszli. Wyglądali jak dwójka znajomych: jeden w przyjacielskim geście położył rękę na ramieniu drugiego. Albo jak dwóch przystojnych gejów, pomyślała Sara Helander. Zapłaciła. Zapytała, czy za dodatkową opłatą będzie mogła zabrać szklankę. Wyjaśniła, że chciałyby się

przejść nad rzekę i tam dopić wodę z cytryną. Barman wzruszył ramionami. Nie chciał pieniędzy za szklanę. Powiedział, że i tak już za nią zapłaciła.

Bergnhem czekał na parkingu. Niezbyt daleko.

- Gdzie on jest? - zapytała.

- Daj mi szklanę - powiedział Bergnhem. Włożył ją w uchwyt i przykrył.

- Gdzie ten skurwiel?

- Od razu go zgarnął radiowóz.

- Cholera, Lars, jesteś pewien?

- Tak, chociaż nie co do tego, co to jest. Raczej nie witaminy.

- Pigułka gwałtu.

- Najprawdopodobniej. Może amfa. albo heroina. zobaczymy

- powiedział, ruchem głowy wskazując szklanę.

- Nie nadaję się nawet do wypisywania mandatów za niewłaściwe parkowanie.

- To naprawdę niebezpieczna robota.

- No co ty? Ta akcja to jakaś katastrofa. Jestem idiotką do sześcianu.

- Przeciwnie. Wspólnymi siłami wykryliśmy jedną z najgorszych społecznych szumowin gotową do trucia kolejnych osób. Złapaliśmy tę świnię w pułapkę, z której nie uda mu się wywinąć.

Sara spojrzała na Bergnhem.

- Czy tak właśnie sformułujesz to w raporcie?

- No jasne.

- Lars, jesteś aniołem.

- Możesz mi kiedyś postawić drinka.

- Kiedy tylko będziesz chciał.

- Tylko uważaj, kiedy ktoś będzie chciał postawić tobie.

- Już nigdy nie.

- W takim razie możemy wracać do roboty. - Bergnhem postukał palcami w szklanę. - Ja muszę zawieźć ten szajs.

- Myślisz, że mogę tam wrócić?

- Nikt nic nie widział.
  - Jesteś pewien? Na stówę?
  - Przecież jesteśmy profesjonalistami.
  - Ty na pewno.
  - My jesteśmy. A teraz wracaj.
- Za barem stał ten sam barman.
- I jak tam księżyc? - zapytał.
  - Cudowny.
  - Jeszcze raz woda mineralna?
  - Tak, poproszę.
  - Coś do jedzenia?
  - Nie, na razie dziękuję.

Minęło pół godziny. Schodziło się coraz więcej ludzi. Sara stała ściśnięta przy barze, odrzucała kolejne propozycje i nic już nie piła. Zjawił się inny barman. Nie miał czasu, żeby zwracać uwagę na stałych gości.

Sara stanęła trochę z boku. Znów zobaczyła Samica. Teraz miał na sobie elegancką, jasną letnią marynarkę. Minął stoliki i wyszedł na ulicę. Jeśli wsiadł do samochodu, to trudno. Dziś nie mieli zamiaru za nim jeździć.

Szedł sam, na północ, w stronę przystani. Sara ledwo go widziała w tłumie ludzi kręcących się między rzeką a centrum.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w prawo, do przystani. Reflektory z budynku Opery rzucały światło na wodę. Wokół półkolem ciągnęły się restauracje, wszystkie przepełnione.

Sara dostrzegła go na drugim brzegu. Stał bez ruchu, jakby się nad czymś zastanawiał, tuż przed stoiskiem z naleśnikami, które właśnie zamykano na noc. Było w pół do drugiej. Nagle stanęła przed nim jakaś kobieta. Zaczęli rozmawiać. Sara nie mogła z tej odległości dostrzec jej twarzy. Po pięciu minutach przeszli razem na drugi koniec przystani. Sara szybkim krokiem ruszyła wzdłuż wody. Nie

spuszczając ich z oczu. Udawało jej się to tylko dlatego, że kawiarnie i restauracje zaczęto już zamykać, ludzi było mniej.

Zobaczyła, jak skręcają na pomoście. Dzielilo ją od nich trzydzieści metrów. Przystanęła i zaczęła się zastanawiać. Między nią a rogiem pomostu nie było nikogo. Zrobiła jeszcze parę kroków w przód. Z jakiejś restauracji dobiegała muzyka. Nie słyszała silnika, ale zza pomostu wypłynęła motorówka. Przecięła rzekę i popłynęła na północ. Była średniej wielkości, mogła być biała, beżowa, błękitna albo żółta, ale teraz, w nocnym świetle, wyglądała na pomarańczowo-czarną. Za sterem stał Samic. Nie oglądał się za siebie. Kobieta stała obok, jej włosy rozwiewał wiatr.

Kiedy Lars Olof i Ann Hansson wcześniej rano wrócili do domu po nocy spędzonej u znajomych na wyspie, zauważyli, że coś jest nie tak. W holu jeszcze było czuć chłodny zapach nocy.

Okno w pokoju Angeliki było wyłamane i na wpół otwarte. Po podłodze walały się papiery, ubrania i potłuczone szkło. Z biurka powyciągano szuflady. Szafa otwarta na oścież, w środku skotłowane ubrania Angeliki. Pościel zrzucana, materac odwrócony do góry nogami.

Ann Hansson się załamała. Jej mąż zadzwonił po Wintera. Winter stał w pokoju obok Ringmara. Zauważył, że świeże kwiaty, które stały w wazonie na komodzie, rozrzucano półkolem.

- Ktoś tu czego szukał - powiedział Ringmar.

- Potrafisz powiedzieć czego?

- Zdjęcia.

Winter pokiwał głową.

- Nie wysiłał się, żeby wszystko z powrotem poukładać.

- Wie, czego szukamy.

- To mógł być zwykły złodziej.

- Tu stoi telewizor - zauważył Winter. - Tam, na stoliku

nocnym, telefon.

- Zrobił gest w stronę komody. - A jej biżuteria wciąż jest w najwyższej szufladzie.
- Możemy tylko ustąpić miejsca chłopakom od Beiera.
- Oni też nic nie znajdują - stwierdził Winter.

## 29

WINTER PRÓBOWAŁ COŚ WYCZYTAĆ z twarzy Andy'ego. Przypominało to trochę odszyfrowywanie mapy dojazdu wskazującej kilka kierunków naraz.

- Po której stronie rzeki? - zapytał Winter.
- Nie bardzo rozumiem.
- Tam właśnie jest klub, tak? W którym czasami bywała Anne? - Widział w jego twarzy, że nic mu do tego, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą.
- Zapewniam cię, że to ma wiele wspólnego ze sprawą.
- Co?
- Nie rozumiesz, że to się bardzo mocno łączy z jej śmiercią? Ty głupi gówniarzu.

Ringmar wiedział, co Winter myśli. Jego twarz również przypominała mapę.

Winter rozłożył zdjęcia na stole. Andy dostał dużo czasu do namysłu.

- Nie znam żadnej z nich - stwierdził.
- Obie nie żyją - odparł Winter.

Andy milczał.

- Zginęły tak samo jak Anne.

Teraz wyraz jego twarzy się zmienił.

Czy to on? Czy to Andy?

Czemu miał wątpliwości?

- I tak ich nie rozpoznaję - powiedział.
- A coś innego rozpoznajesz?

Andy spojrział na Wintera.

- Jak to?
- Tło. To wewnątrz na zdjęciu.
- Nie.
- Zastanów się dobrze.
- Nie rozpoznaję go.

Winter siedział bez słowa. Słyszał ciche odgłosy lata. Siedzieli w pokoju przesłuchań, w którym brakowało tego wszystkiego, co można było znaleźć na zewnątrz. Nie było kolorów. Dźwięki były stłumione, przepuszczone przez klimatyzację zlewały się w niewyraźny szum.

Poszukał ręką paczki cygaretek w kieszeni koszuli. Na twarzy Andy'ego dostrzegł krople potu, chociaż w pokoju było chłodno.

Może to właśnie ta chwila, pomyślał.

- Nie rozpoznaję tego miejsca - powtórzył Andy. A potem dodał: - Nigdy tam nie byłem.

Winter trzymał paczkę w dłoni zawieszanej w pół drogi między ustami a kieszenią koszuli.

- Proszę?
- Nigdy tam nie byłem.
- Gdzie?
- Tam - powiedział Andy, machając ręką w stronę leżących na stole zdjęć.
- Gdzie to jest, Andy?
- Tam, gdzie chodziły.
- One?
- No tak, one. Nie ma ich tam więcej?

Winter czekał. Gdzieś na tylnym dziedzińcu ktoś odpalił radiowóz, słysząc go było aż tutaj. Hałasował bardziej niż zazwyczaj. A może tak jak zwykle, tylko tak to brzmiało w rozrzedzonym od gorąca powietrzu.

- Andy, ty wiesz, gdzie to jest.

Chłopak nie odpowiadał.

- Gdzie to jest?

Andy spojrział na Wintera. Twarz miał już inną, zupełnie inną.

- A jakie to ma znaczenie?
- Nie rozumiesz?
- Myślę tylko o. o niej.

Winter pokiwał głową.

- Rozumie pan?
- Możesz jej teraz pomóc - powiedział mu Winter.
- Przecież to było tylko tak. całkiem niewinne - zaczął Andy.
- Co było niewinne?
- Taniec.
- Taniec - powtórzył Winter, jakby całe popołudnie czekał właśnie na to słowo. Jakby wszystko prowadziło do tego. Taniec.

Taniec przed mordercą?

- Opowiedz o tym - poprosił.
- To była tylko taka dodatkowa praca.
- No to opowiedz o tej dodatkowej pracy.
- Nie wiem dokładnie, gdzie to było.
- Powiedz tylko o tańcu.
- Trochę striptizu - odparł Andy. - Nic takiego.
- Trochę striptizu?

Andy przytaknął.

- Była striptizerką? O to ci chodzi?
- Tak. Tak przynajmniej mi powiedziała.

Winter wciąż wpatrywał się w jego oczy. Dlaczego nic nie powiedział od razu? Od pierwszej chwili wiedział, co się przytrafiło Anne. Świat by się nie zawalił od tego, że tańczyła nago, choćby przed facetami takimi jak. jak on, takimi, którzy mają już czterdzieści jeden lat i zbliżają się do czterdziestu dwóch. Może to nie jest najbardziej godna polecenia praca na wakacje, ale też nie skazuje od razu na wieczne potępienie.

Ale mogła skazać na śmierć. Tak było w przypadku Anne



Nöjd. A co z innymi? Czy one też były striptizerkami? Wintera nie zszokowało to, że dziewczyny koło dwudziestki dorabiają w klubach ze striptizem w centrum. To nie była żadna nowość. Wręcz przeciwnie: zaczynało go to już męczyć. Ale bardziej męczyła go prostytutka szerząca się wśród młodych dziewczyn. Nie tak bardzo ta uprawiana w klubach, gdzie ktoś jednak nad nimi czuwał, jak ta w sieci. W Internecie, który miał dostarczać ludzkości rozrywki i ważnych, i korzystnych ze społecznego punktu widzenia informacji.

Już na początku dochodzenia wstępny zarządził kontrolę w obskurnych lokalach przy przecnicach Långgatorna i dalej na wschód, wzdłuż torów. Wydawało im się, że dość dobrze wiedzą, co się tam dzieje, i że znają pracujące tam dziewczyny. Niektóre dopiero co skończyły pierwszą klasę liceum. Spojrzał na zdjęcie Angeliki i Beatrice. Czy to tam? Czy to tam, za ścianą stylizowaną na mur, poruszały się w rytm rozbrzmiewającej w tle ciężkiej muzyki disco?

Zastanawiał się. Nagle dotarło do niego coś jeszcze. Coś zupełnie nowego. To nie był klub ani restauracja, lokal ze striptizem ani bar. To nie był żaden nielegalny interes.

To był dom.

To było w czymś domu.

A to by oznaczało, że muszą szukać czego innego - czegoś nowego, czego się nie da znaleźć.

Przecież to mogło być u kogokolwiek. U któregoś z tych facetów.

- Mówiłeś, że nie wiesz dokładnie, gdzie to jest - zwrócił się do Andy'ego.

- No tak.

- A mniej więcej?

- Wiem, w której części miasta.

Powiedział. Zupełnie gdzie indziej, niż Winter się spodziewał. Nie tam, gdzie próbował znaleźć wspólny punkt. Nie tam,

gdzie zaczynały się ślady. W zupełnie innej części miasta. Po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy mieszkaniowej. Trzeba było minąć wzgórze, wiadukty, przejechać pod autostradami. W porównaniu z kwartałem w Nordstan, który wcześniej wytypował, ten obszar był ogromny. Jeśli mógł wierzyć Andy'emu. Już postanowił, że go zatrzymają na kolejne sześć godzin. Andy nie uważał, żeby od razu albo potem musiał zadzwonić do adwokata. Zresztą to, co uważał, nie miało teraz znaczenia.

- Nigdy tam nie poszedłeś z Anne? - zapytał Winter.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie chciała.

- Tylko dlatego?

Andy pokiwał głową.

- No i to nie było zbyt często.

- Co nie było zbyt często?

- Niezbyt często tam tańczyła.

- Robiła tam coś jeszcze? Czy tylko tańczyła?

- Co. co pan ma na myśli?

- Zastanawiam się, Andy, dlaczego tak długo zwlekałeś z powiedzeniem

nam o tym.

- To nie było aż tak długo.

- Może wiesz jeszcze coś, ale nam o tym nie mówisz.

- Wiem? Co niby miałbym wiedzieć?

Winter nie odpowiedział.

- Nic więcej nie wiem.

- Może wiesz coś o pozostałych dziewczynach.

- Nigdy ich nie spotkałem.

- Może wiesz, gdzie to jest.

- Mówiłem już, że nie wiem.

- Dlaczego ci nie powiedziała, gdzie pracuje?

- A po co miała mi to mówić?

- Nigdy się nie bała?
- Czy nigdy się nie bała?

\*

- Na razie olewamy Samica - powiedział Ringmar. - Zresztą nie sądzę, żeby mógł nas doprowadzić do celu.
- Dobra, możemy go sobie odpuścić - odparł Winter. - Pogadasz z Sarą?
- Już to zrobiłem. Tak wstępnie. Nie wyglądała na zadowoloną.
- W takim razie dajmy jej jeszcze jeden wieczór.
- To rozkaz?
- Nie.
- A Birgersson się zgodzi?
- Nie sądzę.
- No właśnie.
- Nie nasza sprawa, co Sara robi w wolnym czasie.
- Chcesz wykorzystywać podwładnych do stawiania oporu?
- Oczywiście.

Ringmar przeciągnął dłonią po twarzy. Był tylko odrobinę opalony. Widać było, że pracował, i to nie w terenie, że siedział zgarbiony nad bazami danych i wydrukami.

- Ale prawda jest taka, że Samic aż nadto zasłużył na to, żebyśmy go śledzili, na proces i na wyrok. - Ringmar podrapał się po dwudniowym zarostcie. Dwa dni dzieliły go od urlopu. Na urlopie też nie miał zamiaru się golić. - To nieprzyjemny typ.
- Ha, ha.
- Co?
- Mamy tu ściągać ludzi za to, że są nieprzyjemni?

Ringmar znów podrapał się po brodzie. Przygotowywał się do urlopu. Pewnie kiedy tylko wyjdzie z komendy, z nieba lunie deszcz. Ale nie byłoby to nic złego. Ziemia jest wysuszona.

- Akurat teraz lepszym kandydatem byłby Kurt Bielke.
- Dlaczego? - Winter właściwie sam mógłby sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale chciał poznać opinię Ringmara. - Co takiego zrobił?
- Nic.
- No to czemu łączysz gwałt na jego córce z wsadzaniem nieprzyjemnych typów?
- Poważne podejrzenie.
- Masz jakieś dowody?
- Żadnych.
- Poszlaki?
- Żadnych.
- No tak, to wygląda na świetny punkt wyjścia.
- Erik, czy on mógł zgwałcić własną córkę?

Winter znów zapalił. Już ósmą tego dnia. Zapach cygaretki przyjemnie współgrał z atmosferą wieczoru. Przyjemnie też się słuchało odgłosów dobiegających zza okna. Przyćmione światła miękko, przyjemnie dla oka łączyły się z niebieskawym zmierzchem. Winter widział też dwie pary przechodzące przez most - one również sprawiały przyjemne wrażenie. Nawet spokojny nurt rzeki był na swój sposób przyjemny.

Ale pytanie Ringmara nie było ani trochę. Jego własne myśli sprzed pięciu minut też nie. Nic z tego, o czym mówili i nad czym musieli pracować, nie było. Jeśli istniało absolutne przeciwieństwo słowa przyjemny, to właśnie, przedzierając się przez szarą rzeczywistość, na nie natrafili.

- W tej rodzinie panują bardzo napięte stosunki, ale może mimo wszystko są normalni - powiedział Winter.
- Według kogo normalni?
- Według siebie.
- Ale jeśli nie są, wszystko im się zawali - stwierdził Ringmar. - Bomba wybuchnie.
- A jakie będą skutki?

Ringmar nie odpowiedział.

- Powinniśmy ściągnąć Bielkego tutaj i pogadać z nim? - zapytał Winter.

- Może lepiej byłoby się przyjrzeć, czym się właściwie zajmuje?

- Można zrobić i jedno, i drugie.

- Albo nie robić nic.

Winter machnął ręką w stronę papierów piętrzących się przed nim na biurku. Zaczął ziewać. Próbował się powstrzymać, ale poczuł w szczęce zapowiadające skurcz napięcie.

- Wieczorem spróbuję jeszcze raz wszystko przeczytać - powiedział. - Zobaczymy, pogadamy o tym jutro.

- Ale tu? - zapytał Ringmar.

- Tak, a co?

- Nic.

- Chodzi ci o to, że nie idę do domu?

Ringmar lekko skinął głową.

- Tutaj jest spokojniej - wyjaśnił Winter.

- Jak dla kogo.

Winter usiadł i wziął do ręki jakiś papier. Spojrzał na Ringmara, który wciąż przed nim stał.

- Nie idziesz jeszcze do domu, Bertilu?

Sara Helander szła do domu. Czowała, że musi się mieć na baczności. Zwłaszcza po wczorajszym wieczorze.

Ten bydlak od pigułki gwałtu trafił do aresztu, miał w nim spędzić cztery doby.

Kiedy już wróciła do siebie, nadal czuła się jak idiotka. Myślała też o Samicu, ale przede wszystkim o kobiecie, która stała obok niego na drodze łodzi. Widziała tylko jej rozwiane włosy i półprofil. Nie mogła rozpoznać twarzy.

Coś było nie tak. Coś z Samikiem. I to ona powinna się dowiedzieć co. Nie była głupia. Ale też nie była ryzykantką. A jednak. potrzebowała czegoś, coś musiała zrobić. Żadnych

bohaterskich wyczynów, to byłoby nieprofesjonalne. Coś sprytnego. Coś, co sprawi, że nastąpi przełom.

Dochodziła dziewiąta. Niebo mieniło się różnymi odcieniami. Słońce powędrowało w dół, na drugą stronę Ziemi. Do tak zwanego Down Under. Jej siostra była kiedyś w Sydney. Krążyła wśród épunów, których całe tabuny przewalały się w okolicach King's Cross. Ech. Tam też było miło. Słonecznie i pięknie jak tu. Odległości, które zdawały się tym większe, im dalej zostawiało się za sobą duże miasta. Czerwona ziemia. Opustoszałe ulice. Pewnego razu dostała pocztówkę z Alice Springs, na której było napisane: „A Town like Alice”. Nie zrozumiała napisu i musiała zapytać o to Anetę. Wyjaśniła jej, że chodzi o tytuł powieści, której akcja rozgrywa się w tym mieście.

Szła w stronę przystani Lilla Bommens. Było tam mnóstwo ludzi - na łodziach, na pomoście, w ogródkach, przy stoiskach z lodami.

Budynek opery połyskiwał w ostatnich promieniach słońca przemykających między starymi portowymi żurawiami po drugiej stronie rzeki.

Skręciła. Nie było już tak tłoczno. Więcej było za to stojących rzędami łodzi. Z tego co widziała, same motorówki. Gdzieś dalej stało kilka żaglówek. Było równie ciepło jak w mieście. Na ławce siedziała jakaś para, oboje wpatrywali się w wodę. Ludzie kręcili się w tę i z powrotem. Słysząc było warkot silników. Wiał ciepły wiatr, niemrawo łopotwały flagi - szwedzkie, norweskie, duńskie i niemieckie. Była też jedna niebiesko-biało-czerwona, z krzyżem w górnym rogu. Czy to nie flaga Australii? Czyżby jakiś twardziel zapuścił się tu aż stamtąd?

Szła powoli wzdłuż pomostu, jakby się wybrała na relaksujący spacer po pracy. W pewnym sensie się wybrała. Chociaż nie. Absolutnie nie o to chodziło. Próbowała rozpoznać motorówkę, w której widziała wczoraj Samica.

Wytypowała dwie albo trzy, ale nie była pewna: ta, ta albo ta. Przypomniała sobie, że na rufie, na prawo od nazwy, zauważyła jakiś znak, jakby zdobienie. Zobaczyła go, bo na nim umieszczono lampę. Wyglądał trochę jak ciemny kwiat. Na jednej z trzech łodzi obok nazwy - „Nasadica” - namalowano lilię. Była zadaszona, miała ster i silnik z tyłu. Sara nie miała zielonego pojęcia o łodziach.

Ta wyglądała na drogą, ale większość tak wyglądała.

Na rufie zatknięto szwedzką flagę.

Sara stała na pomoście i przyglądała się łodzi.

- Mogę w czymś pomóc?

Odwrociła się. Miała nadzieję, że ten, kto jej zadał to pytanie, nie widział, że się wzdrygnęła.

- Eee... przepraszam - powiedziała, próbując stanąć tak, żeby nie runąć do wody.

Miała wrażenie, że jej rozmówczyni się śmieje. Twarz miała opaloną, ale nie za bardzo, włosy blond. Może to właśnie te włosy rozwiewał wiatr. To mogła być ta kobieta.

- Wygląda pani, jakby pani chciała zejść do łódki - powiedziała.

- Ach tak, przepraszam. - Sara zrobiła kolejny krok w przód.

- Proszę - odparła kobieta.

- Szukam łodzi znajomego - powiedziała Sara. - Ale właśnie zauważyłam, że ta się nazywa inaczej. - Wskazała w stronę odległej części przystani. - Chyba muszę poszukać tam dalej.

Kobieta skinęła głową i zwinnie zeskoczyła na pokład. Mogła mieć czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Na pewno nie mniej. Jeśli już, to więcej. Wyglądała na wysportowaną. Teraz Sara mogła się przyjrzeć jej twarzy. Widziała ją z profilu. Rozpoznała twarz uwiecznioną na zdjęciu z zakończenia szkoły, które jej pokazał Winter. Miała piękny nos, ktoś powinien był go rozpoznać. Przecież jej szukali, wypytywali o nią.

A teraz ja ją rozpoznałam, pomyślała Sara. Rozpoznałam ją.

Targały nią emocje - może to było napięcie, może podniecenie.

*Beach party* przesunięto na wieczór. Winter jechał rowerem na południe, z Elsą w foteliku. Uznał, że to dla niego prawdziwy podarunek od losu. Angela pedałowiała dziesięć metrów przed nimi. Kiedy objeżdżali zatokę, Winter myślał przede wszystkim o słońcu i o wietrze. Potem zaparkowali obok trzydziestu innych rowerów i zeszli na dół, na plażę.

Niektórzy już zaczęli rozstawiać grille. Winter dostał piwo od Andersa Liljeburga, znajomego, którego nie widział od dawna. Właściwie większość z krzątających się wokół ludzi ostatnio spotkał na początku lata. Cieszył się, że mogą się spotkać. Napił się i przysiadł na piasku. Angela poszła z Elsą do wody. Winter odchylił się do tyłu, zamiast głosów słyszał tylko szum. Pachniało grillem i piaskiem. Oparł się na łokciu i wypił resztkę piwa. Angela i Elsa wciąż się kąpały. Anders Liljeburg miał na sobie spódniczkę z trawy. Przez okulary przeciwsłoneczne, które Winter założył, wyglądała na ciemnobrązową. Liljeburg zaczął tańczyć własną wersję samby. Przyłączyło się do niego więcej osób. Winter dostał kolejne piwo. Wieczór był równie gorący jak karaibska muzyka, którą puścili.

### 30

MUZYKA UNOSIŁA SIĘ WOKÓŁ NICH. Z miejsca, w którym leżała, widziała kontury domów po drugiej stronie drogi, zarys dachów i jakiś zaokrąglony cień, może drzewo. Muzyka była cicha: gitara akustyczna, altówka, wiolonczela, pianino.

- Piękne - powiedziała.
- Mapa świata - odparł.
- Mhm...
- Tak się nazywa płyta. *A Map of the World*. Pat Metheny.



To chyba muzyka do jakiegoś filmu.

- Nie widziałam tego wcześniej w twojej kolekcji.

- Kupiłem dzisiaj. Słucham tego pierwszy raz.

- I jak ci się podoba?

- Piękna. Ja nie zwróciłbym na nią uwagi, ale Winter gdzieś już ją słyszał.

Aneta nie odpowiedziała. Przesunęła się odrobinę na prawą stronę łóżka, bliżej Haldersa, który leżał bez ruchu na plecach.

Dzieci spały już od kilku godzin. On też przysnął, może na dwadzieścia minut. Tak to przynajmniej brzmiało. Ona nie zmrużyła oka.

Jak oni tu wyładowali?

Chociaż właściwie czemu nie mieliby tego robić?

Wciąż byli ubrani. To. nie tak. Przynajmniej jeszcze nie teraz, pomyślała, kiedy z płyty popłynął kolejny kawałek. Tym razem sama gitara.

Jak by się zachowała, gdyby Halders zaczął jej rozpinąć bluzkę?

Nigdy by tego nie zrobił. Właściwie to nawet nie była pewna, czyby chciał. Może ta chwila jest już blisko. Zgodziłaby się?

A może powinni dalej być dla siebie jak brat i siostra? Z tą tylko różnicą, że dorośli bracia i siostry nie spędzają ze sobą całych dni, całych wieczorów i połowy nocy, jak oni teraz.

Kochał żonę? Na początku tak. Musiał. Dopiero potem się od siebie definitywnie oddalili.

Podniosła prawą rękę i zerknęła na podświetlaną tarczę zegarka. Była druga. Zaczynało świtać. Przesunęła głowę, żeby lepiej widzieć. Noc ustępowała, jej miejsce zajmowało coraz jaśniejsze światło. Kilka godzin temu było na odwrót. Halders cytował Dylana Thomasa, tak jak któregoś wieczoru, może dobrze, a może źle: *don't go gently into that good night, rage, rage, against the dying of the light*. Znam tylko ten fragment, powiedział. Ale pamiętam go z okładki płyty

Chrisa Hillmana sprzed paru lat.

A teraz oddychał ciężko obok, on, facet, który wiedzę o literaturze czerpie z okładek płyt z muzyką country.

Kochał żonę. Może nawet wtedy, gdy był sam. Ale nigdy o tym nie mówił. Dzieci przede wszystkim. Wtedy mówił tylko o dzieciach. Czasem więcej, czasem mniej. Teraz też chodziło o dzieci. Były tutaj, w pokojach po drugiej stronie korytarza. Często tam chodził, kiedy się kładły i kiedy już spały.

Czasami miała wrażenie, że dla Fredrika Haldersa nie istnieje nic innego.

Nie okazywał tego, nie mówił o tym. Należał do tych mężczyzn, którzy, spragnieni bliskości, boją się prawdziwie zażyłych relacji. Ukrywają się za słowami - dosadnymi, gładkimi, mocnymi albo pustymi.

I którzy ze sobą kończą, pomyślała teraz, kiedy słońce zapewne wzniosło się już nad dachami. Którzy chcą odejść nagle, jak najszybciej, natychmiast. Chcą zniknąć.

\*

Winter jechał na zachód. W świetle poranka. Bengt i Lisen Wägner czekali na niego z kawą. Wypił ją w kuchni pachnącej bułeczkami. Skusił się na nie. Leżały na jeszcze cieplej blasze. Kiedy Beatrice, odeszła, piekłam godzinami, powiedziała mu Lisen Wägner. Piekłam i piekłam jak szalona. Keks w środku nocy, rogaliki, chleb razowy. Wyrzucalam potem to wszystko, jeszcze ciepłe, dodała, spoglądając na blachę.

Żuł jeszcze ciepłą bułeczkę.

Jak, na Boga, ma o tym powiedzieć?

Beatrice w wolnym czasie była striptizerką. Co państwo na ten temat wiedzą? Czy już pięć lat temu było to popularne wśród licealistek zajęcie?

Widział ich twarze. Było jasne, że nie wiedzieli.

Czy wtedy on i inni śledczy wystarczająco dokładnie

przepeptali pozostałych krewnych? Przecież nie byli w domach wszystkich, którzy byli w jakiś sposób związani z Beatrice lub z jej rodziną.

Wtedy nie mieli zdjęcia Beatrice zrobionego w tym samym wnętrzu, w którym pięć lat później sfotografowano Angelikę.

Połknął ostatni kęs bułki i kolejny raz wyjął odbitkę.

- Nie umiemy znaleźć tego miejsca - powiedział. -  
Przynajmniej nie tutaj, w mieście.

- W takim razie to musi być gdzie indziej - odparł Bengt Wägner.

- Mimo wszystko myślę, że to gdzieś tutaj - ciągnął Winter. Kolejny raz wspomniał o Angelice i pokazał im jej zdjęcie.

- W takim razie to rzeczywiście prawdopodobne - przyznał Bengt Wägner.

- To może być u kogoś w domu - dodał Winter.

- U kogo? - zapytała Lisen Wägner.

- Nie u kogoś, kogo państwo znają? - zasugerował Winter.

- Ale kto by to mógł być? - odparła.

- Dobry Boże - jęknął jej mąż. - Co to za odpowiedź?

Odwróciła się i spojrzała na stolnicę i stojącą na niej stygnącą blachę z bułeczkami. Wägner popatrzył na Wintera.

- Gdybyśmy rozpoznali to wnętrze od razu, już byśmy o tym powiedzieli. Nieważne, czy to u kogoś w domu, czy gdzie indziej.

- No tak.

- Mogę zatrzymać to zdjęcie?

- Oczywiście.

- Tak na wszelki wypadek.

Winter zostawił mu odbitkę. I tak miał zamiar to zrobić.

Wczoraj późnym wieczorem odwiedził Larsa Olofa i Ann Hansson. Rozmowa z nimi wyglądała identycznie jak ta dzisiejsza.

Sara Helander siedziała przy dużym stole w sali zebrań. Była opalona, bardziej niż on.

- A potem przyjechał tramwaj wodny, jakby na zamówienie - powiedziała.
  - Dobięłam do niego, a jak odplynęliśmy, miałam ich cały czas na widoku.
  - Dobra robota.
  - Zacumowali dziesięć metrów od przystanku i kiedy zesłam na ląd, widziałam, że oni też schodzą.
- Winter czekał na ciąg dalszy. Czekali też Halders, Ringmar, Bergenhem, Aneta Djanali i Möllerström. Wszyscy czekali. Sara Helander opowiedziała im już o kobiecie. Zdjęcia Angeliki z zakończenia szkoły znów krążyły po sali.
- Jestem pewna, że to ona - stwierdziła chwilę wcześniej. - To ona.
  - No i potem szłam za nimi - ciągnęła. - Nie było zbyt daleko. Między pomostem dla łodzi a przystankiem było sporo ludzi, więc nie miałam z tym problemu.
  - Nigdy nie powinno się ich mieć - powiedział Halders.
  - Potem już było trudniej, ale nadal nie był to problem - powiedziała, rzucając Haldersowi szybkie spojrzenie. - No a potem niestety weszli do willi po drugiej stronie ulicy, na wzgórzu. Minęłam dom i poszłam dalej. - Rozejrzała się.
  - Całkiem spora willa. Drewniana.
  - Oboje weszli?
  - Tak.
  - Czy ten mężczyzna o ciemnej karnacji ze zdjęcia z zakończenia szkoły to może być Samic?
  - Może - odpowiedział Ringmar. - Samic z porządnym tupecikiem na głowie. To może być on. Ale tak dokładnie nie da się go zidentyfikować.
- Ciekawe, jak Fredrik by wyglądał w tupeciku, pomyślała Aneta przez sekundę. Okropnie. Facet w tupeciku nie wzbudza zaufania. Ani taki z fryzurą na Robin Hooda. Samic nie miał tupeciku ani na łódce, ani w restauracji. Więc czemu go założył na uroczystość z okazji zakończenia szkoły?

Jeśli to rzeczywiście był on, pomyślała. A jeśli naprawdę tam był, na szkolnym dziedzińcu, to po co?

- Musimy się przyjrzeć temu domowi - powiedział Winter.

- Ja go wezmę - powiedział Halders, spoglądając na pozostałych.

- Przecież ciebie na pewno rozpozna, jeśli cię zobaczy - zauważył Bergenhem.

- Nie zobaczy.

- Taa...

- Nie, bo do akcji wkroczy mój nowy tupecik - odparł Halders.

Ktoś parsknął śmiechem, ale szybko zamilkł.

- Może ktoś jeszcze? - zapytała Sara Helander.

Winter się zastanawiał. Ostrożność. Tak. Albo wtargną tam, zgarną Samica, bo wymaga tego śledztwo, i pogadają z nim minimum sześć godzin, albo muszą czekać. Mieli tylko nie do końca sprawdzony adres i podejrzanego, którego jeszcze nie rozpracowali. Może jest między nimi jakiś związek. Możliwe. Tak właśnie wygląda ich praca. Nie przez przypadek Sara zobaczyła Samica i poszła za nim. Nawet gdyby ten tramwaj wodny wtedy nie podpłynął, i tak trafiliby na tę willę. Po prostu dłużej by to trwało.

Samic kłamał, ale nie on jeden.

Chciał wiedzieć, co jest w willi, zanim poczynią jakieś kroki.

- Ty i Fredrik - odpowiedział.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem.

- Jak mamy.

- Sara, już nic nie mów. - Halders wstał. - Przecież my też musimy trochę pomyśleć, co?

Yngvesson zadzwonił akurat w chwili, kiedy Winter wracał do swojego pokoju. Sygnał dźwięczał głośno na pustym ceglanym korytarzu.

- Możliwe, że coś mam - powiedział.

Winter był u niego po pięciu minutach.

- Posłuchaj teraz.

Yngvesson włączył odtwarzacz. Winter słuchał. Do słuchania było mniej niż wcześniej. Yngvesson przefiltrował zapis, wykasował wszystkie niepotrzebne dźwięki, jeśli tylko się dało. Winterowi przypomniał się szum, który słyszał poprzedniego wieczoru na plaży, kiedy słuchał urywków rozmów.

Spojrzał na taśmę. To, co wcześniej brzmiało jak odgłosy parku, teraz wyglądało na nagranie z pokoju, pustego pokoju.

Usłyszał dziewczynę, Anne. „Och, och, och, nie, nie, nie, nie, NIEEEEE, NIEEEEEEE”, krzyk, jakiś dźwięk z głębi gardła, odgłos duszenia i czegoś zaciskającego się na szyi.

Potem mamrotanie, jakby modlitwa, jak jakaś cholerna, przeklęta modlitwa, mantra, głośno, głośniej niż przedtem, kiedy w tle pobrzmiwały też inne dźwięki z parku i z ulicy. Teraz były zupełnie inne: nie miały swojego miejsca. Należy je wypełnić, pomyślał. Nikt nie powinien tego słuchać.

Ale nie wyszedł. Dziewczyna też wciąż tu była - ona nie mogła w żaden sposób wyłączyć tego nagrania.

- Teraz, słuchaj - powiedział Yngvesson.

Winter słyszał. Najpierw to co wcześniej, choć wyraźniej. Te same dźwięki, ale dobiegające wprost do niego przez ogromny róg albo tunel: nihhhhyyy. nihhhhyyydyhh. NIHHYYDYHWHIISS. NIHHHDYWYSSYYJ.

Yngvesson wyłączył odtwarzacz.

- Nihdywysyj - powiedział Winter.

- Nigdy więcej - poprawił Yngvesson.

- Tak.

- Więcej z tego nie wyciągnę.

- Nigdy więcej - powtórzył Winter.

Yngvesson znów zaczął coś robić przy komputerze. Komputer, zupełnie nieświadomy własnych możliwości,

wydawał cichy, beztroski szmer. Komputer też czasem mógłby czegoś chcieć, pomyślał Winter. Taki efektywny i zawsze radośnie nieświadomy.

- To nie może być ona? - zapytał Winter.

- Co?

- Ona nie może tego mówić?

- Nie.

- Nigdy więcej. Nasz morderca mówi: nigdy więcej.

- Czyli to ostatnie morderstwo, przynajmniej na razie.

- Nie o to mu chodziło.

- Tak, trudno spekulować.

- On tego nie mówił do siebie - stwierdził Winter. - On pokazywał jej, że więcej już tego nie robi.

- Czego nie robi?

- Tego, co zrobiła. On ją karze za coś, co zrobiła.

- Co zrobiła. jemu?

Winter się zastanawiał. Za chwilę kolejny raz odsłucha taśmę. Zastanawiał się i przygotowywał.

- Tak. Pośrednio albo bezpośrednio.

- Pośrednio? Za to, co zrobiła innym?

Nagle Winter poczuł się totalnie przybity. Dopadło go wszechogarniające przygnębienie. Chciał zniknąć w morzu i nigdy się nie wynurzyć. Słońce mogłoby się wyłonić z wody, on nie.

- Nie wiem. To wszystko jest takie pogmatwane, aż się kręci w głowie. Muszę chwilę pomyśleć. - Przysiadł na drugim krześle. - O czym mówiliśmy? Pośrednio jemu, tak? Ukarzał ją za coś, co zrobiła.

- Aha.

- O Boże, w sumie mogę tak gadać i gadać. Teraz nie da się tego przeanalizować.

- Ale to chyba nie jest wiadomość do niej. osobiście? Jak myślisz? Przecież jej nie znał.

- Może znał, a może nie. Nie wiem.

- No, to chyba jest różnica.

Sara Helander siedziała z Haldersem w jego samochodzie, dyskretnie zaparkowanym wśród innych aut. Mniej więcej siedemdziesiąt pięć metrów dzieliło ich od willi, do której weszli Samic i kobieta.

Dom zbudowano z drewna. Wysoki jak kamienica, pomyślał Halders, cztery albo pięć pięter, a do tego widać, że pod całym tym balastem jest jeszcze ogromna piwnica.

Obok, w jednym rzędzie, stały trzy podobne domy. Zasłaniały trochę słońce, ale nie do końca. I tak świeciło im w twarz. Sara siedziała wpatrzona w dom, przysłaniała oczy dłonią. Halders miał okulary słoneczne.

- Może powinniśmy byli stanąć po drugiej stronie - powiedziała.

- Nie.

- No nie, racja. Przecież ruch idzie w tę stronę.

Rzeczywiście, mijały ich samochody. Nie za dużo, ale jednak. Przejeżdżały od czasu do czasu, kierując się w stronę przystani dla promów i nowych bloków z mieszkaniami własnościowymi, wybudowanych zaledwie parę metrów od wody.

Przed willą, na podjeździe do garażu, stał samochód. Garaż nie pasował do tego domu. Wyglądał, jakby go dobudowano w innym stuleciu, jakby od reszty domu dzieliło go dwieście lat. Halders wpatrywał się w willę i w jej liczne okna. Ledwo je było widać pod światło.

Ściemniło się. Sara Helander wyciągnęła coś do picia i jedzenia. Słońce nie raziło już w oczy. Nikt nie wchodził i nie wychodził. Halders żuł kanapkę. Równie dobrze jak z jajkiem i majonezem mogła być z szynką i ogórkiem - nie czuł żadnego smaku. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Powoli zbliżyły się do nich dwa samochody, ale pojechały dalej. Nadjechały z drugiej strony, co oznaczało, że jadą pod prąd. Ulica była jednokierunkowa.



- Schowaj się - powiedział Halders i Sara schyliła się, tak jak on. Pierwszy samochód mierzył światłami prosto w nich. Usłyszeli głosy, ale słów nie mogli zrozumieć. Ktoś ostrożnie otworzył i zamknął drzwi. Silniki wciąż pracowały. Samochody ruszyły. Światła przecięły powietrze kilkadziesiąt centymetrów nad ich głowami.

- Ale emocje, nie? - wymamrotał Halders.

- Ktoś wszedł do domu - powiedziała Sara.

Odczekali chwilę, a potem ostrożnie się podnieśli.

Wszystko wyglądało jak wcześniej, z tą różnicą, że w oknie na parterze paliło się światło.

- Kiedy tu byłaś wczoraj w nocy, w wielu pokojach się świeciło?

- Nie.

- Ale więcej było świateł niż teraz?

- Tak.

- Aha.

- Myślisz, że to Samic przyszedł?

- On chyba przyżywa łódkę, a potem idzie z buta.

Sara nie odpowiedziała. Dłuższą chwilę siedzieli w ciszy.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Do tego było ciemniej niż poprzedniego dnia o tej samej porze. Równie ciepło, ale ciemniej. Letnie noce ustępowały już miejsca jesiennym. Don't go gently into that good night, rage, rage, against the dying of the light, pomyślał Halders.

- Następny samochód - powiedziała Sara.

Nadjechał zza ich pleców.

- Siedzimy dalej - powiedział Halders. Sara zsunęła się trochę z siedzenia.

Samochód zatrzymał się przed willą. Drzwi się otworzyły i wysiadła kobieta.

- To ona? - zapytał Halders, raczej samego siebie.

- Nie - wymamrotała Sara.

Wyglądała na młodą. Weszła do domu. W żadnym oknie nie

zapaliło się światło. Samochód odjechał.

Czekali. Halders sięgnął po kawę. Parowała powoli, kiedy nalewał z termosu.

- Ktoś idzie - powiedziała Sara. - Z buta.

Od strony schodzącego do rzeki ocienionego zbocza zbliżała się jakaś postać. Mężczyzna. Szedł po schodach prowadzących do ulicy, na której zaparkowali. Schody znajdowały się niemal na wprost wejścia do willi. Mężczyzna rozejrzał się, a potem przeszedł przez pustą ulicę, oświetloną światłem księżycy i gwiazd, latarni. Stał przed willą i spojrzał w górę, na lampę. A może patrzył w niebo. Miał na sobie jasną marynarkę, włosy miały ten sam kolor co światło rozlewające się po ulicy. Nie był młody. Odwrócił się w prawo, wyglądał, jakby się wpatrywał prosto w nich, ukrytych w mroku samochodu.

- Nie może nas zobaczyć - powiedział Halders. - Nie ruszaj się. - Przykrył parujący kubek kartką.

Mężczyzna odwrócił się z powrotem w stronę domu i wszedł do środka.

- Kurt Bielke - powiedział cicho Halders.

### 31

NA ULICY ZNÓW ZROBIŁO SIĘ PUSTO. Mężczyzna zniknął w dziwnym domu. Sara nie widziała wcześniej Kurta Bielkego.

Noc już się kończyła. Dniało. Sara widziała światła ostatniego nocnego promu do Danii - płynął w stronę pomostu po drugiej stronie rzeki.

Halders otworzył drzwi.

- Co robisz? - wysyczała.

- Obserwuj dom.

- Przecież to wszystko nie jest jeszcze pewne.

- Ja też nie jestem pewien.

- Mam się połączyć z centralą?
- Nie, do cholery. Chcę tylko trochę popatrzeć.
- Fredrik, tylko nie zrób nic głupiego. Odezwę się do ciebie za dwadzieścia minut.

Halders wyłączył głos w telefonie i włączył wibracje.

- To ja zadzwonię - odparł. - Jeśli ty zadzwonisz, a ja nie będę mógł odebrać, rozłączę się, żebyś wiedziała, że wszystko okej.

- Za dwadzieścia minut.

Nie odpowiedział, zniknął bezgłośnie. Sara nie widziała, jak przechodził przez ulicę, ale po chwili wydało jej się, że widzi cień w ogrodzie, na tyłach willi.

Halders stał pod drzewem dziesięć metrów od domu. W dwóch oknach paliło się światło, ale nikogo nie widział. Ze środka nie dobiegały żadne dźwięki.

I co teraz?

Nie było tylnego wejścia. Żadnych drzwi do piwnicy. No tak, to byłoby zbyt proste.

W dwóch oknach z lewej było ciemno. Halders przeszedł szybko przez trawnik. Okna starszego typu, z podwójnymi szybami. Wyglądały na zamknięte, ale w jednym zauważył szczelinę. Domyślił się, że musi tam być niewidoczny z zewnątrz haczyk. Wyciągnął z kieszeni jakiś cienki przedmiot, wetknął go w szczelinę, wyczuł haczyk i podniósł go. Nie było łatwo, bo rama znajdowała się prawie dwa metry nad ziemią.

Otworzył okno i wcisnął przedmiot z powrotem do kieszeni. Była to krótka i wąska drewniana pałeczka do jedzenia. Zabrał ją z baru Ming, gdy jadł tam ostatnio. Czyli dziś po południu.

Rozejrzał się. Z lewej, pod ścianą, stała beczka z wodą. Podeszedł do niej i sprawdził, czy jest ciężka. Nie była. Przecież ostatnio padało najwyżej przelotnie. Mógł ją przenieść pod okno.

Wspiął się i zajrzał do środka. Zobaczył zarysy mebli kryjących się w szarym półmroku, a w dalszym końcu pokoju jaśniejszą, białoszarą plamę drzwi. Nie było nikogo.

Przeskoczył przez parapet i stanął na podłodze. Obejrzał się jeszcze za siebie, ale za oknem nie było nikogo, kto by za nim biegł z bronią maszynową. Nikt też nie wtargnął do pokoju. Zza okna słychać było tylko zwykle odgłosy nocy.

I co teraz?

Podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Żadnych kroków. Tylko jakiś pomruk, gdzieś z głębi domu. Może to muzyka. Stwierdził, że za drzwiami też jest ciemno. Otworzył je.

Zobaczył hol, pusty. I rząd drzwi. Jak w matryoszce, pomyślał. Otwierasz drzwi, a za nimi są kolejne i kolejne. Można wejść, ale wyjść się nie da.

W prawym końcu korytarza paliło się światło. Za drzwiami z lewej też, ale nie aż tak jasne. Jakby padało z większej odległości. Podszedł do nich szybko i cicho, złapał za klamkę. Powoli uchylił drzwi. Zobaczył schody w dół i światło.

Sara Helander czekała. Halders mógł wrócić w każdej chwili. Idiota.

Przecież to ja miałam tu być bohaterką. Ja znalazłam dom. To ja powinnam się była do niego zakraść.

Wiedziała, że nigdy by tego nie zrobiła.

Zza jej pleców nadjechał samochód. Słyszała go, ale nie widziała, dopóki jej nie minął i nie zaparkował przed willą. Przyjechał bez świateł. Sara poczuła, jak po całym jej ciele rozchodzi się chłód. Widzieli, że tu siedzi?

Przez chwilę nikt nie wysiadał. Pochyliła się, ale zdołała jeszcze zobaczyć zarys postaci na przednim siedzeniu. Ten ktoś miał zgiętą rękę. Może rozmawiał

przez komórkę. Może właśnie informował kogoś o zaparkowanym kilka metrów za nim aucie, w którym ktoś siedzi.

Zrobiło się niebezpiecznie, pomyślała. Bardziej niebezpie-

cznie, niż się spodziewaliśmy. Dzwonię. Minęło już więcej niż dwadzieścia minut.

Halders zszedł na dół. Skradał się. Czuł się, jakby grał w filmie. Zwykle nie miał okazji się skradać. Kiedy to robił ostatnio? Kiedy stanął na czwartym stopniu, nagle pomyślał o dzieciach. Zobaczył Margaretę. Całe życie przelatuje mi przed oczami. Czy to znaczy, że zaraz umrę? A tam. Wszyscy umrzemy. Nikt nie żyje wiecznie. Czyżbym się bał? Nie. Mam swojego SIG sauera przy boku, no i jestem silny. Jestem skończonym głupkiem, że tu wchodzę. Przecież mam kobietę, którą kocham. Ma ciemną skórę, ale przed nami jasna przyszłość.

Znalazł się na dole. W piwnicy. Kolejna matryoszka do otwarcia, kolejne drzwi. Nie były zamknięte. Dzieliło go od nich dziesięć metrów. Mógł podejść, nie rzucając cienia na ścianę ani na podłogę. Słyszał muzykę. Teraz sam zobaczył czyjś cień. Puszczali jakieś obrzydliwe disco z szalonych lat siedemdziesiątych. Im bliżej podchodził, tym głośniej grała muzyka. Zauważył, że drzwi prowadzą do kolejnego holu, czy raczej wąskiego korytarza. Ktoś tam był. Halders chwycił za broń. Czuł jej chłodny, przyjacielski uścisk. W co ja się pakuję? - pomyślał. Usłyszał głos, kobiecy, potem kolejny, męski. Mężczyzna krzyczał, nie - darł się, nie - to było jeszcze coś innego - łkał. Boże, głos to się wznosił, to opadał, oblesna muzyka pulsowała w ceglany korytarzu, który, im bardziej się do niego zbliżał, tym wydawał się węższy. Zobaczył kobietę poruszającą się w rytm muzyki disco. Miała na sobie tylko stringi. Żuła gumę, myślami była gdzie indziej. Podeszedł jeszcze bliżej. Od mężczyzny oddzielała ją szyba. Człgał się przed nią na czworakach, wyjąc do księżyca - nagi, ale za to ze smyczą na szyi. Kurt Bielke rozglądał się niewidzącym wzrokiem. To był on. Halders widział, jak jego ciało zaczyna drgać, jak u wariata zatopionego w religijnej ekstazie. W religijnej ekstazie, powtórzył Halders w myślach.

Strzełę temu opętanemu bydlakowi między oczy. Bielke kiwał się w przód i w tył. Jak na jeden raz wystarczy, pomyślał Halders. Chyba już podziękuję. Zrobił krok w tył, potem kolejny. Wyczuł ten cios, zanim oberwał. Dosłownie go wyczuł, zobaczył tyłem głowy, jakby ktoś go wymierzał w zwolnionym tempie, jakby było po wszystkim, zanim mu pociemniało w głowie.

Po drugiej stronie zaczął ujadać pies. Nagle ucichł, jak rażony gromem. Winter wysiadł z samochodu i przeszedł przez ulicę. Miał na sobie szorty i koszulę. Uwierała go nieprzyjemnie. Wcześniej rozmawiał przez telefon z Angelą, miała taki, bezbarwny głos. Jutro wieczorem spróbuje się wybrać na plażę. Najpierw chciał się trochę przespać, ale nie wiedział, kiedy będzie mógł. W mieszkaniu jest za gorąco, powiedziała. Tak naprawdę chodziło jej o to, że w domu byłoby chłodniej. Ale przecież te upały niedługo się skończą, a drugie takie lato się nie trafi w tym tysiącleciu. A potem już i tak wszyscy będą starzy.

Mieszkanie czy willa - to nie będzie miało znaczenia.

Drzwi i wszystkie okna, które widział, były otwarte. Benny Vennerhag siedział na tyłach domu, jak zwykle. Ciemna woda połyskiwała w basenie. Vennerhag się odwrócił.

- Zafunduj sobie nocną kąpiel.

Właściwie czemu nie.

Skorzystał. Potem wytarł się ręcznikiem, który mu przyniósł Vennerhag, i założył szorty. Na gołe ciało. Majtki zawinał w koszulę. Dziś już nie miał zamiaru jej zakładać.

- Chcesz pożyczyć koszulę?

Winter pokręcił głową.

- Miło było?

Przytaknął.

- Chcesz piwo?

- Chętnie.

Vennerhag wstał z ociąganiem i chwiejnym krokiem poszedł

do domu. Wrócił z dwoma piwami i ciężko usiadł tam, gdzie poprzednio.

- Jesteś pijany?

- Odrobinę. - Vennerhag otworzył butelki, jedną podał Winterowi. - Ot, skromny obiad zjedzony w intymnej domowej atmosferze i sporo dobrych drinków.

- Nic do jedzenia.

- La cotriade. - Vennerhag chwycił butelkę i przepił do Wintera. - I co ty na to, pieprzony snobie? Myślałeś, że jem jajka z bekonem na śniadanie, obiad i kolację?

- Nic takiego nie mówiłem.

Vennerhag wypił kolejny łyk i, ziewając, spojrzał na Wintera znad butelki.

- Czy to nie mogło poczekać do jutra?

W domu zadzwonił telefon. Sygnał był tak wyraźny, jakby dzwoniło kilka aparatów naraz. Winter spojrzał na komórkę Vennerhaga. Leżała na plastikowym stole pod parasolem, wyłączona. Żadnych kompromitujących rozmów przy komisarzu.

- Muszę cię poprosić o pomoc. Muszę się dowiedzieć więcej o tym chłopaku - powiedział Winter. - Masz dobre kontakty z imigrantami?

- Imigranci. Delikatne określenie.

- Ty ich nazywasz brudasami?

- Skądże, jestem tak poprawny politycznie jak wszyscy inni.

- Nie o to chodzi. Poprawny politycznie to obelga, którą rzucają tchórzliwe typy, które próbują ukryć swoje nieudacznictwo, nazywając innych poprawnymi politycznie.

- Tak, tak.

- Czyli, jak rozumiem, zajmiesz się tym?

- Chyba już za mnie odpowiedziałeś.

Telefon zadzwonił znowu. Kolejny sygnał, i kolejny, i kolejny. Vennerhag nie ruszał się z miejsca. Spojrzał tylko na komórkę. Wciąż milczała. Nawet jej nie dotykał. A w domu

wciąż dzwoniło, jakby się włączył alarm w samochodzie. Vennerhag już dawno zrezygnował z automatycznej sekretarki. Według niego dzięki takiemu posunięciu można trochę dłużej pożyć.

- Benny, nie odbierzesz?
- Nie o tej porze. Teraz mogą dzwonić tylko idioci.
- Wygląda na to, że są zdeterminowani.
- Nie odbieram również z grzeczności, ze względu na ciebie, jako gościa.

Winter skinął głową.

- Chcesz się jeszcze napić?
- Kolejny dowód troski z twojej strony, chociaż chciałeś chyba powiedzieć: spadaj.
- W pewnym sensie tak.

Telefon znów zadzwonił. Vennerhag spojrzął na Wintera, potem na komórkę. To na nią nagrywają się idioci, pomyślał Winter i wstał.

- Muszę ci przecież dać szansę - powiedział.
- I tak nie odbiorę.
- Podziwiam cię.

Winter przeszedł przez dom. Akurat zrobiło się cicho. Czuł zapach profesjonalnie przygotowanego jedzenia, takiego jakim w domu pachnie jeszcze długo po gotowaniu. Czyżby Benny uwięził kucharza?

Kiedy odjeżdżał, z otwartych drzwi i okien znów usłyszał telefon. Vennerhag wciąż siedział przy basenie. Wydawało mu się, że nadal słyszy, jak samochód Wintera przemierza kolejne okoliczne wzgórza. Dopił piwo i sięgnął po komórkę. Nagrały się cztery wiadomości. Odsłuchał je. Wszystkie od jednej osoby, wszystkie brzmiały tak samo. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Telefon znów zaczął dzwonić. Vennerhag wstał i, zataczając się, wszedł do środka. Chwycił pierwszą słuchawkę, na jaką trafił.

- Czemu nie odbierasz?!



- Odsłuchałem wiadomość. Co się właściwie stało?

- Teść zniknął.

Umówiony kod. Vennerhaga zawsze to bawiło, ale wiedział, że to konieczne. W domu nie było podsłuchu, a już na pewno nie w telefonie. Przynajmniej nie policyjnego. Ale stare rozmowy można odtworzyć bez problemu, zwłaszcza te z komórek.

- Właśnie był u mnie z wizytą dobry znajomy - powiedział Vennerhag.

- To co z teściem?

- Już jadę. Jesteś u mamy?

- Tak.

- Będę tak szybko, jak się da - obiecał Vennerhag i Samic usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki.

\*

Sara Helander czekała. Pojawiły się dwa samochody, i zaraz odjechały.

Dzwoniła na komórkę Haldersa. Nie odbierał, ale też nie odrzucał połączeń.

Spojrzała na zegarek. Minęło już trochę czasu. Fredrik jest idiotą, ale nie aż takim.

Czekała. Jakieś kombi przejechało ulicą i zniknęło za rogiem, ale wydawało jej się, że przez minimalnie otwarte okno nadal słyszy jego silnik.

W samochodzie było ciepło, na zewnątrz - niewiele chłodniej. Wydawało jej się, że zobaczyła wysoki cień na tyłach willi. Drzewa w tle były szaroczarne. Chyba coś się tam ruszało. Nagle zaskrzeczała mewa. Wstawał nowy dzień.

Jeszcze trochę i nie będzie mogła dostrzec, czy w oknach pali się światło.

Ile to już razy tak siedziałam. Obserwacje. Ale teraz było inaczej, powinni już się zbierać. Nadchodził poranek.

W kieszeni na piersi zawibrowała komórka. Wreszcie.

- I jak idzie? - zapytał Winter.
- Myślałam, że to Fredrik.
- To nie jesteście razem?
- On. podszedł trochę bliżej domu, żeby coś. sprawdzić.
- Jak to sprawdzić?

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Kiedy to było? - zapytał zmęczonym głosem. Brzmiał jak zgrzyt dobywający się ze strun głosowych.

- Kiedy poszedł? - mówiła cicho.

Z domu wyszła młoda kobieta. Wsiadła do samochodu, który natychmiast ruszył i skręcił. Sara się schyliła.

- Sara?
- Musiałam się schować. No więc. jakąś godzinę temu.
- Godzinę?!
- Fredrik wie, co robi. Zresztą niecałą godzinę temu.
- Więc jak długo go nie ma?
- Godzinę.
- I nie odezwał się do ciebie?
- Nie. Dzwoniłam wiele razy, ale nie odbiera.
- Jadę tam.
- Robi się jasno.
- No tak.
- Nie wiem, czy.
- Ołać to - odparł Winter. - Wpadamy tam do was. Siedź w samochodzie, nie musisz się chować. Patrz, czy ktoś przychodzi albo wychodzi.
- Cały czas to robię.
- Zaparkuję przed domem. Wtedy możesz wysiąść.

## 32

WIDZIAŁA, JAK WINTER PARKUJE PRZED WILLĄ. Wysiadł i zaczął czekać, aż ona przejdzie przez ulicę.

- Widzieliśmy, jak Bielke wchodził do środka. Kurt Bielke.

- Aha.
- Nie wyglądasz na zaskoczonego.
- Dobra, dzwoniemy.

Weszli po schodach. Wszędzie wokół skrzeczały mewy, jakby się z nich śmiały. Winter wcisnął dzwonek. Zamontowano go na środku drzwi.

- To Fredrik go rozpoznał - dodała.
- Był pewien, że to on?
- Tak.

Winter zadzwonił jeszcze raz, ale nikt nie otworzył. Zaczął walić pięścią w potężne drzwi, ale ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Było już jasno, prawie jak w dzień. Przez okno na prawo od drzwi widać było kontury mebli.

- Idziemy na tyły - powiedział.

Nie znaleźli żadnych drzwi. Jedno z okien było uchylone, pod nim stała beczka z wodą.

- Tędy wszedł - stwierdził Winter.
- Wszedł?

Winter nie odpowiedział. Spojrzał na trawę i zobaczył kilka kropelek rosy na swoich butach. Stał tak jeszcze chwilę, po czym podniósł wzrok i przesunął się. Na trawie, której od tygodni nie musiano kosić, widać było ślady kół.

- Widziałas, żeby jakiś samochód przyjeżdżał tu w nocy?
- Tak mi się wydaje. Widziałam duży cień. - Spojrzała w stronę ulicy. - Wcześniej przejechało kombi. Może volvo. Chyba skręciło za tamtą posesją.

Ruchem głowy wskazała sąsiednią działkę. Była częściowo niezabudowana i schowana za domem, przy którym stali. Można było przez nią przejechać niezauważonym.

Winter podszedł do okna i wspinał się na beczkę. Spodziewał się, że łatwiej mu będzie utrzymać równowagę. Wilgotna trawa pod oknem była w kilku miejscach zgnieciona.

- Jest tam kto?! - krzyknął w okno. Nie było zaryglowane. Udało mu się otworzyć je łokciem. - Jest tam kto?!

Vennerhag zgarnął Samica spod wiaduktu. Pojechali na zachód.

- Cokolwiek się stało, nie chcę z tym mieć nic wspólnego. -  
To była pierwsza rzecz, jaką powiedział.

Samic powiedział mu, co się stało.

- Nie mam z tym nic wspólnego - powtórzył Vennerhag.

- Tkwisz w tym równie głęboko jak ja - odpowiedział Samic.

- Po prostu przez jakiś czas, i to w zeszłym tysiącleciu, byłem współwłaścicielem. To wszystko.

Za ich plecami słońce oznajmiało swoje nadejście. Zaczynało rozbłyskiwać tuż nad horyzontem. Byli sami na drodze.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Samic.

- Jak najdalej od miasta.

- Czuć od ciebie wodą.

- Widzisz gdzieś psy, czy co?

- Nie.

- To się zamknij.

- Co zrobimy?

- Nic.

- To nie przejdzie - stwierdził Samic.

- Oni o niczym nie wiedzą. Tam przecież nic nie zostało, no nie?

- Mam nadzieję, że nie.

- Nie chcę wiedzieć więcej niż to konieczne.

- A co, konflikt lojalności?

Vennerhag nie odpowiedział, jechał na zachód.

- Jedziemy na wyspy? - zapytał Samic.

- Dla ciebie to chyba bez różnicy, gdzie się będziesz ukrywał.

- Czy to nie będzie wyglądać podejrzenie?

Vennerhag zaśmiał się głośno, ale w jego oczach, które właśnie taksowały Samica w lusterku, nie było widać rozbawienia.

- Zbliżamy się do mostu - zauważył Samic.

Przejechali na drugą stronę. Vennerhag na sekundę odwrócił

głowę, spojrzął na ciągnącą się aż po horyzont spokojną taflę morza.

- Musimy ukryć łódź - powiedział Samic.

- Już ją odprowadzili.

- Chyba nie tutaj?

- Po prostu się zamknij - rzucił Vennerhag. Zjechał z mostu i prowadził w milczeniu. Skręcił dwa kilometry dalej, tam, gdzie las robił się gęstszy.

Winter podciągnął się i wszedł do środka. Sara stała pod oknem. Od strony ulicy usłyszała samochód.

- Jeśli to Lars i Bertil, powiedz im, że spróbuję otworzyć od środka frontowe drzwi, jak tylko je znajdę.

- A jeśli ktoś tam będzie?

- Nie będzie.

Gdzieś w brzuchu czuł, że musi być ostrożny, a może to był niepokój o to, co się mogło przytrafić Haldersowi.

Do tej pory nie dał znaku życia. Wszedł do domu, ale, jak twierdziła Sara, nie wyszedł.

Drzwi były otwarte, za nimi ciągnął się pusty i ciemny hol. Nie paliło się światło, tylko w szparze pod drzwiami na końcu widać było bladą smugę dziennego światła. Podszedł i otworzył je - prowadziły do dużego pokoju. Okna wychodziły na ulicę. Usłyszał walenie do drzwi. Znalazł je i odsunął zasuwę. Na progu stali Ringmar, Bergenhem i Sara Helander.

- Tutaj pusto - powiedział do nich.

- Każdy sprawdzi inne piętro? - zapytał Bergenhem.

Rozdzielili się. Winter wrócił tą samą drogą i zajrzał za kolejne drzwi.

Znalazł strome schody w dół. Było tak ciemno, że nic nie widział. Włączył latarkę i zszedł. Schody prowadziły do wąskiego korytarza, a ten do pustego pokoju. W środku wisiała kotara. Była tam też szyba. Obok stał sprzęt grający. Snop światła z latarki wwiercał się w ściany, rozganiał

ciemności na boki. W pokoju czuć było zapach potu. A może i czegoś gorszego. Strachu.

Świecił naokoło latarką. Zauważył na ścianie włącznik. Podszedł i włączył światło, tak jasne, że na sekundę go oślepiło.

Vennerhag jechał z powrotem, słońce świeciło mu w twarz. Kobieta czytająca w radiu prognozę pogody powiedziała, że będzie jeszcze goręcej. Niemożliwe.

Wyłączył klimatyzację, żeby móc się nacieszyć porannym wiatrem wpadającym przez okno. Ten zapach przypominał mu rzeczy, które znał, ale których nazwy zapomniał.

Zastanawiał się nad kilkoma sprawami. Był spokojny, choć sytuacja się skomplikowała.

Ha, ha.

Wcale o to nie prosił. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót, ale to nie była jego wina. Nie w tym sensie. Chyba że milczenie samo w sobie można uznać za winę. No tak, to jasne. Nie milczy się, jeśli się wie coś takiego. Nawet jeśli to nie dotyczy ciebie. Nie dosłownie.

Pokonał już ostatnie wzgórza i jechał dalej, do centrum. Zastanawiał się, co powinni z nią zrobić. Z nią. Samic okazał się bezużyteczny. Samic był zagrożeniem dla wszystkich, nawet tych gorszych od niego. Bo znał kilku takich.

Trzeba to przeczekać. Zastanowić się. Przespać się.

Winter stanął przed szybą. Zrozumiał. Pewnie znajdą podobne w innych pokojach.

To tutaj. Tu jest odpowiedź. To tutaj bywały dziewczyny. Musiały tu bywać i robić to, co do nich należało - tańczyć.

Technicy od Beiera będą mieli co robić.

W domu nie było nikogo. Dlaczego? Przez Haldersa? Tak. Zjawił się Halders i dlatego wszyscy inni zniknęli. Wszyscy. Kim są wszyscy?

I gdzie jest Halders?

Winter się rozejrzał. Kurz będzie musiał odkryć przed

technikami swoje tajemnice. Podobnie jak plamy, ślady, przedmioty.

Wdrapał się z powrotem na górę i skierował do dużego holu, z którego wchodziło się na piętra.

Na górze pokazał się Ringmar.

- Erik, podejdź tutaj.

Ringmar czekał u szczytu schodów. Był tam kolejny hol i kolejne drzwi, pod którymi przeciskało się światło poranka.

Za nimi mieścił się bar. Wnętrze wyglądało znajomo. Ściana sprawiała

wrażenie, jakby ją zbudowano z prawdziwych kamieni, ale kiedy Winter jej dotknął, poczuł plastik. Pod ścianą stały stolik i krzesła, na murze wisiały dziwne dekoracje.

- Dokładnie jak na zdjęciach - powiedział Ringmar.

- Musimy podziękować Sarze - odparł Winter.

Sara to usłyszała, właśnie weszła.

- Podziękujecie mi dopiero, kiedy Fredrik się odezwie.

Powinam go była powstrzymać.

- Powstrzymać Haldersa?

W drzwiach stanął Bergenhem.

- Obszedłem wszystko. Wygląda na to, że nikogo nie ma.

- W takim razie jedziemy zgarnąć Bielkego - stwierdził Winter.

Zadzwonili do drzwi. Otworzyła żona, w szlafroku. Wyglądała na zasną.

Bielke w milczeniu siedział w aucie Wintera na tylnym siedzeniu. Za nimi jechał radiowóz. Raz obejrzał się do tyłu.

- Za długo to trwa - powiedział, kiedy siedzieli w pokoju przesłuchań. Nie było w nim okien. Winterowi towarzyszył Ringmar. - To nadużywanie władzy.

- Chcielibyśmy zapytać o kilka rzeczy - odparł Winter.

Bielke wyglądał, jakby nie słuchał.

- Wyszły na jaw nowe okoliczności.

- Nic nie powiem bez adwokata - stwierdził Bielke. W świetle

jarzeniówki jego twarz nabrała ostrych rysów. Opaleniznę przecinały ukośne białe linie.

- Dobrze - odparł Winter i przerwał przesłuchanie.

Adwokat Bielkego sprawiał wrażenie, jakby już o wszystkim wiedział. Chociaż była ósma rano, przyszedł ubrany jak na obiad. Może zastanowiło go zmęczenie w oczach dwóch policjantów, którzy go powitali. Ale Winter wyczuwał w tym młodym mężczyźnie niepewność. W jego ruchach, oczach.

Zaczął przesłuchanie od nowa.

- Chciałbym, żeby pan rozwił nasze wątpliwości co do kilku wydarzeń z ostatniej nocy - powiedział.

Bielke czekał.

Winter podał godziny.

- Nie mogą panowie prosić o.

- Jeśli nadal będzie pan przeszkadzał, wyleci pan przez te drzwi.

- Słucham?

- Zakłóca pan przesłuchanie. Może pan zadawać pytania, kiedy pozwolę, więc albo tym razem zada je pan na końcu, albo pan wyjdzie.

Adwokat spojrział na Ringmara. Ringmar z uśmiechem kiwnął głową.

- Czy to dopuszczalne? - zapytał Bielke, przenosząc wzrok z Wintera na adwokata.

Winter zadał kolejne pytanie.

Bielke odpoczywał. Jego adwokat wyszedł, ale obiecał, że wróci.

- Erik, musisz się trochę przespać - powiedział Ringmar.

- No.

- Idź do domu.

- Tu się prześpię. Ze dwie godziny.

- Trzy. Wyluzuj, i tak przetrzymamy go kolejnych sześć.

- Chciałbym, żebyśmy mogli go zatrzymać.

- Molina zażąda czegoś więcej - stwierdził Ringmar. -



Oględnie mówiąc. Prokurator Molina zawsze żąda czegoś więcej, pomyślał Winter.

- Wyślij Bergehema i paru chłopaków do jego domu.
- To będzie musiała być twoja decyzja.
- To jest moja decyzja. Już postanowione.
- Czego mają szukać?
- Aparatu Angeliki.
- Co?
- Smyczy, pasków, aparatów fotograficznych. Wszystkiego, co nam pozwoli skurwiela przygwoździć.
- Myślę, że on jest chory.
- Teraz ty mówisz oględnie. - Winter spojrzał na Ring mara.
- Niech za godzinę Cohen usiądzie z nim i z tym jego adwokatem, o ile facet odważy się wrócić.
- Dobra.

Cohen miał doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań. Winter wykorzystywał to za każdym razem, gdy sam nie mógł się tym zająć.

- Musi coś powiedzieć o Fredriku, musimy go bardziej docisnąć - dodał Winter. - Mówiłem już o tym Cohenowi.
- Nie sądzę, żeby Bielke wiedział, co się stało - odparł Ringmar. - Myślę, że nie widział Fredrika.
- Ale może Fredrik widział jego.

### 33

TO ANETA ODEBRAŁA HANNESA I MAGDĘ ze szkoły. Mama Margarety miała się nimi zająć po południu. Dzieci były teraz całkiem osierocone. Aneta zastanawiała się nad tym słowem: osierocone. Przynajmniej w tym momencie były.

- Jak myślicie, jak długo to może potrwać? - zapytała mama Margarety z pewną nadzieją w głosie, kiedy Aneta do niej zadzwoniła.

Co miała odpowiedzieć?

Kiedy dzieci do niej podeszły, trochę jej się zakręciło w głowie. Miała wrażenie, jakby wszystko rozgrywało się gdzie indziej, jakby patrzyła na to przez filtr. Jakby siedziała w pociągu przecinającym krajobraz i wyglądała przez okno.

- Gdzie tata? - zapytał Hannes.

Co miała odpowiedzieć?

- Tata. pracuje - odparła.

- A kiedy wróci?

- Nie jesteśmy pewni. Dlatego to ja przyjechałam po ciebie i Magdę.

Wyglądało na to, że jego i jego siostrę to bawi. Wgramolili się do radiowozu. Aneta już wcześniej powiedziała Winterowi, że nie chce prowadzić.

Wysiedli przed domem Haldersa. Weszła z dziećmi do środka i spojrzała na zegarek. Ich babcia miała przyjść za dwie godziny.

- Jesteście głodni? - zapytała.

\*

Wyjęła z zamrażarki kotlety na hamburgery i bułki. Magda pokazała palcem, gdzie stoi keczup. Na niższej półce znalazła cebulę i główkę sałaty. Już zaczynała brązowieć na krawędziach. Przyrządziła szare kotlety. Po usmażeniu zrobiły się brązowe. Zrobiła hamburgery. Dla Magdy bez cebuli.

- Jesteś z Afryki? - zapytała mała z pełną buzią.

- Z Afryki - poprawił ją brat. Chyba wyglądał na zawstydzonego. - Mówi się Afryka.

- Moi rodzice pochodzą z Afryki, z kraju, który się nazywa Burkina Faso - wyjaśniła Aneta. - Kiedyś nazywał się Górna Wolta.

- I leży nad Dolną Wolta - powiedziała Magda i zachichotała. Brat ją szturchnął. Aneta też poczuła uderzenie, ale w

środku. Fredrik, Fredrik. Stań w tych drzwiach i powiedz coś głupiego o Wagadugu. Cokolwiek, kiedykolwiek. Sekundę później weźmiemy ślub. Kupimy dom w takiej części miasta, w której mieszkają też ludzie o innym niż biały kolorze skóry. Albo zamieszkamy tu. Albo przeniesiemy się do Górnej Wolty. Albo będziemy tam codziennie wpadać. Tylko pokaż się w drzwiach. Zadzwoń na komórkę, ty wielki, kochany idioto.

- A jak tam jest? - zapytał Hannes.

- W Burkina Faso? Jest tam bardzo dużo piachu. - Spojrzała na swojego hamburgera. Nie tknęła go. Zaczynał już wysychać na talerzu. - Byłam tam tylko raz. Dziesięć lat temu.

- A dlaczego nie więcej razy?

- Cóż. urodziłam się tutaj. W Göteborgu. Jestem Szwedką.

- Są tam lwy? - zapytała Magda.

- Nie za dużo. Więcej jest wielbłądów.

- Czy to pustynia?

- Duża część kraju jest pustynią.

- A słyszałaś o tym samolocie, co się rozbił na pustyni? - zapytał Hannes.

- To śmieszna historia - powiedziała Magda.

- Nie - odparła Aneta, spoglądając na Hannesa.

- Kapitan wysłał wszystkich pasażerów, żeby szukali jedzenia. - Hannes uśmiechał się od ucha do ucha. - To znaczy wszyscy przeżyli wypadek. No i wysłał ich, a oni wracają i mówią, że mają złą wiadomość i dobrą wiadomość.

- Spojrzał na Anetę. - Rozumiesz?

- Tak.

- Dobra, mówi kapitan, najpierw zła wiadomość. Do jedzenia mamy tylko wielbłądzie gówno, odpowiadają pasażerowie. A jaka jest w takim razie dobra wiadomość? - pyta kapitan. Pasażerowie odpowiadają: mamy go całe mnóstwo!

Roześmiała się.

- To tata nam opowiedział - wyjaśniła Magda.

Dzieci poszły do siebie. Aneta wzięła się za zmywanie. Słońce razilo ją w oczy, więc zaciągnęła żaluzje.

Siedząc w salonie, z pokoju Hannesa słyszała cichy pomruk komputera. Metaliczne zawodzenie jakiejś gry.

Zacząła przeglądać płyty. Fredrik jednak miał gust, pomyślała i natychmiast się poprawiła - ma gust. MA. Amerykańscy pieśniarze, trochę alternatywnego country.

Siedziała z kilkoma okładkami w rękach. Za oknem drzewa stały bez ruchu w popołudniowym upale. Na gałęziach spały ptaki. Może dzieci też smacznie sobie śpią. Komputer w pokoju Hannesa zamilkł.

Puściła Buddy'ego Millera. Może Fredrik usłyszy i wpadnie przez drzwi na

werandę: Kto, do cholery, rusza moje płyty: *Nothing can stop me stop me stop my loving you, you'll crawl through the fire, walk to the river, you'll be the taker, I'll be the giver.*

Winter spał półtorej godziny, w pokoju, w którym można było w razie potrzeby przemocować. Co chwilę się budził. Śniły mu się straszne rzeczy. Po przebudzeniu nie mógł sobie nic przypomnieć, ale wszystko to tłukło mu się jeszcze niespokojnie po głowie, jakby miał gorączkę.

Pierwszym, co zobaczył, zanim jeszcze otworzył oczy, była twarz Haldersa. Kiedy wreszcie uniósł powieki, zobaczył pustą ścianę w kolorze sików.

Podniósł się i mocno potarł twarz. Spojrzał na zegarek. Wyciągnął się po telefon. Leżał obok, na wąskim stoliku. Zadzwoił do domu.

W głosie Angeli słyhać było niepokój.

- Erik, co się dzieje?

- O mnie nie musisz się martwić. Gorzej z Fredrikiem.

- Żadnych wiadomości?

- Nie. Jest tam Elsa?
- Właśnie zalicza popołudniową drzemkę.
- To tak jak ja.
- Kiedy przyjdiesz do domu?

Kiedy to się skończy, pomyślał. Może się uda szybko to załatwić.

- Mamy świadka. Musimy z nim jeszcze trochę pogadać.
- Aha.
- Między innymi chcemy się dowiedzieć czegoś o Fredriku.
- A ten świadek wie, co mogło się z nim stać?
- Nie mam pojęcia - powiedział Kurt Bielke. Jego twarz miała wciąż ten sam oschły wyraz, przecinały ją białe linie. Nie spał.

Winter nie pozwolił mu palić. Adwokat siedział z nimi. Słuchał i notował.

Pewnie będzie skarga. Trudno, niech będzie. Winter przebiegł wzrokiem kilka linijek leżącego przed nim dokumentu.

- Kolejny raz mówię, że nie widziałem tego policjanta - powtórzył Bielke.
- Był w tym samym domu, w tym samym czasie - powiedział Winter.
- To chyba niemożliwe, bo wtedy spałem we własnym domu.
- Ktoś od nas widział, jak pan wchodzi do willi, o której mówię.
- To kłamstwo, bo przecież mnie tam nie było. Nie wiem nawet, gdzie to jest, i nie będę wiedział, dopóki sami mi nie powiecie.

- Po co pan kłamie?

- Po co wy kłamiacie? - Bielke był spokojny. Nie zadziorny i arogancki jak inni przesłuchiwani.

Przebiegły socjopata, pomyślał Winter.

Nagle poczuł się zmęczony, bardziej niż gdy się kładł do miękkiego, wręcz zbyt miękkiego łóżka. Sara nie widziała

wcześniej Bielkego. To błąd. Stało się, trudno, są tylko ludźmi. A kim jest Bielke?

Winter pomyślał o prokuratorze Molinie. Potrzebowali czegoś więcej, żeby zatrzymać Bielkego. Mogli go przesłuchiwać jeszcze pięć godzin, a potem albo nakaz zatrzymania, albo wolność. Na razie wyglądało na to, że wolność. Ale Winter liczył na zatrzymanie. Mogliby wtedy pracować w spokoju, zanim sąd zdecyduje o ewentualnym aresztowaniu Bielkego. Winter chciał, żeby Molina podzielał jego uzasadnione podejrzenia wobec niego. Chciał też, żeby te podejrzenia znalazły potwierdzenie w faktach. Ale o co konkretnie go podejrzewali? O współudział w porwaniu Haldersa? O zamordowanie trzech dziewczyn? O zgwałcenie własnej córki? Sądząc po zachowaniach, które prezentował do tej pory, nie można było wykluczyć żadnej z tych opcji. Bielke był kluczem. Nie mogę teraz popełnić zbyt wielu błędów, pomyślał Winter.

Potrzebował świadka. Dowodu. Czegoś, co połączy Bielkego z tym miejscem.

Bielke będzie szedł w zaparte. Jest mocny.

Winter znów pomyślał o Haldersie. O jego gładko wygolonej głowie, twardej niczym przybrzeżne skały, na których teraz wylegiwali się i opalali ludzie.

Od razu zaczęli szukać Samica, ale Samic zniknął. Nie było go w restauracji, w domu ani u znajomych, o których wiedzieli. Właściwie to nie jestem zaskoczony, powiedział Ringmar. Jest tam, gdzie Halders, dodał Bergenhem. Czy miał na myśli tamten świat? Winter nie mówił nic, szukał dalej w świetle poranka na jasnych ulicach miasta.

Bergenhem pojechał przeszukać dom Bielkego. Razem z Johanem Setterem, inspektorem, i z Sarą Helander. Jestem wszędzie, pomyślała Sara. Może tutaj lepiej mi pójdzie. Nie chciała iść spać. Dopóki nie znajdą Fredrika.

Żona Bielkego nie odezwała się ani słowem, siedziała w swoim pokoju.

- Teraz tam nie wchodzimy - powiedział Bergenhem.

- To gdzie idziemy? - zapytał Setter.

- Gdzie jest ich córka? - zapytała Sara.

- Poszła się wykąpać - odpowiedział Bergenhem.

- No to możemy zacząć od jej pokoju - stwierdził Setter.

- Już go przeszukaliśmy - odparł Bergenhem. - I to dokładnie.

- Ale to było kiedyś - stwierdził Setter.

- Czy ona wie? - zapytała Sara.

- O czym? - Bergenhem spojrzał na nią.

- Czy wie, że o świcie zgarnęliśmy jej ojca.

- A my wiemy?

Dom jest mniejszy, niż się wydaje z zewnątrz, pomyślała. Większość okien była uchylona. Wpuszczały do środka zapach morskiej soli, skał, wysuszonego pyłu i spalonej słońcem trawy. W powietrzu unosił się przypominający mgłę kurz. Może od kiedy to wszystko się zaczęło, nikt nie zdążył tu posprzątać.

- Idę do garażu - powiedział Bergenhem.

Wszystko wisiało w rzędkach albo było porządnie poukładane w szufladach. Bielke miał wszystko, czego potrzebuje właściciel starej willi.

W podwójnym garażu stały dwa samochody.

Bielke poszedł do tamtego domu na piechotę. Sara nie widziała samochodu. Może cały czas stał w garażu. Niedługo się dowiedzą.

Bergenhem przeglądał szufladę za szufladą. Tak trzeba. Rutyna przynosi efekty. Czasem najmniej spodziewane. Podejrzany mógł na przykład ukryć coś kompromitującego w najzwyczajszym miejscu, gdzieś w domu. Było to nie tylko prawdopodobne. Tak się po prostu często zdarzało. Broń trafiała z powrotem na swoje miejsce na ścianie, tuż obok

głowy łosia. Nóż zawisał wśród innych na magnesowym uchwycie w kuchni. Smycz jak zwykle wisiała na krześle w holu. Udziec barani - po tym jak już roztrzaskano nim komuś głowę - lądował z powrotem w zamrażarce. Lepsze to, niż trafić do gorącego piekarnika. Czy przypadkiem nie czytał gdzieś takiej historii?

Smycz. Bielke nie miał psa. Świetnie by było, gdyby im się udało znaleźć smycz albo coś innego, czym można kogoś udusić.

Stał przy mniejszym samochodzie, kombi kompakt Złapał za klamkę lewych przednich drzwi. Nie były zamknięte. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Wystarczyło, że drzwi garażu były zamknięte. Za chwilę będzie musiał zdecydować, kiedy wezwać prawdziwych przeszukiwaczy, tych z wydziału Beiera.

Załóżył rękawiczki i otworzył drzwi. Przeszukał szybko schowek, podłogę i siedzenia. Papiery, okruchy, kurz, mapa Europy. Wyschnięta guma do zucia w popielniczce. Nie było czuć zapachu papierosów.

Wyciągnął kluczyki i otworzył bagażnik. Rozkładane krzesło, koc, najwyraźniej zwinięty byle jak, w pośpiechu, kosz z wikliny lub czegoś podobnego, para roboczych rękawic zaplamionych olejem i innym brudem, kilka starych, lekko już pożółkłych gazet, pusta skrzynka na butelki, kapeć z dziurą na palcu. Pogryziony przez psa, pomyślał Bergenhem. Ostrożnie odłożył wszystko na bok i otworzył schowek na dnie bagażnika. Nieużywane koło zapasowe, pokrowiec na lewarek i opakowanie na inne narzędzia. Nic więcej. Zamknął schowek.

Kiedy już opuszczał klapę, zauważył z lewej strony ledwo widoczną klapkę. Wyglądała jak cień na ścianie bagażnika. Wyrysowano na niej jakiś symbol. Pociągnął, ale ani drgnęła. Spróbował jeszcze raz, mocniej. Otworzyła się ze świstem. Skrytka na złożony trójkąt ostrzegawczy i płaską apteczkę.



Wyjął jedno i drugie. To było wszystko. Włożył rękę do skrytki i w głębi, z prawej, wyczuł coś jeszcze, coś twardego. Wyciągnął i zanim zobaczył, co to jest, już wiedział.

Aparat fotograficzny. Zakurzony, ale dość nowy. Niewielki i łatwy w obsłudze. Coś, co eksperci nazywają aparatem dla idiotów.

W aparacie był film. Dopiero teraz ujrzy światło dzienne, pomyślał.

Dość nietypowe miejsce na przechowywanie aparatu. Obok trójkąta. Jakby naprawdę ktoś mu dawał znak: Lars, uważaj. Za plecami usłyszał czyjś głos.

- Co tu się dzieje?

Odwrócił się i zobaczył Jeanette. Stała, trzymając rower. W szortach, T- shircie i sandałach, opalona i ładna. Na nosie miała ciemne okulary. W koszyku rowerowym ręcznik plażowy i butelkę napoju.

- Jest pan dziennikarzem?

Berghem spojrział na aparat, który trzymał w ręku.

- Jestem z policji - powiedział. Nie spotkali się wcześniej. Podszedł bliżej.

- Lars Berghem, wydział śledczy.

- Dlaczego się tu po prostu nie przeprowadzicie?

Chyba lepiej, żeby to twój ojciec przeprowadził się do nas, pomyślał. Wyglądała na spokojną. Ciekawe dlaczego.

- I co teraz będzie z tatą?

- Chcemy mu zadać kilka pytań.

- Zawsze się tak mówi.

- To twoje? - zapytał, podnosząc aparat.

- Nie.

- Twojego taty?

- A gdzie to było?

- W samochodzie. W oplu.

- Właściwie to mama jeździ nim na zakupy.

Berghem pokiwał głową.

- Ale nie kojarzę tego aparatu. Mam podobny, ale u siebie w pokoju. Przynajmniej jeszcze dziś rano tam był.

Z Bielkego nie dało się nic wyciągnąć. Na pytania odpowiadał pytaniami. Winter zrobił przerwę. Chciał spróbować dowiedzieć się czegoś więcej od

Andy'ego, przyjaciela Anne Nöjd. Przyszedł na ich prośbę.

Ale on też nie miał już nic do powiedzenia. Winter był o tym przekonany, na tyle, na ile to możliwe. Andy naprawdę był zrozpaczony. Wyglądał, jakby wpadł w katatoniczne osłupienie.

Wtedy zadzwonił Bergenhem.

- Ani żona, ani córka go nie rozpoznają - powiedział. - Dziewczyna ma swój aparat u siebie. Mówią, że jest też drugi, wspólny, w kuchni.

- Zabierz je i przyjeżdżaj natychmiast - rozkazał Winter.

- To znaczy i dziewczynę, i matkę? - zapytał Bergenhem.

- Chodziło mi o aparaty.

\*

Tylko w aparacie, który Bergenhem znalazł w bagażniku, był film. Rolka wykorzystana w połowie. Zdjęcia dostali w czterdzieści minut. Zebrali się: Winter, Bergenhem, Ring mar, Sara Helander i Aneta Djanali.

Wszyscy siedzieli bez słowa. Winter położył na dużym stole stosik zdjęć, a potem zaczął je po kolei podnosić. Bergenhem odezwał się przy drugim.

- Cholera, przecież to Angelika Hansson.

Jej ciemna twarz promieniała nie mniej niż słońce, które oświetlało wszystko wokół i ją samą, stojącą na piachu nad wodą. Bardzo dużo piachu, pomyślała Aneta. Żadnych wielbłądów, żadnego wielbłądziego gówna, ale za to bardzo dużo piachu.

Cztery zdjęcia Angeliki z plaży. Zrobione z mniej więcej tego samego miejsca. Zwykle marnotrawstwo, stwierdziła w

myślach Aneta.

Jakiś chłopak się uśmiechał. Stał sam w tym samym miejscu co wcześniej Angelika.

- To on - powiedział Winter. - Chłopak Angeliki.

- Jest też na tym zdjęciu na skraju lasu - zauważył Ringmar.

- To miejsce wygląda znajomo - dodała Sara Helander.

Gdyby Fredrik był tu z nami, na pewno by powiedział, że to zachodnie wybrzeże, pomyślała Aneta.

- Na tym zdjęciu w tle widać boisko do piłki nożnej - powiedział Bergenhem.

- Kąpielisko w Hovås - stwierdził Winter. - To kąpielisko w Hovås.

- A to gdzie? - zapytała Sara.

- To dom Angeliki - odparł Winter. Przed willą nie było nikogo. Zdjęcie zrobiono po południu, na ziemi kładły się długie cienie.

- A tutaj mieszkają Bielke - zauważył Bergenhem przy następnym zdjęciu.

- I to też ich dom.

Winter podniósł odbitkę jak krupier w kasynie przy black jacku. To dobra metoda, tak łatwiej się skupić. I jemu, i innym. Zostało jeszcze tylko kilka zdjęć.

Spojrzał na kolejne zdjęcie przedstawiające jeszcze inną willę. Ta stała na północ od domu Angeliki Hansson i na południe od domu Jeanette Bielke.

- O cholera. - Ringmar nie wytrzymał.

- A to dom rodziców Beatrice Wägner - powiedział Winter.

- Że co? - powiedziała Sara Helander.

- Dom Beatrice Wägner - powtórzył Winter takim głosem, jakby próbował odczarować zdjęcie, zmienić to, co na nim widać.

Przed tym domem też nie było nikogo. To zdjęcie też zrobiono latem. Dość późno, bo także na nim cienie sięgały daleko. Winter spojrzał na pozostałe zdjęcia. Trzymał je w

prawej ręce. Co zobaczą teraz?

No to się doczekał. Będzie zatrzymanie i areszt, ale jakoś go to nie ucieszyło.

- O Boże - jęknęła Aneta.

- Co jeszcze? - zapytał Bergenhem.

Winter podniósł ostatnie trzy zdjęcia. Wszyscy przyglądali im się w milczeniu.

- Taaak... no to mamy sprawcę - powiedział Bergenhem.

- Ale dlaczego? - Sara zadała pytanie, które nie dawało spokoju im wszystkim.

Szaleństwo, to była następna myśl. Szaleństwo wyjaśnia wszystko, a jednocześnie nic, pomyślał Winter.

Popatrzył jeszcze raz na ostatnie odbitki. Zaczął od lewej.

Willa stojąca po drugiej stronie rzeki, ta, w której zniknął Halders.

Przypominająca grotę skalna szczelina, przy której znaleźli Angelikę i Beatrice i przy której napadnięto Jeanette.

Miejsce, gdzie znaleźli Anne Nöjd. Miejsce, w którym padły jej ostatnie słowa. nie, miejsce, w którym rozległ się jej ostatni krzyk, krzyk przerażenia, nagrany na jej własną automatyczną sekretarkę.

Na wszystkich zdjęciach widać było długie cienie.

Zrobiono je, kiedy nie było tam policyjnych taśm.

Ringmar powiedział na głos to, co myśleli wszyscy:

- Czy on wiedział, co zrobi? Czy wszystkie te przekłete zdjęcia zrobił. wcześniej? Zrobił je, zanim to się stało?

O Boże, osiemnasty już raz pomyślała Aneta. Jedyne, czego nam jeszcze brakuje, to zdjęcie jakiegoś nieznanego miejsca, w którym znajdziemy Fredrika. O Boże. Gdybyśmy trafili na te zdjęcia wcześniej, zanim popełniono te zbrodnie. Tu i tu, i tu ktoś zostanie napadnięty i zamordowany. Jeśli się uda szybko te miejsca znaleźć, to może zdołamy wnieść jakiś wkład w zapewnienie świata pokoju.

Sam aparat leżał już na górze, u Beiera.

Bielke leżał w celi. Zresztą nie wiadomo, może siedział.

- Mamy robotę - powiedział Winter.

Cienie za oknem wydłużały się coraz bardziej. Wieczór był już blisko. Oni też byli blisko - celu, pomyślał Winter.

### 34

WINTER POSZEDŁ DO STUDIA YNGVESSONA. Powietrze było tam suche, jakby od roku nikt nie wietrzył. Kurz przecinały unoszące się nad komputerem smugi światła. Taśmy ze śmiertelnymi krzykami obracały się na szpulach. Winterowi trudno było oddychać.

Kiedy to się skończy, rzucę palenie.

Kupimy dom nad morzem, wezmę roczny urlop, a potem zobaczymy.

- Nadal mam tylko fragmenty - powiedział Yngvesson.

- Kiedy mam wrócić?

- Przyjdź po południu.

- Do tej pory w takich wypadkach nigdy się nie udało rozpoznać głosu. Naprawdę go rozpoznać. Myślisz, że to możliwe? Że można rozpoznać głos, który się już słyszało?

- Postaram się, żeby rejestr tego głosu był jak najbliższy rzeczywistego.

Kurt Bielke wpatrywał się w jakiś punkt nad głową Wintera. Między nimi, na stole, leżał aparat. Technicy Beiera już go obejrżeli. Było na nim dużo odcisków palców. Zgadzały się z innymi, jeszcze niezidentyfikowanymi, które zebrali w domu Bielkego. Od niego jeszcze nie wzięli odcisków. Ale już wkrótce będą mogli. Winter rozmawiał z Moliną o nakazie zatrzymania. Daj mi godzinę, powiedział prokurator. Albo nie. Sami się nim zajmujcie przez godzinę. Potem zadzwoń.

A potem pobierzemy próbki krwi, pomyślał Winter. A potem będzie po wszystkim.

Bielke wciąż nieruchomym wzrokiem patrzył przed siebie.

- Pytam więc jeszcze raz: wie pan, do kogo należy ten aparat?

- Nigdy go nie widziałem.

- Znaleźliśmy go u pana w domu.

Bielke nie odpowiedział.

Winter spojrzał na magnetofon.

- Powtórzę: znaleźliśmy go w pańskim domu, panie Bielke.

Bielke wzruszył ramionami.

- Czemu tam był?

- Gdzie?

- W pańskim domu.

- Gdzie w moim domu?

- Znaleźliśmy go w jednym z samochodów, w garażu.

- Nie mam pojęcia.

Winter się zastanawiał. Powietrze krążyło po pokoju, w którym już i tak było gorąco i ciasno.

Chciał usłyszeć wyznanie winy. Teraz.

Wszyscy chcieli iść do domu. Na dworze czekało słoneczne lato.

- Zidentyfikowano też pana na miejscu zbrodni.

Bielke milczał. Mógł zapytać, na jakim miejscu zbrodni, ale się nie odzywał.

- Proszę porozmawiać z moją rodziną - powiedział.

- Słucham?

- Porozmawiajcie z moją rodziną.

- Po co?

- Wiedzą, gdzie byłem.

- Na razie pytam o to pana.

Bielke nic nie odpowiedział. Patrzył nieobecny wzrokiem. Jego oczy miały kolor spranego dżinsu - niebieski przechodzący w biel, niebieski, który zaraz zniknie.

A jeśli odciski palców, analiza DNA i inne takie nic nie dadzą? - pomyślał Winter. Jeśli on wyjdzie?

Pytał dalej. Bielke od czasu do czasu odpowiadał.

Po godzinie Winter zadzwonił do Moliny i dostał upragniony nakaz zatrzymania. Zyskał trochę czasu, najwyżej cztery doby. Potem sąd zdecyduje, czy zastosować areszt, czy nie.

- Musisz to mądrze rozegrać - powiedział Molina.

Winter nie odpowiedział, odłożył słuchawkę. Trochę mu ulżyło. Kiedy to uczucie ulotniło się wraz z dymem z cygaretki, uleciało przez okno i dalej, na drugą stronę rzeki, wrócił myślami do słów Bielkego.

Rodzina.

Ten facet jest szalony. Wszystko, co mówi, może i ma sens, ale chyba tylko dla niego.

Winter zadzwonił do wydziału technicznego. Odebrał Beier.

- Twoi ludzie wciąż są w domu Bielkego?

- W tym momencie akurat nie. Czemu pytasz?

- Wychodzę już.

- Masz go?

- Jeszcze nie wiem. Kiedy się odezwą z laboratorium?

- W sprawie szkła? Obiecali, że posiedzą nad tym po godzinach, ale wiesz, jak jest.

Odkurzyli buty i ubranie Bielkego, sztuka po sztuce, specjalnym odkurzaczem z jednorazową rurą i jednorazowym filtrem. Zebrali w ten sposób mnóstwo drobin szkła. Chcieli je porównać z odłamkami, które zebrali po napadzie w domu Hanssonów. To oczywiście nie musiało nic znaczyć, ale można było zmierzyć współczynnik załamania światła w szkłe i stwierdzić, czy to samo znaleziono w butach i w kieszeni koszuli. Wyniki mogłyby posłużyć za poszlakę, ale nic więcej. Przecież takich szyb może być dużo. Ale to mogło ich zaprowadzić do czegoś innego, a to z kolei jeszcze dalej.

\*

Jechał samochodem. Kolejne gorące późne popołudnie, niezapowiadające wieczornego ochłodzenia. Słońce nadal

świeciło mocno. Znikało za zachodnią częścią horyzontu, tam, gdzie zmierzał.

Wszystkie rośliny kurczyły się w upale i powoli obumierały, wydzielając ten sam suchy i kwaśny zapach, który panuje w domach starców, gdzie wiekowe ciała wysychają przed śmiercią. Tu też czuć było smród rozkładu zmieszany z przenikliwą wonią środków dezynfekujących. Skręcił do domu Jeanette Bielke.

Na werandzie nie było nikogo. Zauważył, że okno pokoju Jeanette jest otwarte na oścież.

Rodzina.

Może według tego szaleńca to ma jakiś sens. Jeanette. Czy to ona jest kluczem do tych wszystkich zagadek? Jej stosunek do ojca jest bardzo złożony. W tej sytuacji te słowa brzmią okrutnie. Winter stanął przed frontowymi drzwiami. Były uchylone na dziesięć centymetrów. Czy ona też jest szalona? A jej matka? Co jest normalne? Uśmiechnął się krzywo do swoich myśli. Wyczuł w nich autoironię: jakie to ma znaczenie, dokąd zmierzamy? czy faktycznie czasem stajemy na rozstajach? czy świat naprawdę istnieje? w którym ze światów życie ma największe znaczenie?

Zapukał do drzwi. Pod naporem jego ręki otworzyły się jeszcze szerzej. Zawołał. Cisza. Zawołał jeszcze raz i przeszedł przez próg. Po lewej zobaczył zachodnią część ogrodu - widać ją było przez okno pokoju znajdującego się za przestronnym jasnym holem. Cienie już nie mogły wydłużyć się bardziej. Mewy skrzeczały jak szalone, szukały w ogrodach odpadków. Nagle coś w ogrodzie się poruszyło. Jeden z cieni był krótszy, odcinał się od pozostałych, większych, tych, które zaraz miały zniknąć, wchłonięte przez ziemię.

Jakiś ruch, jakby ktoś przebiegł przez trawnik. Winter wyskoczył na zewnątrz i ruszył zwirową ścieżką dookoła domu. Próbował się rozglądać we wszystkie strony naraz. Dlaczego ja to robię? Dlatego że ktoś był tu, na zewnątrz, a to



ma związek z tym, co się dzieje, co się stało w tym domu. Mewy śmiały się z niego. Stał, a wokół nie było nikogo. Cienie rozpełzły się już po całym trawniku, pokryły go niczym żałobny kir. Winter podszedł do okalającego działkę żywopłotu. Były w nim dziury na tyle duże, że dałoby się przez nie przejść.

I co teraz?

Odwrócił się w stronę domu. Żadnego ruchu, żadnych głosów, żadnego wołania, żadnej twarzy. Nikogo.

Powinny były coś zrobić. I te uchylone drzwi. Kolejny raz przekroczył próg. W środku panowała absolutna cisza, tylko zza okien dobiegały głosy ptaków i cichy szum z ulicy. Nie było słyhać radia, zmywarki, okapu nad kuchnią, miksera, telewizora, sztucców pobrzękujących o talerze, głosów, śmiechu, płaczu, uderzeń. Niczego.

- Jest tu ktoś?

Stał bez ruchu, nikt nie odpowiedział.

- HALO?

Wszedł na górę. W holu na piętrze było ciemniej. Zobaczył uchylone drzwi. Do pokoju Jeanette. Usłyszał cichy świst, jednostajny szmer. Zdawał się unosić pod sufitem.

- JEANETTE, JESTEŚ TU?

Szybko przemierzył hol i wszedł do jej pokoju. Okno wciąż było szeroko otwarte. Podszedł do niego i spojrzał na ogród, na żywopłot i na drzewa. Za jednym z nich coś się poruszyło, mignęło coś jasnego, ale natychmiast zniknęło. Coś jakby kula wyłaniająca się ze zmierzchu. Stał bez ruchu. Zobaczył jakiś ruch w krzakach i w zaroślach, ale nie zdążyłby już zbiec na dół. A potem wszystko zamarło. Czekał, ale twarz już się nie pojawiła. Bo to była twarz, albo jej zarys. Nie dostrzegł w niej jednak nic znajomego, odległość była zbyt duża.

Odszedł od okna i znowu usłyszał szmer. Wciąż był jednostajny, ale głośniejszy. Brzmiał jak. brzmiał jak. Obrócił się szybko w prawo, w stronę sypialni, z której wchodziło się

do łazien. O Boże. Zobaczył wąską strużkę wody. Właśnie zaczynała się sączyć spod drzwi. Pełzła po parkiecie, połyskując w świetle uroczego wieczoru. Ten szum... ta woda, tam, w środku, szumiała jak jakiś pieprzony wodospad. Winter rzucił się w przód i naparł na drzwi. Były zamknięte. Naparł jeszcze raz, pchał, krzyczał, wykrzykiwał jej imię. Zrobił dwa kroki w tył i kopnął w sam środek, tam, gdzie drewniane płyty zdawały się stawiać najmniejszy opór. Trzy kopniaki, cztery, wreszcie dziura. Kopiając dalej, przecisnął się do łazienki. Pełno wody i krwi. Poślizgnął się i upadł na podłogę. Poczul, jak coś mu pęka w łokciu, ale podniósł się. Bolało, ale miał wrażenie, że to nie jego ból. Jego koszula khaki była już czerwona od krwi i wody wciąż chlustającej z wanny, w której siedziała Jeanette. Oczy miała otwarte, a może zamknięte, nie widział. Widział tylko jej twarz i szyję wynurzające się z... czy może raczej tonące w szkarłatnym morzu. Ruszył do niej posuwistym krokiem, jakby jechał na łyżwach po lodzie. Schylił się i podniósł ciało, które okazało się cięższe niż wszystko, co dźwigał dotychczas. Łokieć bolał, jakby mu ktoś przypalał ranę.

Kiedy dotarł do domu, z ręką na temblaku i bólem, który w porównaniu z tym, co czuł wcześniej, był jak pieszczota, było już po północy. Angela, chyba jeszcze bledsza niż on, przytuliła się do niego. Załatwiła mu założenie opatrunku szybciej, niż sam mógłby to ogarnąć. W końcu pracowała w szpitalu.

W holu czekała opiekunka. Dostała pieniądze, ale kiedy zobaczyła twarz Wintera, wyglądała na wystraszoną.

- Nalej mi whisky - powiedział, siadając na krześle w kuchni.
- Nie powinieneś pić alkoholu z tym łokciem.
- Podwójną.

Angela naląła z jednej z butelek stojących na kuchennym stole i podała mu szklanę.

- Uuuch... - wyjęczał po pierwszym haŕście.

Czuł, jak alkohol rozchodzi się po jego ciele, idzie w górę, do głowy, i w dół, do łokcia. Wypił kolejny łyk.

- Powinieneś być tam jeszcze zostać - powiedziała. - Będą ci musieli zagipsować rękę, kiedy opuchlizna zejdzie.

- Żyje - odparł, wyciągając do niej szklanke. Angela dołała mu, tylko centymetr. - Jeszcze jeden - poprosił. Dołała wypił.

- Mało brakowało, ale żyje.

- O mały włos.

- Ale wyjdzie z tego.

- Na to wygląda. Straciła dużo krwi. Właściwie za dużo, żeby przeżyć.

Winter wciąż miał przed oczami podłogę w łazience i wodę wylewającą się z wanny. Czuł ból i ciężar. Wciąż widział nagie ciało dziewczyny. Położył ją na podłodze, żeby wyłowić komórkę, która mu wpadła do obrzydliwej spienionej wody rozchlapywanej przez lejący się z kranu strumień. W końcu dał za wygraną i, ślizgając się, poszedł do pokoju. Zadzwoił z telefonu stojącego przy łóżku. Wrócił do łazienki i wokół nadgarstków Jeanette zacisnął pasek i kawałek firanki, którą zdarł z okna w jej pokoju. Nasłuchiwał, czy serce jeszcze bije. Wydawało mu się, że bije. Zrobił jej sztuczne oddychanie. Była bezwładna. Kiedy już sprawdził nadgarstki, zaczął szukać innych ran. Zanim przyjechała karetka, zrobił wszystko, co mógł.

- Erik...

- Yyy... co?

- Musisz się przespać.

- Jak?

- Pomogę ci.

Pochyliła się nad nim. Była silna.

Jest silniejsza ode mnie.

- Uratowałeś jej życie.

- Wszystko robiłem za wolno.

- Gdybyś się tam nie zjawił, już by nie żyła.

- Właściwie już nie żyła.

- Eriku, daj już spokój.

Pozwolił sobie pomóc. Położył się i zasnął.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuł, był zapach kawy. Usłyszał głos Elsy. Zadawała kolejne pytanie - własnymi słowami. Angela odpowiedziała. Spróbował się podnieść, ale łokieć dał o sobie znać.

Elsa siedziała w kuchni w swoim foteliku.

- TATA, TATA!

Przysiadł obok niej i długo, długo nie wstawał.

Zadzwoił do szpitala. Siedział na kocu w salonie i robił, co mógł, żeby Elsa nie dotknęła jego łokcia. Angela ją podniosła, zaczęły się bawić w samolot.

- Kryzys minął - powiedział.

- Poczekaj.

Po chwili wróciła, sama.

- Jest taka mądra. Zasypia, kiedy się ją poprosi.

- Ale, koniec końców, to do niej należy decyzja - powiedział Winter z uśmiechem.

- Rozumiem, że zostajesz w domu.

- Obudziła się.

- Nie.

- Mówię o Jeanette.

- Pojedziesz tam?

- Bertil i Lars już tam są.

- Czy to jest odpowiedź na moje pytanie?

- Pomożesz mi się ubrać? - Wciąż myślę o Fredriku.

- Myślisz, że ja nie?

- Wiem, wiem. ale to się wydaje takie nierzeczywiste. Gdzie on jest? Czy coś takiego już się kiedyś u was zdarzyło?

Zauważył, że nagle zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. Doszły do głosu jej własne przeżycia. Doba spędzona w cudzym mieszkaniu, cuchnącym nienawiścią i szaleństwem. Kiedy tak siedzieli razem, na jej twarzy malowały się coraz to

inne uczucia. A potem - potem jakby się ocknęła z koszmaru. Dużo już o tym rozmawiali. Ale ta rozmowa wcale nie miała być ostatnią.

- Takie coś rzadko się zdarza - odpowiedział Winter.

- Myślałam o jego dzieciach. Nic nie możemy dla nich zrobić?

- Mama jego był. Margarety jest z nimi. I czasem Aneta. I Hanne.

- A ty u nich byłeś?

Nie miał czasu. To chyba byłoby dla mnie zbyt bolesne. Dla nich też. Policjant, który przypomni im o tacie.

- Nie, jeszcze nie.

- Ale co się stało? - Sięgnęła po koszulę. Już wyprasowana wisiła na krześle obok łóżka. Spojrzała na niego. - Chyba go. Chyba go nie zabili?

Winter nie odpowiedział.

- No tak, przecież nie możesz mi na takie pytanie odpowiedzieć. Ale musisz coś myśleć. Na pewno masz jakieś przecucie.

- Mam przecucie. Mówi mi, że musimy działać jak najszybciej i robić wszystko naraz. Żeby odnaleźć Fredrika. Znajdziemy go.

Pytanie tylko, w jakim stanie, pomyślał, zjeżdżając windą do czekającego na dole radiowozu. Fredrik nie żyje, pomyślał.

## 35

KIEDY DOTARŁ NA OIOM, okazało się, że Jeanette Bielke znów podano środki usypiające.

- Ryzyko było zbyt duże - powiedział mu lekarz.- Kiedy się obudzi?

- Chyba kiedy my ją obudzimy?

Winter spojrzał na niego takim wzrokiem, że od razu spuścił z tonu.

- Za kilka godzin.

- Wróć dokładnie za dwie godziny. - Winter spojrzął na zegarek. Założył go na drugi nadgarstek. Prawy, owinięty bandażem, trzymał na temblaku.

Winter pokierował radiowóz do Frölunda, do centrum handlowego. Za kierownicą siedział jakiś młody policjant. Nie znał go. Nad parkingiem rozgrzane powietrze drgało niczym podczas pożaru. Południowy wiatr wiał coraz mocniej. Termometr na dachu centrum wyglądał, jakby się zaciął na trzydziestu dziewięciu stopniach. Ludzie chowali się pod brezentem przykrywającym stoiska z warzywami. Inni szukali schronienia w galerii handlowej. Tam jednak krople potu zastygały na ciele, a od zimna można się było nabawić kaszlu.

Kiedy zadzwonił do drzwi Mattiasa, nikt nie otworzył. Wiedział, że mieszka z matką, ale wcześniej nie mieli potrzeby z nią rozmawiać.

Jak ona wygląda? - zastanawiał się Winter. Może powinni byli się z nią spotkać. Może to ona stała wtedy w łódce obok Samica?

Nie widział Mattiasa w szpitalu. Czy ktoś do niego zadzwonił? Ktoś mu powiedział?

Czy to nie jego twarz widział wtedy w ogrodzie? Wystawał pod domem Jeanette niczym porzucony pies. Nie umiał się pogodzić z myślą o zerwaniu.

Czy rozmawiał z Jeanette, zanim spróbowała popełnić samobójstwo? Skończyło się na próbie, ale mogło jej się udać.

Nacisnął dzwonek jeszcze raz. Słyszał, jak odbija się echem po drugiej stronie fornirowanych drzwi. Okna były otwarte w całym bloku, bez względu na to, czy ludzie byli w domu, czy nie. Wysuszone powietrze zamknięte na klatce schodowej pachniało pożarem.

Na dworze było niewiele lepiej. Młody policjant stał pod

drzewem i wpatrywał się w swój wóz.

- Pójdę jeszcze kawałek dalej - powiedział Winter.

- Zaczekaj tu.

Ruszył w stronę domów stojących za Centrum Kultury.

Mieszkanie chłopaka ze zdjęcia wciąż było nieumeblowane i przygnębiająco puste. Niedługo trzeba będzie je przekazać innemu lokatorowi. Kryjącą się w nim zagadkę przesłonią nowe meble, firanki, obrazy, kolory, głosy i wszelkie inne oznaki życia.

Huśtawki przed domem kołysały się, ale poruszały nimi poddmuchy wiatru. Dzieci by się stopiły, gdyby teraz na nich usiadły, pomyślał. Wokół panowała cisza. Ptaki zamilkły. Południowy wiatr wiał coraz mocniej, ale nadal bezgłośnie. Wprawiał w ruch huśtawki. Bujały się w przód i w tył. Zaraz pewnie się splączą. W oddali, na południu, dostrzegł obłoki podążające w ślad za wiatrem. Czarne chmury. Na razie zajmowały tylko jedną piątą nieba. Wciąż stał przy wejściu. Teraz już słyszał wiatr. Wiał coraz mocniej, jakby ktoś zrobił głośniejsze - w oczekiwaniu na zbliżający się dramat. Chmury sunęły po niebie z prędkością pocisku. Pijacy stojący pod Centrum Kultury kołysali się na wietrze.

Deszcz spadł nagle i równie nagle przestał padać. Południowa część nieba znów się przejaśniła. Wszędzie dookoła dzieci skakały po kałużach. Pewnie wsiąkną w ziemię, zanim minie godzina.

Wrócił do centrum handlowego. Cywilnym samochodem przyjechał Bergenhem. Machał do niego przez szybę. Wjechali windą na górę, ale w mieszkaniu Mattiasa wciąż nikogo nie było.

- Mógł się w coś wpakować - powiedział Bergenhem.

- Wszystko jest możliwe - odparł Winter. - Chyba musimy zaplombować mieszkanie. - Zadzwoił na komisariat we Frölunda. Zabrali się, kiedy na miejsce przyjechali miejscowi policjanci. Bergenhem ruszył w stronę miasta.

- Pojedź przez park - powiedział Winter.

Zaparkowali, a potem stanęli pod drzewami przy sadzawce. Skała mieniła się po deszczu, połyskiwała wśród otaczających ją drzew i krzewów.

Nikt nie przechadzał się w tę i z powrotem ze smyczą w rękę. Tylko on i Bergenhem wrócili na miejsce zbrodni. Mógłbym tu tak stać codziennie do końca lata i przez pół jesieni, pomyślał. Ale nie muszę. Już niedługo rozpracujemy Bielkego.

A jednak jakiś głos w środku mówił mu coś innego.

- Cały czas myślę o Fredriku - powiedział Bergenhem, kiedy ruszyli w stronę centrum. Winter czuł nasilający się ból w ramieniu. Spróbował je unieść, ale rozboleło jeszcze mocniej. Pękniętą kość pewnie trzeba będzie zagipsować, ale jeszcze nie teraz.

Twarz Jeanette była tylko odrobinę ciemniejsza od poduszki. Zauważył, że kiedy wszedł, z trudem spojrzała w jego stronę.

- Przyszedłem tylko na chwilę.

Zamknęła oczy.

- Jak się czujesz?

- Boli mnie.

Winter siedział w swoim pokoju. Musiał znaleźć chwilę na przeczytanie stosów raportów ze śledztwa piętrzących się na biurku. Za oknem zapadła już noc.

Postanowili na jakiś czas dać Bielkemu spokój.

Kiedy rozmawiał z jego córką, jej twarz coraz bardziej zapadała się w poduszkę. To znaczy, gdy do niej mówił.

On zadawał pytania, ona nie odpowiadała. Wszyscy, z którymi rozmawiał, postanowili milczeć.

Musiał wrócić do raportów. W nich się wszystko kryło. Jak zwykle.

Czytał, dopóki oczy nie odmówiły mu posłuszeństwa.

Wrócił po kilku godzinach. Nie wyspał się, ale trochę mu się rozjaśniło w głowie. Nie zasną, dopóki to się nie wyjaśni.



Priorytetem było teraz co innego. Wiedział, że wszyscy tak myślą. Teraz ważne było odnalezienie Haldersa. Najważniejsze. Chociaż nie - równie ważne. Jedno łączyło się z drugim.

Zadzwoił już do Vennerhaga. Miał uruchomić wszystkie swoje gangsterskie kontakty. To najważniejsze z twoich dotychczasowych zadań, powiedział Winter.

Zadzwoił telefon.

- Mam coś ciekawego - powiedział Möllerström.

Winter czekał, aż przełączy rozmowę.

- Halo? Halo?

- Tu komisarz Winter.

- No bo widzieliśmy te artykuły w gazecie.

Kampania prasowa Wintera i Bulowa przyniosła rezultaty.

Mężczyzna i jego syn zjawili się godzinę później. O pięć lat starsi. Winter pomyślał, że widać to przede wszystkim po synu. Wtedy miał najwyżej dziesięć lat.

Czytał o nich trzy dni wcześniej, kiedy po raz kolejny wertował biblię, ale przed chwilą również. Obu uwieczniono w raportach: już na zawsze mieli pakować samochód przy parku i nigdy nie mieli się odezwać. Aż do teraz.

- Minęło dużo czasu - powiedział mężczyzna. - Ale jesteśmy, o ile to jeszcze ma jakieś znaczenie.

- A jak tam z pamięcią? - zapytał Winter.

Mężczyzna się uśmiechnął albo przynajmniej spróbował to zrobić. Syn wyglądał, jakby się zastanawiał, co tu w ogóle robi.

- Tak. więc wtedy, kiedy to się stało, wyjeżdżaliśmy na urlop. To była naprawdę długa wyprawa. Miała się skończyć już po rozpoczęciu roku szkolnego

- wyjaśnił mężczyzna. Popatrzył na syna. - Dostałem pozwolenie, żeby samemu uczyć syna. - Może to był błąd, zdawało się mówić jego spojrzenie. - Taak. Potem wróciliśmy do domu, ale nigdzie już nie mówili o tym morderstwie,

które mogłem sobie jakoś skojarzyć. z nami też w pewnym sensie. Rozumie pan?

- Ale teraz zdecydował się pan przyjąć.

- Tak. Te artykuły w prasie brzmiały tak, jakby je pisano bezpośrednio do nas.

- Ale ja nic nie pamiętam - odezwał się po raz pierwszy chłopak. - Nic poza tym, że tamtej nocy było gorąco. I że byliśmy zmęczeni.

- Było późno. - Mężczyzna się rozejrzył.

Zobaczmy, pomyślał Winter. Wiele badań z dziedziny psychologii pamięci wykazało, że ludzie niezwykle dobrze sobie radzą z rozpoznawaniem twarzy. Nawet jeśli minie dużo czasu. W mózgu funkcjonuje specjalny system odpowiedzialny za opracowywanie i przechowywanie wizerunków twarzy. Często się nad tym zastanawiał. Brzmiało to rozsądnie, jeśli się wzięło pod uwagę rozwój człowieka na przestrzeni lat: jeśli się chce przeżyć, trzeba umieć rozpoznawać innych, ich twarze. Umieć odczytywać malujące się na nich uczucia.

Jemu to pomagało, było częścią jego zawodu.

Dzieci wczesnie uczą się rozpoznawać twarze. I nie ma to nic wspólnego z językiem.

Mógłbym rozmawiać z nimi bez końca, ale to nic nie da, pomyślał.

Chodziło mu o szczególny rodzaj pamięci, chciał się odwołać do ich pamięci rozpoznawczej. Minęło pięć lat. Chciał zorganizować okazanie, żeby mogli obejrzeć Kurta Bielkego, ale zidentyfikowanie konkretnej osoby mogło być trudne, może nawet niemożliwe. Upływ lat był poważną przeszkodą. Teraz mogli im co najwyżej pokazać twarz podejrzanego w innym świetle, z innej perspektywy, z nową fryzurą. W innym wnętrzu. Czy ojciec i syn w ogóle kogokolwiek tamtej nocy widzieli?

- Widzieliście kogoś? - zapytał Winter.

- Taak. - odparł mężczyzna. - Zacząłem się już nad tym zastanawiać. To wcale nie łatwe. Ale to była szczególna noc. pamiętam dobrze, bo bardzo mnie bolał ząb. Pierwszy dzień urlopu - po tej nocy - zszedł nam na szukaniu dentysty w Skanii.

Winter czekał.

- No, w takich okolicznościach łatwiej sobie przypomnieć, co? Przypominam więc sobie, że ktoś szedł od strony parku. Akurat postawiłem walizkę na ziemi i pomyślałem, że podobno trzeba iść do lasu, znaleźć kawałek żywicy i żuć go. Tak mówiła moja babcia. No i popatrzyłem prosto na drzewa, a stamtąd akurat ktoś wyszedł. - Spojrzał na Wintera. - Nie wiem, która była godzina.

- My wiemy - odparł Winter.

### 36

KONFRONTACJĘ ZAPLANOWALI NA PIĘTNASTĄ. Klasyczne okazanie: świadkowie ukryci za lustrzaną szybą, przed nimi podejrzany w towarzystwie kilku podstawionych osób, które wyłapano spośród kręcących się po komendzie.

Bielke wygląda zwyczajnie, choć jest zmęczony, pomyślał Winter. Bertil sprawia wrażenie bardziej rzeźkiego i niebezpiecznego.

Ringmar wpatrywał się wprost w lustro, stał o dwa miejsca w lewo od Bielkego. Na podium było ich ośmiu.

Mężczyzna i jego syn stali obok Wintera. Chłopakowi chyba się wydawało, że to film.

Winter miał własne zdanie na temat psychologii sądowej: świadek, który widział sprawcę, powinien go bez problemu rozpoznać podczas okazania, a, co równie oczywiste, świadek, który nigdy nie widział podejrzanego, nie może go rozpoznać.

- Zastanówcie się na spokojnie - powiedział.

- Taaak - odparł mężczyzna.

Bergnhem i Aneta Djanali stali obok Wintera.

- Taaak - powtórzył mężczyzna. - To było tak jakby w innym świecie.

To było tak jakby dawno temu, pomyślała Aneta. Ile razy widziała Fredrika na podium wśród innych podstawionych policjantów. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, jeśli świadek nie był pewien, po chwili wahania wskazywał go jako sprawcę. Ci, którzy byli pewni swego, wskazywali go od razu.

Winter dał znak ręką i przyciemniono światło. Powiedzmy, że to ciepły letni wieczór w parku, w centrum dużego miasta. Ktoś wychodzi z zarośli.

Wyciera ręce po dokonaniu zbrodni. Idzie do domu i kładzie się spać.

- Wtedy miał coś z włosami - powiedział mężczyzna.

- Słucham?

- Kiedy był tuż pod latarnią, widziałem, że włosy mu trochę sterczały do góry.

- Ale który? - zapytał Winter. - Którego z nich widział pan pod latarnią?

- Taaak. on tak jakby pochylał głowę i przez to te włosy było bardziej widać.

- Ale o kim pan mówi? - powtórzył Winter.

- Ten tam - odpowiedział mężczyzna, wskazując ruchem głowy za szybę. Chyba mu się wydawało, że w oczach ma zamontowane reflektory. - Ten koleś, który wygląda, jakby miał już wszystkiego dosyć.

Ringmar, pomyślał Winter. Za bardzo się wczuwa w rolę.

- Trzeci od lewej?

Mężczyzna się zawahał.

- Ta. nie. nie ten. Mówiłem o tym tam dalej. O trzecim od prawej.

- Trzeci od prawej? - upewnił się Winter.
- Taak.
- Proszę się spokojnie zastanowić.
- Na sto procent nie mogę być pewny. - Spojrzał na syna, potem na Wintera i Bergenhema, a potem znów na podium. Na Bielkego. Patrzył na Bielkego.
- Trzeci od prawej chyba jest podobny. - Przeniósł wzrok na Wintera. - Tyle mogę powiedzieć. To było dawno temu. Winter popatrzył na Bielkego. Bielke odwzajemnił spojrzenie. Przewiercał wzrokiem swoje odbicie w lustrze. Mężczyzna pokiwał głową, jakby dodatkowo potwierdzał to, co powiedział.
- Mały krok naprzód. Może zadziałać na ich korzyść jutro rano, kiedy zasiadający w obskurnej ciasnej sali po drugiej stronie korytarza sędzia będzie decydował o zastosowaniu aresztu. Areszt. Oczywiście, że tak zdecyduje. Czternaście dni z możliwością przedłużenia.
- Teraz sobie przypominam - chłopak odezwał się niskim głosem przechodzącego mutację nastolatka.
- Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Byli równego wzrostu. Winter czekał w napięciu, czuł, jak jego puls przyspiesza.
- Pamiętam, jak to było - powiedział chłopak. Wciąż wpatrywał się w mężczyzn stojących za szybą. - Dziwne, nie? Naprawdę dziwne. Chyba normalnie nie pamięta się takich rzeczy?
- Nooo... - odparł jego ojciec.
- Co? - zapytał Winter. - Co pamiętasz?
- Jak to było. I to chyba ten facet, którego wskazał tata. Trzeci od prawej.
- Może chce się tylko popisać przed ojcem, pomyślał Winter.
- Kojarzysz jakieś szczegóły? - rzucił lekko.
- Chłopak nie odpowiedział, wciąż patrzył na Bielkego.
- Poznajesz go po czymś konkretnym?
- Po tym, czego akurat teraz przy sobie nie ma.

- Czego akurat przy sobie nie ma - powtórzył Winter, wciąż lekkim tonem.

- Tak, teraz sobie przypominam. I to bardzo dobrze - powiedział chłopak.

Winter pokiwał głową.

- Smycz - dodał chłopak.

Winter czuł, jak wali mu puls.

- Miał smycz. Upuścił ją, idąc, czy raczej biegnąc. Pamiętam, że zabręczała, upadając na żwir. I że ją podniósł. No i wydało mi się dziwne, że nie było psa. - Chłopak spojrzał na Wintera. - Szkoda, że nie ma psa, pomyślałem. Gdzie jest jego pies? Teraz sobie przypominam, że się nad tym zastanawiałem. Jeszcze potem, jeszcze potem się zastanawiałem, gdzie jest jego pies.

Winter pojechał do domu Jeanette Bielke. Podwieźli go radiowozem. Chciała z nim porozmawiać żona Bielkego, z nim i z nikim innym. Było gorąco jak przed burzą. Winter, ot, tak sobie, puścił w samochodzie płytę Haldersa. Julie Miller. Kiedy przejechali dwa kilometry, poczuł zapach morza. *In my heart I see you run free, like a river down to the sea, all the chains that held you bound, will be in pieces on the ground, you'll drink the rain and ride the wind to me.* Miller śpiewała chropawym, ale dźwięcznym głosem. Przypominał drobny papier ścierny.

Żona Bielkego czekała na dobrze mu już znanej werandzie. Winter podał jej zdrową rękę.

- Co się stało? - zapytała. Zanim zdążył odpowiedzieć, wybuchnęła płaczem.

- Jak długo to potrwa? - zapytała dziesięć minut później. Siedzieli na rattanowych sofach stojących w głębi werandy.

Zależy co, pomyślał Winter. Zależy co.

Spojrzała na niego, w oczach wciąż miała mnóstwo łez.

- Odwiedziłam dziś Jeanette. - Łzy polały się na nowo. - Dobry Boże. - Popatrzyła na niego. - Czemu mnie tu nie

było?

- A gdzie pani była?

- Wysłałam z domu i pojechałam się przejechać. - Wytarła nos i wcisnęła chusteczkę do kieszeni sięgającej za kolana spódnicy. - Ostatnio bardzo często jeździłam na przejażdżki.

Winter czekał, aż emocje opadną, wsiąkną w ziemię w ogrodzie, który dla nikogo z tej rodziny już nigdy nie będzie tym, czym był kiedyś.

- Rozwiedziemy się - powiedziała nagle.

Winter milczał. Wiedział, że nastąpi ciąg dalszy.

- Rozmawiałam już z agentem nieruchomości. O domu. - Popatrzyła na Wintera. - A pan by tu został?

- Co na to pani mąż?

- Ha - powiedziała bezgłośnie, jakby bez wykrzyknika.

- Przecież odwiedziła go pani wczoraj.

- Właśnie dlatego chciałam z panem porozmawiać. -

Wyciągnęła chusteczkę i dokładnie wytarła nos. Winter siedział bez ruchu na rattanowej kanapie, wśród kwiecistych poduszek. Irma Bielke patrzyła na niego, ale go nie widziała.

- Co mam zrobić? - zapytała. - Wszystko to jest takie straszne, beznadziejne. Co ja mam zrobić?

- Proszę mi o wszystkim opowiedzieć.

Milczała. Jakby nagle o wszystkim zapomniała.

- Pani Bielke?

- Mattias jest synem Kurta.

- Słucham?

- Mattias. Chłopak Jeanette. A raczej były chłopak. Jest synem Kurta z innego związku.

Winter czuł, jak wszystko się w nim przewraca. Czy Irma Bielke jest równie szalona jak jej mąż?

- Mattias jest synem Kurta Bielkego?

- Wiedzieli o tym wszyscy poza mną.

- Wszyscy?

- Kurt powiedział Mattiasowi, kiedy się dowiedział, że, że on

i Jeanette się spotykają. A przecież spotykali się na długo przed tym, jak się dowiedzieliśmy. Kurt i ja.

Winter pokiwał głową. Wszystko jest możliwe na tym staczającym się w przepaść świecie.

- Potem próbował to jakoś odkręcić, nie, nie mówiąc o tym nikomu. A potem powiedział jej. Powiedział Jeanette.

- Kiedy to było?

- To musiało być tuż przed tym, jak ona powiedziała jemu - odparła.

- Ona?

- Co?

- Jaka ona? Ona, która powiedziała o tym pani mężowi. Matka Mattiasa. Kim ona jest?

- Chodziło mi o to, że Jeanette powiedziała Mattiasowi.

- Ale przecież pani mąż powiedział mu już wcześniej.

Spojrzała Winterowi prosto w oczy.

- Żadne z nich nie uwierzyło - odparła.

- A teraz?

- Przecież mógł im to z łatwością udowodnić.

- Jak?

- Nie wiem. - Odwróciła wzrok. - Jego spytajcie.

Gdzieś w pobliżu ktoś włączył kosiarkę. Przeleciał nad nimi helikopter. Winter spojrzał w górę i stwierdził, że leci na wschód, nad morzem. Spróbował znów uchwycić spojrzenie Army Bielke.

- A pani kiedy o tym powiedział? - zapytał.

- W ogóle mi nie powiedział - odparła, sięgając po leżącą na stole książkę.

Winter zobaczył pod nią rozłożony list, napisany ręcznie, najwyraźniej zgniatany i rozprostowywany tysiąc razy.

- Nie powiedział? - powtórzył za nią, spoglądając na list.

- Dostałam go od Kurta wczoraj, kiedy byłam na komendzie. Jakoś go przemyciłam. - Popatrzyła na Wintera. - Mówił, żebym go nikomu nie pokazywała.



- Aha.
- Ale przecież wiedział, że i tak to zrobię.
- Dlaczego teraz? - Winter pochylił się do przodu. - Dlaczego teraz postanowił pani o tym opowiedzieć?
- Nie zauważył pan, jak się zmienił po tym, jak się dowiedział o Jeanette? Po tym, jak usłyszał, że próbowała popełnić samobójstwo?
- Próbowaliśmy to wykorzystać, pomyślał Winter. I chyba trochę nam się udało. W waszej rodzinie wszystko się wali, a my to wykorzystujemy.
- Wie pani, gdzie może teraz być Mattias? - zapytał.
- Nie odpowiedziała. Wyglądała, jakby wędrowała spojrzeniem do innego świata, w którym będzie mogła znaleźć ukojenie po tej tragedii.
- Pani Bielke, gdzie może być Mattias? Musimy go znaleźć. To naprawdę ważne.
- Jest tam, gdzie ona.
- Słucham?
- Zrobił to samo co ona. Zrobił to co moja mała Jeaneeeeeeette! - krzyknęła i zanosła się płaczem. Spuściła głowę. Niechcący podciągnęła spódnicę odrobinę w górę i po chwili odsłonięte kolana zrobiły się mokre od łez.
- Jest pani pewna?! - zapytał Winter, pochylając się nad nią. Próbował jakoś jej pomóc, objął ją.
- A co innego mógł zrobić? Jak można żyć z czymś takim?
- Jeanette żyje - odparł.
- Nie odpowiedziała. Potem wymamrotała coś niezrozumiale.
- Nie słyszałem, co pani powiedziała.
- Moja mała dziewczynka.
- Muszę panią o to zapytać. Czy pani wie, co zrobił pani mąż?
- Co zrobił?
- Pytam, czy pani wie - powtórzył Winter.
- Nie wierzę w to. Nie chcę już być z tym człowiekiem, już

nigdy, ale w to nie wierzę. Nie wierzę, że mógłby kogoś zamordować. Może i chodził do klubu porno czy co to tam było, ale cała reszta... nie, to niemożliwe. - Pokręciła głową. - Choć jak dla mnie to i tak wystarczy. - Znów pokręciła głową.

- Ja i Jeanette wyprowadzamy się stąd.

- Chciałbym przeczytać ten list.

- Leży tu przecież.

Winter wziął kartkę i zaczął czytać. Litery wyglądały jak czarne mewy przelatujące po papierze. W liście było tylko to, co powiedziała Irma Bielke.

Może to tylko zmyślona historia szaleńca.

- Kim jest matka?

Nie odpowiedziała. Winter powtórzył pytanie.

- Przecież mówiłam, że nic mi nie powiedział. - Podniosła wzrok. - Przez te wszystkie lata to była ich tajemnica, jego i jej, więc nie wiem, kim jest. NIE CHCĘ WIEDZIEĆ. Mogłabym, gdybym. mogłabym. - Nie dokończyła. Nie powiedziała, co takiego mogłaby zrobić kobiecie, z którą kiedyś przyszło jej podzielić się mężem.

Winter chciał wrócić na komendę, chciał porozmawiać z Kurtem Bielkem, zanim zamilknie na zawsze.

Miał przy sobie zdjęcia Angeliki z zakończenia szkoły. Irma Bielke odwróciła wzrok.

- Musi pani na to spojrzeć.

Zerknęła na profil kobiety. Winter dostrzegł ulgę na jej twarzy.

To niesamowite, pomyślał, jak ważna przez wszystkie lata ewolucji naszego gatunku była umiejętność rozpoznawania innych i odczytywania intencji i emocji wypisanych na ich twarzach.

- Nigdy jej nie widziałam - powiedziała, spoglądając na niego. - Nie znam jej. Kto to?

- Nie wiem. Nadal mamy tylko tę twarz i nie wiemy, gdzie ją przyporządkować.

- Ach, zupełnie zapomniałam - powiedziała. - Mój Boże, a przecież to właśnie dlatego.

- Co dlatego?

- Dlatego chciałam z panem porozmawiać. Dlatego chciałam się z panem spotkać.

Jest jeszcze coś? pomyślał. Najwidoczniej śluz nie zostały jeszcze otwarte do końca.

- Dziękuję.

- Słucham?

- Dziękuję. Uratował jej pan życie. Tak, wiem, że nadal jest w bardzo ciężkim stanie, ale żyje i będzie żyła. Dopilnuję, żeby mogła żyć.

Winter nie wiedział, co odpowiedzieć. Irma Bielke pochyliła się w jego stronę i położyła dłoń na jego prawym ramieniu. Wzdrygnął się.

- Jest pan dobrym człowiekiem.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Poczul ból w łokciu. Znow się zaczyna, akurat teraz. Czas na kolejną porcję voltarenu.

Irma Bielke osuszyła oczy i wytarła nos. Wstała. Właśnie się skończył pewien etap.

Koniec - i ruszamy do przodu. Jednym skokiem. Wiedział to. Po tym piekle, które teraz przeżywała, miał nadejść kolejny etap. Miał jej przynieść ulgę, ale i siłę.

- Może zanim pojedziecie, napijecie się czegoś. Proszę tu zaprosić tego policjanta z samochodu.

Kiedy jechali z powrotem, zadzwonił jego telefon. Łokieć przeszył straszny ból, chociaż słuchawkę podniósł zdrową ręką.

- Udało mi się wyciągnąć jeszcze kilka słów - powiedział Yngvesson. - Ten sam głos, ale mówi coś innego.

- Co?

- Przyjdź, to posłuchasz. Już nic więcej nie da się z tego wycisnąć.

- Już jadę.

Rozłączył się. Nagle słońce oślepiło go tak, że musiał zmrużyć oczy. Jeszcze godzina, dwie. Może dzień. Widział nieszczęsną twarz Haldersa, nikogo innego, tylko Haldersa. Do zobaczenia, Fredriku.

### 37

POSZUKIWANIA SAMICA CIĄGNĘŁY SIĘ OD KILKU DNI. Informujące o tym nagłówki zajmowały całe tablice reklamujące pierwsze strony gazet. Czarne litery na żółtym tle, niczym chmury spychające z nieba słońce. Dziennikarze byli wszędzie. Winter starał się nie myśleć o kontrolowaniu mediów, udawał, że go to nie obchodzi i nie dotyczy ani jego, ani tego, co się dzieje. W wyobraźni próbował uciekać do słonecznego świata, w którym panuje lato, a wieczory spędza się w ogródkach piwnych napełniających się gwarem, który milknie wraz z nadejściem ciemności. Do tego radosne kąpiele w morzu i sól krystalizująca się na brwiach, kiedy człowiek sennie, leżąc na skałach. O tym chciał myśleć.

Grupa reporterów czekała w świeżo wyremontowanym holu komendy. Długopisy, notatniki, mniejsze i większe kamery. Minął ich zdecydowanym krokiem, patrzył przed siebie. Jak na filmach, choć wyglądało to żałośniej.

W studiu Yngvessona kręcąca się taśma terkotała, jakby odliczała upływ czasu. Winter słuchał na stojąco. Z głośników dobiegał chrobot. Yngvesson wytrzasnął skądś dwa dodatkowe, przez co wszystko brzmiało jeszcze donośniej. Wyglądał na zmęczonego, nawet więcej niż na zmęczonego.

- Teraz - powiedział do Wintera.

Ze szmeru, który wcześniej nie przypominał niczego, dało się wyodrębnić słowa:

- HWYLL WCZYSNIJ! GHLLYW MÓWYYM TO JYŻ WCZEŚNIEJ. JUŻ WCZEŚNIEJ! AAA!

Yngvesson wcisnęła stop.

- I to już wszystko? - zapytał Winter. Gdzieś z tyłu głowy poczuł coś dziwnego. Nie chodziło o włosy jeżące się na karku. To się działo gdzieś w środku.

- JUŻ wszystko? Chyba całkiem sporo, nie?

- Nie o to mi chodziło. Pytałem tylko, czy będzie coś jeszcze.

- Nie.

- Puść jeszcze raz.

Winter słuchał. WCZEŚNIEJ. JUŻ WCZEŚNIJ! AAA!

- Wcześniej - powiedział Yngvesson. - Powiedział jej coś już wcześniej.

- Jej albo komuś innemu.

- Albo już wcześniej coś zrobił.

- Brzmi jak starszy facet - dodał Yngvesson.

- Co powiedziałaś?

- Brzmi jak starszy facet.

Winter słyszał to już wcześniej. Wcześniej. Boże, on już to wcześniej słyszał. Nie, CZYTAŁ o tym już wcześniej. W biblii mordu.

Wrócił do siebie i zadzwonił do Möllerströma. Nikt nie prowadził archiwów tak jak on. Wszystko jest zapisane na twardym dysku. Wystarczy wpisać słowo i kliknąć wyszukaj. Akurat dziś wyszedł wcześniej. Jego dziecko idzie na jakiś kinderbal.

- Zadzwońcie po niego - powiedział Winter.

Przykro mi, Mölli, przeprosił w myślach.

Berghem wciąż jeszcze był w pracy. Winter opowiedział mu o nagraniu. Berghem nie rozpoznał tych słów.

- A czym się teraz zajmujesz? - zapytał Winter.

- Setter i ja podsumowaliśmy to, czego udało nam się dowiedzieć o interesach Samica. Nazwiska, starzy znajomi z branży.

- Macie jakieś adresy?

- Całe mnóstwo, ale nie możemy go szukać po wszystkich

znajomych. Ale i tak zaczęliśmy. Gdzie indziej też sprawdzamy.

- Bielke?

- Tak, jego nazwisko też tu mamy. Robił trochę w nieruchomościach. Był współwłaścicielem jakiejś podrzędnej knajpy. Ale to już wiedzieliśmy. No i wiemy, gdzie jest teraz. I gdzie mieszka.

Już nie, pomyślał Winter. Przed oczami stanęła mu Irma Bielke: załamana, ale skupiona szła na spotkanie z agentem nieruchomości.

Ona nie jest szalona.

Zaproponował, że ją podwożą. Do hotelu albo do krewnych, albo przyjaciół. Odmówiła. Wybierała się gdzie indziej, w jakieś lepsze miejsce.

Berghemem się podniósł.

- Skoro to już wszystko.

Winter myślał o Haldersie, o Angeli i Elsie, i o tym, że zaraz stanie przy oknie i zapali. I zrobi głośniej. W panasonicu, który stał na swoim stałym miejscu na podłodze, obracała się płyta: *Breckers Time is of the Essence*.

Myślał o tym, czego się dowiedział o ojcostwie Kurta Bielkego. Dla niego wciąż były to niesprawdzone informacje. Mogły się za tym kryć jakieś intencje. Jemu Bielke do niczego się nie przyznał.

Stał przy oknie. I znów cienie kładące się daleko na ziemi, niczym czarne włócznie rozrzucone wzdłuż rzeki płynącej za parkiem, na który wychodziły okna jego pokoju. Park, park, park, park, park, park.

Zgasił cygaretkę w popielniczce i wrócił do biurka. Wykręcił numer Mattiasa. Znów nikt nie odebrał. Może chłopak wisi na jakimś drzewie, leży w wodzie albo błąka się między rozgrzanymi słońcem domami.

Wstał i usiadł przed komputerem Möllerströma. Zaczął szukać. Zadzwoił telefon, ale nie odebrał. Kiedy tak szukał,

nagle sobie przypomniał. Nie chodziło tylko o słowa. Chodziło też o głos.

\*

Prowadził Berghem. Musieli jechać ostrożnie, omijając ludzi i kolejne ogródki piwne. Na rozpalone ulice wylegli wszyscy: dzieci, nastolatki, ludzie w średnim wieku, starsi, żigolaki, turyści, rozwodnicy i rozwódki, nowożeńcy, rodziny z dziećmi, dziwki, alfonsi, pijacy, gliniarze, zbawiciele, obłąkani, zmierzający znikąd donikąd.

Park, płuca miasta. Ścieżki rowerowe i trawniki zapełniały tłumy.

- Stań gdzieś poza parkiem - powiedział Winter.

Berghem zaparkował w jednej z bocznych uliczek. Weszli od północy.

- Wziąłem urlop - powiedział Berghem. - W tajemnicy.

- Aha - odparł Winter.

- Tak naprawdę to tylko ze względu na cie.

- Cicho.

Stali przy sadzawce. Z prawej jakaś grupka urządziła sobie spokojny piknik. Przyglądały im się flamingi stojące w wodzie na jednej nodze. Winter poczuł zapach pieczonej kiełbasy dolatujący z ogródka za ich plecami. Słyszał jednostajny, miękki śmiech unoszący się nad wodą. Cienie kładły się już nisko na ziemi, jakby drzewa w parku położyły się na noc, żeby jutro rano znów wstać.

- Podejźmy bliżej.

- Ja zostanę tutaj - powiedział Berghem.

Winter zrobił trzy kroki w stronę najbliższego drzewa. Od szczeliny w skale dzieliło go dziesięć metrów. Widział, jak zieje z niej czerń, niczym z jaskini. Wokół delikatnie falowała zieleń, oznajmiając szelestem zbliżający się nocny odpoczynek.

Winter usłyszał dobiegający nie wiadomo skąd przenikliwy

warkot silnika. Trawnikiem nadjechał odpicowany skuter z szeroko uśmiechniętym nastolatkiem za kierownicą. Winter odwrócił się. Zobaczył, że Bergenhem kręci głową. Skuter objechał sadzawkę i wrócił, wciąż rycząc, po czym zniknął na oddalonej o sto metrów ulicy. Gdy ten niespodziewany warkot umilkł, znowu zrobiło się cicho, tak cicho jak nigdy. Winter stał bez ruchu, jakby już wiedział - naprawdę wiedział - że dużo z tego, co się wydarzyło, doprowadziło ich do tej chwili, ale też że wszystko się skończy tu i teraz. No, może nie wszystko, ale wiele spraw będzie można zamknąć, jeśli tylko będą tu stali albo jeśli wrócą tu jutro, albo pojutrze, albo popojutrze, a poza tym będą robić to, co się zwykle robi, kiedy się szuka rozwiązania zagadki.

Znów usłyszał z oddali szelest gałęzi. Żadnych przechodniów. Żadnego ruchu w polu widzenia.

Stał nieruchomo. Zaraz pewnie Bergenhem ruszy z miejsca i wrócą na komendę.

Coś mignęło w czerni skalnej szczeliny. Jakiś cień, ciemniejszy od innych. Winter ani drgnął. To się dzieje teraz. Coś się poruszyło, choć wciąż był to tylko cień. I znów ruch, cień przesunął się w stronę wyjścia. Winter dostrzegł zarys głowy, potem sylwetkę. Nagle wyłoniła się twarz, jak blady owal rozmyty na tle zdradliwego wieczornego mroku. Jasny zarys twarzy, który widział już przez okno Jeanette.

Mattias wyszedł z zarośli na trawnik. Poruszał głową w przód i w tył, niczym pies węszący na wietrze za ludźmi lub innymi zwierzętami. Miał na sobie szorty i koszulę. Na ciemnym tle wydawała się czarna. Zrobił dwa kroki w przód. Koszula nagle okazała się biała. Na dole była rozpięta i powiewała na wietrze. To ta sama koszula. Jeden guzik odpadł i leży u Beiera, w laboratorium, pomyślał Winter. Poły koszuli znowu załopotwały, jakby nagle wiatr się nasilił, chociaż tam, gdzie Winter stał, nie było go czuć.



Winter oderwał się od pnia. Mattias się wzdrygnął i zwrócił ku niemu twarz. Winter zrobił dwa kroki. Mattias stał bez ruchu z uniesioną głową, jakby wciąż jeszcze węszył. Winter widział teraz jego oczy, oczy Mattiasa. Nie było w nich już nic znajomego, już nie. Winter podszedł bliżej, poruszał się, jakby był niewidzialny. Mattias znów zaczął poruszać głową, w przód i w tył. Jego prawe ramię też się poruszało, jakby do rytmu. Winter był już tak blisko, że czuł cierpki zapach bijący od wymachującego ręką coraz wyżej chłopaka. Smycz, którą trzymał w ręce, połyskiwała w świetle złoto i srebrno.

Winter znalazł wreszcie raport, którego szukał. Przejrzał go. Była to ostatnia rozmowa, którą Halders przeprowadził z Mattiasem. Czytając, Winter miał w uszach ich słowa:

- Jeanette przecież nic by nie powiedziała.
- Mattias, czemu o niej po prostu nie zapomnisz?
- Jak to: zapomnisz?
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Już dawno to zrobiłem. Zapomniałem. o wszystkim.

Potem, gdy Halders pokazał mu zdjęcie chłopaka Angeliki, Mattias zamknął.

- Poznajesz go? - zapytał Halders.
- Nie - odparł Mattias po chwili. - Kto to?

Rozmawiali dalej.

A potem, potem Mattias powiedział właśnie to:

- Już nigdy nie będzie tak, jak. kiedyś. - Powtórzył to, jakby innym głosem. Niby zwykła odpowiedź, ale nie w tej sytuacji, już nie. Nie nawiązywał wcale do tego, co mówił wcześniej. Po chwili dodał: - Kiedyś, wcześniej, było inaczej. Mówiłem już. Mówiłem wam już - powtórzył jeszcze.

Halders zadał mu jeszcze kilka pytań. To było wszystko, co Mattias powiedział, ale wystarczyło. Okazało się, że wystarczy.

Winter przeczytał raporty i zadzwonił po Bergehema. Pojechali do parku, bo gdzie mieliby pojechać?

CHŁOPAK SIEDZIAŁ NA TYLNYM SIEDZENIU, nic nie mówił. Winter widział, jak światła neonów przesuwały się po jego twarzy. Ale Mattias nie zamrugał ani razu. Miejsce smyczy zajęły kajdanki. Połyskiwały tak samo metalicznie.

Dojechali z powrotem na komendę. Chłopak trafił do celi. Potem zebrali się w pokoju Wintera. Winter był za bardzo zdenerwowany, żeby się przenieść do sali zebrania. Palił, stukając palcami w blat. Przed sobą widział twarze wszystkich współpracowników. Aneta Djanali była najsmutniejsza.

Nie było czego świętować i oblewać szampanem.

- No to zaczynamy z nim - powiedział Cohen, odpowiedzialny za przesłuchania. Rzadko bywał u Wintera, zazwyczaj chodził własnymi ścieżkami.

- A co robimy z Kurtem Bielkem? - zapytał Johan Setter, spoglądając na Wintera. - Skoro się okazuje, że to jednak ten chłopak, Mattias?

- On, ale nie tylko - odparł Winter.

- W obu przypadkach?

- Nie. Kiedy dokonano pierwszego zabójstwa, był za młody - zauważyła Aneta.

- Miał szesnaście albo siedemnaście lat - powiedział Setter. - I, o ile dobrze pamiętam, już wtedy miał metr dziewięćdziesiąt pięć.

- To Bielke zamordował Beatrice - stwierdził Winter. - Nie przyznał się, ale można to wyczytać między wierszami jego listu do żony. Jeśli go zapytamy jeszcze raz, potwierdzi. - Wypuścił dym i spojrzał w okno. Potem przeniósł wzrok z powrotem na zebranych. - Teraz, wiedząc, co się wydarzyło w nocy, przyzna się.

- Niby dlaczego? - ciągnął Setter. Wczuł się w rolę śledczego,

który ma dociec jak i dlaczego. - I niby jak?

- Wiemy, że Bielke był w tym. przybytku w willi. Nikogo tam nie zastaliśmy, ale wiemy. Widzieliśmy. - Znów pomyślał o Haldersie. Zauważył, że Aneta też. Halders widział. - Wiemy, że Beatrice tam była. Nie wiemy dlaczego, choć mamy jakieś podejrzenia. Nawet więcej niż podejrzenia. Beatrice była tam pięć lat temu, na krótko przed śmiercią.

- Ale dlaczego Bielke ją zabił? - Setter się nie poddawał.

O Jezu, pomyślała Aneta. To opowiedz nam teraz, dlaczego ludzie się zabijają. Tak, żeby wszyscy zrozumieli raz na zawsze i żeby świat wreszcie stał się rajem. Bielke ją zabił, bo jest złym człowiekiem albo chorym, choć jedno może jakoś wynikać z drugiego. Nie podeszłaby do niego, nawet gdyby był za szybą. On chciał więcej.

Winter odpowiedział:

- Może wcale nie miał zamiaru. Może tak po prostu wyszło.

Facet jest

chory.

Tak jak Mattias, o ile Bielke faktycznie jest jego ojcem, pomyślała Aneta. Jaki ojciec, taki syn.

Ale teraz chodziło o Fredrika.

- Chyba zebraliśmy się tu tylko i wyłącznie z jednego powodu. A jest nim zaginięcie Fredrika - powiedziała. - Więc co z tego, co się właśnie stało, może nam pomóc go odnaleźć?

- Przecież właśnie o tym mówimy - odparł Setter.

- Ach tak.

- To wszystko się ze sobą wiąże. Co takiego Halders zobaczył w tym domu? Co takiego odkrył, że musiał zniknąć?

- No i Samic - dodał Bergenheim. - Dlaczego jego też nigdzie nie ma?

- Jest jeszcze jedno ważne pytanie - powiedział Winter, rzucając Anecie odrobinę przepaszające spojrzenie. - Czy to Bielke zgwałcił córkę? Czy Mattias?

- Zgwałciłby własną siostrę? - zapytała Sara Helander. - To

znaczy przyrodnią siostrę.

- Może wtedy jeszcze o tym nie wiedział - zauważył Ringmar.

- O ile teraz wie.

- Jeśli zamordował Angelikę i Anne, to pewnie był w stanie zrobić i to - powiedział Setter. - Ale zapytam jeszcze raz: dlaczego?

Kara, pomyślał Winter. Mattias chciał je za coś ukarać. Za coś, co zrobiły. Ale co to mogło być? Może chodziło o taniec. Może o coś więcej. Ale skąd o tym wiedział? Ktoś mu o tym powiedział? Czy sam był w willi? Czy w ogóle był w tej willi? Czy widział Kurta Bielkego? Czy widział jego córkę? Czy ona też tam była? Nie. A może. może była tam, a ojciec o tym nie wiedział? Czy Bielke zrobił coś, co mogło kogoś sprowokować do zgwałcenia jego córki? Może to właśnie jego ktoś chciał w ten sposób ukarać? Wykorzystując jego córkę? Ktoś, kto miał na niego haka. Kto wiedział, co Bielke zrobił.

Może zrobił coś Beatrice pięć lat wcześniej. Beatrice, która była w willi. A inni, ci, którzy też tam byli? Jak Samic. No właśnie, Samic. Gdzie jeszcze bywał wtedy Samic? I z kim? Znał przecież tę kobietę. Czy to matka Mattiasa?

Mattias doznał wiele złego. Chciał, żeby zwracano na niego uwagę, ale chciał też znaleźć tych, którzy w pewnym sensie brali udział w tej. grze. A dziewczyny brały w niej udział. Może myślał, że to one są częściowo odpowiedzialne za to, co się przytrafiło Jeanette, i za to, co się wydarzyło między nią i nią. Dziewczyny, ale też Kurt Bielke. Może to o niego mu chodziło. Czy wiedział, co spotkało Beatrice? On jej nie zamordował, nie mógł.

Mattias podrzucił aparat do samochodu Bielkego. Włamał się do domu Hanssonów: szukał czegoś, co by wskazywało na winę Bielkego. Nie. To mógł być ktoś inny. Samic? Czy Samic wiedział o zdjęciach z baru?

Może Mattias zabił chłopaka Angeliki, bo tamten go znał i zaczął coś podejrzywać?

Kiedy przeszukają mieszkanie Mattiasa, pewnie znajdą aparat z uszkodzonym obiektywem, ten, którym zrobiono zdjęcia dziewczynom w barze. Znajdą też komórkę Anne Nöjd.

Wszystkie te myśli przeleciały mu przez głowę w ciągu kilku sekund.

Może Mattias odpowie na wszystkie pytania, a może dostarczy kolejnych wątpliwości. Bielke zacznie mówić, może nawet za dużo.

- Samic - rzucił ktoś.

- Proszę?

- Jeśli znajdziemy Samica, to znajdziemy również Fredrika – powiedziała Aneta.

Samic, Samic, Samic. Winter myślał, myślał bez przerwy. Podobnie jak pozostali.

Z chłopakiem nie dało się rozmawiać. Pogрузzył się w swoim milczącym świecie. Winter nie miał do niego dostępu.

Bielke jeszcze się nie przyznał, ale zanosilo się na to, że to zrobi. W każdym razie zaczął mówić. Dopytywał się o córkę, o żonę - ani razu. Szaleństwo w jego oczach to pojawialo się, to znikalo. Cohen i Winter próbowali skierować rozmowę na to, co się dzialo w domu za rzeką godzinę po tym, jak wszedł tam Halders. Bo przeciez chyba tam wszedł?

- Nic o tym nie wiem.

- Przecież był pan tam - powiedzial Winter.

Nagle Bielke pochwycil jego spojrzenie, przestal uciekac wzrokiem. Marszczył czoło tak, jakby myśli miały mu zaraz wystrzelic z głowy i wypasc na stol. Winter czekal.

- Przecież był pan tam - powtorzył tak spokojnie, jak tylko mógł.

- Tak - przytaknal Bielke. - Tak.

Pierwszy raz się do czegoś przyznał.

- Gdzie pan był? - zapytal Winter.

- W tym domu.

- Ale gdzie dokładnie?
- W piwnicy.

Jego spojrzenie zaczynało przygasać. Mówił monotonią, jakby prześlizgując się po sylabach. Teraz, gdy było po wszystkim, poczuł, że jest zmęczony.

- Kto jeszcze był w piwnicy?
- Co?
- Kto jeszcze był w piwnicy?
- Ona.
- To znaczy kto?
- Nie wiem.
- Jak się nazywa?
- Nie wiem, to po prostu jedna z dziewczyn.
- Co tam robiła?
- Co?
- Co tam robiła?
- Tań. tańczyła.
- Co tańczyła?

Bielke nie zrozumiał. Dla niego nie istniał inny sposób tańczenia, choć właściwie nie uważał tego za taniec. To była tylko nazwa.

- Co to był za taniec?
- Nie wiem.
- Tańczyła sama?
- Sama.
- Kto jeszcze tam był?

Nie odpowiedział. Próbował wypatrzeć kogoś, kogo nie było w pokoju. Byli tylko Winter i Cohen. I jeszcze magnetofon i kamera.

- Gdzie jest chłopak? - zapytał nagle, podnosząc głowę.
- Jaki chłopak?
- Ten chłopak.
- Mattias? Czy Mattias też tam był? - zapytał Winter.
- To mój chłopak.

- Wiemy.

Bielke pokiwał głową.

- Był tam? - powtórzył Winter.

- Nie wiem.

- Kto jeszcze tam był?

Bielke coś wymamrotał.

- Może pan powtórzyć?

- Ona też tam była.

- Ona, czyli kto?

- Ona już od dawna była z nim. Zabierała tam ze sobą chłopaka. Na początku o tym nie wiedziałem.

- Mattias bywał w willi?

- Trochę tam pomagał. Kiedyś go tam zobaczyłem. - Bielke wpatrywał się w ścianę za Winterem. - Wtedy jeszcze nie wiedział. O mnie. Nie wiedział, kim jestem.

- Widział pana?

- Co?

- Pytam, czy pana widział.

- Nie, wydaje mi się, że nie.

No to źle ci się wydaje, pomyślał Winter.

Bielke powiedział coś cicho.

- Proszę powtórzyć.

- Odjechał z nim. - Jego głos znów brzmiał monotennie i beznamiętnie.

- Odjechał? - zapytał Winter. - Z kim odjechał?

Bielke znów coś wymamrotał, ale wyglądał tak, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Z kim odjechał? - powtórzył Winter.

- Z tym facetem, który tam przyszedł.

- A kto przyszedł?

- No, on.

- To znaczy kto?

- Nie wiem.

- A kto odjechał?

- Co?

- Mówił pan, że odjechał. Kto odjechał?

Bielke sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć. Widać było, że w końcu się zdecydował.

- Johan - odparł.

Johan Samic, pomyślał Winter. Samic, Samic, Samic.

- To on to zrobił - dodał Bielke mocniejszym głosem, jakby z impetem wyduchał powietrze. - To Samic to zrobił.

- Co zrobił?

- Moja mała dziewczynka.

Nagle zaczął płakać.

Winter czekał. Taśma w magnetofonie kręciła się bezgłośnie.

Cohen popatrzył na Bielkego. Bielke tym razem też na niego spojrział. Otarł oczy wierzchem prawej dłoni.

- Skrzywdził moją małą dziewczynkę.

- Jeanette?

Bielke przytaknął.

- Może pan powtórzyć?

- Skrzywdził moją Jeanette.

- Dlaczego?

Bielke pociągnął nosem, kolejny raz otarł oczy.

- Bo wiedział.

- Co wiedział?

Winter poczuł lekki chłód z tyłu głowy, jakby się znalazł w przeciągu.

- Wykorzystał to - powiedział Bielke. - Mnie. I. nas.

- Co takiego wykorzystał? - zapytał Winter. - Co Johan Samic wykorzystał przeciwko panu?

Bielke znów wyglądał na otepiałego. Gdzieś odpłynął.

- Co takiego wiedział o panu Johan Samic?

- Wiedział, co zrobiłem.

Bielke spojrział na Wintera wzrokiem na wpół ostrym, na wpół zamglonym.

- Powiedział, że może robić, co zechce.



- Dlaczego?

Bielke wymamrotał coś niewyraźnie.

- Dlaczego? - powtórzył Winter.

- Bo ją zabiłem.

Powiedział to z pochyloną głową. Jego włosy miały ten sam blady odcień co ściany pokoju.

- Proszę powtórzyć.

- Zabiłem ją. - Popatrzył na Wintera i Cohena. - Nie chciałem. Tylko ją śledziłem. Nie chciałem jej zabić.

Rozumiecie przecież. To oczywiste.

- Zabił pan Angelikę Hansson? - zapytał Cohen.

- Kogo?

- Zabił pan Angelikę Hansson?

- Nie, nie. To nie ja.

- Zabił pan Anne Nöjd?

- To nie ja.

Znów wymamrotał coś cicho.

- Słucham?

- Odjechał. Był tam po mnie. Zapytajcie jego.

- Nie zrozumiałem, co pan powiedział - odparł Winter.

- Wtedy, kiedy odjechali. Zapytajcie Samica.

- Zapytać o co?

- I Benny'ego. To on prowadził.

- Be. Benny'ego?

- Benny'ego.

- Jakiego Benny'ego?

- Benny'ego Boya.

Winter stał pod drzwiami pokoju przesłuchań. Czuł, jak twarz mu płonie. Od razu wstał i wyszedł. Cohen został.

Wjechał windą na górę i poszedł do pokoju, w którym Setter i Bergnhem mieli przeglądać potwierdzenia transakcji, stare i nowe.

W pokoju siedział Bergnhem.

- Musisz mi sprawdzić nazwisko - powiedział Winter. -

Benny Vennerhag.

- Vennerhag?

- Czy Samic robił jakieś interesy z Bennym Vennerhagiem?

- Nie kojarzę tego nazwiska.

- To mi je sprawdź, DO CHOLERY! - krzyknął Winter.

- Dobra, uspokój się.

Winter pochylił się nad klawiaturą, przed którą siedział Bergenhem.

- Jezu, Erik, daj mi szansę.

Bergenhem otworzył bazę nazwisk, które do tej pory znaleźli.

- Tak - powiedział. - Mamy to nazwisko. Ale nie mogę ci powie.

- Dobra, to wystarczy - odparł Winter i ruszył do swojego pokoju. Na korytarzu spotkał Ringmara. - Wejdz do mnie na chwilę - rzucił przez ramię.

Kiedy Ringmar wszedł, zobaczył, że Winter przerzuca stertę zdjęć.

- Czego szukasz?

Winter chwycił zdjęcie z zakończenia szkoły Angeliki Hansson. Za obiektywem stał wtedy Lars Olof Hansson. Przed - uchwycona z profilu kobieta. Winter wiedział, że nigdy nie będzie mu dane jej spotkać. Skoro nie zjawiała się nawet teraz, gdy zgarnęli Mattiasa.

Obok kobiety stał chłopak.

Dalej - ciemna twarz. Może to Samic, a może nie.

Do cholery, przecież wiadomo, że to on.

Tuż przy nim brodaty blondyn w ciemnych okularach. Jego również Lars Olof nie rozpoznał.

Było w nim jednak coś znajomego. Broda wyglądała jakoś dziwnie, i te okulary.

Winter spojrzał na drugie zdjęcie, to, które niemal w tej samej chwili zrobiła Cecilia, koleżanka Angeliki. Ona nic nie wiedziała o willi za rzeką. Nie mogła wiedzieć. Musiałaby przecież być szalona, żeby przed nimi ukryć coś takiego.

Będą musieli z nią jeszcze porozmawiać.

Na tym zdjęciu kobieta stała na wprost obiektywu. Ale chłopaka nie było. Może się cofnął o krok. Tyle by wystarczyło. Nie było też smagłego mężczyzny, ale uwieczniono na nim więcej osób i więcej twarzy niż na tym drugim. Winter zauważył to już wcześniej.

Z uporem wpatrywał się w zdjęcie. Kolejny raz sięgnął po lupę. Przeniósł wzrok na kilka maksymalnie powiększonych kopii. Potem znów spojrzął przez lupę na pierwsze zdjęcie. Już wiedział, czego szukać. To właśnie ten znaczący szczegół. Nagle zdjęcie jakby się przed nim otworzyło: mógł zajrzeć w tłum, zobaczyć, co jest dalej. I oto w głębi ukazała się uchwycona z półprofilu blond głowa, a raczej jej górna część: czoło, oczy, nos. Nic więcej, ale nie trzeba było szkła powiększającego, żeby rozpoznać tę postać stojącą w tle, tuż pod pękiem balonów. Benny.

Miał sztuczną brodę. Samic perukę. Czy to był zuchwały żart, czy coś gorszego?

Samic. Kobieta. Vennerhag. To nie z powodu Angeliki zjawili się na szkolnym dziedzińcu, nie przede wszystkim. Dziewczyna świętowała zakończenie szkoły, ale Mattias również. Chodził do tego samego liceum, tylko do innej klasy. Teraz Winter wiedział.

Mattias też świętował.

Przyszli tam dla niego.

Ta kobieta była jego matką.

Bóg jeden wie, co ją łączyło z Samikiem. I z Bennym Boyem. Ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Pokonywali kolejne wzgórza. Ringmar prowadził. Winter pilotował go przez puste ulice. Ktoś urządził sobie w ogródku nocnego grilla. Winter widział strzelający w górę płomień.

Czuł palący ból w złamanej ręce.

- Nie powini ci założyć gipsu? - zapytał Ringmar.

- To po drugiej stronie. O, tam.

Minęli kilka domów. We wszystkich oknach było ciemno.

- Zjedź tu, w dół i w lewo. - Winter kiwał się w przód i w tył, obejmując złamaną rękę.

- Erik, wyluzuj.

- Chcesz, żebyśmy znaleźli Fredrika, czy nie?

- Chcę.

- To jedź.

Kiedy Ringmar zatrzymał się pod domem Vennerhaga, Winter zaciągnął się dymem i odpiął pas. W oknach paliło się światło. Wysiedli jednocześnie.

Gdzieś z wnętrza domu dobiegł ich śmiech i plusk wody.

- Jest za domem - powiedział Winter. - Znajdę go.

Ringmar ruszył za nim w stronę trawnika, za dom. Zobaczyli faceta w kąpielówkach, ze szklanką w dłoni. Z basenu z gracją wylaniała się naga kobieta.

Vennerhag, widząc, kto go odwiedził, szybko odstawił szklankę na stojący pod parasolem stolik. Kobieta stanęła na brzegu i skrzyżowała ręce na piersiach, zasłaniając połyskujące od wody ciało. Ringmar zauważył, że Winter przyspieszył kroku. Facet w kąpielówkach zaczął coś mówić.

- Erik, to.

Winter przyłożył mu głowę w klatę. Kobieta wrzasnęła. Vennerhag wydał odgłos, który brzmiał tak, jakby powietrze ulatniało się z materaca. Zrobił kilka chwiejnych kroków w tył. Winter trzymał prawą rękę tak, jakby wciąż miał ją na temblaku, chociaż chusta zsunęła mu się z ramienia i leżała na trawie obok wrośniętego z ziemię Ringmara. Kobieta znów krzyknęła. Vennerhag pochylił się do przodu. Winter kopnął go między nogi. Z ust Vennerhaga popłynęła krew. Winter wymierzył mu jeszcze dwa kopniaki - po jednym w każde kolano. Vennerhag potknął się o skrzynkę po piwie - zabrzmiało to tak, jakby ktoś łamał chrust - a potem się poślizgnął i wpadł do basenu. Winter wskoczył za nim i jedną ręką przytrzymał mu głowę pod wodą. Po chwili ją uniósł.

Ringmar widział jego przenikliwe spojrzenie - w jego oczach odbijały się światła basenu.

- GDZIE ON JEST?! - krzyknął Winter. Znow na chwilę wpełchnął głowę Vennerhaga pod wodę. - GDZIE ON JEST, SKURWIELU?! GDZIE JEST FREDRIK HALDERS?

Głowa Vennerhaga znowu powędrowała w dół, a potem znowu do góry. Z nosa leciała mu krew, woda nie zdołała jej zmyć.

Ringmar widział, jak Winter wali go jeszcze głową w czoło. Vennerhag wydał przeraźliwy świst. Zabije go, pomyślał Ringmar. Muszę ich rozdzielić.

- Zabiję cię, Benny, wiesz, że to zrobię - powiedział Winter i wymierzył kopniaka w kierunku Ringmara, który wskoczył do wody i zaczął się do nich zbliżać. - Nie wtrącaj się, Bertil. Zostań, gdzie jesteś!

- Erik, zaczekaj.

- STÓJ! - wrzasnął Winter. Ringmar się zatrzymał. Zastanawiał się, co robić.

Winter przyciągnął twarz Vennerhaga do swojej.

- Pytam ostatni raz, zanim cię utopię. Gdzie on jest? Gdzie Halders?

Z ust Vennerhaga znowu wydobyło się rżęzenie.

- CO?! CO?! - krzyknął Winter, znow go podtapiając.

- Neeee. - wyjęczał Vennerhag.

Po chwili Winter wyciągnął jego głowę z wody. Twarz była zniekształcona od ciosów, krwi i światła. Zdawało się przewiercać całą głowę od spodu.

- Co mówisz?

Ringmar widział, jak Vennerhag porusza ustami. Winter się nad nim pochylał. Vennerhag znow coś wymamrotał. Winter szybko się wyprostował, cisnął ciało Vennerhaga do wody i ruszył do brzegu. Brnął przez sięgającą mu do pasa wodę.

Ringmar wyciągnął Vennerhaga na brzeg. Facet wyglądał, jakby już nie żył. Kobieta siedziała z dłońmi przyciśniętymi

do twarzy, cała się trzęsła. Ringmar sprawdził Vennerhagowi puls. Wyczuł go po kilku sekundach, słaby, ale jednak. Usłyszał głos dobiegający z domu. To Winter dzwonił po policję i po karetkę.

Po chwili wrócił do ogrodu.

- Komórkę szlag trafił - powiedział. - Jedziemy.

Ringmar spojrzał na Vennerhaga i na kobietę. Na chwilę podniosła wzrok, a potem znów ukryła twarz w dłoniach. Była cudzoziemką.

- Bertil, JEDZIEMY. Musisz prowadzić.

- Ale dokąd? - zapytał Ringmar, lecz Winter był już za rogiem.

### 39

JECHALI NA ZACHÓD. Mijali wesołe miasteczko. Winterowi wydawało się, że jedna karuzela się kręci. Migotały przymocowane do niej lampki.

Z tyłu horyzont rozświetlało już inne światło: wstawał nowy dzień. Winter czuł się tak, jakby mu ktoś miażdżył prawą górną część ciała. Na knykciach wciąż miał krew Vennerhaga. Czuł, że śmierdzi jak dzikus. Kiedy na autostradzie Ringmar przyspieszył i przez otwarte okna wpadł wiatr, Winter, wciąż w mokrych ubraniach, zaczął się trząść.

Czy właśnie postradałem zmysły? Czy to na tym polega szaleństwo?

Ringmar mówił do krótkofalówki.

- Muszą zaczekać - powiedział Winter. - Nie możemy tam wpaść z całym batalionem.

Ringmar dalej rozmawiał z Berghemem i z resztą. Winter pocierał dłońmi koszulę.

- Na tylnym siedzeniu jest sweter. - Ringmar odwrócił się do niego. - Ilu ich tam jest?

- Nie wiem.
  - Nie powiedział?
  - Nie.
  - To co powiedział?
  - Gdzie jest Fredrik.
  - Co z nim? Z Fredrikiem?
  - Nie pytałem - odparł Winter, patrząc przed siebie. - Za skrzyżowaniem zjedź w prawo. Będzie szybciej.
- Zobaczył samolot. Wznosił się na porannym niebie jak ciemny ptak. Lampki na ogonie migotały, wysyłając na ziemię jakąś wiadomość. Dobiegł go głuchy pomruk silników. Przejechali przez most. Morze wyglądało jak pole.
- Po drugiej stronie znów zrobiło się trochę ciemniej. Światło zostało w tyle, za połącią wody. Droga była pusta. Gdy się zbliżyli do wyspy, zaczęła się zwężać.
- To musi być tu - powiedział Ringmar. Zjechał z drogi. Między drzewami było jeszcze ciemniej. Rzucił okiem na Wintera. Winter sprawdzał broń. Jakoś przetrwała kąpiel w basenie. - Erik, w porządku?
  - Musisz mi okazać jeszcze trochę cierpliwości.
  - Ale jak już będziemy na miejscu, działamy na spokojnie.
  - Zobaczymy.
- Winter oparł się o siedzenie i zamknął oczy. Zobaczył twarz chłopaka.
- Wcześniej, w innym momencie tej niekończącej się doby, gdy siedział nad zdjęciami, zadzwonił do niego Cohen.
- Chce coś powiedzieć - oznajmił.
  - O co chodzi? - zapytał Winter, wpatrując się w zdjęcie, na którym widać było głównie balony.
  - Myślę, że chce nam wszystko opowiedzieć.
- Kiedy wszedł do pokoju, Mattias nie patrzył w jego stronę. Siedział przed nimi w milczeniu.
- Chciałeś z nami porozmawiać?
- Nie odpowiedział.

- Chcesz nam o czymś opowiedzieć?

- Może.

Teraz, kiedy już wiedział, dostrzegł pewne podobieństwo do ojca. Oczy mieli identyczne - odbijał się w nich wewnętrzny mrok.

- Gdzie jest moja mama?

Winter miał nadzieję, że chłopak w końcu na niego spojrzy, ale on nadal wpatrywał się w blat stołu.

- Chcę, żeby tu przysłała - powiedział.

- Jak się nazywa twoja mama?

- Co?

- Jak się nazywa?

Chłopak zamilkł.

Czyżbym popełnił błąd, pytając? - zastanawiał się Winter.

Mattias przeniósł wzrok na Cohena, potem na Wintera.

- Gdzie jest mama?

- Nie wiemy - odparł Winter. - My też jej szukamy. - Pochylił się do przodu. - Dlaczego nie możemy jej znaleźć, Mattias?

- Nie wiem.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

- Nie wiem.

- Chyba nie mieszkacie razem.

Nie odpowiedział.

- Gdzie ona mieszka?

Coś wymamrotał.

- Mattias, gdzie ona jest?

- Mieszka z nim, z Samikiem. - Popatrzył na Wintera. - Już od dawna. - Przetarł usta dłonią. - Już od dawna są razem. - Przycisnął rękę do czoła. - Mówiłem jej, że mi się to nie podoba. Mówiłem już wcześniej - powiedział, po czym nagle się roześmiał. - Pokazałem im! Pokazałem temu skurwielowi! To się już nigdy nie powtórzy, nigdy!

Winter czekał. Chłopaka poniosło, ale tylko na kilka sekund.

- Jemu też pokazałem - ciągnął. - Tak jak im.



- Dlaczego zabiłeś te dziewczyny?

Chłopak był we własnym świecie, widział to, co chciał zobaczyć.

- One. nie powinny tam być.

Winter słyszał szum powietrza krążącego po pokoju. Na plecach czuł pot. Ramię znowu zaczynało boleć.

- Nie miały tam czego szukać. Mówiłem im.

Nie chciał patrzeć na Wintera. Patrzył w ścianę, w którą wpatrywało się już tylu innych przesłuchiowanych.

- To ich wina. Gdyby tam nie przychodziły, wszystko byłoby inaczej.

- Dlaczego to była ich wina?

- Jeanette.

- Co Jeanette? Też tam była?

- Raz poszła tam z nimi.

- Jeanette była w klubie?

Mattias przytaknął. Winter sam już nie wiedział, co o tym sądzić.

- Co tam robiła?

Chłopak znów pokiwał głową. Chyba nie usłyszał pytania.

- Mattias, co ona tam robiła?

- Była tylko przed domem.

Winter zobaczył willę, ulicę, latarnie, drzwi, hol, schody i ceglaną ścianę.

- Przed domem?

- Ona. nie wchodziła do środka, ale to wystarczyło.

- Wystarczyło? Do czego?

- Do tego, żeby on za nią poszedł. Poszedł za nią i zro. zrobił to. to, co zrobił.

- Kto? Johan Samic?

Mattias przytaknął.

- Oni już tego nie zrobią. Już nigdy. - Spojrzał na Wintera. Wyglądał, jakby się zapadł w siebie, jakby w ogóle nie miał kości. - To on to zrobił.

- Johan Samic?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie to. Mówię o tej drugiej sprawie.

- Kurt Bielke?

Mattias pokiwał głową. Patrzył tak, jakby właśnie zdradził Winterowi tajemnicę. Oczy miał przekrwione, w kącikach ust zebrała się ślina.

- Co zrobił Kurt Bielke?

- Słyszałem, jak on i Samic o tym rozmawiają - powiedział Mattias głosem, który nagle zrobił się mocny i wyrazisty. - Zrobił to i mógł zrobić znowu.

- Znow przycichł. - On. on. on. To była też jego wina, że Jeanette.

- Mógł to zrobić znowu? Co masz na myśli?

- Zrobił to przecież raz, no nie?

- Dłacie.

- Przecież potem, przy tych kolejnych sprawach, to też mógł być on - Mattias przerwał Winterowi.

- Ale to byłeś ty.

- To mógł być on.- Mattias nagle uniósł ręce.-To mógł być on.

- Wiesz, kim on jest? Wiesz, kim jest Kurt Bielke?

- Jest zwykłym śmieciem.

- I kim jeszcze?

- Mówią, że to mój ojciec, ale ja w to nie wierzę.

- A co na to twoja mama?

- Nie zdążyłem jej zapytać - odparł Mattias i znow się zaśmiał.

Ona nie wiedziała, co zrobił jej syn, pomyślał Winter. A kiedy to wreszcie zrozumiała, wystraszyła się. Zostawiła go i zaczęła szukać pomocy, ale ci, do których się zwróciła, nie mogli jej pomóc. Okazali się jeszcze gorsi.

A potem zjawiliśmy się my. Zjawił się Halders.

Winter nie zadał kolejnego pytania. Cohen spojrział na niego i sam zapytał:

- Gdzie jest chłopak Angeliki?
- Kto?
- Angelika miała przecież chłopaka.
- Wyjechał - odparł Mattias.
- Co to znaczy: wyjechał?
- On był taki jak one. - Mattias podniósł wzrok, wpatrywał się w jakiś punkt za plecami Cohena i Wintera. - Przyszedł i zaczął mi zadawać mnóstwo pytań. Tak jak wy.

\*

Ringmar jechał na trójce. Niepokoiły go światła, sięgały sto metrów w przód.

- Wyłączę je - powiedział.
- Ale uważaj na sarny - odparł Winter.

Ringmar nie mógł przestać się uśmiechać. Mrużył oczy, wpatrywał się w słabe światło, które ponad drzewami nie mogło się zdecydować, czy jest noc, czy dzień.

- Samic zgwałcił Jeanette - powiedział Winter.

Ringmar milczał. Starał się nie zjechać z drogi. Wyglądała jak czarna linia biegnąca między ciemnymi świerkami.

- Miał haka na Bielkego. Miał go przez wszystkie te lata i w końcu zrobił z niego użytek.

- Skąd wiesz?

- Bielke powiedział na ostatnim przesłuchaniu. - Winter odwrócił się w stronę Ringmara. - Chłopak to potwierdził.

- W tej historii jest wielu sprawców - stwierdził Ringmar.

- Ofiar też. Ich jest najwięcej.

- No tak.

- Wszyscy oni w jakiś sposób są ofiarami - dodał Winter. - To się nigdy nie kończy. - Zastukał w deskę rozdzielczą. - Zatrzymaj się na chwilę.

Ringmar zjechał na bok i wyłączył silnik. Wśród drzew, kamieni i krzewów cisza była bardziej dojmująca. Kolejny raz

spojrzał na mapę. Oglądał ją już, kiedy wyjeżdżali z miasta, po tym jak puls zdążył już zwolnić. Świecił latarką w dół.

- Jeszcze kilometr, może mniej. Teraz będzie rozwidlenie, a potem pięćset metrów. - Odłożył mapę. - Dalej idziemy na piechotę. - Otworzył drzwi. - Postaw samochód tak, żeby Lars go zauważył, jak już tu dojadą. No i żeby zablokować drogę. - Zauważył, że po obu stronach drogi ciągną się głębokie rowy. Wstał, ale się zachwiał i odruchowo chwycił się krawędzi drzwi - złamaną ręką. Ból przeszył całe ciało, sięgnął aż do czubka głowy.

- Czekamy na resztę - powiedział Ringmar.

To było jedyne rozsądne rozwiązanie. Wiedział o tym. A jednak coś w środku mówiło mu, że nie ma czasu.

- Musimy się spieszyć - powiedział. Czuł, jak straszny ból przetacza się przez całe jego ciało. - Po prostu wiem, że musimy.

- Erik, to kwestia pół godziny. Najwyżej.

- Nie chodzi tylko o to. Potem będzie nas za dużo. Za dużo naraz.

Ruszył brzegiem rowu. Ringmar za nim. Śmierdziało zgniłą wodą i resztkami roślin, które nie zdążyły uschnąć w upale. Tutaj słońce nie sięgało. Winter miał wrażenie, że te zapachy unoszą się tu od wieków.

Kiedy już wszystko się skończy, pójdzie z Angelą i Elsą do lasu. Będzie chodził na czworakach pod drzewami i rwał mech. Jesienią pójdzie na grzyby. Będzie się przedzierał w kaloszach przez mokre zarośla. Znów zatrząsł się z zimna. Wilgotna koszula lepiła mu się do ramion. Mokasyny też przyłgnęły do stóp, jakby się przykleiły.

Doszli do skrzyżowania. Winter wskazał ruchem głowy w prawo. Przeszedł przez drogę i ruszył przez las. Nie był już taki gęsty. Gdzieś w oddali rozległ się skrzek nura. Winter wiedział, że za domem, do którego zmierzają, jest jezioro. Ptak zaskrzeczał jeszcze raz. Jego głos jak krzyk rozdarł

wczesny poranek, który właśnie zaczynał wyostrzać kontury drzew. Musiał być gdzieś blisko. Winter czuł, jak suche gałęzie i paprocie chłuszczą go po piszczelach. Co krok to ukłucie. Mokre szorty ślizgały się po udach i pośladkach. Zapalenie pęcherza murowane, choć to na szczęście lato, nie zima.

- Już widać dom - wyszeptał Ringmar.

Stanęli. Widzieli zarys domu i spadzistego dachu. Kryjąc się za świerkami, podszli bliżej. Dom okazał się większy, niż Winter się spodziewał. Stał przed nim samochód, przy samej ścianie. Kombi. We wszystkich oknach było ciemno.

Więc to tam, w środku, ma być Halders, pomyślał Ringmar. W domu albo pod domem, w ziemi.

- Oto kryjówka Samica - powiedział Winter.

- Jak długo zamierzał się tu ukrywać?

- Dopóki po niego nie przyjdziemy.

- I co, trzyma Haldersa do towarzystwa?

- A gdzie mieliby go ukryć?

W mieście jest sto miejsc, w których można zakopać zwłoki, pomyślał Ringmar.

Zaraz powinni ruszyć. Niebo nad nimi robiło się już szaroniebieskie.

Halders wszystko widział, o wszystkim już wie. Nadchodzimy. Teraz będzie mógł nam o tym opowiedzieć.

Winter wiedział, że Ringmar ani przez sekundę nie wierzył, że Halders żyje. Ani w to, że jest w środku. Ale Winter znał Vennerhaga. Halders tu jest.

Pobił go, bo miał nadzieję, że mimo wszystko jest jeszcze cień szansy.

Teraz, stojąc przed tym milczącym domem nad jeziorem, poczuł, że jego nadzieja znika jak gwiazdy z porannego nieba rozciągającego się nad lasem. W dali, zza drugiego brzegu jeziora, wyłaniała się czerwień. Kładła się smugami po obu stronach domu. Czemu mieliby tam wchodzić teraz, za

sekundę czy dwie, skoro mogą zaczekać na posiłki, które otoczą dom i wtargną do środka?

- Wchodzimy - powiedział Winter.

Ringmar skinął głową i ruszył do przodu. To nie jest kwestia lojalności. Ringmar nie należy do tych, co lubią sobie postrzelać. Po prostu myśli to samo co ja - że to ta chwila. Nie przyszedł tu ze mną, żeby stać i czekać na Larsa, Anetę i wschód słońca.

Schyleni prześlizgnęli się między samochodem a ścianą. Sięgająca kolan trawa ocierała im się bezgłośnie o nogi. Zresztą Winter nie wsłuchiwał się w szelest źdźbeł. Roleta w oknie na lewo od werandy była opuszczona. Na haku wisiał kapelusz, przy drzwiach stała para butów. Na ławce na prawo od wejścia leżało jakieś narzędzie - dłuto.

I co teraz?

Winter wyczuł klamkę i nacisnął ją. Pchnął drzwi. Bezgłośnie uchylily się na kilka centymetrów. Spojrzał na Ringmara. On też był gotowy. Winter otworzył drzwi i weszli do środka, szybko i cicho. Stali w holu, widzieli zarys schodów i dwa jaśniejsze prostokąty drzwi. Jestem już na to za stary, pomyślał Ringmar.

Dalej z prawej czerniła się jakaś dziura, może zejście do piwnicy. Winter zrobił krok w przód i wszedł do pokoju. Pod ścianą stał przykryty kilkoma serwetkami stół. Obok dwa krzesła. Nad stołem wisiało lustro. Winter spojrzął w nie i zobaczył oczy. Wpatrywały się w niego z drugiego końca pokoju, spod drzwi. Zobaczył wyciągnięte przed twarzą ramię zakończone palcami zaciskającymi się na jakimś przedmiocie. Broń. Całkiem spory gnat. Ani drgnął. Nic nie słyszał - żadnego okrzyku nadciągających komandosów, żadnego oddechu, żadnego odgłosu od strony stojącego bez ruchu Ringmara. Ringmar wpatrywał się w to samo co on, choć nie patrzył w lustrzane odbicie, tylko na rzeczywistą postać. Winter czekał na uderzenie kuli, która rozerwie go i

strzaska lustro, niszcząc odbicie Samica. Bo to on stał z wymierzoną w nich bronią. Czekał na ruch, który za chwilę musiał nastąpić i.

Straszną ciszę przerwał huk wystrzału. Najpierw jeden, zaraz potem kolejny. Winter wpatrywał się w lustro. Wciąż było całe, on był cały. Ringmar nadal stał bez ruchu. Patrzył na coś, czego Winter nie widział, bo nie mógł oderwać wzroku od lustra i zamkniętego w nim odbicia.

Ramię Samica zaczęło opadać. Winter widział jego oczy - wciąż były otwarte, ale w jego dłoni nie było już pistoletu. Leżał przed nim, na podłodze. Samic trzymał się za rękę, w której przed chwilą ścisnął broń, choć nie wyglądał na rannego. Powoli się przewrócił, odsłaniając kobietę, która stała za nim, odrobinę z boku. Ona też miała pistolet w dłoni. Może to był SIG sauer Haldersa. To ona strzeliła, wytrąciła broń z ręki Samica. Padając, wydał dziwny odgłos. Upuściła pistolet, rzuciła go na ciało Samica.

Winter już kiedyś widział jej twarz - z profilu i z przodu.

- Już dość - powiedziała. - Już wystarczy.

Winter wreszcie oderwał się od odbicia w lustrze. Kobieta miała na sobie nocną koszulę, białą jak szata anioła. Odwrócił się w jej stronę.

- Tak, jestem matką Mattiasa - powiedziała.

Ringmar też w końcu się ruszył.

- Jest tam, na górze - dodała. Wiedziała, że wie, o kim mówi. Potem spojrzała Winterowi prosto w oczy.

- Jest tu jeszcze ktoś? - zapytał Ringmar. - Ktoś poza naszym kolegą?

- A jak pan sądzi? - powiedziała, spoglądając na broń, którą przed chwilą upuściła. Leżała między nogami Samica.

Winter szybko wszedł na górę. Nagle przez okno zobaczył światło reflektora. Na dole Ringmar mówił coś do komórki. Przed domem słychać było silniki samochodów. Trzaskały drzwi. Z góry dobiegał warkot helikoptera.

Dwoje drzwi, jedno i drugie zamknięte. Otworzył te z lewej i zobaczył niepościelone łóżko. Na podłodze leżały ubrania. W drugich drzwiach, po przeciwnej stronie holu, skrzypiały zawiasy. Tam też stało łóżko. Za oknem światła helikoptera migały jak w wesołym miasteczku, wpuszczały do pokoju jasne smugi. W łóżku ktoś leżał. Głowę miał owiniętą bandażami. A może to był gips albo cholera wie co. Winter pochylił się nad łóżkiem. Twarz Haldersa pokrywały plamy światła rzucanego przez reflektory, a może również przez wschodzące słońce. Winter usłyszał dobiegający z dołu odgłos kroków, głosy, otwierane i zatrzasowane z powrotem drzwi. Halders otworzył oczy.

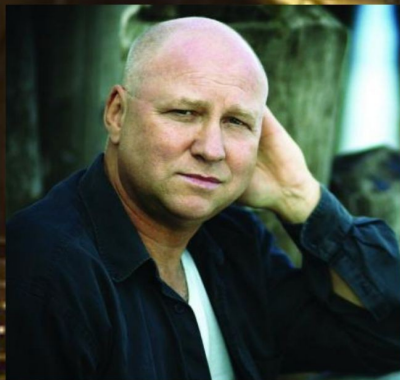


Dziewiętnastoletnia kobieta pada ofiarą gwałtu, wracając nocą do domu. Kiedy komisarz Winter dostaje tę sprawę, odkrywa, że do gwałtu doszło w dokładnie tym samym miejscu, w którym kilka lat wcześniej popełniono podobne przestępstwo. Najbardziej niepokoi go jednak fakt, że tamta sprawa zakończyła się morderstwem i pozostała nierozwiązana. Tymczasem dochodzi do kolejnego gwałtu i do kolejnej śmierci. Wspólną cechą wszystkich ofiar jest to, że były zaraz po maturze. Winter zaczyna śledztwo od wertowania zdjęć z uroczystości maturalnych i wpada na intrygujący ślad.

Sprawa wciąga inspektora bez reszty, co nie pozostanie bez wpływu na jego życie rodzinne.

## Åke Edwardson

Pracował jako dziennikarz i wykładowca na uniwersytecie w Göteborgu. Jako pisarz kryminałów zadebiutował w 1995 roku. Powieścią „Dans med en ängel” (1997) i zapoczątkował słynną serię kryminalną o komisarzu Eriku Winterze. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych pisarzy nie tylko w Szwecji, lecz także za granicą. Jego książki zostały przetłumaczone na 20 języków. Laureat wielu prestiżowych nagród, uznany za najlepszego pisarza roku 2003 w Szwecji



Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

Cena: 34,90 zł



Ali-Baba